

MINKA KENT

THRILLER PSYCHOLOGICZNY DLA FANÓW „DZIEWCZYNY Z POCIĄGU”
ORAZ „ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI”



PIĘKNI LUDZIE SKRYWAJĄ NAJBRZYDSZE SEKRETY...

IDEALNE ŻYCIE

FILIA

MINKA KENT

IDEALNE
ŻYCIE

Przełożył
Kamil Maksymiuk

FILIA

*Dla K, M, C i A. Ta książka zrodziła się z miłości,
a ukształtowała ją Wasza brutalna szczerłość. Dziękuję.*

Prolog

Autumn

Znalazłam ją.

Zajęło mi to trzy lata, ale wreszcie się udało.

Nazywają ją Grace i chociaż nie wygląda jak oni, należy do nich.

Ale też do mnie.

Ma jasnobrązowe włosy, lekko kręcone, takie jak ja, gdy byłam w jej wieku, oraz czarne oczy, okrągłe i ciekawskie, które rozświetlają anielską buzię, kiedy się uśmiecha.

Matka, Daphne, stroi ją w różowe koronki, ogromne kokardy do włosów i przy każdej okazji każe jej pozować do zdjęć, które następnie wrzuca do Internetu.

Tamtego dnia, gdy znalazłam profil Daphne McMullen na Instafacie, siedziałam aż do czwartej nad ranem, przeglądając wszystkie jej zmiany statusu i zdjęcia. Zapisywałam na dysku i chłoniłam każdą uwiecznioną chwilę i każde wspomnienie od dnia, w którym przynieśli ją do domu ze szpitala, do momentu gdy zdmuchnęła trzecią świeczkę na swoim wielkim torcie urodzinowym.

W ciągu jednej bezsennej nocy nadrobiłam tysiąc dziewięćdziesiąt pięć dni z życia mojej córki, czyli wszystkie te, które mnie ominęły.

Przekładałam nogę przez brzeg wanny, pochłonięta przeglądaniem profilu Daphne, już po raz setny w tym tygodniu. Widziałam te zdjęcia milion razy, ale ciągle mam wrażenie, jakbym odkryła je przed sekundą.

Woda w wannie paruje, moje czoło zraszają krople potu. Znajduję

się w transie, z którego wyrywa mnie dopiero walenie w drzwi. To moja współlokatorka.

– Już kończysz? – pyta. – Włączyłam ten program, który chciałaś obejrzeć. Zamówiłam też pizzę. Niedługo przywiozą.

Ona jest jak pijawka, ciągle czegoś potrzebuje, zdradza mi swoje sekrety i żali się, jak trudno jest być nią. Jest tak pokręcona, że daje mi do czytania swój pamiętnik, a przysięgam, że ta dziewczyna nie ma żadnego powodu do płaczu.

Jej samochód? Opłacony.

Jej studia? Opłacone.

To mieszkanie? Opłacone.

Jej rodzice? Ludzie sukcesu z wysokimi oczekiwaniami. Och, co za biedactwo...

– Tak. Za chwilę wyjdę! – krzyczę.

Ale się nie ruszam. Zamiast tego dalej skroluję, przesuwając kciukiem po zaparowanej szybce telefonu i uśmiechając się pod nosem. Oglądam kolejne zdjęcia i tracę poczucie czasu. Moja współlokatorka znowu zaczyna się dobijać do drzwi.

– Ciągle tam siedzisz? Jest już pizza – informuje słabym głosem. W ciągu paru lat stałam się najważniejszą osobą w jej życiu. Beze mnie nie może nigdzie pójść, niczego zrobić ani podjąć żadnej decyzji. Jednak ostatnio jest coraz bardziej zgaszona, chowa się do swojej skorupy. Częściej mówi szeptem niż zwykłym głosem, a w nocy słyszę przez ścianę, jak płacze. Nie chce jednak zwrócić się do nikogo o pomoc, bo kiedy ostatnim razem to zrobiła, rodzice zafundowali jej pobyt w szpitalu.

– Już wychodzę. – Jęczę w duchu, odkładam telefon i sięgam po ręcznik.

– Mówiłaś to dwadzieścia minut temu.

Jezu, co za maruda.

Uwielbiam wszystko, co ma związek z jej życiem. Uwielbiam jej nadopiekuńczych rodziców, głupkowatego młodszego brata, jej kochającą babcię. Uwielbiam jej białe bmw i kolekcję nieużywanych markowych torebek, które wypełniają szafę.

Uwielbiam jej szuflady pełne drogich kosmetyków oraz zapach luksusowego szamponu, który czuję od niej każdego ranka, gdy wychodzi spod prysznicza.

Ale nie uwielbiam jej.

Ma wszystko, o czym można marzyć, a ona skupia się wyłącznie na swojej przeszłości, na rzeczach, których nie może zmienić. Trzy lata temu zdarzyła się pewna niefortunna sytuacja, o której nie chce przestać myśleć. Ta dziewczyna ma jakąś obsesję. Gdyby tylko przeżyła choć jeden dzień z mojego życia, wtedy naprawdę miałyby czym się zadrećzać.

Czasami jestem przekonana, że urodziłam się w złym ciele, w złej rodzinie.

Powinnam się urodzić moją współlokatorką.

– Już się wycieram! – krzyczę do niej, owijając się miękkim ręcznikiem. – Wyjdę za dziesięć minut.

Kończę przeglądać zdjęcia, wcierając w wilgotną skórę jej absurdalnie drogie, bezzapachowe mleczko do ciała i prawie podskakuję z radości, gdy widzę, że Daphne wrzuciła nową fotkę Grace.

Boże, to jest jak narkotyk.

Mam wrażenie, jakby ktoś odsłonił przede mną magiczne okienko, przez które mogę obserwować życie mojej córki.

Jest już wieczór, więc Grace ma na sobie koszulkę nocną sięgającą aż do pulchnych kostek. Wygląda w niej jak mała księżniczka. Kosmyki długich włosów wpadają jej do oczu. Jedną rączką ciągnie za sobą białego pluszowego misia.

Pragnę pocałować ją w czołko, ułożyć w łóżeczku i powiedzieć, jak bardzo ją kocham.

Może kiedyś będę miała okazję to zrobić.

Na razie musi mi wystarczać coś takiego.

Rozdział pierwszy

Autumn

7 lat później

Wciśnij przycisk, dotknij ekranu, odśwież stronę.

W ciągu tych wszystkich lat algorytmy Instaface zdążyły się nauczyć, że interesuje mnie przede wszystkim profil Daphne McMullen. Jej posty zawsze się wyświetlają na samej górze. Ale dzisiaj nie ma ani jednego.

Coś jest nie tak.

Zjeżdżam w dół, mijając posty użytkowników @TheLittleGreenCottage i @FitnessJunkie887, a potem @JustJustine i @CaliMakeupGirl.

Przewijam dalej...

Dalej...

Dalej...

Nigdzie nie widzę Daphne.

To dziwne.

Mam ściśnięte gardło, serce bije nerwowo. Dzieje się coś złego. Czuję to całą sobą. Każdą swoją komórką.

Stukam palcem w pasek wyszukiwarki i wpisuję @TheMcMullenFamily, a potem biorę głęboki wdech.

Brak wyników wyszukiwania.

To jakaś bzdura.

A może mnie zablokowała?

Daphne nawet mnie nie zna. Oczywiście, że nie dała mi bana.

Poza tym obserwuję ją jako „duch” – nie jestem oficjalnym followersem. Oficjalni followersi muszą przejść test potwierdzający tożsamość, zgodnie z surową polityką Instaface dotyczącą fałszywych kont.

Dla pewności wylogowuję się i ponownie używam wyszukiwarki.
Znowu brak wyników.

Może zmieniła nazwę profilu?

Wpisuję @McMullenFamily, @DaphneMcMullen i @GrahamandDaphneMcMullen. Próbuję pięćdziesięciu tysięcy innych wariacji, ale za każdym razem kończę w tej samej ślepej uliczce.

Brak wyników wyszukiwania.

Robi mi się duszno, gorąco. Moja twarz płonie. Nie mogę oddychać.

Biegnę do okna, szarpie za zasłony i ciągnę za klamkę. Rozpaczliwie potrzebuję powietrza. Wystawiam głowę na anemiczny poranny deszcz, który nie jest w stanie mnie uspokoić.

To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę.

Nie mogę w to uwierzyć.

To nie ma żadnego sensu.

Profil Daphne McMullen obserwują tysiące osób.

Ona tym żyje.

Firmy przysyłają jej darmowe rzeczy.

Zarabia na płatnych reklamach.

Czemu miałyby z tym skończyć?

Jeszcze dzisiaj rano wrzuciła zdjęcie, jak jej dzieci szykują się do szkoły... jak mogłaby po prostu zniknąć? Bez żadnego ostrzeżenia?

Piekące łzy napływają mi do oczu i wszystko zamienia się w płamę. Wzbiera we mnie szloch, który za chwilę wyrwie się z piersi, jeśli nie zrobię czegoś, żeby go powstrzymać.

Uginają się pod mną kolana. Chwytam się krawędzi szafki, żeby nie upaść, ponieważ nie mam siły dalej stać. Gdyby mój chłopak nie kręcił się gdzieś pod drzwiami łazienki, w tej chwili

klęczałabym przy kiblu i wymiotowała z szoku, którego doznałam, jeśli dzięki temu mogłabym lepiej się poczuć, trochę się uspokoić.

Okienko, przez które obserwowałam życie Grace, nagle się zamknęło.

Wszystko, czym żyję... zniknęło.

– Autumn, dobrze się czujesz? – pyta Ben zza drzwi. – Słyszałem jakiś hałas. Coś się stało?

Tak. Stało się.

Nie odpowiadam. Nie jestem w stanie. Drzwi otwierają się w momencie, gdy udaje mi się wyprostować. Mocniej zaciskam poły szlafroka, żeby nie mógł dostrzec, co mam pod spodem.

– Wszystko w porządku – mówię. – Zakreśliło mi się w głowie. Pewnie złapałam jakiegoś wirusa.

Ben mruży niebieskie oczy, ale po chwili wyraz jego twarzy łagodnieje. Uwierzył w moje kłamstwo. Tak jak we wszystkie inne.

Zerkam w swoje odbicie w lustrze, przeczesuję palcami jasne włosy i układam je w koczek, dokładnie taki, jaki widziałam u pewnej ślicznej dziewczyny wczoraj rano na stacji benzynowej – porządnie skręcony i związany gumką, ale trochę niedbały. Mam na sobie wygrzebaną z dna szafy gładką białą bluzkę, a do stanika push-up wsunęłam dwie wkładki w kształcie kotleta, bo jestem na sto procent pewna, że tamta ślicznotka zrobiła sobie cycki.

To wszystko jest ukryte pod puszystym szarym szlafrokiem. Gdy tylko Ben wyjdzie z domu, pomaluję usta odważną szminką w kolorze „elektryczna czerwień”. Ten odcień ma delikatną niebieskawą nutkę, a to – jak dowiedziałam się z czasopism o modzie i urodzie – sprawia, że zęby wydają się idealnie bielutkie. A jeśli nauczyłam się czegoś w ciągu dwudziestu pięciu lat spędzonych na tej cholernej planecie, to właśnie tego, że bogaci ludzie zawsze mają śnieżnobiałe uzębienie.

W łazience unosi się obłok pary, która otula mnie swoim ciepłem. Wyczuwam w powietrzu ślady wody kolońskiej Bena, ale to wcale nie jest „jego zapach”, którego używa od zawsze. Podpatrzyłam ją u innego faceta, Dylana Abernathy’ego.

Obserwuję jego żonę, Delię, na Instafacie. Delektuję się każdą ich udokumentowaną, malowniczą chwilą w taki sposób, jakby była częścią mojego życia. Tak naprawdę te momenty są częścią mojego życia. Wystarczy, że zamykam oczy i przenoszę się w wyobraźni do ich pięknego domku stojącego na wybrzeżu Maine nieopodal Portland. Biorę wdech, napełniam płuca słonym powietrzem, rozkoszuję się zapachem oceanu...

Zauważyłam tę wodę kolońską w tle jednego ze zdjęć Delii i od razu wiedziałam, że muszę zamówić jeden flakonik dla Bena. Okazało się, że ta woda pachnie mokrym mchem i spirytusem, ale on twierdzi, że i tak mu się podoba.

Czasami widzę w myślach, jak Delia zaciąga się tym zapachem, wtulając twarz w zagłębienie ramienia Dylana. Zdarzają się chwile, gdy całuję się z Benem i wyobrażam sobie, że jesteśmy nimi, otuleni tą samą wonią. Gładzę jego ramiona tak, jak pewnie robi to Delia, przywieram ustami do jego warg, i w ciągu tych paru ulotnych sekund prostej, błogiej rozkoszy jestem Delią Abernathy.

Zamieniam się w nią każdą swoją częścią.

– Na pewno nic ci nie jest? – Ben obejmuje mnie w pasie i przywiera do moich pleców. Muska ciepłymi wargami moją szyję i prawie czuję, jak się lekko uśmiecha. – Mam polecieć do apteki po lekarstwa?

– Nie, nie trzeba. Przeżyję. – Spoglądam na komórkę, która w tej chwili wydaje mi się już tylko jakimś bezużytecznym przedmiotem. Chcę, żeby Ben już wyszedł, bo muszę przemyśleć to, co się stało.

– Dzisiaj sobie odpocznij, dobrze? – Unosi ciemne brwi, wpatrując się w moje oczy i czekając, aż przytaknę.

Ostatnio ciągle odpoczywam. Mam mnóstwo czasu dla siebie, odkąd dwa miesiące temu straciłam pracę w klinice dziecięcej.

– Właśnie tak zrobię – odpowiadam.

– To dobrze. – Znowu całuje mnie w szyję. – Bo dziś wcześniej wracam.

Usiłuję sobie przypomnieć, jakie mamy plany na ten wieczór.

– Urodziny mojej siostry... – podpowiada, unosząc brwi. –

Zabieramy Marnie na kolację. Podobno wczoraj zapakowałaś dla niej prezent.

– Ach, tak – kłamię z wymuszonym uśmiechem. Wcale nie zapakowałam prezentu dla jego siostry. Nawet go jeszcze nie kupiłam. W głowie dopisuję to zadanie do listy rzeczy, które muszę dzisiaj załatwić, staję na palcach, cmokam go w usta i odsyłam do pracy słowami: – Miłego dnia, Benny.

On uwielbia i zarazem nie cierpi, kiedy tak się do niego zwracam. Za każdym razem jednak udaje mi się wywołać uśmiech na jego twarzy, a chcę, by wierzył, że nic złego się nie dzieje. Na tym etapie potrzebuję Bena bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – z powodów, których nigdy nie zdołałby pojąć.

Czasami czuję się okropnie, spoglądając w jego niebieskie, łątowierne oczy i na pełen uwielbienia uśmiech, mając świadomość, że wybrałam go na takiej samej zasadzie, na jakiej kobiety wybierają idealną parę butów z katalogu wysyłkowego.

Znalazłam go. Wybadałam. Wybrałam.

Sprawił, że to było dziecinnie łatwe. Wystarczyło zajrzeć na jego profile w mediach społecznościowych.

Zanim oficjalnie poznałam Bena Gotlieba, wiedziałam o nim już wszystko: gdzie dorastał (Rochester w stanie Nowy Jork), gdzie studiował (Uniwersytet Vermont), jaka jest jego ulubiona kapela (Coldplay) i ulubione jedzenie (kuchnia meksykańska) oraz jaką ma pracę (jest księgowym). Wiedziałam, że z nikim się nie spotyka, że jest najstarszy z rodzeństwa, co oznaczało, że jest odpowiedzialną osobą, na której można polegać. Wiedziałam, że ma dobre serce, bo wrzucał na swój profil dużo inspirujących, motywacyjnych tekstów. Wiedziałam, że chętnie biega maratony, zdobywa medale i kolekcjonuje pamiątkowe naklejki, które potem przykleja do tylnej szyby swojego ciemnozielonego subaru. Wystarczyła mi godzina spędzona przed komputerem, żeby zyskać pewność, że Ben Gotlieb jest poczciwym facetem.

Chodziłam za nim do pubów i restauracji.

Obserwowałam go z daleka.

Sprawdzałam, z kim się zadaje i jakie kobiety przyciągają jego uwagę.

Ben zdecydowanie miał swój typ.

Nigdy nawet nie patrzył w stronę blondynek. Podobnie jak brunetek i rudych. Za każdym razem interesował się natomiast kobietami z włosami o piaskowym odcieniu à la Jennifer Aniston. W jego guście była chyba „dziewczyna z sąsiedztwa”. Nisko zwisające na biodrach dzinsy-boyfriendy i koszulki z dekoltem w serek. Minimalny makijaż. Uroczy koński ogon. Okulary-kujonki.

Musiałam przeistoczyć się w taką dziewczynę.

Z telefonem załadowanym fotkami blogerki urodowej prowadzącej na Instafacie profil @EmmaLeeFacesTheDay wkroczyłam do salonu fryzjerskiego na rogu ulic Vine i Copeland i poprosiłam o przefarbowanie moich brązowoszarych włosów na ciemny popielaty blond nr 532. W drodze do domu wstąpiłam do salonu optycznego i sprawiłam sobie ładne okulary zerówki w grubej szylkretowej oprawce. Na koniec zrobiłam zakupy w centrum handlowym Valley Park, gdzie chodziłam od sklepu do sklepu, popijając przepłacone mrożone latte, które bardzo chciałam polubić. Wyszłam stamtąd obładowana torbami z ciuchami i z wykorzystanym limitem na karcie kredytowej.

Przygotowywałam się do tego spotkania przez wiele dni, godzinami ćwicząc przed lustrem, a gdy nadszedł weekend, byłam już gotowa oficjalnie nawiązać znajomość z Benem.

Udawanie kogoś innego bardzo ułatwiło mi to zadanie. Sposób, w jaki chodziłam... w jaki się śmiałam, dotykając dłonią obojczyków... w jaki spoglądałam na niego o sekundę zbyt długo, uśmiechając się kusicielsko... to nie byłam ja.

A jednak to *byłam* ja.

– Do zobaczenia wieczorem! – woła Ben przed wyjściem z pokoju. Przyglądam się, jak podnosi z komody swój skórzany portfel i wsuwa go do tylnej kieszeni spodni, jak wkłada granatową marynarkę na szerokie ramiona, a potem zatrzymuje się w progu

i wpatruje we mnie takim samym wzrokiem, jakim robi to od pierwszej chwili naszej znajomości. Prawie słyszę, jak zadaje sobie w myślach pytanie: „Jakim cudem miałem takie szczęście?”. Wzdycha i dodaje: – Kocham cię, Autumn.

– Ja ciebie też – odpowiadam. Mówię prawdę. Mniej więcej.

Myślę, że kocham Bena... ale gdy jesteś z kimś już dwa lata, powinnaś wiedzieć, a nie tylko „myśleć”. Problem w tym, że on tak szybko wyskoczył ze swoim uczuciem. Spotykaliśmy się dopiero od ośmiu tygodni, gdy wyznał mi miłość w trakcie jedzenia chińszczyzny na wynos (on wybrał danie) i oglądania filmu na DVD (on wybrał tytuł). A potem zaczął opowiadać o tym, że nigdy nie spotkał kogoś podobnego do mnie, że nie może uwierzyć, jak idealnie do siebie pasujemy i że jestem dziewczyną z jego snów, która nagle pojawiła się w jego życiu.

Dwa miesiące później poprosił, żebym się do niego wprowadziła. Oczywiście się zgodziłam.

Bo właśnie z tego powodu go wybrałam.

Mieszkał w uroczym, niebieskim parterowym domku stojącym za domem McMullenów.

A ja chciałam patrzeć, jak dorasta moja córka.

Rozdział drugi

Daphne

Przemoczona bluzka przykleja mi się skóry. Czuję na plecach zimny dreszcz. Graham przez okrągły rok ustawia temperaturę we wszystkich pomieszczeniach na dwadzieścia stopni Celsjusza. Bo tak lubi. Nieważne, że zwykle nie ma go w domu. Kiedy nie pracuje przez pięćdziesiąt godzin tygodniowo, przechadza się po polu golfowym i udaje, że występuje przed cichą publiką, która bije mu brawo po każdym uderzeniu w piłeczkę.

Sebastian pluska się w wannie. Chichocze, gdy woda chlapie mi w twarz. Ocieram ramieniem brodę, a potem wycieram strużkę rozmazanego tuszu pod okiem. Kąpanie mojego czteroletniego syna jest gorsze niż kąpanie naszego ogromnego psa, którego Graham postanowił kupić dzieciakom rok temu na gwiazdkę.

– No dalej, kolego. Wychodzimy z wanny. – Obracam się, żeby sięgnąć po ręcznik, ignorując jękliwe protesty mojego synka.

– Tatuś pozwala mi dłużej siedzieć. – Sebastian krzyżuje ramiona i podciąga kolana pod brodę.

– To nieprawda – odpowiadam. Mogłabym policzyć na palcach jednej ręki, ile razy Grahamowi zdarzyło się kąpać dzieciaki. Usiłuję złapać Sebastiana pod pachami, ale on przyciska ramiona do boków. – Jeśli wyjdiesz teraz z wanny, później przeczytam ci dodatkową bajkę na dobranoc.

Jestem tego typu rodzicem. Takim, który używa przekupstwa. W którymś momencie straciłam kontrolę nad tym wszystkim i nie mam zielonego pojęcia, jak ją odzyskać.

– Nienawidzę, jak czytasz mi bajki – oświadcza Sebastian z nadąsaną miną i zaciśniętymi ustami, ale wreszcie wstaje z wody. Jest prawie identyczną, miniaturową wersją swojego ojca: mlecznokarmelowa karnacja, czekoladowe włosy i błękitne oczy. Gdy Sebastian ma dobry dzień, potrafi być rozkosznym, słodziutkim chłopcem, który swoim uśmiechem zdołałby roztopić nawet najmocniej skute lodem serce. Gdy ma zły dzień, jest rozwydrzonym potworkiem. – Lubię tylko, jak tatuś mi czyta.

Nie pozwalam się obrazić czteroletniemu maluchowi, więc ignoruję komentarz, zarzucam mu ręcznik na ramiona i wyciągam go z wanny. Słyszę, jak w pokoju Grace dziewczynki głośno się śmieją. Ciekawe, czy już przebrały się w szkolne mundurki, tak jak im kazałam dziesięć minut temu.

Biorę Sebastiana na ręce i zanoszę go do pokoju na końcu korytarza, a potem stawiam przy łóżku, gdzie wcześniej ułożyłam jego odzież. Im szybciej zdołam go ubrać, tym wcześniej uda mi się zaznać choćby odrobiny spokoju, zanim wspólnie wybierzemy się na zakupy do supermarketu.

– Nie chcę dinozaurów. Chcę ciężarówki – zaczyna protestować, wymachując nogami, kiedy staram się nałożyć mu dzinsy, a potem rzuca koszulką przez cały pokój.

– Ale w dinozaurach jest ci tak ładnie – mówię, dobrze wiedząc, że tylko szaleńcy próbują rozsądnie dyskutować z nadąsanymi przedszkolakami. Wsuwam jego nóżkę w jedną nogawkę i to samo chcę zrobić z drugą, ale on zaczyna się wiercić i wywraca spodnie na lewą stronę. Wzdycham rozdrażniona i robię kolejne podejście. – Twój tatuś wybrał to ubranko.

Kłamię.

Ale kłamstwem jest przecież każda część mojego życia.

Sebastian rozpromienia się, gdy wspominam o tatusiu. Miałam nadzieję, że Graham pomoże mi w zajmowaniu się dziećmi, zanim pójdą do szkoły, ale jeszcze przed świtem pocałował mnie na pożegnanie i szepnął do ucha, że zobaczymy się wieczorem, gdy wróci z pracy.

– Dobrze. – Sebastian zeskakuje z łóżka, podnosi koszulkę i oddaje mi ją. – Przepraszam, mamo.

To właśnie dzięki takim krótkim, małym chwilom znowu zakochuję się w byciu matką. Gdy daje mi słodkie uściski, sam z siebie mówi czasami „kocham cię”, uśmiecha się do mnie promiennie, zrywa dla mnie mlecze – to wszystko każe mi myśleć, że może jednak synek mnie kocha. Przypominam sobie, że wszystko wcale nie układa się tak źle, jak myślę – i od tej pory może być tylko lepiej. Wyciągam z kieszeni telefon, pstrykam fotkę mojemu słodkiemu synkowi i wrzucam ją na Instafacie, dodając hasztag #jegoszczęśliwamama.

– Dobra, chodź zobaczyć, co robią twoje siostry. – Biorę go za rączkę i podążając za odgłosem śmiechu dziewczynek, prowadzę go do pokoju Grace. Drzwi są przymknięte, ale lampka rzuca ciepły blask, który wylewa się na korytarz.

Uśmiecham się, słysząc chichot Rose. A potem rozbrzmiewa jakiś dziwny, metaliczny odgłos. Wpadam jak burza do pokoju, tłukąc drzwiami o ścianę.

– Nie, nie, nie, nie... – Moje serce nagle zamiera, gdy podnoszę z podłogi jasne, jedwabiste kosmyki włosów. Grace stoi w bezruchu z nożyczkami w ręku. Złośliwy uśmieszek powoli znika z dziecięcej twarzy.

Wyszarpuję jej nożyce tak gwałtownie, że Grace upada na łóżko. Moja siedmioletnia Rose zaczyna płakać.

– Rose... – Podchodzę do niej, ujmuję jej słodką buzię w obie dłonie i oczy wypełniają mi się łzami na widok upiornej fryzury, którą Grace oszpeciła swoją piękną młodszą siostrę. Rose odgarnia paluszkami postrzępione kosmyki z czołka. Jej dolna warga dygocze.

– Mamo, Grace chciała, żebym była śliczna – wyjaśnia, patrząc na mnie oczkami lśniącymi od łez.

– Już jesteś śliczna, Rosie. Nie trzeba cię upiększać. – Całuję ją w czubek główki, zaciągając się głęboko waniliowo-pomarańczowym zapachem jej szamponu. Miękkie loczki leżą na

ziemi wokół naszych stóp. Włosy, które zapuszczała, odkąd była malutka, pomijając kilka wizyt u fryzjera. Sięgały jej do połowy pleców... aż do teraz.

– Mamusiu, przepraszam. – Głos Grace odciąga moją uwagę od Rose. Odwracam się do niej. Siedzi na brzegu łóżka, ale na jej twarzy nie maluje się nawet cień skruchy. Widać, że nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Jej piaskowe włosy zwisają wokół okrągłej twarzy. Są zawsze rozczochrane i poplątane, niezależnie od tego, jak często je szczotkuję i układam. – Nie chciałam.

– Nie rozumiem, Grace. Jesteś już na tyle duża, żeby wiedzieć, że takich rzeczy się nie robi. – Patrzę na obcięte włosy Rose rozsypane na podłodze. Gwałtownie wzbiera we mnie gniew. Zaciskam pięści tak mocno, że bolą mnie dłonie. Grace zawsze coś przeszkobie. W tym tygodniu to włosy Rose. W poprzednim wypuściła psa przez drzwi frontowe, a ja godzinę ganiałam za nim po okolicy, jak jakaś wariatka. Dwa tygodnie temu zrzuciła osiem flakonów z moimi perfumami ze szczytu schodów na drewnianą podłogę w korytarzu. Chciała sprawdzić, czy się stłuką. Sześć się rozbiło. Mój dom ciągle pachnie jak francuski burdel.

Zaciskam palce na nożyczkach z taką siłą, że zostawiają ślady na mojej skórze. Po chwili zdaję sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie widziałam tych nożyczek.

– Skąd je wzięłaś? – pytam, trzęsąc się, jak ktoś, kto już kompletnie stracił panowanie nad swoim życiem.

Odkąd zaczęliśmy podejrzewać, że Grace wymaga wyjątkowej opieki, w każdy możliwy sposób zabezpieczyliśmy przed nią cały dom. Graham w dalszym ciągu uważa, że ona jest idealna, ale nie widzi tego, co ja, ponieważ tak się składa, że nigdy nie ma go wtedy w pobliżu.

Z nią jest coś nie tak.

– Odpowiadaj, Grace – mówię ostrzejszym tonem, wpatrując się w nią srogim wzrokiem. – Skąd je wzięłaś?

Grace wzdycha i przewraca oczami.

– Wczoraj zabrałam je pani Applegate. Stały w kubku na jej

biurku.

– Ukradłaś je nauczycielce? W szkole? – Stoję z rozdziawionymi ustami. Dopiero po chwili dochodzę do siebie. – My nie kradniemy, Grace McMullen. Rozumiesz?

– Tak. – Głos dziesięcioletki jest przepełniony frustracją. Siedzi i patrzy w pstrokaty plakat Hello Kitty zawieszony na ścianie.

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Spogląda na mnie brązowymi oczami, zaciskając zęby.

– Przepróż swoją siostrę. Jeszcze dzisiaj oddasz nożyce pani Applegate razem z pisemnymi przeprosinami. Za chwilę do ciebie wrócę – mówię. – Ubierz się do szkoły. Umyj zęby. Autobus odjeżdża za dwadzieścia minut, a twoje śniadanie jest już zimne. Pośpiesz się. Zrozumiano?

– Tak. – Człapie wściekła do swojej komody, szarpie za szufladę, aż prawie ją wyrywa, a ja kątem oka dostrzegam koktajlową sukienkę za osiemset dolarów, którą – jak sądziłam – zgubiłam rok temu. Doszło nawet do tego, że zrobiłam awanturę w pralni chemicznej i przeniosłam się w inne miejsce, a potem opowiedziałam całą historię koleżankom przy kawie.

– Skąd masz moją sukienkę? – Maszeruję do komody i otwieram pozostałe szuflady, żeby sprawdzić, jakie inne skarby tam się kryją. Tak jak podejrzewałam, znajduję zabytkowy, wysadzany diamentami zegarek mojej babci, wciśnięty do piórnika z serii Truskawkowe Ciasteczka. Kiedyś zwolniłam gosposię z powodu tego zegarka. W innej szufladzie znajduję pudełko czekoladowych babeczek i zjedzoną do połowy wielką pakę chipsów ziemniaczanych. Okruszki poprzyklejały się do zimowych swetrów Grace. Kręcę głową i pod nosem wypowiadam jej imię.

Każdego dnia żałuję, że adoptowaliśmy Grace. Skłamałabym, mówiąc, że jest inaczej. Nasze relacje nie są łatwe, a często wydaje mi się, że w ogóle nie istnieje między nami żadna więź. Wszystko w niej jest wyzwaniem. Najczęściej nawet nie mam siły, żeby je podejmować. Adoptowanie dziecka było jak przyklepienie plastra na krwawiącą ranę. Prowizorycznym rozwiązaniem małżeńskiego

problemu. I kolejną zachcianką Grahama, z którą nie dało się nawet dyskutować. A ja byłam tylko młodą żoną, starającą się zadowolić jedyne go mężczyznę, jakiego kiedykolwiek kochałam. Desperacko chciałam zatrzymać go przy sobie. Za wszelką cenę.

Jeśli nauczyłam się czegoś w ciągu trzydziestu sześciu lat życia, to tego, że zdesperowani ludzie nie podejmują dobrych decyzji.

Rozdział trzeci

Autumn

Wydaje mi się, że mam dwa wyjścia: mogę się całkowicie załamać, leżeć całymi dniami na sofie jak warzywo i opłakiwać zniknięcie Daphne z Instaface, wzbudzając swoim zachowaniem niepokój Bena. Albo mogę żyć dalej tak, jakby nic się nie stało, i kombinować, co powinnam teraz zrobić.

W tej chwili potrzebuję Bena. Dzięki niemu mam dostęp do Grace, nawet jeśli dzieli mnie od niej ogromna działka i ogrodzenie.

Coś wymyślę. Dam sobie radę. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Jak na czwartkowy poranek w supermarkecie panuje straszny tłok. Widocznie mieszkańcy Monarch Falls nie mają dzisiaj nic innego do roboty. Czyżby zamknięto centrum jogi z powodu remontu? W kawiarniach zabrakło mleka sojowego? A może w piekarniach skończyły się babeczki bezglutenowe?

– Cześć. – Słyszę głos jakiegoś mężczyzny stojącego po drugiej stronie alejki z płatkami śniadaniowymi. Podnoszę wzrok i widzę głupkowaty uśmiech oraz wlepione we mnie oczy.

Zapomniałam, że dzisiaj udaję tamtą śliczną dziewczynę, którą widziałam na stacji benzynowej. Czerwone usta. Duże piersi. Obcisłe dzinsy. Seksowna fryzura.

To przyjemne uczucie zmienić się w kogoś takiego, wyjść ze swojej skóry, która tak strasznie mnie uwiera. Prawie udało mi się zapomnieć o Instaface. Prawie...

Uśmiecham się do tego obcego faceta, tak jak zrobiłaby to pewnie

tamta ślicznotka: mrużąc lekko oczy i unosząc kącik ust. Macham do niego lewą ręką, poruszając jedynie palcami, a potem wymijam go, pchając przed siebie wózek. Kątem oka dostrzegam, że odwraca się za mną. Dopiero gdy skręcam za rogiem, przestaję czuć na sobie jego spojrzenie.

– Uwaga! – Jakaś starsza kobieta z nastroszoną siwą czupryną, ubrana w lawendową bluzkę i lawendowy sweterek, prawie wjeżdża we mnie wózkiem. Jest tak bezczelna, że gromi mnie wzrokiem, jakby to była moja wina.

– Przepraszam – burczę pod nosem. Parę chwil wcześniej zauważyłam, jak sunie z wózkiem, szurając nogami i gapiąc się na rzędy płatków śniadaniowych.

Kobieta prycha pod nosem i człapie dalej, łypiąc na mnie z wrogością, jakby mój dzisiejszy wygląd osobiście ją obrażał.

Typowa stara bogata jędza z Monarch Falls.

Ciekawe, jak ślicznotka ze stacji benzynowej radzi sobie z takimi ludźmi? Podejrzewam, że w ogóle nie zauważa ich istnienia. A może chodzi ciągle naćpana? Z łatwością potrafię sobie wyobrazić, że jest uzależniona od kokainy, na którą codziennie wydaje dwa tysiące dolców.

Przede mną jakieś dwie matki – jedna z wrzeszczącym niemowlakiem, druga z wiercącym się małym chłopcem – blokują wylot alejki z płatkami śniadaniowymi. Dyskutują o czymś z wielkim podnieceniem. Może o przedszkolach? Komitetach rodzicielskich? Lekcjach pływania? Mam kompletnie gdzieś temat ich rozmowy, tak samo jak ich wypłowiałe spodnie do jogi i podkrążone oczy. Nie powinny tutaj stać i gadać. Gdy na nie patrzę, nie widzę matek, dla których zajmowanie się dziećmi jest psychicznym odpoczynkiem. Widzę umęczone kobiety.

Nie chciałabym być żadną z nich.

– Przepraszam – mówię z uprzejmym uśmiechem, patrząc prosto przed siebie, wskazując wózkiem kierunek, w którym chcę iść.

Obie kobiety przestają trajkotać i obrzucają mnie takim spojrzeniem, jakby zaczęły się nagle zastanawiać, jak wyglądałoby

ich życie, gdyby nie poślubiły swoich licealnych narzeczonych tuż po ukończeniu college'u i nie urodziły gromadki dzieci jeszcze przed trzydziestką.

Nie mówię, że jest w tym coś złego.

To po prostu nie moja bajeczka.

Bajeczka...

Nauczyłam się tego tekstu od pewnej kobiety, którą w ubiegłym roku przez jakiś czas obserwowałam na Instafacie. Mnóstwo podróżowała i spotykała się z włoskim modelem, który chodził po światowych wybiegach. Za każdym razem, kiedy czegoś nie lubiła albo coś jej się nie podobało, uprzejmie tłumaczyła, że to nie jej bajeczka. A potem rzucił ją chłopak, coraz rzadziej pojawiała się w Internecie, a po jakimś czasie zupełnie zniknęła. Chwilę później odlajkowałam jej profil, a teraz nawet nie pamiętam, jak się nazywała.

Szczęśliwe, ale umęczone matki przestają się gapić i odsuwają wózki, żebym mogła się między nimi przecisnąć. Nie chce mi się nawet mruknąć pod nosem „dziękuję”. Osoby tak niemyślące o innych, że blokują alejkę w zatłoczonym sklepie tylko dlatego, że mają ochotę na pogaduszki, nie zasługują na uprzejme traktowanie, więc wymijam je tylko z wyniosłym, ironicznym uśmiechem.

Skręcám za rogiem i zatrzymuję się przy alejce z prezentami.

Marnie. Marnie. Marnie.

Gdybym chciała być lepszą osobą, skoczyłabym do galerii handlowej i poszukała czegoś porządnego. Może karty podarunkowej do salonów Bloomingdale's albo Victoria's Secret – czegoś, co sprawiłoby jej przyjemność i naprawdę się przydało. Ale dzisiaj nie czuję się kimś tak szlachetnym.

Wyobrażam sobie, jak wręczam Marnie taniego pluszowego misia i bukiet barwionych goździków owiniętych różowym sreberkiem. Widzę jej zawiedzioną minę...

Nie ucieszyłaby się z tych prezentów.

Znienawidziłaby mnie.

Ale Marnie i tak już mnie nienawidzi. Wiele razy dawała temu wyraz za moimi plecami. Ale nigdy nie powiedziała mi tego prosto w oczy. Bo jest taką właśnie tchórzliwą larwą bez kręgosłupa. Za każdym razem, kiedy jest sama z Benem, odczuwa potrzebę, żeby wyrazić swoją opinię na temat naszego związku. Mówi, że on jest dla mnie za dobry, a ja go tylko wykorzystuję. Ben zawsze próbuje zamknąć jej usta, za co dziękuję mu w duchu, ale to jej nie zniechęca i następnym razem robi dokładnie to samo.

Z uśmiezkiem pod nosem sięgam po neonowego, zielonego misia z matowym, szorstkim futerkiem. Zerkam na cenę.

Pięć dolców bez jednego centa.

A potem myślę o Benie.

Nie mogę mu tego zrobić. On jest dobrym facetem. Poprosił, żebym kupiła jego siostrze prezent urodzinowy i właśnie to muszę zrobić, nawet jeśli ta czynność budzi we mnie taką niechęć.

Odkładam brzydkiego pluszaka na półkę i ruszam w stronę alejki z kartkami. Biorę pierwszą z brzegu pastelowo żółtą kartkę urodzinową z najbardziej oklepanym tekstem, wrzucam ją do koszyka, a potem przechodzę do działu z kartami upominkowymi.

Wiem dużo rzeczy o Marnie Gotlieb.

Ubóstwia zakupy, ale najbardziej gustuje w tych drobiazgach z wizerunkami martwych prezydentów. Lubi dostawać zaproszenia na kolację od różnych starszych facetów, których poznaje na portalach randkowych. Kiedyś w college'u przespała się z wykładowcą chemii w zamian za zaliczenie w indeksie.

Jestem pewna, że pociągają ją podtatusiali faceci, chociaż nie mam pojęcia, skąd to się wzięło, skoro jej ojciec jest kolejnym wcieleniem Warda Cleavera^[1].

Biorę parę kart podarunkowych, w tym jedną do księgarni, ponieważ ta dziewczyna powinna spędzać mniej czasu z nosem w komórce, oraz jedną na zakupy w domu handlowym, żeby zatuszować pasywno-agresywne podteksty związane z tą pierwszą.

Wrzucam je do koszyka i przypominam sobie, jak mówiłam Benowi, że wczoraj wieczorem zapakowałam prezenty dla Marnie,

co oznacza, że muszę kupić jej jakiś prawdziwy podarunek. Ruszam więc w kierunku alejki z kosmetykami do ciała i łapię z dolnej półki mydła – organiczne, ręcznie robione – zestaw trzech za dwanaście dolarów, i dorzucam do tego buteleczkę balsamu do ciała o zapachu migdałów i miodu.

Nie mam pojęcia, jakie są ulubione zapachy Marnie. I zupełnie mi to zwisa.

Skręcam w kolejną alejkę i gwałtownie się zatrzymuję, widząc w oddali znajomą postać.

Długie nogi, buty z czerwoną podeszwą, lśniące złote włosy i wrzeszczący mały chłopiec. To kobieta, którą bardzo dobrze znam, ale której nigdy wcześniej nie spotkałam w realu.

Daphne McMullen pcha swój wypełniony wózek, powoli przesuwając wzrokiem po opakowaniach organicznego makaronu i sera oraz niezliczonych bochenkach chleba bezglutenowego. Wraz z każdym ruchem jej włosy falują w powietrzu. Obraca się do najmłodszego członka rodziny McMullenów, czteroletniego Sebastiana, i co parę sekund łaskocze go pod brodą albo robi mu noski eskimoski.

Jeśli Bóg istnieje, to chyba w ten sposób przeprasza mnie za to, co stało się rano. Jest mu przykro, że zniknęło konto Daphne na Instafacie. Dlatego celowo doprowadził do tego spotkania.

Serce wali mi jak oszałałe, w ustach mi zasycha. Zaciskając mocno palce na uchwycie wózka, gapię się na nią z rozdziawionymi ustami. Na żywo jest piękna, co potwierdza moje podejrzenia: Daphne McMullen w rzeczywistości jest dokładnie taka sama, jak w Internecie, na Instafacie.

Obserwowanie, jak zajmuje się swoim najmłodszym dzieckiem, sprawia, że robi mi się ciepło na sercu. Grace ma naprawdę ogromne szczęście, że Daphne jest jej matką.

Dobrze wybrałam.

Sebastian upuszcza coś na ziemię. Daphne kuca, żeby to podnieść, i rozgląda się na boki. Wpadam na chwilę w panikę i odwracam głowę w przeciwną stronę. Nie mogę tutaj stać i gapić

się na nią, chociaż z przyjemnością robiłabym to cały dzień.

Za mną jakiś starszy pan głośno chrząka, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że tarasuję mu przejście.

– Przepraszam – mówię i odsuwam wózek.

Wchodzę w następną alejkę i widzę z daleka, jak Daphne rusza w kierunku kas, więc robię to samo. Sprawdzając ustawiony przede mną tłum klientów, próbuję zgadnąć, którą kasę ona wybierze. W ciągu paru sekund ustawiam się za brzuchatym facetem w średnim wieku, który zajmuje miejsce za Daphne. Nie ogląda się na niego, więc mnie też nie zauważa.

Jakaś kobieta stojąca za mną ciągle zerka na kolejki do innych kas, jakby przejście gdzieś indziej mogłoby jej zaoszczędzić cenną chwilę. Patrzy na zegarek, wzdycha, a potem zagląda do mojego wózka. Wygląda na poirytowaną czekaniem w ogonku albo faktem, że stoję z wielkim wózkiem, a mam w nim jedynie trzy kartki urodzinowe i parę kostek mydła. Może jest oburzona, że niepotrzebnie zajmuję tyle miejsca? Może osobiście ją to obraża? To przecież wystarczający powód, żeby człowieka krew zalała... jeśli jest się cholerną jędzą.

Dwie alejki dalej zapala się zielone światełko. Kasjer woła:

– Zapraszam następną osobę!

Kobieta stojąca za mną wyrывa tam galopem, a w ślad za nią rusza stojący przede mną brzuchaty facet, który prawie się przewraca o stojak ze słodyczami.

Tacy są ludzie.

Właśnie dlatego świat jest totalną porażką.

I dlatego nienawidzę supermarketów. To jest pieprzone zoo, tylko zamiast zwierząt są ludzie.

Podnoszę wzrok, szykując się do zajęcia miejsca w kolejce, które zwolnił brzuchacz, ale moje serce nagle się zatrzymuje i oblewam się zimnym potem, gdy sobie przypominam, że przede mną stoi Daphne. Parę chwil zajmuje mi uświadomienie sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

To jest rzeczywistość.

A nie moja fantazja.

Pulsująca krew dudni mi w uszach, a ja ruszam do przodu. Zatrzymuję się dopiero wtedy, gdy znajduję się tuż za nią.

Wcześniej byłam kompletnie oszołomiona, obserwując ją z daleka, schowana za półkami, jakbym zobaczyła jakąś wielką gwiazdę, ale to nic w porównaniu z tym, co czuję w tej chwili.

Przyglądam się, jak Daphne gawędzi z kasjerem, dziesięcioletkiem z trądzikiem, rudawymi włosami i piegami rozsypanymi po pyzatej twarzy. Jego ruchy są nerwowe i nieskoordynowane, jakby czuł się okropnie skrepowany w jej obecności, mimo że ona jest najzupełniej spokojna. Skóra Daphne ma odcień biskwitowej porcelany, jest kremowa i nieskazitelna, a jej złote włosy, tak gęste i lśniące, opadają idealnie na ramiona, jak w reklamach.

Mały Sebastian siedzi z przodu w wózku, wymachując nóżkami i nucąc do siebie jakąś okropnie irytującą, ale jednocześnie uroczą rymowaną.

– Jeszcze chwilę, mój mały skarbie. – Daphne mówi głosem miękkim jak aksamit i słodkim jak miód, prawą dłonią dotykając jego pucułowatego policzka. Myślę o wszystkich hasztagach, które u niej widuję, zwłaszcza o często przez nią używanym #mójmałyskarbie, a moją pierś wypełnia ciepło. – Już prawie skończyliśmy zakupy.

Zaglądam do jej wózka, w którym znajdują się owoce granatu i karambole, niesłodzone mleko kokosowe, organiczne daktyle oraz rukola. Oto jedzenie, którym będzie karmiła swoją rodzinę.

Oraz moją córkę.

To zupełnie inna bajka niż tania przetworzona żywność – zapiekanki, mrożonki i frytki – na jakiej ja się wychowałam.

– Dwieście pięć dolarów i jedenaście centów – mówi kasjer łamiącym się głosem, a potem odchrząkuje. Wyłamuje sobie palce, przyciskając je do zielonego fartucha, i przemyka wzrokiem po kolejce, unikając kontaktu wzrokowego z resztą klientów, podczas gdy Daphne przesuwa przez czytnik błyszczącą srebrną kartę

kredytową.

Sebastian zaczyna wymachiwać nogami, jakby chciał kogoś kopnąć. Daphne się odwraca, nachyla i szepcze mu do ucha coś, dzięki czemu chłopiec się uspokaja. W jej wykonaniu bycie rodzicem wydaje się czymś dziecinnie prostym. Wszyscy dookoła patrzą na nią z podziwem.

– Czy ma pan dzieci? – pyta kasjera.

– Nie, psze pani – odpowiada chłopak, znowu głośno odchrząkując. Im dłużej Daphne skupia na nim swoją uwagę, tym intensywniejszy kolor przybiera jego twarz, a ja się zastanawiam, czy ona działa w ten sposób na każdego, kto ma z nią kontakt.

Pewnie tak.

– Tak myślałam – mówi, śmiejąc się uprzejmie. – Dla mojego synka to już prawie pora drzemki.

Rzucam okiem na zegarek. Jest dopiero dziesiąta rano. Żaden ze mnie ekspert od rodzicielstwa i pracowałam w klinice dziecięcej tylko parę lat, ale jestem pewna, że czterolatki nie ucinają sobie porannych drzemek.

– Ślicznie dziękuję. – Daphne bierze paragon od czerwonego jak burak kasjera, składa go na pół i pośpiesznie chowa do portfela, z którego przypadkowo wylatuje banknot – dwadzieścia dolarów – i spada na ziemię. Daphne tego nie zauważa. Odchodzi, stukając obcasami.

A ja stoję i gapię się na nią do chwili, gdy czekający za mną mężczyzna dotyka mojego ramienia.

– Odda jej to pani? – Wąsaty dobry samarytanin wskazuje palcem nieruchomy banknot leżący parę kroków przede mną.

Daphne jest już prawie przy wyjściu. Szybko podnoszę banknot, a potem biegnę za nią.

– Proszę pani! – wołam do niej, mimo że Daphne McMullen jest zbyt młoda i piękna, żeby zwracać się do niej w tak formalny sposób. – Przepraszam...

Jej obcasy (to oczywiste, że ta cudownie tajemnicza istota chodzi do sklepu spożywczego w butach na obcasach) nagle przestają

stukać o ziemię. Rozgląda się dookoła, aż wreszcie jej spojrzenie pada na mnie. Zbliżam się do niej z wyciągniętą ręką. Serce wali mi tak gwałtownie, że z trudem oddycham.

– Upuściła to pani – tłumaczę zdumiona, że taka zwyczajna sytuacja potrafi odebrać mi całą pewność siebie.

Jej usta pomalowane fiołkoworóżową pomadką układają się w uśmiech, który rozświetla całą twarz. Przesuwając dłonią po płaskim brzuchu, rusza w moją stronę powolnym krokiem i spotyka się ze mną w pół drogi. Jestem w szoku, że ktoś potrafi chodzić w butach na obcasach z taką łatwością, z jaką każdy inny chodzi w tenisówkach.

– Bardzo dziękuję – mówi, patrząc mi prosto w oczy, jakby wydawały się jej dziwnie znajome. Bo powinny. Grace, *nasza* Grace, ma po mnie brązowe oczy, a także szerokie czoło, okrągłą twarz i brązowe włosy.

Kiwam głową, wypuszczając powietrze, które przetrzymywałam w płucach. Nie mogę sformułować jakiegokolwiek odpowiedzi, co rzadko mi się zdarza.

Daphne uśmiecha się i daje mi chwilę wytchnienia, gdy odwraca się do zniecierpliwionego Sebastiana. Nasza rozmowa się kończy i matka mojej córki odchodzi, pchając wypełniony wózek, w którym siedzi braciszek Grace. Pakuje organiczną żywność do bagażnika SUV-a, którym moja córka jeździ na treningi piłki nożnej i lekcje baletu, a potem jedzie do domu, do którego Grace biegnie, gdy wysiada ze szkolnego autobusu codziennie o trzeciej piętnaście.

Jak w transie wracam do kolejki, wyciągam z portfela kartę kredytową Bena i płacę za prezenty dla Marnie. Kasjer w mojej obecności nie wygląda na zdenerwowanego. Nie chrząka ani nie wyłamuje palców. Nie ma rozbieganego wzroku. Wpatruje się we mnie tępym, pustym spojrzeniem, a potem krzyczy „Następny!”, zanim nawet zdążę spakować zakupy.

Po paru minutach siedzę już za kierownicą swojego auta i przekręcam w dół lusterko, żeby dobrze się sobie przyjrzeć. A raczej ślicznej dziewczynie, którą dzisiaj udaję. Moje czerwone

usta wyblakły, trochę szminki rozmazało się pod wargami, a idealnie niedbały kok w paru miejscach się rozpadł i kosmyki zwisają po bokach. Nigdy nie umiem zrobić sobie fryzury, która trzymałaby się dłużej niż godzinę czy dwie.

Nie mam zielonego pojęcia, jak tego typu kobiety radzą sobie ze wszystkimi tymi rzeczami, ale dalej będę próbowała to rozgryźć. Są przecież żywym dowodem na to, że to jest możliwe.

Zapalam silnik i włączam klimatyzację. W lusterku wstecznym widzę Autumn – tę wersję, za którą nie oglądają się faceci i przy której nie stresują się nastoletni chłopcy – co brutalnie mi przypomina, że ona ciągle tam była, ukryta za sztuczną fasadą. Udawanie ślicznotki było zabawne przez dwie godziny, ale gdy tylko dotrę do domu, od razu z tym skończę i zacznę udawać Daphne.

Daphne jest najlepsza.

Przez te wszystkie lata obserwowałam w Internecie więcej osób, niż potrafię sobie przypomnieć. Dla zabawy przymierzałam tuzin różnych osobowości, jakby były kostiumami, które potem odkładałam z powrotem do pudełka. Nawiedzały mnie dzikie obsesje i chorobliwe fascynacje, które znikaly równie gwałtownie, jak się pojawiały, ale McMullenowie to coś zupełnie innego.

Oni są dla mnie praktycznie rodziną.

Jedyną prawdziwą rodziną, jaką kiedykolwiek miałam.

Chociaż się wcale nie znamy.

* * *

– Nie jesteś jeszcze gotowa?

Ben wraca do domu o czwartej i wrzuca klucze do ceramicznej miseczki na stoliku. Po jego twarzy przemyka cień irytacji, ale znam go i wiem, że nie gniewa się na mnie. Prawdę mówiąc, nigdy nie jest na mnie zły. Nigdy, przenigdy.

Możliwe, że jest sfrustrowany tą sytuacją... ale nie moją osobą. Nie swoją wymarzoną dziewczyną.

Zza jego pleców wyłania się Marnie, głośno wzdychając i unikając

kontakty wzrokowe. Nieważne, ile razy już się spotykałyśmy, pierwszy kwadrans zawsze jest niezręczny.

– Kotku, na szóstą mamy rezerwację. – Ben podciąga mankiet marynarki, sprawdza godzinę, a potem klaszcze w dłonie. – Musimy już iść.

Na sekundę krzyżuję spojrzenia z jego siostrą, która po chwili rozsiada się na ulubionym skórzanym fotelu Bena i wyciąga telefon, jak narkoman rozpaczliwie spragniony kolejnej działki.

– Muszę tylko poprawić włosy – odpowiadam. – I wskoczyć w jakieś inne ciuchy. Zrobię to ekspresowo.

Znikam na górze i zaczynam się gorączkowo szykować. Paskudnie się czuję, naprawdę. Żal mi Bena. Powinnam być już gotowa, ale popełniłam straszny błąd – o drugiej zajrzałam na Instaface i zaczęło się skakanie po profilach, każde kliknięcie w jakieś zdjęcie prowadziło mnie do kolejnego i tak bez końca. Zanim się obejrzałam, wciągnęło mnie totalnie i straciłam poczucie czasu.

Gdy wreszcie schodzę na dół, Ben stoi przy drzwiach obok Marnie, która wysłała wiadomość. Pewnie żali się matce, oskarżając mnie, że celowo spowodowałam opóźnienie.

Pewnego razu, gdy byłam u nich na rodzinnym obiedzie, w łazience znalazłam telefon pani Gotlieb. Zapomniała go zablokować. Przeczytałam wszystkie wiadomości, jakimi się wymieniała ze swoją córką. Marnie pisała o mnie w nienawistnych słowach, a jej matka tylko się zgadzała i próbowała ją pocieszyć. Ani razu nie stanęła w mojej obronie. Ani razu nie sprzeciwiła się tej oczerniającej mnie propagandzie.

– Przepraszam – mówię do Bena.

Wychodzimy z domu i idziemy do jego subaru. O tej porze na Manhattan jedzie się półtorej godziny. Udało się zrobić rezerwację w ulubionej restauracji Marnie tylko na szóstą – w dodatku było to ponad pół roku temu. Ale przecież Marnie nie mogłaby świętować swoich urodzin w jakiejś miejscowej knajpce. Monarch Falls, pomimo całej swej snobistycznej aury, najwyraźniej nie ma do

zapropnowania żadnego lokalu, który zadowolilby wyrafinowane podniebienie siostry Bena.

– Siadam z przodu! – krzyczy Marnie, jakbyśmy dziś wieczorem znowu chodzili do liceum.

Wzdycham pod nosem, ale zmuszam się do uśmiechu.

– Oczywiście. To przecież twoje urodziny.

I tak oddałabym jej swoje miejsce, ale teraz mam wrażenie, że to jakiś wkurzający obowiązek.

Chciałam zostać w domu. Zasugerowałam Benowi, że ten wieczór powinni spędzić we dwójkę. Próbowałam go namówić do zacieśniania więzów bratersko-siostrzanych, chociaż wiedziałam, że trzydzieści sześć procent ich wspólnej kolacji polegałoby na tym, że Marnie w pasywno-agresywny sposób by mnie krytykowała, a on ciągle zmieniałby temat. Niestety Ben nie dał się przekonać. Wziął mnie za rękę, pocałował w czoło i powiedział żartobliwym tonem, że się z tego nie wykręcę.

On nie widzi tego, co ja.

Nie słyszy jej złośliwych komentarzy, nie zauważa wrogich spojrzeń. Nie wyczuwa lodowatego języka ciała. Nie rozumie, że ja i Marnie lubimy przebywać ze sobą mniej więcej tak, jak ktoś nienawidzący ostrych przedmiotów lubi seanse akupunktury.

Nie chodzi o to, że w towarzystwie Marnie czuję się niekomfortowo. Po prostu wolę jej unikać. Kiedy wiem, że znowu się z nią zobaczę, czuję się, jakby zbliżała się moja wizyta u ginekologa, na którą nie czekam z utęsknieniem. Jest mi po prostu nieprzyjemnie. To jedna z tych rzeczy, które chcę mieć jak najszybciej za sobą. Poza tym Marnie przypomina mi te wredne dziewczyny z liceum, które trzęsły szkołą i uprzykrzały mi każdy dzień mojej żalosnej, nastoletniej egzystencji. Tak, ona jest jedną z nich. Jednym z tych „plastików”. Musi gdzieś istnieć tajemny centralny mózg, do którego podłączone są wszystkie takie dziewczyny, ponieważ one są jak identyczne, snobistyczne klony.

Uprzywilejowane. Zakompleksione. Złośliwe.

Czasami Ben jest taki ślepy i głuchy. To chyba jego najlepsza –

i zarazem najgorsza – cecha. Ale wiedziałam o tym, wchodząc w ten związek. Między innymi z tego powodu Ben był dla mnie taki idealny. Niezbędny do realizacji mojego planu.

Wślizguję się na tylne siedzenie, zapinam pas i patrzę przez okno. Siedzę tuż za Marnie, zadowolona, że zagłówek zasłania jej irytująco jajowatą głowę.

Próbuję zapanować nad rozdrażnieniem, gdy zaczyna majstrować przy radiu Bena. To właśnie robi Marnie, kiedy się zjawia. Wszystko zmienia. Wszystkiego dotyka. Jakby wszystko do niej należało. Jest jak cholerny kot wcierający swój zapach w każdy przedmiot. Wszędzie czuje się jak u siebie w domu. Wystarczy, że Ben jest w pobliżu, i Marnie zachowuje się jak wielka gwiazda.

A Ben się z tego śmieje.

Jakby to było urocze.

Zupełnie go nie obchodzi, że jego siostra postanowiła zrobić porządki w naszej szufladzie ze sztucami wkrótce po tym, jak się do niego wprowadziłam. Przemeblowała również nasz salon, naciskając na Bena, żeby usunął część moich rzeczy, ponieważ do niczego nie pasowały. Ciągłe używała zwrotu „kolidują ze sobą” i był on bardzo adekwatny do całej reszty. Bo ja i ona kolidujemy ze sobą od pierwszej chwili tej znajomości.

– Pamiętasz tę piosenkę? – piszczy Marnie, kładąc rękę na ramieniu Bena i podskakując na fotelu. – Tamtego lata, zanim wyjechałeś do college’u, bez przerwy słuchaliśmy tej płyty w samochodzie.

Wzdycha, opiera się o zagłówek i uśmiecha się do brata tak jak zwykle – wpatrując się w niego jak w obrazek. Chyba łatwo zrozumieć, dlaczego jest nim taka zauroczona. Z tego, co wiem, Ben jest jedynym mężczyzną, który traktuje ją poważnie. Jedynym, który wytrzymuje jej irytujące nawyki i desperackie próby zwrócenia na siebie uwagi. Gdyby nie byli rodzeństwem i gdyby on miał dziesięć albo dwadzieścia lat więcej, byłby idealnie w jej typie.

Na myśl o tym głośno parskam śmiechem.

Z jednej strony to ohydne, ale z drugiej zabawne.

Może to jest normalne zachowanie u brata i siostry? Nie wiem. Mam starszego brata, ale on jest skończonym dupkiem. Zawsze taki był. I pewnie już taki pozostanie.

– Co cię tak rozbawiło? – Ben ścisza muzykę i spogląda w lusterko wsteczne.

Macham ręką, u drugiej przygryzając paznokcie u kciuka, bo uważa, że to urocze.

– Och, nic takiego. Przypomniałam sobie coś, co widziałam dzisiaj w Internecie.

Marnie wydaje się spięta i obrażona, jakbym wypuściła całe powietrze z jej urodzinowego balonika.

– Możesz znowu zrobić głośniej, skarbie? – pytam Bena. Naprawdę nie chcę, żeby Marnie miała jeszcze więcej powodów, żeby mnie nie trawić. – Uwielbiam tę piosenkę.

Nienawidzę tej piosenki.

Marnie znowu siada normalnie i odchrząkuje. Jej ulubiony kawałek znów ryczy z głośników, ale ona już nie podskakuje i nie śpiewa. Widocznie wcześniej po prostu zapomniała, że jadę razem z nimi.

Wyciągam z torebki telefon i po raz dziesiąty sprawdzam Instaface, ponieważ mam nadzieję, że profil McMullenów z powrotem się pojawił. Niestety, ciągle ich tam nie ma.

Pewnie w tej chwili szykują się do kolacji. Graham w ciągu godziny wróci do domu, a dzieci wybiegną mu na powitanie. Wiele razy widziałam takie scenki, zaglądając im przez okna. Dzieci rzucają się na niego, wspinają po nogach i rękach, prawie go przewracając. Za każdym razem wywołuje to u mnie uśmiech.

Zawsze czułam w brzuchu to przyjemne, elektryzujące mrowienie, kiedy McMullenowie wrzucali jakieś zdjęcie do sieci. To było jak nowa dawka narkotyku. Każdy prozaiczny detal ich idealnego życia rozświetlał moją duszę w taki sposób, że nie potrafię ubrać tego w słowa.

Czułam radość. Czystą radość.

Wyłączam Instaface, wchodzę w swoje zdjęcia i znajduję fotkę z ubiegłego tygodnia – Grace oblizującą tłuczek oblepiony purée ziemniaczanym. Pod spodem napis: „Czas na obiad! Za kulisami z moim małym szefem kuchni!”. Sebastian i Rosie, czyli pozostałe dzieci McMullenów, stoją z tyłu i czekają cierpliwie na swoją kolej. Grace uśmiecha się od ucha do ucha, wpatrując w Daphne z uwielbieniem, które jednocześnie roztapia i łamie moje serce.

Grace jest taka szczęśliwa, rozpieszczana i kochana. Obserwować jej życie, o jakim ja w jej wieku mogłam tylko pomarzyć – to wszystko, czego mogę pragnąć.

Znajdę sposób, by znowu móc patrzeć na moją córeczkę.

Jestem przecież jej matką.

[1] Postać z serialu *Leave It To Beaver*, archetypiczny ojciec z amerykańskich przedmieść z lat 50. (przyp. tłum.).

Rozdział czwarty

Autumn

W drodze z restauracji do domu znajduję numer telefonu Daphne w jakiejś płatnej bazie danych w Internecie. Całe moje ciało wibruje nadzieją. Muszę uważać, żeby się nie uśmiechać, bo Benowi rzuciłaby się w oczy moja podejrzana zmiana nastroju.

Jutro z samego rana kupię telefon na kartę, doładuję go i ustawię opcję, żeby mój numer nikomu się nie wyświetlał, a potem zadzwonię do Daphne, gdy dzieci już wyjdą ze szkoły. Usłyszenie jej głosu – a także ich głosików w tle – będzie lepsze niż ta kompletna pustka.

Chowam komórkę, wysiadam z samochodu i przenoszę się na fotel pasażera. Marnie macha Benowi na pożegnanie i powoli rusza w stronę swojego domu – budynku w stylu kolonialnym w północnej części miasta – lekko się zataczając za sprawą drogiego czerwonego wina, którym popijała stek w trakcie kolacji. Ben czeka i patrzy, jak Marnie wygrzebuje klucze, a odjeżdża dopiero wtedy, gdy jego siostra znika za drzwiami. Nie jestem nawet pewna, czy on wie, że jego rodzice kupili to mieszkanie Marnie tuż po tym, jak ukończyła college. Mieli nadzieję – a przynajmniej tak mi się wydaje – że obciążając ją takiego rodzaju odpowiedzialnością, rozpalą w niej iskierkę ambicji.

Nie rozumiem toku ich myślenia. Ale to tylko dygresja.

Ben nie ma o niczym pojęcia. A nawet jeśli ma, to nigdy się na ten temat nie wypowiada. W ciągu dwóch lat zdążyłam się zorientować, że on martwi się głównie o siebie. Zajmuje się swoimi

sprawami. A jednocześnie nie przemknęło mu przez głowę, że pewnie przydałoby mu się nowe auto. Nie interesuje go zakup najnowszych gadżetów ani najmodniejszych ciuchów, pomimo że jego okazałe dochody pozwalają mu na wszystko, czego mógłby sobie zażyczyć.

Ben żyje w swoim małym świecie, w którym czuje się bezpieczny i zadowolony.

– Wszystko w porządku? – Bierze mnie za rękę, kiedy wycofujemy się z podjazdu Marnie. – Cały wieczór jesteś taka cicha.

Wyłączam ekran i chowam komórkę do torebki, a potem odwracam się do niego i posyłam mu spokojny, senny uśmiech.

– Oczywiście.

Ben nagle uderza dłonią w kierownicę. Serce momentalnie podjeżdża mi do gardła.

– Co? – pytam.

– Wiesz, o czym sobie przypomniałem? – mówi. – Zapomnieliśmy dać Marnie prezent.

Cholera.

– Może jutro go jej podrzucisz? – proponuje z uniesioną brwią.

O niczym innym bardziej nie marzę.

– Jasne – zgadzam się. Zajmę się tą sprawą, jak tylko kupię sobie nowy telefon.

Z wdzięcznością ściska moją rękę.

Gdzieś po drugiej stronie miasta Grace McMullen leży wygodnie w ciepłej pościeli, po kolacji, z pełnym brzuszkiem i sennym uśmiechem na buzi. Zamykam oczy i przesyłam jej ładunek miłości, tak jak każdego wieczoru.

– Jesteś szczęśliwa?

Pytanie Bena sprawia, że unoszę nagle powieki. Przez chwilę oślepiają mnie światła mijającego nas samochodu.

– O co pytasz?

– Dzisiaj byłaś taka cicha. Jakby nieobecna. Mówię poważnie, Autumn. Od paru miesięcy wydajesz się jakaś odległa. – Zwalnia

na żółtym świetle i obraca się w moją stronę. – Odkąd straciłaś pracę, schowałaś się do skorupy, a ja nie wiem, jak cię z niej wyciągnąć. Zrobiłaś się małomówna. Chodzisz jakby nieprzytomna. Ciągle o czymś zapominasz, a wcześniej nigdy ci się to nie zdarzało. Masz depresję? Chcesz z kimś porozmawiać?

Nie miałam pojęcia, że w taki sposób mnie postrzega. Tak, dzisiaj byłam cicha, ale w ciągu paru ostatnich miesięcy między nami było lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ben. – Zmuszam się do uśmiechu, wypuszczając nosem powietrze i przekrzywiając głowę. – Nie musisz się niczym martwić.

Samochód z tyłu trąbi na nas i oboje patrzymy na światła. Zmieniły się już na zielone. Ben puszcza moją dłoń, kładzie rękę z powrotem na kierownicy i z łagodną cierpliwością wdusza pedał gazu.

– Wiem tylko, że przestałaś być sobą. – Jego usta zaciskają się w cienką linię. – Jakbym budził się przy jednej osobie, a wracał do domu do kogoś innego. W jednej sekundzie jesteś w dobrym humorze, a następnej w złym.

Odchrząkuję, przysuwam się do niego i kładę głowę na jego napiętym ramieniu.

– Dziwnie się czuję, bo nie chodzę do pracy – wyjaśniam, szukając w głowie słów, którymi mogłabym go uspokoić. – Chyba jeszcze do tego nie przywykłam. Próbuję wymyślić, kim zostanę, kiedy dorosnę.

Patrzę w górę i dostrzegam na jego twarzy uśmiezek.

– A kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz? – pyta.

Chcę być Daphne McMullen, ale skoro to niemożliwe...

– Nie wiem. – Wzruszam ramieniem i siadam prosto. – Może wrócę do szkoły pielęgniarskiej? Lubiłam pracę w klinice. Uwielbiam dzieci.

– A co z nauczaniem?

Kręcę głową. Stanie przed grupką trzydziestu dzieciaków, dla których mam być jakimś wzorem, wydaje mi się gwarantowaną

katastrofą. Poza tym musiałabym być sobą. Dzień w dzień. Umarłabym, wycieńczona psychicznie, przed zakończeniem pierwszego roku szkolnego.

Bycie mną jest wyczerpujące.

Życie z moimi myślami.

Ukrywanie własnych słabości.

– Cóż, nie śpiesz się – mówi Ben, kładąc dłoń na mojej nodze i ściskając kolano. – Podoba mi się, że częściej jesteś w domu, szczególnie w weekendy.

Też to lubię. Nienawidziłam pracować w soboty.

– Miałaś straszne godziny pracy. – Ben krzywi się, a ja myślę o wszystkich tych chwilach, kiedy wracałam do domu i zastawałam go jedzącego zupę z puszki albo płatkę z mlekiem. Co zawsze wydawało mi się dziwne, ponieważ Ben umie gotować. Teraz prawie codziennie robię dla nas kolację, zwykle małpuję coś, co widziałam rano w telewizji, a potem udaję, że sama na to wpadłam. Ben nigdy nie przyznałby się do tego, ale wiem, że lubi, gdy w domu czeka na niego ciepły posiłek, jak typowy mąż z lat pięćdziesiątych. I wiem, jak się cieszy, że jego wymarzona dziewczyna już nie wraca z roboty w fartuchu oblepionym glutami i z obolałymi stopami, a zamiast tego o siedemnastej trzydzieści z uśmiechem na twarzy wpada mu w ramiona.

Ma mnie teraz w całości dla siebie.

A przynajmniej w takiej części, jaką mogę mu dać.

Ziewam i przyciskam policzek do chłodnej szyby. Oczy coraz bardziej mi się kleją, a wszystko zaczyna spowijać mgiełka. Chcę pójść do łóżka, leżeć w ramionach Bena, czuć na twarzy jego ciepły oddech, gdy mnie przytula. Wcześniej nigdy tego nie lubiłam. Miałam wrażenie, że się duszę. Ale przyzwyczaiałam się. Teraz potrafię to tolerować, a od czasu do czasu nawet tego pragnę.

Pewnie zamknę oczy, udając, że jesteśmy Grahamem i Daphne, tak jak to robię prawie każdej nocy. Bywają momenty, kiedy w ciemności, patrząc z przymkniętymi powiekami, Bena można pomylić z Grahamem. Obaj mają kwadratową szczękę, dołeczek

w brodzie, włosy w odcieniu czekolady i intensywnie niebieskie oczy.

Ben skręca w naszą uliczkę, a ja przez ułamek sekundy czuję, jak przechodzi mnie przyjemny dreszcz. Możliwe, że zadowolenia. Muszę przyznać, że odpowiada mi to, jak wszystko w tej chwili się układa. Pasuje mi to bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Czasami się zastanawiam, jakie to byłoby uczucie, gdyby wszystko, co jest między nami, było prawdziwe. Gdybyśmy poznali się na ulicy albo w sklepie spożywczym. Gdyby nasi znajomi umówili nas na randkę w ciemno i żadne z nas nie byłoby w stanie oprzeć się tej chemii.

Ale wyszło, jak wyszło, a ja jestem, kim jestem: jego wymarzoną dziewczyną.

Wpuszczenie go za fasadę zniszczyłoby iluzję, nad którą tak długo i ciężko pracowałam. A gdyby ta iluzja została zniszczona, Ben by mnie już nie chciał. Jest racjonalnym człowiekiem, który kieruje się logiką, potrafi wybaczać, jest denerwująco optymistyczny, wielkoduszny i pełen zrozumienia.

Ale czegoś takiego by nie zrozumiał.

A ja straciłabym jedyne rzeczy, które zostały mi w życiu. Jedyłą osobę, która naprawdę mnie kochała. Oraz okienko z widokiem na życie Grace.

Rozdział piąty

Daphne

Cichy odgłos otwieranych drzwi do garażu wybudza mnie z półsnu. Rozmazane cyferki na budziku przy łóżku pokazują 9.52 wieczorem. Podnoszę się, zrzucam kołdrę z nóg i idę na palcach do łazienki, zanim Graham wejdzie na górę.

Dwanaście lat temu, w przeddzień naszego ślubu, moja matka udzieliła mi rady: *Nigdy nie chodź ubrana w byle co. Rób makijaż przed snem. Noś długie włosy. Zawsze staraj się zaimponować mu w sypialni, dzięki temu nie znudzi się tobą. Bądź ciągle tą piękną dziewczyną, jaką poślubił, a nie jej marną kopia...*

Stojąc przy umywalce, podnoszę szczotkę z włosia dzika i przeczesuję swoje jasne fale. Nakładam delikatnie odrobinę mineralnego podkładu oddychającego, myję zęby, oglądam się w lustrze i poprawiam białą satynową koszulę nocną, pod którą mam dopasowaną halkę. Obie rzeczy są zupełnie nowe, kupiłam je dzisiaj po południu pod wpływem impulsu.

Nie kochaliśmy się od trzech tygodni. To niepokojący rekord.

Odgłos drzwi ocierających się o pluszowy dywan oznacza, że Graham jest już w sypialni.

– Tutaj jestem! – wołam. To nie jest zaproszenie. Kolejną małżeńską regułą mojej matki było to, żeby nigdy nie czuć się zbyt komfortowo we dwoje w łazience, więc na czas trwania naszego związku przyjeśliśmy politykę zamkniętych drzwi. – Zaraz wyjdę.

Serce tłucze mi się w piersi jak zwykle, kiedy za moment mam się z nim zobaczyć.

Po chwili otwieram drzwi łazienki, stoję w progu i przyglądam się, jak telewizor opromienia kolorowymi błyskami jego nagą klatkę piersiową. Od talii w dół zakryty jest kołdrą, a jego muskularne ramiona otwierają się szeroko na mój widok.

Mój obłądnie przystojny mąż specjalnie dla mnie przywołuje na usta swój uśmiech z dołeczkami. Taki sam jak zwykle. Uśmiech, który zawsze wywołuje u mnie motyle w brzuchu. Uśmiech, który nigdy mi się nie znudził.

Oraz uśmiech, który – jak idiotycznie zakładałam przez te wszystkie lata – należał wyłącznie do mnie...

– Późno dzisiaj wróciłeś – mówię spokojnie, jakbym poczyniła jakąś zwyczajną obserwację, a nie rzuciła ostre oskarżenie. Chyba nie istnieje wiele kobiet zdolnych do czegoś takiego. Kobiet, które zobaczyłyby swojego męża z inną i zachowywały się tak, jakby nic się nie stało. Może jest nas więcej, gdzieś ukrytych, w milczeniu zachowujących spokój i próbujących dalej żyć, ponieważ tak trzeba robić, kiedy cały twój świat znajduje się w rękach jednego mężczyzny. A może jestem jedyna? Może jestem kompletną wariatką? – Dzieci za tobą tęskniły.

Podobno trzeba być silną kobietą, żeby odejść od męża. Moim zdaniem trzeba jeszcze więcej siły, żeby zostać i walczyć o to, co ci się należy.

Graham unosi kołdrę, kładę się obok niego, pozwalam się zamknąć w jego ramionach i zastanawiam się, kogo innego dzisiaj tuliły. Nachyla się do mnie, całuje w policzek, nie odrywając wzroku od telewizora, na którym lecą aktualności sportowe.

– Sebastian chciał, żebyś przeczytał mu bajkę przed snem – mówię z uśmiechem.

– To urocze. – Śmieje się, ale sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie obchodziło go to, że przegapił układanie synka do łóżka.

Przysuwam się do niego, wtulając nos w zagłębienie jego szyi i wdychając jego zapach – tak jak to robię każdego wieczoru – uspokojaona faktem, że ciągle czuć jego wodę kolońską, której używa po porannym prysznicu, i nie wyczuwam ani odrobiny

damskich perfum.

Nie był z nią dzisiaj.

Wypuszczam powietrze, rozluźniam ramiona i czuję się trochę lepiej, leżąc z moim mężem i próbując z całych sił skupić się na „tu i teraz”. Graham nie jest ideałem, a jednak jest idealny. Jest wszystkim, czego zawsze pragnęłam, i wiem, że potrafię mu wybaczyć, nawet jeśli nie będzie o to prosił, ponieważ to właśnie robisz, kiedy kochasz kogoś tak bardzo, że zaczynasz się dusić na myśl o utracie tej osoby.

Wspólnymi siłami zbudowaliśmy cholernie piękne życie.

Możemy to naprawić.

Ja mogę to naprawić.

Mogę mu przypomnieć, że wszystko, co posiada – nasz piękny dom, nasze dwunastoletnie małżeństwo, nasza trójka dzieci – jest trwałe, prawdziwe i wartościowe. A ta dziewczyna, z którą się spotyka, jest odpowiednikiem wypożyczonego porsche. Nie ma między nimi żadnej głębszej relacji, a zabawa, którą sobie z nią funduje, szybko mu się znudzi. Ona może go porywać w środku dnia, ale wieczorem i tak wraca do mnie, a przecież to się liczy najbardziej.

Dzisiaj zawiesiłam swoje konto na Instafacie. Zrobiłam to po długim namyśle. Graham zawsze narzekał, że spędzam zbyt dużo czasu z nosem w telefonie, więc to jest moja próba bycia bardziej obecną, bardziej skupioną. Z płatnych reklam co miesiąc dostawałam kilkaset dolarów, ale nie warto tego robić tylko dla nich. To był dla mnie tylko taki mały projekt, którego podjęłam się dla zabawy. Chciałam uwiecznić dzieciństwo moich dzieci.

– Grace obcięła włosy Rose – mówię. – Coś okropnego. Teraz ma z tyłu krótkie, a po bokach długie. I jakieś resztki grzywki.

Graham nagle skupia na mnie całą swoją uwagę.

– Jak to się stało? – pyta z uniesionymi brwiami. – Gdzie wtedy byłaś?

– Kapałam Sebastiana – mówię, wzdychając.

– Musimy poprosić kogoś o pomoc. – Graham wyplątuje się

z moich ramion, wsuwa moje dłonie w swoje i ścisną je mocno. Jest mu przykro. Zawsze w takich sytuacjach jest mu przykro, nawet jeśli słowo „przepraszam” nie istnieje w jego słowniku. – Wiem, że dzieciaki to czasami prawdziwe urwanie głowy. Nie spodziewam się, że sama dasz sobie z tym wszystkim radę. A włosy Rose odrosną. Całe szczęście, że nikomu nie stała się krzywda. Powinienem tu być, żeby ci pomóc.

Mogłabym się rozplakać.

Pierwszy raz od wielu miesięcy Graham przyznał, że nie mam lekkiego życia, że wypełnianie obowiązków gospodyni domowej i matki jest prawdziwą ciężką pracą. Poza tym zatrudnienie opiekunki do dzieci oznaczałoby, że mogłabym więcej czasu poświęcać mojemu kwitnącemu imperium w mediach społecznościowych. Zdobyłam już jedenaście tysięcy followersów i codziennie przybywa mi stu kolejnych. Firmy zaczynają przysyłać mi produkty do reklamowania i mam okazję uczynić z mojego hobby coś poważnego.

– Nie cierpię, kiedy pracujesz do późna, szczególnie w piątki. – Robię smutną minę, tęskniąc za czasami, kiedy mogliśmy szwendać się po mieście, od lokalu do lokalu, albo wyjeżdżaliśmy na długie romantyczne weekendy, nie martwiąc się o zatrudnianie niani, która poradziłaby sobie z Grace, gdy jest w złym humorze.

– Ja też. – Unosi moją dłoń do ust, całuje ją lekko, a potem znów wlepia wzrok w ekran telewizora.

– Rose chyba znowu ma anginę – mówię, wodząc spojrzeniem po zarysie jego mocnej szczęki, wyrzeźbionych kościach policzkowych i idealnie prostym nosie. – Wróciła ze szkoły z bólem gardła, a na brzuchu wyskoczyły jej te czerwone krostki.

Poznaliśmy się w liceum. On dopiero co przeprowadził się do naszego miasteczka z Manhattanu, a ja nigdy wcześniej nie widziałam tak przystojnego chłopaka. Był bogaty, pełen charyzmy i emanował egzotyczną aurą, nawet jako osiemnastolatek. Z kolei ja większość czasu byłam jakby niewidzialna, śniąc na jawie o dniu, w którym mnie zauważy, ale nigdy – nawet

w najśmielszych marzeniach – nie spodziewałam się, że to naprawdę się stanie.

Ale się stało.

Zauważył mnie. Zaprosił na randkę. A potem na kolejną. Zamieniłam się w jego obsesję, a nigdy wcześniej coś takiego mnie nie spotkało. Zostawiał mi listy miłosne w szafce szkolnej, spędzał ze mną całe wieczory i weekendy. Staliśmy się nierozłączni. Dzięki niemu czułam się piękna i wartościowa, i z jakiegoś kompletnie niezrozumiałego powodu, którego nie chcę analizować, wciąż tak na mnie działa.

Teraz kurczowo trzymam się tego uczucia, jakby było moim kołem ratunkowym.

Całkowicie egzystuję w świecie, który dla mnie stworzył – w świecie, w którym jestem dla niego najcudowniejsza, a on jest jedynym mężczyzną, z którym pragnę być.

– Jedno z nas musi zabrać ją rano do kliniki. Rose potrzebuje antybiotyku – dodaję.

– Dobrze.

– Ale jestem umówiona na partyjkę bunco u Heather i muszę po drodze odebrać torcik z cukierni. Jeśli nie dam rady tam pójść, będę musiała znaleźć zastępstwo – wyjaśniam. – W dodatku mam wizytę u fryzjera, której nie mogę przenieść na inny termin. Już ostatnim razem musiałam ją odwołać, bo Grace zapomniała wziąć pozwolenie na wycieczkę szkolną, i musiałam pobiec do Brinkman Academy, zanim odjechał ich autobus. W salonie mogą mnie nawet wpisać na czarną listę, a to byłoby straszne, bo w tym mieście nie ma tak dobrego fryzjera jak Mario.

– Ja ją zawiozę – mówi Graham, obracając się do mnie z łagodniejszą miną.

Dzięki tym trzem słowom czuję, jak kamień spada mi z serca.

– Naprawdę? Jesteś pewny? – Nie chcę robić sobie nadziei, bo już wcześniej składał tego typu obietnice, ale tym razem chyba rzeczywiście mówi poważnie. Musi wyczuwać, że jestem umęczona. Musi dostrzegać mój ból i niesłabnące poświęcenie, które każą mu

zrobić to, co należy, i wrócić do mnie. – Musiałbyś zabrać całą trójkę. Doktor Harrington lubi badać i leczyć wszystkie nasze dzieciaki, kiedy jednemu coś dolega, bo w przeciwnym razie będą tylko roznosić chorobę.

– Nie ma problemu – odpowiada lekkim tonem, a ja jestem tak szczęśliwa, że chciałabym nagrodzić go pocałunkiem.

I właśnie to robię.

Przytulam się do niego, sięgam po pilota i wyłączam telewizor. Graham próbuje protestować, ale uświadamia sobie, co planuję, więc jego pełne usta układają się w rozkoszny uśmiech – ten zarezerwowany tylko dla mnie. Przynajmniej dziś wieczorem.

– To nowe fatałaszki? – Odwraca się do mnie i wtyka palec pod ramię halki, a potem zsuwa je z ramienia. Wciąga mój zapach, ujmuje w dłonie moją twarz i czuję, że znowu należy do mnie. Skupiam na sobie uwagę Grahama. Ja jestem jego własnością, a on moją.

Nigdy go nie puszczę...

Za żadne skarby.

I może jeśli pocałuję go dość mocno, przestanę myśleć o tym, co zrobiłam w ubiegłym tygodniu.

Rozdział szósty

Daphne

Dziś wieczorem oszukuję.

W drodze do domu wstąpiłam do Lucco's i kupiłam toskańską lazanie, pieczone warzywa i ciasto marchewkowe domowej roboty. Jeśli uda mi się wśliznąć przez tylne drzwi, będę mogła wyłożyć wszystko na talerze, zanim Graham zauważy, a jeśli dopisze mi szczęście, będzie akurat zajmował się dziećmi.

Greta punktualnie o siódmej zaszczyca nas swoją obecnością. Pierwsza sobota każdego miesiąca jest zarezerwowana dla mojej teściowej i tylko dla niej. Lubi spędzać pół godziny z dziećmi, zanim pójdą do łóżka, a przez resztę wieczoru popijać wino na patio, obsesyjnie skupiając całą uwagę na synu, źródle jej dumy i radości.

Graham jest jedynakiem, co w ciągu lat okazało się zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Gdy pewnego dnia jego matka umrze, odziedziczy po niej ogromną fortunę. Do tamtej pory będziemy musieli spełniać jej życzenia i pilnować, żeby była zadowolona. Wszystko po to, by nasza przyszłość – i przyszłość naszych dzieci – była bezpieczna pod względem finansowym.

Wślizguję się do środka przez tylne drzwi i słyszę pomruk telewizora grającego w salonie mieszający się z chichotem dziewczynek. W niecałe pięć minut przenoszę jedzenie do piekarnika ustawionego na podgrzewanie.

– Wróciłam! – wołam.

Najpierw rozlega się tupot małych stópek, a potem trzy pary

drobnych ramion oplatają mnie, walcząc ze sobą o najdogodniejszą pozycję. Tęsknią za mną tylko wtedy, gdy mnie nie ma. Przytulają się tylko wtedy, kiedy nie widziały mnie cały dzień. Przez resztę czasu jestem jedynie przezroczystą matką karmicielką, podawaczką kanapek z masłem orzechowym i dżemem oraz podносиelką zabawek z podłogi.

– Cześć, mamusiu! – Grace mnie puszcza, stojąc na palcach i wydymając usteczka. Nachylam się, cmokam ją lekko, a ona zanurza dłonie w moich włosach i chichocze. W jej oczach widzę znowu ten obłąkany błysk. Zakrywa usta i wskazuje ręką moją fryzurę.

Dotykam miękkich, jedwabistych kosmyków, które Mario przez pół poranka czesał, odżywiał, rozjaśniał, obcinał i suszył, aż wyszło z tego dzieło sztuki. Na palcach czuję teraz odrobinę jakiejś lepkiej substancji.

– Grace. – Zaciskam szczęki tak mocno, aż bolą mnie zęby. Ona unosi ręce, rozczapierza palce oblepione roztopioną czekoladą. Fajnie, że Graham ignoruje moją zasadę „żadnego jedzenia poza kuchnią”. – Dlaczego to zrobiłaś?

Moja misterna fryzura jest zrujnowana.

Dzieciaki odklejają się ode mnie i odchodzą, zostawiając ślady stóp na ciemnym parkiecie. Tyle razy błagałam Grahama, żeby pozwolił mi wymienić go na jaśniejszy, z matowym wykończeniem, żeby się nie rysował i nie widać było każdego pyłku kurzu albo psiego łupieżu. Ale on się nie zgadza. Ciągłe twierdzi, że nie widzi tych wszystkich rzeczy, a ja dramatyzuję. Oczywiście umyka mu fakt, że każdego dnia wraca do domu, kiedy jest już ciemno.

Ciemność ukrywa rzeczy, których nie chcemy widzieć.

Rzucam okiem na kuchenny zegar. Greta zjawi się lada chwila, a ja nie zdążyłam jeszcze nakryć do stołu ani ułożyć kwiatów. Związuję włosy w niedbały kucyk i wyciągam bukiet czerwonych piwonii z brązowej torby położonej na blacie.

– Nana przyszła! – piszczy Rose w przedpokoju.

To są ostatnie chwile, zanim Greta przejmie panowanie nad

domem. Staram się nimi maksymalnie rozkoszować.

Cocoa, nasza czekoladowa labradoodle, pędzi przez kuchnię, a potem przez korytarz, dziko wymachując ogonem. Jeśli nie spróbuję jej zatrzymać, przewróci Gretę i będę musiała o tym wysłuchiwać do końca życia. Odkładam więc kwiaty i ruszam w pościg za psem. Interwencja kończy się sukcesem.

Greta po babcinemu rozdaje uściski dzieciom, cała w uśmiechach, do momentu gdy nagle Grace próbuje ciągnąć za ogromny naszyjnik z pereł zawieszony wokół jej pomarszczonej szyi. Greta klepie wyciągniętą rękę i rzuca dziecku srogie spojrzenie. Grace cofa się pod ścianę i zakłada ręce na piersiach.

– Daphne. – Matka Grahama lustruje mnie wzrokiem z powściągliwym uśmiechem, ale w jej oczach widzę, że jest niezadowolona z mojego niechlujnego wyglądu. Odkąd ją znam, zawsze uważała niewystrojenie się za oznakę braku szacunku. Gdybym mogła o tym zdecydować, zawsze witałabym ją w kreacjach od Diora czy Pucciego.

Rosie i Sebastian biorą Gretę za ręce i ciągną w stronę kuchni. Ja szybko zamykam drzwi frontowe, a potem puszczam obrożę, za którą trzymam Cocoę.

– Gdzie jest ten mój diabelnie przystojny syn? – Greta puszcza ręce dzieci i rusza w stronę salonu w poszukiwaniu Grahama. Jestem raczej pewna, że tak naprawdę wolałaby w ogóle nie widywać się z wnukami. Cała ta babcina szopka jest tylko przykrywką. Chwytem reklamowym.

Sebastian i Rose idą za nią i znikają za rogiem, a ja wracam do kuchni, żeby wyjąć ze spiżarni talerze i serwetki, zanim wróci Grace.

– Kwiaty – mówię do siebie pod nosem. Jeszcze parę sekund temu zajmowałam się ich układaniem...

Wzdycham z irytacją, wychodzę ze spiżarni ze stosem talerzy i stawiam je na blacie, który teraz jest zupełnie pusty. Kwiaty zniknęły.

Mam ochotę wykrzyknąć imię Grace, ale udaje mi się

powstrzymać. Biegam szybko od pokoju do pokoju, aż wreszcie dostrzegam parę wyrwanych płatków, które układają się w trop prowadzący do stołu w jadalni. Spod krzesła wystaje brudna stopa Grace.

– Co ty wyprawiasz? – szepczę do niej, a do oczu napływają mi gorące łzy gniewu. – Grace, zniszczyłaś kwiaty. Dlaczego?

Nie odzywa się, tylko chowa nogę.

– Grace – syczę przez zęby.

Dalej zero odpowiedzi.

Kłękam na podłodze, zaglądam pod stół i patrzę jej prosto w oczy. Trzyma w rękach jedną czerwoną piwonię, którą unosi do nosa.

– Zapytam ostatni raz. Dlaczego zniszczyłaś kwiaty?

Spogląda na mnie ciemnymi oczami, nie mrugając.

– Bo były dla babci Greta, a ja jej nie lubię, bo ona mnie nie lubi.

– Nie gadaj głupstw. Oczywiście, że cię lubi – kłamię. Kłamię w żywe oczy. Widzę, w jaki sposób Greta patrzy na Grace. W jej spojrzeniu nie ma ani odrobiny miłości. Ze sztucznym uśmiechem trzyma ją na dystans.

– Nie. Nie lubi – wzdycha zgarbiona Grace. – Nie musisz kłamać, mamo.

Przez chwilę nie widzę w niej mojego trudnego dziecka. Nie myślę o wszystkich rzeczach, którymi doprowadza mnie do szału. O wszystkich niezliczonych razach, kiedy zniszczyła piękne rodzinne chwile.

Ona cierpi.

A w tej chwili potrzebuje swojej matki... jedynej, jaką ma.

Jedynej, jaką kiedykolwiek będzie miała.

– Chodź. – Rozkładam ręce, czekając, aż ruszy w moją stronę. Tak zawsze jest z Grace. Wszystko musi być jej pomysłem, jej decyzją.

Waha się przez chwilę, aż w końcu postanawia wyjść spod stołu i wdrapuje mi się na kolana. Choć ma już dziesięć lat, ciągle się mieści. Oplata mnie w pasie, a potem przyciska policzek do mojego ramienia.

Już dawno jej nie przytulałam. Prawdę mówiąc, nie pamiętam, kiedy ostatni raz to robiłam. Może parę lat temu?

Siedzimy w milczeniu i oddychamy w jednym rytmie.

– Daphne?! – Graham woła mnie z pokoju obok.

Patrzę na Grace.

– Musimy wracać. Chcesz mi pomóc przy nakrywaniu do stołu?

Kręci głową i ściska mnie jeszcze mocniej. Nie chce się ruszyć, jakby tutaj, w moich ramionach, czuła się dobrze i bezpiecznie.

– Ej, nie rób tego – mówię, łagodnie spychając ją z kolan.

Grace jęczy w taki sposób, jak Sebastian, gdy coś mu się nie podoba, ale ignoruję ją i podnoszę się. Grace zsuwa się i ląduje na podłodze, ciągle protestując.

– Bardzo chciałabym, żebyś mi pomogła, Grace. To dużo by dla mnie znaczyło – wyjaśniam lekkim tonem, klaszczę w dłonie i udaję ekscytację, choć tak naprawdę boję się, że celowo roztrzaska parę sztuk porcelany, gdy na sekundę spuszczę ją z oczu.

Grace z jękiem wstaje, a potem niechętnie człapie za mną do kuchni, zgarbiona, ze zwisającymi luźno rękami.

– Mamo, mogę ci coś powiedzieć? – pyta.

– Oczywiście.

– Obiecujesz, że nie będziesz wściekła? – Jej ciemne oczy są szeroko otwarte, prawie przerażone, ale to ja się boję. Boję się tego, co zaraz usłyszę.

Wypuszczam głośno powietrze.

– Dobrze.

– Pamiętasz, jak kiedyś rano, przed szkołą, szukałaś kluczyków do samochodu?

Kiwam głową, zaciskając usta. Tamtego ranka dziewczynki już szły na autobus szkolny, a ja byłam spóźniona na odprowadzanie Sebastiana do przedszkola. Graham musiał zawrócić do domu, żeby dać mi swoje zapasowe kluczyki, a przy okazji pouczył mnie, żebym nie była taka zapominalska.

– Schowałam je w doniczce – mówi, wciskając brodę w pierś, ale

patrzac mi prosto w oczy.

– Po co to zrobilas, Grace? – Biorę głębocki wdech, próbując zapanować nad frustracją. Chcę, żeby czuła, że może mi o wszystkim powiedziec, a to może być decydujący moment, jeśli chodzi o naszą relację. – Chcesz wyjaśnić mamusi, dlaczego to zrobilas? Przez ciebie twój brat spóźnił się do przedszkola, a to nie było zbyt przyjemne.

Grace zagryza usta, wbija wzrok w ziemię, a potem znowu patrzy na mnie.

– Chciałam dzień wcześniej pożyczyć sobie samochód.

Szczęka mi opada. Ona ma dopiero dziesięć lat!

– Myślałam, że będzie fajnie. Zabrałam ci kluczyki z torebki, ale potem tatuś wrócił z pracy i nie chciałam mieć kłopotów, więc ukryłam je w doniczce.

– Czemu nie powiedzias, gdzie były? Widzias, jak ich szukałam.

– Bo krzyczałabyś na mnie.

– Grace, ja nigdy na ciebie nie krzyczę. – To prawda. Moja matka nigdy tego nie robila i ja też nie zamierzam. Zaciskam tylko dłonie w pięści i zagryzam zęby, ale z całych sił staram się zachować spokój i patrzeć na nią z miłością.

– Ukradłam ci też pieniądze z portmonetki – dodaje po chwili.

– Ile? – pytam, ale ta kwestia jest chyba nieistotna.

– Nie wiem. Są w mojej szafce przy łóżku. Możesz je sobie zabrać.

Pewnie, że zabiorę.

Nachylam się do niej, odgarniam ciemne włosy z jej twarzy i przechylam głowę.

– Czy dzieje się coś, o czym powinnaś ze mną porozmawiać? Ostatnio zaczęłaś kraść i pakować się w kłopoty. I się nie słuchasz.

Grace wzrusza ramionami, a ja przypominam sobie, jak w jednym poradniku pisali, że dzieci w tym wieku nie wiedzą, dlaczego robia to, co robia. Reagują na wszystko we własny sposób, a tego typu zachowanie może być wołaniem o pomoc albo zwykłą

próbą zwrócenia na siebie uwagi.

Muszę spędzać z nią więcej czasu.

– Chodźmy zjeść, dobrze? – Biorę ją za rękę. – Później pogadamy. Tylko ja i ty.

– Obiecujesz?

Kiwam głową.

Greta siedzi u szczytu stołu, sącząc pinot noir, którym zapewne Graham ją poczęstował. Zgromadziliśmy małą kolekcję win w piwnicy. Starannie dobrane flaszki, trzymane specjalnie z myślą o wizytach Greta.

– Kolacja pięknie pachnie, Daphne – mówi do mnie. – Kiedy będziemy jedli?

Spoglądam na Grahama, a potem znowu na nią.

– Dzieci nie pójdą spać jeszcze przez jakieś czterdzieści minut. Nie chciałabyś spędzić z nimi trochę czasu? Widują cię tylko raz w miesiącu.

Greta wydyma pomalowane różową szminką usta. Graham rzuca mi spojrzenie, w którym dostrzegam frustrację tym, że powiedziałam coś niemiłego jego matce.

– Dzieci naprawdę cieszą się z twoich wizyt – dodaję z uśmiechem. W torebce wibruje moja komórka, ale ignoruję to. Dzisiaj już trzykrotnie dzwonił ktoś do mnie z nieznanego numeru. Nigdy nie odbieram takich telefonów. – Chciałam tylko powiedzieć, że tęsknię za tobą.

– Ojej. – Greta obraca dwoma zadbanymi palcami swój naszyjnik z pereł. – Chyba trochę się zagalopowałam, prawda? Tak to właśnie się kończy, gdy człowiek przychodzi głodny i chce coś szybko zjeść.

Podnosi się z krzesła, głaszcze Sebastiana po główce i bierze go za rączkę, a następnie prowadzi do salonu. Rose idzie za nimi, a na samym końcu, z wyraźną niechęcią, człapie Grace.

– Potrzebujesz pomocy? – Graham stoi przy marmurowym blacie, trzymając w dłoni kieliszek z winem i zdejmując jakiś kłaczek ze swojego granatowego swetra z kaszmiru.

Cocoa drapie w tylne drzwi. Stoję jak zamrożona, czekając, aż Graham choć raz kiwnie palcem i wypuści ją na zewnątrz. O dziwo, właśnie to robi.

– Mógłbyś już usiąść przy stole, a ja pójdę na górę i poprawię włosy, dobrze? – pytam.

Patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Twoje włosy są w porządku.

Muskam je dłonią z jednej strony.

– Grace pobrudziła je czekoladą.

– Czyli będziesz je znowu myła? – pyta zirytowanym tonem.

– Nie – odpowiadam. – Chcę tylko pozbyć się tej czekolady.

– Zajmie ci to cały wieczór? – Wzdycha, popijając wino. – Wiem, jaka jesteś. Mówisz, że idziesz tam na pięć minut, a siedzisz godzinę.

Zakładam ręce na piersi.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś dzisiaj w takim nastroju. Coś się stało?

Omija mnie wzrokiem, spoglądając przez drzwi na nasz perfekcyjnie zadbanej ogródek, który wygląda jak oaza. Graham stoi przede mną, ale tak naprawdę jest gdzieś indziej. Może chciałby być dzisiaj z tamtą kobietą.

Czuję ukłucie w piersi na myśl o tym, że on za nią tęskni. Że woli ją ode mnie.

Po minucie ciszy, która zdaje się trwać całą wieczność, znowu na mnie spogląda.

– Miałem po prostu długi dzień. Zajmowałem się dziećmiakami... Brakowało mi twojej pomocy.

Witaj w moim świecie.

– Ale przecież twoja matka jest tutaj – mówię z uniesioną brwią.

Przechyla głowę na bok. Oboje wiemy, że Greta nie kiwnie nawet palcem, jeśli chodzi o dzieci, ale on nigdy nie powie tego na głos.

– Znikam na pięć minut. Obiecuję.

Nie daję mu szansy protestować, bo już biegnę na górę.

Zdejmuję dzinsy, wskakuję w czarne legginsy i wkładam przez

głową kremową tunikę. Wyciągam telefon z kieszeni dżinsów i biegnę do łazienki, żeby w ekspresowym tempie poprawić włosy i dotrzymać słowa.

Biorę okrągłą szczotkę, suszarkę jonową i puszkę mocnego lakieru. Zaczynam pracować nad włosami, gdy nagle podświetla się ekran mojej komórki. Dostałam wiadomość. Tego numeru nie zapisałam w pamięci telefonu, ale od razu go poznaję.

MUSZĘ SIĘ ZNOWU Z TOBĄ ZOBACZYĆ.

Kasuję wiadomość i wyłączam komórkę.

Rozdział siódmy

Daphne

Jest wtorkowy poranek. Parkuję trzy przecznice dalej, za starym budynkiem z cegły, w którym znajdował się kiedyś salon tatuażu. Teraz stoi pusty i nikt tędy nie chodzi z wyjątkiem niedzielnych nocy, kiedy do delikatesów na rogu przywożą chleb.

Wysyłam wiadomość i zerkam na siebie w bocznym lusterku.

Zamykam telefon i torebkę w schowku, biorę kluczyki i wysiadam, a potem sprawdzam dwa razy, czy zamknęłam wszystkie drzwi. Wsuwam włosy pod czapczkę baseballową i nakładam wielkie okulary przeciwsłoneczne.

Minutę później idę lekkim krokiem, a w głowie kołacze mi się jedna myśl. Serce bije mocno, a gardło jest coraz bardziej ściśnięte wraz z każdym krokiem zbliżającym mnie do żółtego domu na rogu Jonathan Street i Czternastej Północnej.

Omiotam wzrokiem ulicę, gwałtownie się spinam za każdym razem, kiedy mija mnie samochód, a potem rozluźniam, gdy okazuje się, że to jakiś nieznany wóz. Wiatr trzaska drzwiami z siatką umieszczonymi z boku budynku wyłożonego winylową okładziną. Przyśpieszam kroku, prawie zaczynam biec, i oddycham z ulgą, kiedy widzę go, jak stoi w szczelinie i patrzy na mnie.

Gdy byłam tu ostatnim razem, czekałam na zewnątrz przez trzy minuty, aż skończył jakieś interesy w środku. To były najdłuższe trzy minuty w moim życiu.

Drzwi uchylają się na tyle, żebym mogła się przez nie wcisnąć. Ciemność, która czeka za nimi, wabi mnie do środka.

– Fajny kamuflaż. – Śmieje się i zaciąga skrętem. Podaje mi go i pożera mnie wzrokiem, kiedy zdejmuję okulary. Lubię, kiedy to robi. – Dotarłaś w samą porę.

Zwilżam wargi i łapczywie zaciągam się skrętem, a potem go oddaję. Spoglądam na swój sportowy strój, dopasowany do dnia pełnego załatwiania różnych sprawunków. Dym drapie mnie w gardle, po chwili go wypuszczam.

Wygladzając dłonią koszulkę bez rękawów, pytam:

– Co jest nie tak z moim ubraniem?

Jego usta powoli układają się w uśmiech.

– W tej części miasta nikt nie nosi takich ciuchów. To spodnie do jogi za dziewięćdziesiąt dolców? A jak nie będziesz uważała, ktoś buchnie ci z nóg te różowe sneakersy. Wyglądają na nowiutkie. I zajebicie drogie. Nie przychodź tutaj tak ubrana.

– Nie mam niczego innego. – Nic, w czym mogłabym na chwilę zapuścić się w złe rejony miasta.

– Niech mężulek zabierze cię na zakupy. – Śmieje się. Zaciąga się dwa razy i podaje mi skręta, a potem każe mi iść za sobą do salonu, w którym jak zwykle panuje półmrok. Koce z podobiznami członków Grateful Dead zwisają jak zasłony przy dużym oknie, a folia zakrywa trzy małe trójkątnie okienka w drzwiach frontowych.

Tutaj jestem jakby w innym świecie.

Co prawda nie moczę stóp w krystalicznie błękitnej wodzie na Arubie, ale takie mentalne wakacje są lepsze niż brak wakacji.

Zaciągam się znowu skrętem, a potem siadam w fotelu. Powinnam być na haju przez następne półtorej godziny, a kiedy narkotyk przestanie działać, będę musiała wrócić do domu. Ale nie chcę o tym myśleć.

Chcę być tutaj.

Z dala od mojego życia.

W tym domu nie jestem Daphne McMullen. Tu nie istnieje wożenie dzieci do szkoły, chodzenie na spotkania, na manikiur, na kiermasz dobroczynny, kąpanie dzieci oraz pranie tony brudnych

ubrań. Żadnych pozwoleń do szkoły. Żadnych wykwintnych kolacji w restauracji. Żadnych wrzeszczących dzieci. Żadnych pożarów do zgaszenia. Żadnego strojenia się do łóżka. Żadnego niewiernego męża, o którym ciągle rozmyślam.

– Dostałaś w weekend mojego esemesa? – pyta, siadając na zapadniętej skórzanej kanapie, a potem opiera nogi o stolik kawowy. Za jego plecami świeci lampa ultrafioletowa, która sprawia, że jego sznurówki świecą jasnym światłem.

– Tak.

– Ale go olałaś – mówi ze zbolałym uśmiechem. – To było okrutne.

– Byłam ze swoją rodziną. Umawialiśmy się, że nie będziesz pisał do mnie w weekendy. Pamiętasz? – Nachyliłam się do przodu, wręczam mu skręta i daję do zrozumienia, że już więcej nie chcę. Jeśli za dużo wypalę, to będę zbyt długo na haju. Nie chcę tutaj siedzieć dłużej niż to konieczne, muszę wrócić do domu, żeby wrzucić swoje ubrania do pralki, wziąć prysznic i pozbyć się tego słodkiego zapachu trawki z włosów.

– Po prostu tęskniłem za tobą. – Wzrusza ramionami, a kiedy na niego patrzę, widzę tylko końcówkę skręta w mroku, która najpierw prawie gaśnie, a potem zaczyna się jarzyć na czerwono, gdy się nim zaciąga. – Usłyszałem twój kawałek.

– Czyli?

– Przecież wiesz. – Śmieje się w wyluzowany, upalony sposób i zaczyna mruczeć pod nosem. Już po paru taktach poznaję, że to *Uptown Girl* Billy'ego Joela.

– To nie jest mój kawałek. – Znowu siadam wygodnie, otulona czymś nieziemskim. Serce bije mi mocno w piersi, ale ciało jest roztopione, jakby zlewało się z kształtem fotela. Powieki opadają miękko, a na ustach rozkwita uśmiech. – Każdy powinien to robić. Tego potrzebuje świat. Więcej czegoś takiego.

On się śmieje.

– Wyluzuj, mamusiu.

W ciągu paru sekund łagodne dźwięki Pink Floydów, ulatujące

z głośników ustawionych w kątach, wypełniają całą przestrzeń tego pokoju i zagłuszają wszystkie moje myśli. Skupiam się na każdej cząstce muzyki, nawet na dźwiękach basu, które przybierają na sile, odbijają się echem w piersi, wibrują w palcach rąk i stóp. Przeżywam je. Naprawdę je przeżywam. Stapiam się z nimi. Stapiam się z tą chwilą.

Jestem na haju.

Na totalnym haju.

Frunę wyżej niż chmury, przez które przelatywaliśmy, kiedy Graham porrywał mnie na weekendy w jakieś ładne miejsca i byliśmy tylko my dwoje.

W ciągu czterech minut, kiedy leci ten utwór, zupełnie odpływam. Gdy się kończy, otwieram oczy, dwie malutkie szczelinki, i znowu widzę jego.

– Dlaczego tak patrzysz? – Próbuję się wyprostować w fotelu, ale ciało odmawia posłuszeństwa.

– Nie wiem. – Leży na brzuchu na kanapie, z rękami ułożonymi pod brodą, jak dziecko, i szklistymi oczami. – Jest w tobie coś smutnego i pięknego. Próbuję to rozgryźć.

– Nie trać na to czasu. – Poprawiam się w fotelu i skupiam na nim wzrok. Jego uśmiech jest chłopięcy, ale ciało całkowicie męskie. Sposób, w jaki na mnie patrzy, tak intensywnie, jakbym go cała pochłaniała, przypomina mi Grahama we wczesnym okresie naszej znajomości.

– Chcesz wziąć sobie trochę do domu? – pyta. – Ja stawiam.

– Co to za pytanie? – warczę na niego, ale już po chwili czuję się z tego powodu okropnie. Co on sobie myślał? Nie wyjdę stąd z narkotykami. Od razu wyobrażam sobie, jak zatrzymuje mnie policja, robią mi zdjęcia do kartoteki, odbierają dzieci, Graham odchodzi...

On się podnosi i siada.

– Chodzi o to, że kiepsko się czuję z tym, co się ostatnio stało. To, co zrobiłaś... Po prostu czuję, że jestem ci coś winny w zamian.

– Ostatni raz był błędem. – Moje słowa jakby przecinają cienki

dym, który unosi się pomiędzy nami.

Nawet nie wiem, co wtedy myślałam.

Po prostu nie myślałam. I to było problemem. Byłam tak ujarana, że nie wiedziałam, co robię. Miałam za sobą straszny dzień. Czułam się samotna. Wątpiłam w swoje małżeństwo. Wątpiłam w swoją zdolność wychowania dzieci. Kwestionowałam każdą decyzję, jaką podjęłam w ciągu całego życia.

To wszystko wydarzyło się w mgiełce desperacji i przygnębienia. Ciągłe mi mówił, jaka jestem piękna, jakim mój mąż jest szczęściarzem, że jestem z nim, a ja to wszystko łykałam jak głupia licealistka, jak kobieta spragniona miłości, głodna uczucia.

A potem jego dłonie odnalazły moje włosy, a wargi usta, i zanim się zorientowałam, co się dzieje, już klęczałam, rozpinając mu rozporek. Jego pełne zadowolenia pomruki były niczym muzyka dla moich uszu. Z jego ust padały same sprośne pochwały. Pierwszy raz od bardzo dawna czułam się chciana. Pożądana. Doceniona.

Kiedy było już po wszystkim, wybiegłam z mieszkania jak wariatka.

W drodze do domu płakałam tak bardzo, że musiałam zatrzymać się na poboczu, żeby wziąć się w garść.

– To nie mógł być aż tak wielki błąd – mówi z nutką arogancji, która niezbyt do niego pasuje – skoro wróciłaś.

– Wybacz, ale nie znam zbyt wielu...

– Dilerów – kończy za mnie, przeczesując dłonią rozwichrzone jasne fale, które sięgają mu prawie do ramion. – Możesz tak mówić. Chyba że to słowo nie istnieje w twoim burżujskim słowniku?

– Nie wiem, czy próbujesz być zabawny, czy chcesz mnie obrazić – mówię, marszcząc czoło. – Tak czy inaczej, psujesz mi ten haj, więc możesz przestać?

– Jak sobie życzysz, Uptown Girl. – Przymyka powieki i rozciąga się na kanapie. Jego szczupłe ciało jest tak długie, że stopy dyndają w powietrzu.

– Czemu zawsze jesteś w butach? – Mam wrażenie, że moje ciało

bezwiednie przechyla się na bok. – Za każdym razem, gdy cię widzę, masz buty na nogach.

Z uśmiezkiem pod nosem gasi skręta w popielniczce.

– Nigdy nie wiem, kiedy stąd wybiegniesz.

Uśmiecham się ironicznie, próbując wymyśleć jakąś błyskotliwą ripostę, ale nagle zdaję sobie sprawę, że on wcale nie żartuje.

– Poza tym widziałas tę podłogę? – dodaje. – Nie bez powodu ciągle jest tu tak ciemno. Ciemność skrywa gówno.

– Mieszkasz sam, prawda?

– Na wieki wieków.

– Czasami można posprzątać, to nie zajmuje dużo czasu. Chyba mam gdzieś w domu zapasowy odkurzacz. Mogłabym ci go dać, jeśli chcesz.

Podnosi się i siada, opiera łokcie na kolanach. Jego twarz jest bez wyrazu.

– Tak. Właśnie tego potrzebuję. Babki w spodniach do jogi za dziewięćdziesiąt dolców ciągnącej za sobą cholerny odkurzacz Dyson do mojego domu. Jakby to nie było takie oczywiste.

Śmieję się. Ale on nie.

– Przepraszam... To wszystko jest dla mnie nowe – mówię. – Nie myślę jak ktoś, kto...

Nasze spojrzenia się krzyżują. Słowa zamierają mi na ustach. Nie jestem pewna, czy mogę dokończyć zdanie, nie obrażając go.

– Możesz powiedzieć, co chcesz. Mało rzeczy mnie obraża. Mam grubą skórę.

Odchyła się na oparcie, wsuwając dłonie za głowę i nie spuszczając ze mnie wzroku.

Pięć tygodni.

Od tak dawna tutaj przychodzę.

– Nie myślę jak ktoś, kto próbuje nie pakować się w kłopoty – wyrzucam z siebie. – Nigdy wcześniej nie miałam problemów.

Mamy układ, że spotykamy się o dziesiątej rano w każdy wtorek. On ma mój numer telefonu, jeśli chce odwołać spotkanie, ale generalnie wie, że przyjdę, tak jak obiecałam.

– Mamusiu, ja spędziłem całe życie, starając się unikać kłopotów – prychna, nie odrywając ode mnie wzroku. Bierze głęboki wdech, rozluźnia się i przygląda mi uważnie. – Opanowałem tę sztukę do perfekcji.

– Mogę być z tobą szczerą?

Wzrusza ramionami.

– Pewnie.

– Nie lubię, kiedy mówisz do mnie „mamusiu”. – Mam wrażenie, że pokój wiruje, ale mi to nie przeszkadza. – Mam trójkę dzieci, które cały dzień tak do mnie mówią. Przychodzę tutaj, żeby od tego uciec.

Przesuwa wierzchem dłoni pod nosem, wciąga głośno powietrze i wykrzywia usta.

– No dobra. To jak mam cię nazywać? Znamy się już ponad miesiąc, a ciągle nie powiedziałaś, jak masz na imię.

Rzeczywiście.

W ubiegłym miesiącu wjechałam mu w bagażnik we wschodniej części miasta, gdy mijałam biuro Grahama, żeby sprawdzić, czy jego samochód dalej tam stoi. Graham w ostatniej chwili odwołał lunch, na który byliśmy umówieni. Przez telefon sprawiał wrażenie dziwnie rozkojarzonego, co jest do niego niepodobne. Nie chcąc mieszać do tego policji ani firmy ubezpieczeniowej, zaproponowałam temu mężczyźnie pieniądze. Z początku był niechętny. A potem w ramach zaliczki wyciągnęłam banknot studolarowy z portmonetki oraz dałam mu swój złoty zegarek Bulgari. Uszkodzenie jego samochodu było widoczne gołym okiem: pręgi białej farby na jego chromowanym zderzaku i całkiem spore wgniecenie. Moje auto wyszło z tego prawie bez szwanku.

Po krótkim namyśle zapisał swój numer i adres, a ja zjawiłam się u niego następnego dnia z gotówką w kopercie. Nie spodziewałam się, że zaprosi mnie do środka i zaproponuje świeżo skręconego jointa, czyli zaprezentuje rozwiązanie moich problemów w postaci prostej, chwilowej ucieczki.

– Ty pierwszy – mówię.

Z początku nie chciałam znać jego imienia. To wydawało się bezcelowe, żeby się przedstawiać. Poza tym gdy nie pytałam go o imię, łatwiej mi było nie zdradzać swojego. Ale w tej chwili wydaje się to już prawie czymś głupim.

– Więc jeśli powiem ci swoje imię, ty powiesz mi swoje? – pyta z uniesioną brwią. W ciemności jego twarz składa się z samych linii prostych i krawędzi. Zatyka kosmyk włosów za lewe ucho i odchrząkuje, cały czas uśmiechając się ironicznie.

– Tak. Twoje prawdziwie imię – mówię. Biorę wdech, poprawiam się w fotelu, chłonąc ostatnie pół godziny tego magicznie euforycznego stanu. – Nie żadną ksywkę.

– W sumie podoba mi się ta atmosfera tajemnicy. To seksowne. – Unosi kącik ust, a w jego policzku pojawia się dołeczek. – Mimo że masz męża. Tak przy okazji, w normalnych okolicznościach bardzo bym to szanował, ale...

Oblewam się rumieńcem, chociaż jestem ciągle na haju.

– Doprawdy? To dlatego pozwoliłeś mi wziąć do ust swojego...

Przez jego twarz przemyka grymas.

– Po prostu powiedz „fiuta”, dobra? Zresztą byłem ujarany jak świnia, kiedy to zrobiłaś. A jesteś cholernie seksowna. Myślisz, że byłbym w stanie odmówić? Czego się spodziewałaś? Mój fiut nie schowałby się do środka tylko dlatego, że nosisz na palcu ogromny diament.

– W takim razie jednak nie szanujesz tego, że jestem zamężna. – Kątem oka łapię błysk swojego pierścionka.

– Nie słuchałaś mnie uważnie. Powiedziałem „w normalnych okolicznościach”. Ale problem w tym, że ty tego nie szanujesz. Bo gdyby tak było, nie byłoby cię tutaj.

– Przychodzę tutaj wyłącznie po to, żeby być na haju. Ostatnim razem przyłapałeś mnie na chwili słabości. To już się nie powtórzy.

Patrzy na mnie z przekrzywioną głową.

– Wiesz, jak często ludzie gadają takie bzdury? „To już się nie powtórzy. To był ostatni raz. To była jednorazowa akcja”. Nigdy w to nie wierzą. Podobno mieli przestać, ale w dalszym ciągu to

robią, bo to ich uszczęśliwia. Daje im to, czego potrzebują. I nieważne, czy to jest coś dobrego, czy złego.

Cofam się myślami do tamtego dnia. Do zimnej twardej podłogi, na której klęczałam, jego gwałtownie poruszających się bioder, gdy ja niemal dławiłam się jego penisem, dłoni wczepionych w moje włosy. Czułam, że jestem wolna. Czułam, że żyję. Czułam, że znowu potrafię czuć.

Ne myślałam wtedy o Grahamie. Myślałam o sobie. A nie robiłam tego chyba od paru dobrych lat.

– Nie możesz porównywać tego drobnego incydentu do obietnic narkomanów i kryminalistów. – Odgarniam z twarzy kosmyk włosów i wtykam go pod czapkę.

– Racja. Jesteś ponad taki syf. Zapomniałem.

– Nie jestem ponad nic.

– To dlaczego za każdym razem, kiedy tu przychodzisz, parkujesz trzy przecznicę dalej? Dlaczego upychasz tę swoją perfekcyjną blond fryzurkę pod czapkę baseballową? Wszyscy inni przychodzą do mnie normalnie. Parkują przed budynkiem. Biorą swój towar. Nie robią z tego jakiejś szopki.

– Nikt nie może mnie tu zobaczyć. Wiesz z jakiego powodu.

– Ale i tak tu wracasz.

– To skomplikowane.

– Życie jest skomplikowane. – Wzdycha. – Ale proszę bardzo, dalej sobie myśl, że twoje jest wyjątkowe, niepowtarzalne niczym płatek śniegu.

– Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz. – Mój haj szybko słabnie, a ja staram się go kurczowo trzymać. W momencie kiedy wrócę do samochodu, będzie już po wszystkim. Znowu zanurzę się w rzeczywistości, z której tutaj uciekłam.

– Co widzisz, kiedy na mnie patrzysz?

Jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się takiego pytania.

– Słucham?

Śmieje się.

– Jezu. Nawet na haju mówisz jak jakaś damulka z żurnala.

Pozwól, że ubiorę moje pytanie w inne słowa. Kiedy patrzysz na mnie, widzisz tylko jakiegoś dilerę czy osobę? Człowieka?

– Czemu pytasz?

– Zawsze ciekawili mnie ludzie tacy jak ty. Myślałem, że bogacze chodzą cały dzień i oceniają ludzi. Chciałbym wiedzieć, jak ty mnie oceniasz.

– To bardzo dziwne pytanie. – Próbuję się skupić. Przełykam ślinę, mam gardło wyschnięte na wiór. – Kiedy na ciebie patrzę – zaczynam mówić, skupiając na nim wzrok – widzę kogoś, kto wybrał inną drogę życiową. Jesteś inteligentny. Nie pozwalasz ludziom, żeby tobą pomiatali. Widzę kogoś, przy kim mogę być prawdziwa. Nie jesteś sztuczny. Podoba mi się to. Nazywasz rzeczy po imieniu. Nie owijasz w bawełnę. Jesteś chyba jedynym człowiekiem, przy którym mogę być sobą.

Milczy, wpatrując się w leżącego w popielniczce, wypalonego do połowy skręta. Wyciąga z kieszeni zapalniczkę i sięga po niego.

– W takim razie – mówi ze skrętem w ustach – to straszna szkoda. Prawdziwa tragedia.

– Nie rozumiem.

Przenosi spojrzenie na mnie.

– To smutne, że tylko przy mnie możesz być prawdziwa.

– To sarkazm? – Wskazówki zegara na jego stoliku pod telewizor świecą w ciemności. Czas się zbierać. Zaczynam szukać kluczyków w przedniej kieszeni i zaciskam palce na metalu. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdybym je zgubiła przez to upalenie.

On zaciąga się skrętem, a potem trzyma go pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym i podaje mi go. Kręcę głową i macham ręką.

– To nie był sarkazm, ale prawdę mówiąc – mówi, wypuszczając dym – nie jest mi Ciebie żal.

– Nie chcę, żebyś mi współczuł – warczę.

– To dobrze – odpowiada. – Jeśli nie możesz być sobą wśród ludzi, to już twój problem, a nie ich. Nie bądź jednym z dupków, którzy zwalają winę za swoje kłopoty na wszystkich dookoła.

– Bawisz się w psychologa?

– Paniusiu, wpadasz do mnie co wtorek od pięciu tygodni i otwierasz przede mną swoją duszę. Wystarczy ci parę buchów i już zdejmujesz maskę. – Znowu zaciąga się trawką. – Z początku myślałem, że masz ciężkie życie, ale teraz jestem przekonany, że sama się katujesz.

Krzywię się.

– Nawet nie wiesz, jak się nazywam. Jakim prawem oceniasz to, w jaki sposób żyję?

Wstaję, z dłońmi zaciśniętymi na kluczykach, rozglądając się po ciemnym pokoju, żeby się upewnić, że o nic się nie potknę w drodze do drzwi.

On też się podnosi i podchodzi do mnie. Otacza nas słodki, silny zapach trawki i dymu.

– Wystarczająco dużo o tobie wiem. Wiem, że twój mąż cię nie docenia. Wiem, że troje dzieci to rozpuszczone bachory. Wiem, że twoje koleżanki to zakłamanie czarownice. Twoje życie, Uptown Girl, to żart. Przychodzenie tutaj to dla ciebie najprawdziwsze chwile w całym tygodniu, i dobrze o tym wiesz. Dlatego tu wracasz. Daję ci coś, czego potrzebujesz. Coś, czego nie możesz dostać nigdzie indziej.

– Muszę już iść.

W ciemności sunę w stronę tylnych drzwi przy kuchni. Słyszę za plecami, jak stąpa w swoich sportowych butach po dywanie.

Odprawia mnie do drzwi. Idzie za mną tak blisko, że czuję jego gorący oddech na szyi.

– Mitch – mówi chwilę później, trzymając dłoń na klamce. – Mam na imię Mitch.

Rozdział ósmy

Autumn

Graham McMullen mija mnie biegiem o siódmej piętnaście w poniedziałkowy poranek. Z obnażonym torsem, opalony, szczupły. Jego mięśnie lśnią w późnomajowym słońcu. Ściskam dłońmi kubek z parującą kawą, wyglądam przez żaluzje, i obserwuję go tak długo, aż w końcu słyszę miękkie kroki Bena, który schodzi na dół.

Tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Nasze życia już prawie się nie przecinają i McMullenowie jakby coraz bardziej stawali się niedosiężni.

Moje próby dodzwonienia się do Daphne z komórki na kartę okazały się daremne. Nie odebrała. Ani razu. Nieważne, o której godzinie próbuję. Już dwa razy przekierowała moje połączenie od razu na pocztę głosową. Oczywiście w całości słucham wtedy jej nagranego powitania, a potem się rozłączam przed usłyszeniem sygnału.

– Dzień dobry – mówi, opierając się o dębową poręcz. Dzisiaj jest Memorial Day, więc jego biuro jest zamknięte, co zresztą widać po tym, co na sobie włożył: koszulka Coldplay i poszarpane džinsy. Ten strój bardzo się różni od jego zwyczajowego uniformu – garnitur plus krawat – i dochodzę do wniosku, że wolę, kiedy jest elegancko ubrany. Postanawiam też, że nigdy mu o tym nie powiem, tak samo jak nie zdradzę, że kolekcja krawatów w jego garderobie była mocno zainspirowana tymi, które miał na sobie Graham na zdjęciach wrzucanych przez Daphne do Instaface.

Graham nosi często kratkę i barwy dopełniające. Łączy szare garnitury z różowymi i zielonymi krawatami w kratkę. Granatowe garnitury z ciemnopomarańczowymi koszulami w kratę. Graham jest – w najlepszym sensie – żywą reklamą galerii handlowych. Jego styl jest klasyczny, elegancki, ale niewymuszony, dzięki czemu przypomina mi uśmiechniętych tatusiów w reklamach, tych rzucających piłką futbolową w koszulkach polo i spodniach od garnituru zaprasowanych w kancik.

– Dzień dobry – mówię, unosząc kubek do ust. – Napijesz się kawy?

Ben nie przepada za kawą, ale zawsze mu ją proponuję. Właśnie takimi małymi rzeczami można u niego dużo zdziałać. Lubi wiedzieć, że zawsze o nim myślę. Że zawsze jest w mojej głowie.

Są dni, kiedy chciałabym, żeby tak było.

Wtedy moje życie byłoby znacznie prostsze.

– Co chcesz dzisiaj robić? – Zeskakuje z ostatniego schodka i wchodzi do kuchni, a potem zaczyna grzebać w lodówce, strasznie hałasując. Zastanawiam się, czy robi to specjalnie... może dziś rano chciał się obudzić i ujrzeć gotowe pyszne śniadanie? Nie, on nie jest taką osobą. Nie jest pasywno-agresywny.

– Chcesz wyjść z psem na spacer? – pytam. Przydałaby mi się wymówka, żeby minąć dom McMullenów, a spacer z Ginger to idealna wymówka. – Dzisiaj jest ładnie.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Pies, leżący chwilę temu na swoim miejscu na miękkiej sofie, zaczyna nagle ujadać. Po chwili oddala się auto listonosza. Zanim mam szansę powstrzymać Bena, on już kroczy przez salon do drzwi, otwiera je i podnosi z ziemi przesyłkę.

– Zamawiałaś coś? – pyta, czytając naklejkę. – Z Trina's Trinkets?

Zatykając kosmyk włosów za ucho, przywołuję na twarz obojętną minę i zabieram mu pudełeczko.

– To tylko bransoletka z wisiorkiem. – Biorę paczkę pod pachę, a Ben nie kwestionuje faktu, że odkąd jesteśmy ze sobą od dwóch lat, ani razu nie miałam na sobie takich rzeczy.

Idę na górę do pokoju gościnnego na końcu korytarza. Nigdy tego nie ustalaliśmy, ale ten pokój należy do mnie. W szafach są moje rzeczy. Przy ścianie stoi mój kredens, a na środku moje łóżko. Kiedy wprowadziliśmy się do tego domu, nie chciałam sprzedawać wszystkiego, co miałam, bo istniało jakieś prawdopodobieństwo, że to wszystko nie wypali. Wszystko, co mam – czyli niewiele – znajduje się w tym pokoju, a Ben, z tego, co wiem, trzyma się od niego z dala. Zresztą nie ma powodu, żeby tutaj zaglądać. Nie zainteresowałoby go nic, co mógłby tutaj znaleźć.

Delikatnie zamykam drzwi, klękam na podłodze i zaczynam macać pod łóżkiem, aż dotykam palcami małego drewnianego pudełka. Przyciągam je po dywanie, unoszę wieczko i odsuwam na bok, żeby zająć się otwieraniem paczki.

Złoty medalion, który zamówiłam w sklepiku internetowym, leży starannie ułożony na aksamicie w małym pudełeczku. Jest owalny, długi na półtora cala, a w środku ma wygrawerowaną pochyłą literkę G. Ostrożnie wsuwam paznokiec pod zapięcie, otwieram je i uśmiecham się, gdy widzę laserowo wydrukowany portret uśmiechniętej Grace, spoglądającej na mnie.

Przez dłuższą chwilę podziwiam ten mały skarb, a potem chowam go do drewnianego pudełeczka razem z resztą swoich „pamiątek”. Próbką pachnących kwiatami pomarańczy perfum Jo Malone, których używa Daphne. Szminką Chanel, którą kiedyś poleciła. Poszetką od Toma Forda z wyhaftowanymi inicjałami Grahama. Kolekcją zdjęć Grace, które sobie zapisałam i wydrukowałam. Listem dla McMullenów od dalekiego kuzyna, który przez przypadek trafił do naszej skrzynki pocztowej. Różnymi rzeczami, które Daphne zachwalała na Instafacie: kremami do rąk, szamponami, herbatkami oczyszczającymi, przyborami do pisania i kremami do twarzy.

Wszystko, co znajduje się w tej skrzyneczce, jest fizycznym, trójwymiarowym ucieleśnieniem ich rodziny.

Słyszę głośnie kroki Bena i wracam do rzeczywistości. Szybko odkładam medalion do szarego pudełeczka, a potem do drewnianej

skrzynki, którą zamykam i wsuwam z powrotem pod łóżko. Poprawiam narzutę na łóżku, żeby je zasłoniła.

Wstrzymuję oddech, żeby nie wydawać żadnego dźwięku, nasłuchuję z uchem przytkniętym do drzwi, a potem słyszę, jak Ben wraca na dół.

Muszę przestać być taka ckliwa.

Rozdział dziewiąty

Daphne

– Co mnie ominęło?

W poniedziałkowy poranek Graham wchodzi do kuchni i bierze jabłko z koszyka z owocami ustawionego na blacie. Wgryza się w nie, wycierając kroplę soku z dolnej wargi, a potem się uśmiecha. Jego ciemne włosy są ciągle wilgotne po prysznicu, a skóra lśni od porannego joggingu.

Nie informuję męża, że Grace ukradła Rose ostatni placek ani że Sebastian dźgnął Grace widelcem. Powinien być tutaj z nami dziś rano przy śniadaniu, siedzieć przy stole, gdy ja gotowałam i podawałam jedzenie, ale zamierzam starannie decydować, o co powinnam walczyć.

– Jesteś dzisiaj w dobrym humorze – mówię, płucząc talerze w zlewie, a potem idę do stolika. Wilgotną ściereczką przemywam Sebastianowi oblepioną buzię i palce. On zeskakuje z krzesła, biegnie w stronę ojca i oplata się wokół jego lewej nogi.

Graham nachyla się, mierzwi mu włosy, a ja dostrzegam kawałek czarnej rękawiczki wystającej mu z krótkich chinosów. Jego opalone ręce ładnie się komponują z niebieskim odcieniem koszulki polo do golfa. Jest ubrany na partyjkę osiemnastu dołków.

– Idziesz grać w golfa? – pytam. – W urodziny Rose.

Kiwa głową.

– A nie grałeś w czwartek rano? – Stoję odwrócona do niego plecami, z dłonią zaciśniętą na kranie.

– Tylko szybkie dziewięć dołków z Treyem DuMontem.

Nigdy nie słyszałam, żeby Trey DuMont rozegrał „szybkie dziewięć dołków”. Zawsze jest ich osiemnaście, a potem dwie rundki piwa w Pueblo Cantina. Gdy Graham spędza czas z Treyem, jestem szczęściarą, jeśli uda mi się go ściągnąć do domu przed kolacją, a nawet wtedy zwykle jest tak napełniony piwem i barowym żarciem, że nie ma ochoty na misterny posiłek, który przygotowałam.

Graham brzęczy kluczykami, co oznacza, że nie zmieni zdania, a mnie się nie chce go przekonywać. Ostatnim razem, gdy próbowałam, była to zupełna strata czasu, tak samo jak przedostatnim razem. Rzadko udaje mi się namówić tego faceta, by spędził spokojny wolny dzień ze swoją rodziną, i nie jestem pewna, dlaczego tak jest.

– O której wrócisz? – pytam, jakby to miało jakieś znaczenie. Gdy Graham mówi, jak długo go nie będzie, zwykle trzeba dodać do tego trzy czy cztery godziny.

– Nie wiem.

Obracam się do niego. Czuję, jak pieką mnie oczy, ale nie chcę płakać. Nie chcę wyglądać jak ktoś żaloszny i samotny przed własnym mężem, któremu jakoś zawsze udaje się trzymać fason.

– Przyjęcie zaczyna się o trzeciej, więc... – Nie kończę zdania. Nie wiem, po co w ogóle się odezwałam.

– Będę już wtedy z powrotem. Co dzisiaj robicie? – pyta.

Co „robimy”?

Dla niego jesteśmy jedną osobą – ja i dzieci. I zawsze mówi do nas „wy”, jakby nie należał do naszej paczki.

Nie odpowiadam. Powinien wiedzieć, że będę piekła ciasto, szykowała torebki z prezentami dla gości, przygotowywała gry i zabawy, i jednocześnie przez cały czas pilnowała dzieci.

– No dobra... – Spogląda na ekran telefonu, przesuwając po nim palcem, jakby przeglądał jakiś fascynujący artykuł, który całkowicie przyciąga jego uwagę. – W dzisiejszych czasach dzieci za mało się ruszają.

– Głupia uwaga. – Wzdycham po cichu, ale on nawet tego nie

zauważa.

Nasze dzieci bardzo dużo się ruszają, ale oczywiście on nie ma o tym pojęcia. Nie ma go z nami, kiedy prowadzę je na lekcje tańca, treningi piłki nożnej czy karate.

– Więc kiedy wrócisz? – pytam znowu, mając nadzieję, że tym razem otrzymam lepszą odpowiedź.

Graham odrywa wzrok od komórki i mruży oczy.

– Zależy, kochanie. W święta w klubie robi się tłok. Mamy zrobioną rezerwację, ale zależy, ile osób będzie przed nami i czy Treyowi będzie dzisiaj dobrze szło.

Śmieje się pod nosem, krocząc przez kuchnię w stronę wejścia do garażu.

– Może po imprezie, jak dzieci już pójną spać, otworzymy butelkę czerwonego wina i obejrzymy jakiś film? Tylko ty i ja? – Posyła mi lekki uśmiech z dołeczkami i intensywne spojrzenie, a ja na chwilę zapominam o swojej irytacji wywołanej faktem, że w dniu urodzin córki ucieka od rodziny. – Co o tym myślisz?

Kiwam głową, wycierając dłonie w suchą ściereczkę do naczyń.

– Kiedy ostatni raz mieliśmy prawdziwą randkę? – pytam.

Spogląda w bok, zaciskając usta.

– Dobrze pytanie, skarbie. Nie wiem. Chyba dawno temu.

– Może w przyszły weekend wynajmiemy opiekunkę do dzieci? Na Broadwayu leci przedstawienie, które bardzo chcę zobaczyć, a którego nie będą długo grali. Moglibyśmy kupić bilety. A może nawet przenocować w jakimś fajnym hotelu? Spędzić wspólnie cały weekend? Takie jakby miniwakacje.

Graham zatrzymuje się przy drzwiach, z palcami na klamce.

– Przyszły weekend, przyszły weekend...

– Mogłabym poprosić mamę, żeby zaopiekowała się dziećmi.

– Twoja mama mieszka w Boca Raton.

– Zaproszę ją na parę dni. Bardzo chciałaby zobaczyć się z wnukami. – Z uniesioną brwią czekam na jego aprobatę. Układam usta w uśmiech i prawie błagam go w myślach, żeby okazał chociaż odrobinę ekscytacji moim pomysłem. – Szczególnie

jeśli zafundujemy jej przelot.

Wypuszcza powietrze i otwiera drzwi.

– Dobra. Zadzwoń do niej. Jeśli wszystko załatwisz, to pojedziemy.

Jego monotony głos gasi mój entuzjazm. Już po chwili Graham znika. Słyszę odgłos otwieranych drzwi do garażu, a potem odjeżdżającą tesłę. Parę sekund później przejeżdża po naszej ocienionej drzewami ulicze.

Tracę go.

A może już go straciłam.

Może kurczowo trzymam się widma tego, co kiedyś było, ale co już zniknęło.

Czuję, że skóra mi płonie, a oczy pieką. Gdy zaczyna drzeć dolna warga, już wiem, że nie wygram tej walki. Słyszę, jak moje dzieci śmieją się za ścianą, a potem szarpię za tylne drzwi i wypadam na patio, dusząc się.

Potrzebuję chwili samotności. Muszę to z siebie wyrzucić, a nie chcę, żeby one widziały mnie w takim stanie. To jeszcze dzieci. Moje dzieci. Nie chcę, żeby się o mnie martwiły.

Padam na stojący w cieniu wiklinowy fotel, zakrywam twarz dłońmi i zaczynam płakać, najciszej, jak to możliwe, tłumiąc rękami szloch.

Tęsknię za tym Grahamem, w którym się zakochałam.

Ten nowy Graham, coraz bardziej pochłonięty wyłącznie własną osobą, jest dla mnie obcym człowiekiem.

Nie znam go.

Nie wiem, w kogo się zmienił.

Co to mówi o naszym małżeństwie, jeśli nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio trzymał mnie za rękę? Zaplanował dla nas wieczorną randkę? Zabrał mnie na jakąś biznesową kolację i pod stolikiem wsunął dłonie pod moją sukienkę?

Niegdyś byliśmy nierozłączni.

Niezaspokojeni.

Kiedy przestałam mu wystarczać?

Kiedy przestałam być jego obsesją?

W ciągu paru minut wyrzucam to wszystko z siebie. Nasz ogródek jest duży, ma ponad pół akra, otaczają go ogromne drzewa i ogrodzenie z kutego żelaza, oddzielające działkę od domków w starym stylu, które stoją z tyłu. Zawsze chcieliśmy zmienić to ogrodzenie, postawić jakieś nowsze, pasujące do całej reszty, ale przez lata te plany spadły z listy priorytetów, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie widzieliśmy żadnych sąsiadów mieszkających za nami.

Gdy wreszcie kończę płakać i bezwstydnie użalać się nad sobą, wycieram wierzchem dłoni wilgotne od łez policzki i zaciągam się mglistym porannym powietrzem. Podnoszę się, żeby wrócić do środka, ale nagle dostrzegam coś w oddali.

Jakaś kobieta.

Wpatruje się we mnie z domu za nami.

Przynamniej wydaje mi się, że to kobieta. Z takiej odległości nie mogę być pewna.

Boże, ale jestem idiotką. Powinnam pobiec do swojego pokoju i tam wypłakać się jak każdy normalny człowiek, ale zdarzają się dni takie jak ten, kiedy czuję się tam bardziej jak w więzieniu, a nie we własnej cichej świątyni.

Pieką mnie policzki, ale uśmiecham się przepraszająco, a potem wracam do środka. Naprawdę jest mi przykro, że ona widziała, jak się rozkleiłam.

W ostatniej chwili zatrzymuję się i macham do niej.

Ona tam dalej stoi, nieruchomo, obserwując mnie.

A potem nagle zamyka żaluzje i znika.

Rozdział dziesiąty

Autumn

Gdy wjeżdżamy na podjazd, już prawie zapada zmierzch. Cały dzień tak szybko zleciał. Dopiero się zaczął, a już się kończy. W jednej chwili popijam kawę i podziwiam widoki, a w następnej już muszę polować w Forrest Hills na stare filizanki dla matki Bena. To był jego pomysł, żebyśmy na jeden dzień wyrwali się z Monarch Falls.

Przynajmniej obiad był dobry: pomidorowa zupa krem i sałatka. Ben pożarł swój ledwo mieszczący się na talerzu placek lotaryński, jakby nie jadł od miesiąca.

A ja udawałam, że nie jestem zażenowana jego zachowaniem.

Jestem pewna, że dla każdego człowieka wyglądaliśmy jak przeciętna, typowa para białych dwudziestoparolatków. Nudni i zwyczajni pod każdym względem. Wyglądamy jak nowożeńcy, którzy właśnie wprowadzili się do domu obok, gotowi pożyczyć szklanekę cukru albo strzyc trawnik nowiutką, lśniącą kosiarką.

Czasami się zastanawiam, czy Ben ma jakieś tajemnice. Jeśli tak, doskonale mu wychodzi ich ukrywanie. Myślę jednak, że nie ma żadnych sekretów, chociaż fajnie by było, żeby miał, zrobiłoby się nieco ciekawiej. Nie pojawia się w domu w dziwnych godzinach. Nigdy nie ma podejrzanego miny. Nie ma żadnych dziwactw ani ekscentrycznych cech, które kazałyby mi kwestionować to, kim jest lub kim twierdzi, że jest.

Ten facet nawet w laptopie nie ukrywa folderu z pornografią. Wiem, bo szukałam. W łóżku nie wykazuje żadnych perwersyjnych

zachcianek. Lubi całkowicie zwyczajny, typowy seks. Jego ulubioną pozycją jest misjonarska.

Dzięki temu chyba mi łatwiej.

– Co będziesz robiła, kotku? – pyta, wjeżdżając powoli do garażu. Wyłącza silnik, odpina pas i obraca się do mnie. – Chcesz wyskoczyć na lody albo coś w tym stylu?

Nie.

Nie chcę wyskoczyć na lody, Ben.

Dopiero dotarliśmy do domu. I chcę tutaj zostać.

Poza tym nie każdy z nas został obdarzony metabolizmem młodego pływaka olimpijskiego. Ben może zjeść wszystko. I właśnie to robi. Byłam świadkiem, jak wtrzyił ogromną pizzę, pół patelni pałeczek chlebowych z serem, dwie trzecie paczki czekoladowych ciasteczek i ciągle jęczał, że z głodu burczy mu w brzuchu.

Gdybym jadła tyle, co on, byłabym górą tłuszczu. Ben jest dobrze zbudowanym facetem, ale jednak szczupłym. Wciąż może się pochwalić sylwetką biegacza, chociaż nie biega już tak często jak kiedyś.

Nie każdy z nas dostał w prezencie dobre geny.

Niektórzy urodzili się z mniej pożądanymi genami, które zaśmiejają nasze DNA.

Niektórzy z nas urodzili się z takim DNA, że każe nam ono chcieć rzeczy, których nie powinniśmy mieć, robić rzeczy, których nie powinniśmy robić, a tak naprawdę wszystko sprowadza się do tego, że każdy człowiek jest jakoś zbudowany i nie możemy tego zmienić.

Ben i ja wysiadamy z auta i wchodzimy do środka. Już słyszę, jak Ginger drapie w drzwi, więc śpieszę się, żeby ją wypuścić. Chwytam za skórzaną obrozę, przypinam smycz i wychodzę do ogródka, ciesząc się, że będę mogła pobyc przez chwilę sama i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ginger nie traci czasu, załatwia się, a potem wraca do mnie, skacze na tylnych łapach i prosi, żebym ją podniosła. Biorę ją na

ręce i pozwalam się lizać po twarzy. Zostaję na dworze trochę dłużej. Jej oddech brzydko pachnie. Dosłownie jak kupa. Ale to mi nie przeszkadza, bo jest moim dzieckiem i może robić najgorsze rzeczy, a i tak będę ją szaleńczo kochała.

Bo miłość właśnie jest taka pokręcona.

Spoglądam w dal, przez ogrodzenie, które oddziela naszą działkę od terenu McMullenów. Widzę ładnie zawieszone światelka, zwisające z zadaszonego patio, i jakąś nieznaną kobietę, pewnie wynajętą do pomocy, która wyciąga z basenu kółka do pływania i ręczniki.

Wzdycham, siadam na jednym z krzeseł na tarasie i pozwalam psu ułożyć się na moich kolanach.

– Tęskniłam za tym wszystkim – mówię do Ginger, wtulając nos w jej ucho.

Zrywa się wiatr, a mnie przechodzi lekki dreszcz. Liście dębów, które ocieniają ogród McMullenów, szeleszczą na wietrze, jakby zapowiadały burzę. Po niebie przemyka błyskawica, a potem zaczynają spadać krople deszczu, które lądują na moim nosie i policzkach. Uwielbiam letnie burze, tak intensywne i gwałtowne.

Ginger zeskakuje z moich kolan, człapie do tylnych drzwi i zaczyna je drapać. Nie cierpi burzy, a wie, że nadciąga. Dołączam do niej, ale wcześniej ostatni raz rzucam okiem na pozostałości po przyjęciu z okazji siódmych urodzin Rose McMullen.

Wracamy do środka. Ben jest już ubrany w spodnie dresowe i ulubioną koszulkę Red Soxów. Siedzi zgarbiony, z łokciami opartymi o kolana i wzrokiem wbitym w wiadomości sportowe migające na ekranie. Ginger z rozbiegu wskakuje na sofę i zajmuje miejsce u jego boku.

Zdrajczyni.

– Burza się zaczyna – mówię i ruszam na górę, żeby się przebrać.

– Nie wiedziałaś, że zapowiadali? – pyta, ciągle skupiony na telewizji.

Nie oglądam wiadomości. Nigdy. Zupełnie mnie nie obchodzą prognozy pogody ani aktualności. To zbyt dołujące. Chyba dlatego

raczej grawituję w stronę mediów społecznościowych. Wszystko, co tam można zobaczyć, jest ładne, bo większość ludzi dzieli się tylko najlepszymi momentami, a nigdy brzydkimi, bezużytecznymi scenami, które lądują na podłodze w montażowni. To dokładne przeciwieństwo wieczornych serwisów informacyjnych.

Na Instafacie zawsze panuje słoneczna pogoda, nawet jeśli to słońce jest sztuczne.

Ale Daphne nie jest sztuczna. Ona jest totalnie autentyczna. Nie musi się chować za kłamliwymi wiadomościami i pozowanymi zdjęciami z rodziną. Krótko mówiąc, oni są idealni.

Nie da się udawać takiej miłości, jaka ich łączy.

Rozdział jedenasty

Daphne

– To znowu ty. – Mitch udaje, że wcale się nie cieszy, że mnie widzi, ale zdradza go uśmiech, który powoli pojawia się na jego twarzy. Otwiera szerzej drzwi, a ja zaciągam się powietrzem nasyconym słodkim dymem trawki. – Jak ci leci, Uptown Girl? Miałaś przyjemny, yyy... świąteczny weekend? Co robiłaś? Pływałaś łódką? Robicie takie rzeczy? Cholera. Co bogacze robią w wolnym czasie?

– Mieszkasz w tym domu – mówię, idąc za nim do ciemnego pokoju ozdobionego kocami z podobiznami członków Grateful Dead – ale nie wierzę, że jesteś tak biedny, jak twierdzisz.

Śmieje się pod nosem i siada ciężko na środku zapadniętej kanapy.

– Nigdy nie mówiłem, że jestem biedny.

– Gdy używasz terminu „bogacze”, sugerujesz, że do nich nie należysz – odpowiadam. – Nie przekonasz mnie, że handlujesz prochami, bo to twoja wielka pasja. Zyski muszą przewyższać ryzyko, bo w przeciwnym razie byś się tym nie zajmował.

– Nie mylisz się. – Chwyta torebkę trawki i wyjmuję kciukiem i palcem wskazującym parę liści, które upuszcza na bibułkę. – Tutaj nie można żyć w taki sposób, jakby miało się forszę. Nie w tej części miasta. Potrzebowałbym ochroniarzy i wściekłych psów, a tak naprawdę pragnę prostego życia. Nie chcę się martwić, że w nocy włamią mi się do mieszkania jakieś bandziory i zaczną grzebać pod parkietem i materacami. Staram się nie rzucać

w oczy.

– Mądrze robisz.

– A bogaci ludzie tacy jak ty nie chcą, żeby kolesie tacy jak ja wprowadzali się do waszych burżujskich dzielnic.

Zwija bibułkę, ślini ją i skleja, a potem wyciąga zapalniczkę z kieszeni. Dwa razy wciska ją kciukiem, wreszcie pojawia się płomień. Ze skrzytem w ustach patrzy mi prosto w oczy.

Moje ciało pragnie tego wyzwolenia, tego haju, a palce zaciskają się nerwowo na oparciu fotela, na którym usiadłam. Mitch bierze dwa powolne buchy i podaje mi skręta. Zaciągam się nim łapczywie, rozpaczliwie. Zdaję sobie sprawę, że kiepsko to wygląda, ale tutaj, z Mitchem, to nie ma znaczenia.

On akceptuje mnie taką, jaka jestem. Nie nabiera się na moją starannie skonstruowaną fasadę. Potrafi ją prześwietlić: widzi wady i defekty, brzydotę i słabości. A mimo to mnie nie odtrąca.

– Powiesz mi kiedyś, jak masz na imię? – pyta, wpatrując się we mnie. – Myślałem, że ostatnim razem na coś się umówiliśmy. Ja ci mówię, jak się nazywam, i ty robisz to samo, pamiętasz? Ja dotrzymałem umowy, ale ty uciekłaś jak oparzona.

– Wcale nie uciekłam. Mówiłam, że muszę iść.

Znowu zaciągam się i odchylam na oparciu fotela. Staję się lżejsza wraz z każdą powoli mijającą sekundą.

– Poza tym lubię, kiedy nazywasz mnie Uptown Girl – mówię.

– Nie ściemniaj. Zrobiłaś mnie w balona. Taki gówniany numer nie przeszedłby z kimś innym w tej okolicy. Lepiej, żebyś o tym wiedziała. Nikt nie zasługuje, żeby tak go wyrolować. To jest obraźliwe.

– Nie chodzi o to, że nie chcę ci powiedzieć, jak mam na imię – tłumaczę. – Po prostu nie chcę być sobą, kiedy tu przychodzę. Czy to ma sens?

– Nic, co ma związek z tobą, nie ma sensu. – Nachyla się do przodu, opierając łokcie na podartych kolanach dzinsów i wpatrując się we mnie uważnie. – I to jest chyba najlepsza rzecz w tobie.

– Nie mam pojęcia, czy chcesz mnie obrazić, czy nie. – Znowu się

zaciągam. Nie poprosił, żebym oddała mu skręta. Wydaje się całkowicie pochłonięty moją osobą. – Z tobą nigdy nic nie wiadomo. Trudno cię rozszyfrować.

– To dobrze. Nie chcę być kolesiem, którego ludzie mogą rozgryźć. Z tego nic dobrego nie wynika. Jak cię rozgryzą, to cię wykorzystują. Tak to działa. Odkrywają twoje słabości i to wykorzystują.

Ciekawe, czy Graham odkrył moje słabości. Może od początku je znał? Może je wykorzystuje, a ja nawet tego nie zauważyłam.

– A mnie łatwo rozgryźć? – Moje rozluźnione ciało napina się, gdy czekam na odpowiedź. Mitch jest dla mnie zagadką, ale wiem, że nie owija w bawełnę.

Opiera się o kanapę, zakłada ręce na piersi, przekrzywia głowę i bierze głęboki wdech.

– Tak i nie – odpowiada. – Niektóre rzeczy są w tobie tajemnicze. A inne... niesamowicie banalne i przewidywalne.

– Auć.

Wreszcie sięga po skręta.

– Sama się o to prosiłaś. Nie pytaj, jeśli nie chcesz wiedzieć.

– W porządku.

Czuję, jak w moje kości wnika przyjemne, spokojne ciepło. Mam wrażenie, że całe ciało, każda komórka, zostało rozcięte obsydianowym nożem, ale w niesamowicie przyjemny, mistyczny sposób.

– Czuję się jakoś dziwnie – mówię głosem równie miękkim jak ciało. – Czuję, jakbym mogła... nie wiem, coś namalować.

Zdaję sobie sprawę, że zachowuję się nedorzecznie, ale mam to gdzieś. W tej chwili chyba nic mnie nie obchodzi.

Mitch śmieje się, kładąc sobie dłoń na płaskim brzuchu.

– Dzisiaj palimy Lamb's Bread. To nowy towar w okolicy. Dostałem go wczoraj wieczorem od dostawcy z Zachodniego Wybrzeża.

– Lamb's Bread? – Przez chwilę się zastanawiam, w jakiej skrytce coś takiego mogło przejechać cały kraj.

Dochodzę do wniosku, że wolę tego nie wiedzieć.

– Daje jeszcze mocniejszego kopa – mówi. – Sprawia, że stajesz się introspektywna, kreatywna i takie tam. Bob Marley to jarał.

– Aha. – Wtulam się w sfatygowane poduszki ułożone na fotelu. Moje ramiona luźno zwisają po bokach. Zamykam oczy i zanurzam się w tym niesamowitym, euforycznym stanie. – A czym zazwyczaj mnie częstujesz?

– Blue Haze – mówi od razu. – Specjalnie na twoją nerwicę.

– Nerwicę? – Uśmiecham się ironicznie. – Myślisz, że jestem na to chora?

– Żartujesz? Boże, kobieto, nigdy nie spotkałem kogoś tak spiętego jak ty. Od samego patrzenia na ciebie robię się nerwowy.

– Przestań gadać – mówię, zaciągam się i czuję, jak oczy uciekają mi w tył głowy. – Tym razem chcę naprawdę się podelektować.

Mitch włącza muzykę, dzięki której mam wrażenie, że znajduję się w jakimś tajemnym, undergroundowym klubie na Manhattanie. Rytm jest spokojny, ambientowy. To niesamowite, że on zawsze wie, czego dokładnie potrzebuję, chociaż prawie mnie nie zna.

Wczoraj wieczorem Graham przyniósł mi po pracy kwiaty. Nie robił tego od wielu miesięcy, więc postanowiłam go nie poprawiać, kiedy z dumą oświadczył, że wszędzie szukał bukietu żółtych tulipanów, bo pamiętał, że najbardziej je lubię.

Kiedyś przynosił mi żonkile.

Bo żonkile to moje ulubione kwiaty.

No ale i te, i te są żółte.

Kiedyś dobrze mnie znał. Nie wiem, jak mężczyzna może zapomnieć, jakie są ulubione kwiaty kobiety będącej jego żoną od dwunastu lat.

Czuję się jednocześnie lekka jak powietrze i ciężka jak kamień, ciało i umysł są tak przyjemnie rozdzielone. Odgłos szurania butów o podłogę każe mi podnieść powieki. Mitch stoi przede mną, zatapiając we mnie poważne spojrzenie.

– Co? – Prostuję się gwałtownie. – Czemu tak na mnie patrzysz?

Przypominam sobie, jak tydzień temu spojrział na mnie w ten sposób po raz pierwszy.

– Czy to dziwne? – pyta. Sięgające mu do ramion włosy w odcieniu piasku są zatknięte za uszy, a brodę ocienia mu zarost. Jest przeciwieństwem Grahama, który zawsze jest taki gładki i zadbany, ale potajemnie nie mogę się oprzeć jego urokowi.

Kładę rękę na piersi. Moje serce na chwilę przyśpiesza. Otwieram usta, ale mam sucho w gardle.

– Przestanę, jeśli się boisz – mówi z łagodnym uśmiechem. – Po prostu jesteś zajebiście ładna, to wszystko. Jak aktorka z Hollywood. Jedna z tych gwiazd z lat czterdziestych. Kiedy się upalę i patrzę na ciebie, totalnie odlatuję. Tracę poczucie czasu. Ale może to przez trawkę.

Odchrząkuję, a moje ciało się napina.

– Tak, to jest dziwne.

Dziwne, ale mi się podoba.

– Spoko. Nie będę już tego robił. – Idzie do kuchni. Słyszę brzęk szklanek, a potem trzaskanie drzwiami lodówki. Gdy wraca, trzyma w dłoni dwie butelki piwa. – Wiem, że jest środek dnia, ale Lamb's Bread i jasne piwo to genialne połączenie.

Nie piłam piwa od siedemnastu lat. Ostatnio to robiłam na pierwszym roku studiów, gdy Graham zaciągnął mnie na imprezę, gdzie każdy żłopał piwo z beczki.

Nigdy tak nie wymiotowałam jak tamtego wieczoru.

Graham zabrał mnie do domu, całą noc przy mnie czuwał i trzymał za włosy, kiedy rzygałam w kiblu. Przynosił mi wilgotne ręczniki i czystą piżamę i nie opuszczał mnie na dłużej niż minutę. Nazajutrz rano zrobił mi tosty z masłem i pojechał do sklepu po ginger ale, ciągle przeklinając siebie, że zabrał mnie na tamtą imprezę.

Tamten mężczyzna był w stanie poruszyć niebo i ziemię, żeby zadbać o to, bym dobrze się czuła. Opiekował się mną. Traktował mnie łagodnie. Był wrażliwy na moje uczucia.

– Nie, dzięki – odmawiam, prawie czując w ustach smak tamtego

piwa i wymiocin. Robi mi się niedobrze.

– Jak sobie chcesz. – Mitch wzrusza ramionami i odstawia butelkę na stolik, a potem otwiera swoją. Opada na kanapę i opiera nogi o blat. Dotyka ustami szyjki butelki, dostrzegam kawałek jego języka. Upija łyk i wzdycha zadowolony. Piwo w butelce chlupocze, gdy ta wraca do pionu.

– Myślę, że przez parę następnych wtorków mnie nie będzie – informuję go.

Mitch prychnął z pogardą.

– Jasne.

– Nie, mówię poważnie. Kiedy skończy się rok szkolny, zostanę sama z dziećmi. Nie wiem, kiedy znowu będę mogła się wyrwać. – Boże, będzie mi tego brakowało. Te poranne wtorkowe spotkania dają mi energię na cały tydzień. Ostatnio właśnie dla nich żyję i mam pełną świadomość tego, że brzmi to jak coś kompletnie popieprzonego.

– Może weźmiesz sobie trochę do domu?

– Nie mogę. – Wciągam nogi pod siebie i zwijam się w kłębek w fotelu. Mam ochotę uciąć sobie drzemkę w tej pozycji. Chcę spać przez milion lat, otulona tą rozkoszną mgiełką. – Nie wiedziałabym, jak to przewieźć, gdzie schować...

– Ej, Uptown Girl, wszystkiego cię nauczę. – Wstaje, przesuwając dłońmi po podartych dzinsach i spogląda w stronę przedpokoju. Wychodzi, ale szybko wraca z małą foliową torebką, w której jest dość towaru na parę porządnych skrętów. – Będę musiał cię teraz kasować. Ta działka kosztuje sto dolców, a to promocyjna cena.

– Nie mam przy sobie forsy – odpowiadam, zastanawiając się, czy woreczek zmieści się w mojej przedniej kieszeni, a wyrzucenie nie będzie zbyt widoczne. Potrząsam głową, ganiąc się w duchu za to, że w ogóle brałam to pod uwagę. To jest jakiś obłąd. Nie mogę tego zrobić. Przecież właśnie z tego powodu przychodzę do niego. – W porządku. Nie powinnam.

Wzdycha i opuszcza rękę z trawką, zaciskając mocno palce na

woreczku.

– Dobra, spoko. Twoja decyzja.

– Nie mogę palić w domu – wyjaśniam. – To byłoby coś złego. Nie mogę tego robić przy dzieciach. A gdyby mój mąż się dowiedział...

– Tak, tak. Wiem, masz swoje powody. Jesteś idealną matką i tak dalej.

Prycham ponuro.

– Daleko mi do idealnej matki.

– Wątpię. – Przesuwa wzrokiem po całym moim ciele. – Założę się, że pieczesz ciasteczka i czytasz im bajki do poduszki. Na pewno jesteś taką matką, o jakiej marzy każdy dzieciak. Taką, jakie istnieją tylko w filmach rodzinnych.

Przewracam oczami.

– Chciałabym. Może gdyby to była prawda, moje najstarsze dziecko nie byłoby takie niegrzeczne.

– Niegrzeczne? To chyba normalne u dzieciaków.

Opowiadam mu o Grace. O historii z plackami, o kradzieżach i nieposłuszeństwie. O skłonnościach do robienia okropnych rzeczy i sprawianiu, że to ja się czuję winna, jakby jej zachowanie było bezpośrednim skutkiem tego, że jestem kiepskim rodzicem.

Mitch się śmieje.

– Jezu, Uptown Girl. Jestem pewny, że moja mama radziłaby ci wrzucić na luz. Twoja córka zachowuje się jak dziecko. Sprawia kłopoty, ale dzieci takie są. A ty robisz wszystko, co w twojej mocy. Tak jak każdy.

– Masz dzieci?

Kręci głową.

– Nie.

Mam ochotę zapytać, czy chce mieć dzieci albo czy w ogóle je lubi, ale rezygnuję, przypominając sobie, że jego styl życia z pewnością nie przewiduje bycia ojcem.

– Wydaje mi się, że po prostu potrzebujesz przerwy – mówi. – To dlatego tu przychodzisz, prawda?

Kiwam głową.

– Tak czy inaczej – ciągnie – nie będę cię namawiał. Nie jestem jednym z tych dupków. Poza tym od zioła nie da się uzależnić. Gdybyś ćpała twarde dragi, mógłbym spróbować na tobie zarobić.

Mruga do mnie. Widocznie żartuje.

– Doceniam to. – Mój haj mija szybciej, niż miałam nadzieję. – Jakim cudem jeszcze nigdy nie wzięłaś ode mnie forsy?

– Płacisz mi swoim towarzystwem.

– Towarzystwem?

– Tak. Z jakiegoś porypanego powodu lubię z tobą przebywać. Jesteś pewnie ostatnią osobą na ziemi, z którą mógłbym się zaprzyjaźnić w prawdziwym życiu, i totalnie straciłbym szacunek na ulicy, gdyby mnie z tobą zobaczyli, ale mnie interesujesz, Uptown Girl. Lubię cię. A to dużo znaczy, bo ja w sumie nikogo nie lubię.

Rozluźniam szczęki, próbując zdecydować, czy uznać to za komplement, czy inwektywę. Dochodzę do wniosku, że to po trochu jedno i drugie.

– Dzięki, Mitch. Też lubię twoje towarzystwo.

– No cóż. Jeśli zateśknisz za mną, masz mój numer.

– Wiesz, że nie mogę do ciebie pisać.

– Ale wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Mitch znowu ciężko opada na kanapę i prawie całą następną godzinę siedzimy w natchnionym milczeniu, chłonąc ostatnie chwile naszego spotkania. Kiedy przychodzi czas, żebym już poszła, odprowadza mnie do tylnych drzwi, a ja żałuję, że nie dowiedziałam się o nim czegoś więcej, kiedy miałam okazję.

Chciałam tylko tutaj przychodzić i paplać o sobie, głądzić o trywialnych rzeczach jak jakaś nienawidząca siebie, użalająca się nad sobą wariatka, a on siedział ze mną i tego słuchał. Od czasu do czasu rzucał jakąś mądrą radę, która zawsze robiła na mnie wrażenie, nawet jeśli była totalnie od czapy, ale przez większość czasu słuchał, udzielając mi cichego wsparcia.

Ani razu nie musiałam udawać kogoś innego. Ani razu nie musiałam przeproszać za mówienie prawdy, chociaż mógłby mnie

wziąć za wariatkę.

Minęło już pięć tygodni, odkąd poznałam Mitcha.

W ciągu tych pięciu tygodni stał się jednym z najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałam.

– Dzieci jadą na tydzień do babci w połowie lipca – mówię, gdy stoimy przy drzwiach. – Wtedy się zobaczymy.

– Zobaczymy się wcześniej. – Zbliża się do mnie, opierając się ręką o ścianę za moimi plecami. Jego zapach to mieszanka marihuany i żelu pod prysznic. Jest tak zupełnie inny od Grahama. To niebezpieczne znajdować się tak blisko mężczyzny, który nie jest moim mężem. Kąciki ust Mitcha unoszą się, gdy nasze spojrzenia się krzyżują, a potem wsadza rękę do kieszeni i mówi: – Prawie zapomniałem.

Wyciąga pojedynczego skręta, kładzie go na mojej dłoni i zaciska na niej palce. Nie puszcza, a ja czuję w klatce piersiowej jakieś ukłucie, gdy przypominam sobie, jak bardzo tęsknię za trzymaniem za rękę kogoś, kto patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była czymś najcudowniejszym, co kiedykolwiek widział.

– Niech to będzie twój skręt na czarną godzinę – wyjaśnia. – Jest na tyle mały, że dasz radę gdzieś go schować. Masz w domu strych?

Patrzę na niego, marszcząc czoło.

– Tak, mam. Czemu pytasz?

– Jak będziesz potrzebowała chwili wytchnienia, weź ze sobą tego malucha na strych. Dym zawsze leci do góry. Owiń się ręcznikiem i zakryj włosy. Nikt się nie skapuje.

Myśl o ukrywaniu narkotyków w domu przyprawia mnie o dreszcz, ale z drugiej strony wizja kilku kolejnych tygodni bez tych cudownych, boskich chwil jest jeszcze bardziej przerażająca.

Ubiegłego lata poszłam do lekarza po tym, jak dostałam pokrzywki. Pani doktor powiedziała, że to skutek stresu, i zaczęła mnie podejrzewać o depresję, ponieważ przyznałam, że ostatnio mam problemy ze snem. To nie miało żadnego sensu, ale nalegała, żebym zaczęła łykać pigułki na depresję i nerwicę. Poszłam do

domu i poczytałam o skutkach ubocznych: przybranie na wadze, spadek popędu seksualnego, bóle głowy i uczucie, jakby ktoś ci raził mózg prądem. Bez tych dodatkowych przykrości życie było dla mnie ciężkie, więc nigdy do niej nie oddzwoniłam.

Poza tym wcale nie cierpię na depresję ani nerwicę. Jestem po prostu zdesperowana. Na skraju wytrzymałości.

A to ogromna różnica.

– Dobra. – Wsuwam skręta pod sportowy stanik. – Muszę lecieć.

– Uważaj na siebie, Uptown Girl – mówi, otwierając mi drzwi. – Jak zaczniesz wariować przez życie, przyjdź do mnie. Sprawię, że lepiej się poczujesz.

Rozdział dwunasty

Autumn

Niedzielny wschód słońca maluje niebo odcieniami różu i oranżu, ale równie dobrze mógłby wszystko oblać szarością. Siedzę w kuchni, z kolanami przyciśniętymi do piersi, opierając o nie brodę, i gapię się na ogródek za domem. McMullenowie pewnie już wstali, Daphne zaraz zacznie szykować w kuchni śniadanie, zanim po kolei zlecą się dzieciaki. Gdybym miała zgadywać, Graham wyszedł z domu po gazetę i latte z ulubionej kawiarni Daphne, a dzieci dopiero się budzą, przecierając zaspane oczy, i myją się przed śniadaniem, które ich matka z taką czułością przygotowała.

Jeszcze tydzień temu to wszystko zostałoby udokumentowane, żeby cały świat mógł to zobaczyć.

Zawsze uważałam, że jeśli masz piękne życie, powinnaś dzielić się nim ze światem. Nie każdy ma to szczęście prowadzić życie tak cudowne, jakie większość nas zna jedynie z ekranów telewizora.

A McMullenowie byli prawdziwymi ludźmi.

Wciąż nimi są.

Ale teraz schowali się w tej swojej ogromnej posiadłości, jakby byli już zbyt zajębiści, żeby pojawiać się w mediach społecznościowych.

Sięgam po kawę, która zdążyła wystygnać. Dygocze mi ręka, pewnie z niedoboru snu. Nie mam pojęcia, jak długo tu tak siedzę. Może już parę godzin?

To uderzyło mnie wczoraj wieczorem, kiedy zobaczyłam pozostałości po przyjęciu urodzinowym Rose. W mojej nowej

rzeczywistości nie ma McMullenów i nic nie mogę na to poradzić.

Nie spałam całą noc. Chodziłam po mieszkaniu. Płakałam wtulona w poduszki na sofie. Zmuszałam się do zaśnięcia, ale za każdym razem bezskutecznie. O trzeciej nad ranem poszłam na górę, do tamtego wolnego pokoju, wyciągnęłam drewnianą skrzyneczkę, rozsypałam na podłodze wszystkie zdjęcia i pamiątki, wspominając z bólem serca dni, kiedy wystarczyło parę razy kliknąć myszką albo stuknąć w ekran, żebym znowu zanurzyła się w życiu Grace.

Musiałam pomyśleć.

Musiałam być sama.

Musiałam wykombinować, co mam teraz zrobić.

O drugiej w nocy wpadłam na pomysł, że mogłabym udawać rodzica i pójść do Brinkman Academy, gdzie uczą się Grace i Rose. Mogłabym z samego rana tam zadzwonić i umówić się na zwiedzanie szkoły, i może zobaczyć miejsca, gdzie dziewczynki jedzą posiłki i bawią się na przerwach pomiędzy zajęciami. Mogłabym obejrzeć ich sale lekcyjne, szafki, nauczycieli, a może nawet zobaczyć Grace.

Skrzypienie schodów to znak, że Ben już wstał, ale nie mam odwagi odwrócić się do niego. Jestem pewna, że mam opuchniętą twarz i czerwone oczy. Nie uda mi się tego ukryć. Powinnam zrobić sobie okłady z lodu dwie godziny temu, ale wtedy nie myślałam trzeźwo.

– Kotku. – Jego ciepła dłoń dotyka mojego ramienia. Kątem oka widzę, jak kuca przy mnie. – Wczoraj w nocy nie przyszłaś do łóżka.

Kiwam głową, zagryzając dolną wargę i czując, że otarcie ust, żeby coś powiedzieć, byłoby w tej chwili bardzo złym pomysłem. Nie zdołałabym nic z siebie wydusić.

– Co się dzieje? – Przytyka usta do mojej skroni i oplata mnie ramionami. Jego pytanie przypomina poranny oddech kiepsko maskowany miętową pastą do zębów i sprawia, że chce mi się wymiotować. – Rozumiem. Nie chcesz rozmawiać.

Odsuwa się, ale nie odchodzi daleko. Zajmuje miejsce obok mnie, opiera łokcie o blat i sięga po moją dłoń. Jego ręce są długie, tak samo jak nogi, i sięgają przez cały stół.

– Zrobisz coś dla mnie? Porozmawiasz z kimś w tym tygodniu? – pyta.

Odwracam głowę i patrzę mu w oczy.

Jego usta układają się szybko w uśmiech.

– Wiem, że nie lubisz mówić o swoich uczuciach i jesteś raczej zamknięta w sobie, ale myślę, że to by ci dobrze zrobiło.

Rozmawianie z kimś jest ostatnią rzeczą, na którą mam teraz ochotę.

Nikt by mnie nie zrozumiał.

Nikt nigdy tak naprawdę mnie nie rozumiał.

– Zrobisz to dla mnie? – pyta, uśmiechając się przymilnie. – Proszę cię.

Wpatrując się w jego błękitne oczy, czuję, jak w żołądku pojawia się coś twardego, palącego. Nienawidzę tego, że potrzebuję Bena i nie mam żadnego wyboru, jestem niewolnikiem tej sytuacji.

Ben i jego dom to teraz moja jedyna furтка do życia McMullenów.

Odchrząkuję, zbieram wszystkie siły i daję się wziąć za rękę.

– Po prostu się dołuję, bo nie mam pracy – kłamię. – Wczoraj w nocy wreszcie to do mnie dotarło.

Ben pochyla głowę i naprawdę wierzę, że współczucie w jego spojrzeniu jest autentyczne, ale to bez znaczenia, ponieważ to wszystko jest jednym wielkim kłamstwem.

– Tak sobie myślałem – zaczyna delikatnym głosem. – Nie jesteś sobą, odkąd straciłaś pracę. Jesteś bardziej zamknięta w sobie. Naprawdę uważam, że powinnaś z kimś porozmawiać.

Macham ręką i unoszę do ust kubek. Upijam łyżeczek lodowatej, gorzkiej kawy, a następnie wstaję od stołu, żeby wylać resztę do zlewu. Spoglądając przez ogródek, widzę, że u McMullenów w kuchni pali się światło. Czuję w piersi ostre ukłucie, myśląc o wszystkich chwilach z ich życia, które przegapiłam.

Coś się we mnie zapada, ulatuje ze mnie nadzieja.

– Muszę znowu rozejrzeć się za jakąś robotą. Ale tak na poważnie. Zaczę od poniedziałku – mówię. Mogłabym powiedzieć wszystko, byleby nie iść do psychoanalityka. Nigdy ich nie lubiłam. Nie budzą mojego zaufania. Są jak węże w trawie. Zawodowi manipulanci. – Wezmę pierwszą lepszą pracę.

Nie chcę, żeby Ben martwił się o mnie. Nie chcę, żeby zaczął coś podejrzewać. W tej chwili mam na głowie tyle problemów, że nie potrzebuję dodatkowych.

Ben podnosi się z krzesła, staje za moimi plecami i oplata mnie ramionami w talii. Oboje stoimy zwrócenii twarzą do okienka nad zlewem. Wtula brodę w zagłębienie pomiędzy moją szyją a barkiem, a potem mocno mnie ściska.

– Lubię, kiedy jesteś w domu – mówi. – Ale jeszcze bardziej lubię, kiedy jesteś zadowolona. Chcę, żebyś znowu była szczęśliwa.

Tak. Ja też.

Rozdział trzynasty

Daphne

– Bądźcie dobre dla babci. – W piątkowe popołudnie w przedpokoju obejmuję tulące się do mojej nogi dzieci, a potem spoglądam na moją matkę, stojącą obok walizki. Widzę przez frontowe okno, jak odjeżdża żółta taksówka, którą przyjechała. – Bardzo ci dziękuję, mamó. Wiem, że daliśmy ci mało czasu, żebyś się przygotowała, ale naprawdę jesteśmy ci wdzięczni. Musimy chwilę odetchnąć. Wiesz, jak to jest.

Nigdy w życiu nie umiałam niczego ukryć przed matką. Patrzę na jej ręce, wciąż umięśnione dzięki temu, że przez czterdzieści godzin tygodniowo pracowała w fabryce opon, a w weekendy dorabiała sobie jako kelnerka.

Unosi przerzedzone brwi i wykrzywia kącik ust.

– Wszystko w porządku w waszym rajcu?

– Oczywiście – odpowiadam z uśmiechem. Nie chcę, żeby się martwiła. Nachylam się i całuję Sebastiana w zmierzwioną ciemną czuprynę i dopiero teraz zauważam, że trzeba mu obciąć włosy, ale odkąd skończył się rok szkolny i mam tyle rzeczy na głowie, to nie należy do priorytetów. – Będiesz w ten weekend grzecznym chłopcem?

Kiwa główką i uśmiecha się z lekko zawstydzoną miną.

– Grace, będziesz pomagała babci? – Gładzę ją po ramieniu, a potem próbuję rozczepić palce, które zaciska na moim biodrze. Krzywi się i zakleszcza je jeszcze mocniej. – Babcia uwielbia, kiedy jej pomagasz. Proszę, bądź w ten weekend dobrą dziewczynką.

Taką, jaką naprawdę jesteś.

– Nie chcę, żebyście ty i tatuś wyjeżdżali – jęczy, wtulając twarz w moją koszulę, która tłumi jej głos. – Nie będę grzeczna, jak was nie będzie.

Zerkam na matkę i oddycham z ulgą, widząc, że nie usłyszała groźby mojej córki. Gdybym ja kiedykolwiek groziła matce, kiedy byłam dzieckiem, zostałabym odesłana do jakiejś szkoły wojskowej z internatem na drugim krańcu kraju. Wzięłaby trzecią pracę, żeby to opłacić.

– Przywiozę ci coś, Grace – mówię do niej. – Tatuś i ja przywieziemy coś dla każdego z was, ale musicie być grzeczni. Jeśli usłyszę od babci o jakichkolwiek kłopotach, nic nie przywiozę.

Ta groźba nie zadziała. Grace patrzy mi prosto w twarz głęboko osadzonymi brązowymi oczami i mruga, nie okazując żadnej ekscytacji ani gotowości, by zgodzić się na moje zasady. Nie martwię się o Rose i Sebastiana. Wiem, że będą się dobrze zachowywać. Ale mam pewność, że Grace nie będzie. A nie mogę wrócić do domu tylko z dwoma prezentami.

Grace jest jeszcze mała, ale już czuje się jak outsider. Widzę to. I choć jeszcze jej nie powiedzieliśmy, że jest adoptowana, wkrótce nadejdzie dzień, kiedy zacznie pytać, dlaczego nie jest podobna z wyglądu do reszty z nas.

Odgłos drzwi garażowych to sygnał, że Graham wrócił z pracy. Spakowane walizki już czekają pod tylnymi drzwiami. Prawie cały dzień spędziłam na tworzeniu playlisty do naszej podróży – wybrałam głównie piosenki, których słuchaliśmy w młodości. Zanim urodziły się nam dzieci. Kiedy jeszcze płonąła iskra i nic nie wskazywało na to, że zgaśnie.

Słyszę, jak odkłada kluczyki na kuchenny blat, a potem miękko stąpa w butach po drewnianej podłodze.

– Cześć, cześć. – Obejmuje moją matkę i cmoka ją w policzek. Ona od razu rozświetla się niczym choinka, jak zwykle w jego obecności, i odruchowo przeczesuje palcami włosy Rosie. – Dobrze wyglądasz, Graham.

– Nie tak dobrze jak ty, mamo. – Obdarza ją szerokim uśmiechem i ściska jej ramię, a potem nachyla się, żeby podnieść Sebastiana. – Hej, kolego!

Odgrywa rolę Supertaty.

– Tatuś! – Grace pędzi w jego stronę jak rakietka. Rosie dalej wtula się w moją mamę, pewnie delektując się faktem, że choć raz nie musi się nią z nikim dzielić. – Czy mogę z wami pojechać?

Graham nachyla się, żeby pocałować Grace w głowę, a potem jedną ręką ujmując jej pyzată buzię.

– Przykro mi, Gracie. W ten weekend mamusia i tatuś muszą być sami. Wrócimy za dwa dni. Szybko wam zleci. Zanim się obejrzysz, już będzie po wszystkim.

Słucham go z rozdziawionymi ustami. Przemawia do Grace tak, jakby chciał sobie przypomnieć, że jemu to szybko minie. W tej chwili nie ma w nim ani odrobiny ekscytacji. Nic, co by mówiło, że bardzo chce się wyrwać z domu, uciec gdzieś tylko ze mną. Zachowuje się tak, jakby szykował się do wyjazdu służbowego. Może właśnie tak to traktuje. Jak obowiązek.

Odpędzam od siebie tę myśl, zwalając ją na hormony albo coś innego, co mogłoby zakłócić moją umiejętność oceny sytuacji oraz sprawić, że jestem przewrażliwiona.

– Jesteś gotowy, skarbie? – pytam.

Mama uśmiecha się do mnie. Jest szczęśliwa z naszego powodu. Zawsze taka była. W dniu naszego ślubu odciągnęła mnie na bok i powiedziała, że jestem największą szczęściarą na świecie, bo znalazłam mężczyznę, który kocha mnie tak mocno, i że mam nie pozwolić mu odejść, za żadne skarby, bo w przeciwnym razie do końca życia będę tego żałowała.

Graham patrzy na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy – jakby wcześniej mnie nie zauważył.

– Tak – odpowiada. – Jesteśmy spakowani?

Kiwam głową.

– Bagaze stoją przy tylnych drzwiach.

Graham rzuca okiem na zegarek na lewym nadgarstku, a potem

klaszcze w dłonie.

– Dobra, jedziemy. – Uśmiecha się, a ja uważam, że udaje. Ale tylko przez chwilę. Bo potem górę bierze ekscytacja.

W ten weekend będę miała Grahama tylko dla siebie.

Nie mogłabym prosić o nic więcej.

* * *

– Och, spójrz na tę acurę. – Klepię go w rękę i pokazuję mijający nas z lewej strony czerwony samochód. Jedziemy już od trzech kwadransów, a teraz z oddali prawie już widzę panoramę niższego Manhattanu. – Wygląda jak to auto, którym jeździłeś w liceum.

Graham uśmiecha się szeroko i spogląda na pędzący samochód.

– No proszę. Ten sam rocznik i tak dalej.

– Kolor też identyczny. Matadorska czerwień. – To dziwne, że pamiętam nazwę koloru jego samochodu, ale wtedy wiedziałam wszystko, co miało związek z Grahamem. Jego rozmiar stopy. Ulubioną gumę do żucia. Nazwy jego kosmetyków do włosów. Ulubioną markę spodni. To była obsesja. Chyba ciągle ją mam w wielu sprawach.

– Wow. – Obserwuje tamto auto, aż znika w oddali za wzgórzem.

– To były czasy, prawda?

– Oddałabym wszystko, żeby znowu poczuć tę beztroskę. Żeby życie było proste. – Zamykam oczy i opieram głowę o fotel.

Mój świat przeżył trzęsienie ziemi, gdy Graham zjawił się w liceum Northville High. Wtedy byłam nieśmiałą, zamkniętą w sobie siedemnastolatką, chowającą się za książkami albo aparatem fotograficznym. Miałam dobre stopnie i grupkę godnych zaufania przyjaciółek, szarych myszek, z którymi nigdy nie było kłopotu. Gdy pierwszy raz ujrzałam Grahama, jadłam śniadanie w stołówce, bo matka musiała mnie podrzucić do szkoły z samego rana, a potrzebowała mojego auta, bo jej stało w warsztacie. Ciemnowłosy chłopak w szarych luźnych spodniach, obcisłym granatowym polo i z torbą listonoszką zawieszoną na ramieniu przemaszerował obok mnie, a ja gapiłam się na niego bezwstydnie,

przekonana, że mnie nie zauważy, bo zwykle byłam niewidzialna.

Ale on bez ostrzeżenia nagle się obrócił, spojrzał na mnie i posłał mi swój luzacki uśmiech z dołeczkami.

Pamiętam, jak rozejrzałam się na boki, upewniając się, czy nie patrzy na kogoś innego, ale siedziałam sama w kącie sali. W tamtej chwili pierwszy raz w moim szkolnym życiu jakiś chłopak popatrzył na mnie, a nie przeze mnie, jakbym była powietrzem.

Moje policzki zapłonęły i nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Promieniował pewnością siebie, która emanowała nawet ze sposobu, w jaki chodził, i zanim zdobyłam się na odwagę, by odwzajemnić spojrzenie, już zniknął.

Przez resztę dnia wszędzie się za nim rozglądałam. Przełamalam nawet swoją nieśmiałość i wypytywałam o niego, chcąc się dowiedzieć, jak ma na imię. Wiedziałam, że jest nowy w szkole. W naszym mieście nie dało się znaleźć żadnego chłopaka, który w taki sposób by wyglądał, tak się ubierał i tak chodził. W ciągu tamtych godzin czasami się zastanawiałam, czy po prostu mi się nie przyśnił.

Po szóstej lekcji znowu mnie znalazł. Zatrzymał mnie na korytarzu i powiedział, że podoba mu się mój sweter. Upolowałam go w sklepie z używanymi ciuchami, ale zachowałam tę informację dla siebie. Powiedział, że w jego starej szkole wszyscy nosili ubrania tej marki i od razu rozpoznał mały znaczek jaszczurki na mojej lewej piersi.

Powiedział, że przypominam mu o jego domu.

Od tamtej chwili mogłam już myśleć tylko o nim. Na ósmej lekcji, zajęciach z fotografii, na których zawsze czułam się najlepiej i najspokojniej, wszedł do sali i zajął miejsce obok mnie. Zanim rozbrzmiał dzwonek o trzeciej po południu, zdążył się przedstawić i zaprosić mnie na randkę w piątek.

Mijały miesiące, a ja dalej znajdowałam się w centrum zainteresowania Grahama McMullena.

Miałam wrażenie, że śnię.

To było zbyt cudowne, by było prawdziwe.

Nie byłam zwykłą szczęściarą. Byłam najszczęśliwszą dziewczyną na ziemi.

Gdy nadeszły święta, byłam już opętana szaloną, młodzieńczą, hormonalną miłością, a Graham odmienił całe moje życie. Uczucie, którym go darzyłam, kazało mi pisać ckliwe listy miłosne, obsesyjnie marzyć na jawie o przyszłości i ciągle chodzić jak nieprzytomna. Miałam wrażenie, jakbym unosiła się nad ziemią. Pierwszy raz w życiu czułam się wyjątkowa.

Pod wieloma względami byliśmy zupełnie niedobraną parą. On pochodził z zamożnej rodziny, z luksusowego świata, a ja byłam córką samotnej matki. Mówił, że wyglądam jak jakaś słynna aktorka i uwielbia moje długie nogi, do których ma słabość. Graham lubił mieć rzeczy, których nie miał nikt inny, i żartował, że ja jestem jego wyłączną własnością. Zjechał cały świat ze swoimi rodzicami. Widział mnóstwo rzeczy, poznał mnóstwo ludzi. Mówił czterema językami.

Miał dopiero osiemnaście lat, ale doskonale wiedział, czego chce.

I z jakiegoś tajemniczego powodu – chciał mnie.

On – przebojowy chłopak z bogatego domu. Ja – cicha dziewczyna z biednej rodziny, której oferował cały świat. Kto by zdołał odmówić?

Miałam siedemnaście lat, kochałam go wbrew jakiegokolwiek logice, i to chyba się nie zmieniło przez te wszystkie lata.

Teraz mam trzydzieści sześć i ciągle jestem obsesyjnie, nedorzecznie, irracjonalnie zakochana w tym mężczyźnie, który już nawet nie pamięta, jakie kwiaty lubię najbardziej. Zakochana w facecie, który mnie zdradza i zaspokaja swoje cielesne potrzeby w łóżku z inną kobietą.

– Nie mów tak – odzywa się do mnie karcącym tonem.

– Słucham? – pytam, wyrwana z tych nostalgicznych rozmyślań.

– Nie mów, że tęsknisz za prostym, beztroskim życiem – wyjaśnia. – To brzmi tak, jakbyś żałowała, że mamy dzieci.

Jego oskarżenie zdumiewa mnie i milknę. Wstyd wypełnia moje

gardło jak żółć. Przełykam ślinę. Nie pierwszy raz tęskniłabym za czasami, kiedy jeszcze nie było Grace, Rosie ani Sebastiana. Nie pierwszy raz zastanawiałabym się, jak potoczyłoby się nasze życie, gdybyśmy byli jedynie we dwoje.

W dniu, w którym adoptowaliśmy Grace, nasze życie zmieniło się bezpowrotnie.

– Jak możesz sugerować coś takiego? – odpowiadam zbulwersowana. – Naprawdę twoim zdaniem żałuję, że mamy dzieci?

– Nie. – Splata swoje palce z moimi. – Przepraszam. Głupio to zabrzmiało.

Nigdy wcześniej nie poczułam tak silnego przyływu zazdrości, gdy pierwszy raz zobaczyłam Grahama z Grace. Spojrzał na nią tak, jak kiedyś patrzył na mnie – z najgłębszą miłością, jaką potrafi wykrzesać w sobie człowiek.

Och, tak bardzo pragnęłam być nią, poczuć, jak mocno mnie obejmuje, jak sprawia, że czuję się bezpieczna.

Graham uwielbiał Grace. Od chwili, gdy się budził, do chwili, gdy kładł się spać, codziennie mówił tylko o niej. A ja przestałam być już tą jedyną, najważniejszą osobą w jego życiu.

– Kocham te dzieciaki całym sercem – mówię. Bo naprawdę tak jest. Kocham je na własny sposób, tak bardzo jak to możliwe u kobiety, która nigdy nie chciała być matką.

– Wiem, że je kochasz. – Puszczą moją rękę i przenosi ją na kierownicę. Na jezdni robi się coraz tłoczniej.

Wkrótce po tym, jak się pobraliśmy, zmarł ojciec Grahama, Arthur. Miał czterdzieści siedem lat, kiedy Graham – jedyny syn jego i Grety – przyszedł na świat. Po śmierci ojca Graham zaczął obsesyjnie myśleć o tym, że powinien mieć dzieci w młodym wieku. Nie chciał czekać. Nie chciał mieć ich później, bo bał się, że ominą go wszystkie najważniejsze chwile w ich życiu. Potomstwo stało się nagle jego obsesją. Potwornie cierpiał, że jego ojciec nigdy nie będzie trzymał w ramionach swoich wnuków.

Krwawiło mi serce, gdy myślałam o tym wszystkim. Zawsze

planowaliśmy założyć rodzinę, gdy tylko przekroczymy trzydziestkę i zdążymy wcześniej przez dziesięć lat wspólnie odkryć świat, ale śmierć Arthura wszystko zmieniła.

Graham zapragnął założyć rodzinę jak najszybciej, a ja byłem młoda, przerażona i zupełnie niegotowa, więc zaczęłam kłamać. Nie przestałam brać pigułek, mając nadzieję, że uda mi się odroczyć to wszystko o parę lat.

Graham nigdy nie bał się wyzwań i trudności, więc zaczął nalegać, żebym zrobiła sobie badania na płodność, a tymczasem rozpocząć proces adopcyjny.

Od agencji usłyszeliśmy, że to może trwać latami.

Myslałam, że mamy dużo czasu.

Po trzech miesiącach dostaliśmy jednak telefon w sprawie Grace.

Nigdy wcześniej nie widziałam u Grahama takiej ekscytacji. A ja, oszołomiona, ale oślepiąca jego zaraźliwą radością, szybko wskoczyłam z nim do samochodu i popędziliśmy do szpitala, gdzie czekaliśmy w napięciu, aż będziemy trzymać w ramionach naszą córeczkę, podczas gdy jakaś nastolatka z Connecticut podpisywała dokumenty, zrzekając się praw do swojego dziecka.

Proces adopcji dobiegł końca. Nigdy nie poznaliśmy biologicznej matki Grace. Ale do dziś często o niej myślę. Zastanawiam się, jakie okoliczności towarzyszyły przyjsciu na świat Grace. Zastanawiam się, czy matka Grace jest w takim samym sensie „wyjątkowa” jak ona.

Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

Zresztą może to i lepiej.

Rozdział czternasty

Daphne

– Jak tam twój stek? – pytam Grahama, przyglądając się, jak z determinacją kroi swój kawałek mięsa. Odkąd zjawiliśmy się w restauracji Jocasta, odezwał się do mnie tylko parę razy. Sprawia wrażenie, jakby był myślami gdzieś daleko stąd, a ja z całych sił próbuję nie okazać frustracji. Niezbyt podoba mi się wizja, że spędzę ten weekend z jego cieniem. – Moja ryba jest niesamowita. Tutaj podają genialnego okonia.

Graham podnosi wzrok, mrużąc oczy i wpatrując się we mnie. Założę się, że myśli o swojej pracy. Możesz wyciągnąć Grahama McMullena z biura, ale nie wyciągniesz biura z Grahama McMullena.

– Kochanie? – pytam z nerwowym uśmiechem, przyciskając kciuk do uchwytu noża.

Graham mruga powiekami i kręci głową, przeżuwając kawałek steku.

– Przepraszam. Myślałem o czymś.

– Zrób sobie dzień przerwy od pracy. – Wbijam widelec w kawałek ryby i mrugam do niego. – Za bardzo się przemęczasz.

– Wyjątkowo nie myślałem o pracy. – Uśmiecha się pod nosem, a potem znowu skupia się na jedzeniu. Nie ma zamiaru rozwinać swojej wypowiedzi, a ja zaczynam analizować historię naszego małżeństwa, próbując ustalić, w którym momencie przestał się przede mną otwierać i zaczął bardziej dbać o siebie niż o mnie.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, Daphne – odpowiada, marszcząc brwi i napinając ramiona, co, jak nauczyłam się przez te wszystkie lata, jest znakiem, że nie chce rozmawiać na ten temat.

W milczeniu kończę posiłek i zamawiam drugą lampkę wina. Gdy kelner wręcza nam menu z deserami, spoglądam przez oświetlony blaskiem świecy stół na mojego męża. Siedzi z łokciami opartymi o blat, złączonymi dłońmi zakrywając nos i usta.

Widać, że nie chce tutaj być.

– Rezygnuję z deseru, dziękuję. – Z uprzejmym uśmiechem odsyłam kelnera i sięgam po torebkę. Graham wyciąga z portfela kilka banknotów. – Muszę pójść do łazienki. Spotkamy się w aucie.

Nie daję mu czasu na protesty, choć i tak podejrzewam, że nic takiego by nie zrobił. Biorę swoje rzeczy i ruszam szybkim krokiem do toalety z nadzieją, że dotrę tam, zanim się rozplącę.

Otwieram drzwi, wciągam gwałtownie powietrze i zerkam na hostessę. Ona też patrzy na mnie. To jakaś siwowłosa kobieta w średnim wieku z szeroko rozstawionymi oczami.

– Dobry wieczór – mówi do mnie.

– Dobry wieczór – odpowiadam drżącymi wargami. Łzy napływają mi do oczu. Zamykam się w kabinie, wyciągam pośpiesznie puderniczkę i chusteczkę, żeby nie rozmazał mi się makijaż.

Przyjście tutaj było błędem. Cały ten weekend był błędem. To oczywiste, że Graham wolałby być wszędzie indziej, tylko nie tutaj ze mną.

Oddychając co chwila, liczę do dziesięciu. A potem jeszcze raz. Powtarzam ten rytuał, aż moje ramiona przestają dygotać wraz z każdym wdechem i jestem pewna, że dam radę wyjść stąd, nie robiąc sceny.

Wychodzę z kabiny. Hostessa wciąż na mnie patrzy. Posyłam jej krótki uśmiech, skupiając wzrok na swoim odbiciu w lustrze. Kobieta odchrząkuje i pyta:

– Wszystko w porządku, proszę pani?

– Tak – kłamię, myjąc ręce.

Kobieta podaje mi ciepły ręcznik.

– Proszę mi wybaczyć, ale... – Czuję, jak serce mi staje. Gdy ktoś zaczyna zdanie od przeprosin, to nigdy nic dobrego nie wróży. – Pani jest „tą drugą”, prawda?

Prycham z niedowierzaniem, zdumiona jej tupetem. Patrząc jej w oczy i mówię:

– Słucham?

– Przyszła pani z panem McMullenem, prawda? – pyta mnie.

Jestem w szoku. Jakim cudem ta kobieta zna nazwisko mojego męża? Przychodzimy tutaj chyba dwa razy w roku. Ta knajpa znajduje się dwie godziny jazdy od Monarch Falls. Nikt nie nazwałby nas stałymi gośćmi.

– Skąd pani zna mojego męża? – pytam.

– Pani męża? – Unosi brew. – Och, mój Boże. Niepotrzebnie się odzywałam. Proszę mi wybaczyć.

Podchodzę do niej, czując, jak płoną mi uszy.

– Niech pani odpowie na moje pytanie.

Wbijają wzrok w ziemię i sięga po biały ręcznik, którym zaczyna wycierać umywalkę.

– Nic nie powiem. Nie wpakuję pani w żadne kłopoty – mówię do niej. – Skąd pani zna mojego męża?

Milczy. Nasze spojrzenia na sekundę krzyżują się w lustrze. Sięgam do torebki, otwieram portmonetkę i wyciągam parę banknotów, które jej daję, bo każdy ma swoją cenę, a sądząc po zniszczonych butach i spranej bluzce, tej kobiecie przydałoby się trochę grosza.

Opuszcza ramiona i wzdycha, a potem obraca w moją stronę.

– Przychodzi tutaj w każdy czwartek z jakąś blondynką.

Nie mogę oddychać. Mam ściśnięte gardło, moja skóra płonie.

– Ja... myślałam, że... to jego żona. Ciągle widzę ich razem – mówi. – Oni się tak zachowują... wszyscy tutaj ich uwielbiają. Znamy ich z nazwiska. A ja... ja myślałam, że pani jest tą drugą, i chciałam doradzić, żeby dała sobie pani spokój.

Moje usta są sparaliżowane, tak jak cała reszta. Zagryzam je,

żeby poczuć coś, cokolwiek, w tej chwili. Muszę wiedzieć, że to się dzieje naprawdę, bo wydaje się realistycznym koszmarem.

Bo to jest koszmarem. Jestem w piekle.

– Jak wygląda tamta kobieta? – Zaczynam nerwowo okręcać dwoma palcami swoją obrączkę. Widziałam ją kiedyś z daleka, tamtego dnia, gdy Graham odwołał nasz wspólny obiad. Widziałam jasne włosy, ogromne okulary przeciwsłoneczne oraz seksowny mały samochód odjeżdżający w dal.

– Powiedziałam już za dużo. – Macha ręką i odwraca się do mnie plecami. – Proszę pani, ja nie chcę się w to mieszać. To nie moja sprawa. Chciałam tylko stanąć w obronie pani McMullen. Ale nie wiedziałam, że to pani...

Z już suchymi, ale piekącymi oczami ruszam wściekłym krokiem w stronę wyjścia, wymachując torbą na ramieniu, i idę na parking, gdzie mój mąż już siedzi w samochodzie.

Otwieram drzwi tak gwałtownie, że prawie się nimi uderzam, a potem siadam na fotelu z przodu, kipiąc ze złości i oddychając głośno. Moje serce bije jak szalone. Mam wrażenie, że wszystko, co widzę, jest pomalowane na czerwono, ale z każdą sekundą robi się ciemniejsze.

– Dobrze się czujesz? – Graham kładzie dłoń na moim kolanie, a ja wzdrygam się z odrazą. Ta ręka... która trzymała moją, gdy wypowiadaliśmy słowa przysięgi ślubnej, gdy rodziłam Rosie i Sebastiana. Ręka, która dotykała mnie w taki sposób, w jaki nikt nigdy tego nie robił.

Odtrącam jego dłoń i mówię:

– Zostaw mnie.

Chciałam to uratować. Chciałam nas ocalić. Chciałam wierzyć, że jeszcze nie wszystko stracone.

– Daphne. – Śmieje się. Uważa, że to jakiś żart. – Chodzi ci o kolację? Wybacz, że się nie odzywałem. Pracujemy teraz nad ważną, stresującą sprawą. To jest jak gra w szachy. Nie powinienem mieć na głowie interesów, kiedy zaplanowałaś tę noc dla nas. Przepraszam.

Graham włącza się w hałaśliwy, chaotyczny ruch uliczny Manhattanu, skręca za rogiem i jedzie w stronę naszego hotelu.

Sama myśl, że miałabym spać u jego boku, że jego dłonie miałyby pieścić moje ciało, palce wsuwać się w moje majtki, a usta wędrować po mojej skórze, sprawia, że zbiera mi się na wymioty.

– Noc jest jeszcze młoda. Pozwól, że wynagrodzę ci tę kolację – mówi.

Ale to raczej niemożliwe.

Rozdział piętnasty

Daphne

Tuż po przyjściu na świat Grace miała gęste ciemne włosy i szeroko otwarte okrągłe oczy przypominające dwie bezdenne czarne dziury. Po jakimś czasie przybrały zwyczajny brązowy odcień, ale z początku, patrząc na nią, czułam niepokój. Nie była jednym z tych dzieci, którymi zachwycają się zupełnie obcy ludzie. Nikt nie zatrzymywał mnie na ulicy, żeby powiedzieć, jakie mam piękne dziecko. Nikt nie proponował, że się nią zajmie, kiedy nie będę miała czasu. Długo nie wywoływała takich reakcji. To było tak, jakby otaczało ją jakieś niewidzialne pole siłowe, które nie pozwalało ludziom się do niej zbliżyć.

Przez pierwsze trzy miesiące była wybredna i marudna. Lekarze twierdzili, że ma kolkę, ale przy Grahamie zachowywała się normalnie. Tylko przy mnie nie.

W rozpaczliwej próbie nawiązania z nią więzi zabierałam ją na zajęcia dla świeżo upieczonych matek, na muzykę, jogę, lekcje śpiewu dla dzieci. Na wszystko, co się dało. Wszystkie inne matki sprawiały wrażenie, że opieka nad dzieckiem jest czymś niewymagającym żadnego wysiłku. Ich pociechy śmiały się, gaworzyły i dopominały o przytulanie.

Tuliły się do nich swoimi lepкими rączkami, uśmiechały się obślinionymi usteczkami.

Ale nie Grace.

Przy każdej okazji spędzała ze mnie, a kiedy akurat nie była zajęta zwiedzaniem i badaniem otoczenia, urządzała okropne

sceny. Przestałam liczyć, ile razy Grace przeszkadzała w zajęciach, ile razy musiałam wychodzić z nią przed końcem i jechać prosto do domu, gdzie kontynuowała swoją histerię.

Każdy dzień był walką.

A potem Graham wracał z pracy.

Grace od razu się rozchmurzała, chichotała, a Graham obsypywał mnie pocałunkami, bez przerwy dotykając i powtarzając, że macierzyństwo wspaniale wpływa na moją urodę i cały dzień czeka na to, aż wróci do swojej rodzinie. Brał Grace na rękę, całował ją w czołko i zanosił do salonu, podczas gdy ja przygotowywałam kolację.

Słyszałam, jak w pokoju obok liczy jej palce u rąk i stóp, a ja w tym czasie odliczałam minuty do chwili, aż Grace pójdzie już spać, żebym znowu mogła odetchnąć...

Żebym znowu mogła mieć Grahama tylko dla siebie.

Żebym znowu mogła czuć się normalnie.

Wszystko w byciu matką wydawało mi się nienaturalne. Było jak niewygodny, drapiący, poliestrowy kostium, którego nie mogłam zdjąć i w którym wyglądałam fatalnie.

W niczym nie pomogła przeprowadzka do Monarch Falls, gdzie nie znałam ani jednej osoby. Całe dni spędzałam z Grace, a z Grahamem tylko noce. Istniałam jedynie jako żona i matka. Liczyłam na to, że zaprzyjaźnię się z jakimiś innymi matkami, ale do tego nigdy nie doszło. Te kobiety trzymały się ode mnie z daleka, tak jak wszyscy trzymali się z dala od Grace.

W ciągu pierwszego roku bywały dni, kiedy myślałam, że nie dam rady. Całymi dniami grzebałam w blogach prowadzonych przez matki, przekonana, że one wiedzą, co robią, bo zawsze wyglądały na absurdalnie przeszczęśliwe, na każdym zdjęciu uśmiechały się euforycznie i robiły swoim pociechom noski eskimoski. Pilnie studiowałam ich przepisy, metody wychowawcze, kupowałam identyczne ubrania i podążałam za trendami, które wychwalały. Na jakiś czas to wszystko stało się moją obsesją.

W pewnym sensie przeobraziłam się w jedną z tych kobiet

i wyobrażałam sobie tysiące, miliony matek, które tak samo udawały, starały się pokonać każdą rodzicielską przeszkodę z uśmiechem przyklejonym do twarzy i łagodnym wyrazem oczu, jakby pocieszały się w myślach, że nic, co złe, nie trwa wiecznie.

A potem trafiłam na jakiś porzucony blog. Pewna kobieta i jej mąż mieli piękną córeczkę, uwieczniali każdą wspólną chwilę przez pierwsze dwa lata jej życia, i widać było, że nie próbują udawać idealnej rodzinki, jak z reklamy. Naprawdę się kochali i ubóstwiali. Naprawdę uwielbiali życie. Ich córeczka miała zaraźliwy uśmiech, jasne loczki i błękitne oczka. Miała na imię Emmy, i podobnie jak Grace, została adoptowana.

Przeglądałam po kolei wszystkie ich wpisy, lecz w pewnym momencie zauważyłam coś z boku ekranu. To był link do postu „Pogrzeb”.

Poczułam ostre ukłucie w sercu. Przeczytałam historię o tym, jak ich kochana Emmy przypadkowo zakrztusiła się na śmierć. Pewnego dnia poszła z mamą do parku, jadła pokrojone w plasterki truskawki, ale jeden kawałeczek utknął jej w gardle. Nie była w stanie go wykrztusić, pomagały jej inne matki, które znajdowały się wtedy w pobliżu, wezwano karetkę, ale gdy przyjechała, Emmy była już nieprzytomna. Po paru dniach w szpitalu stwierdzono u niej śmierć mózgową.

Nie było więcej wpisów na blogu.

Po przeczytaniu historii Emmy płakałam przez wiele godzin.

Od tamtej chwili inaczej patrzyłam na Grace. Każdego dnia przypominałam sobie, jakie mamy szczęście, że jest z nami. Mówiłam sobie, że trafiła pod naszą opiekę z jakiegoś powodu. Rodzicie Emmy nigdy już nie będą mieli okazji kłaść córki do łóżeczka, a ja ze swoją mogę spędzać każdą minutę.

Gdy Grace skończyła półtora roku i zaczęła mówić, sytuacja trochę się poprawiła. Teraz mogliśmy łatwiej się ze sobą komunikować. Fascynowało ją wszystko, co robiłam, chodziła za mną jak cień, nagle byłyśmy jak papużki nierozłączki.

Z każdym dniem czułam się coraz swobodniej w swojej roli, co nie

uszło uwagi Grahama. Powtarzał, że mam naturalny talent i że nigdy tak bardzo mnie nie kochał jak teraz, gdy patrzy, jak jestem razem z Grace.

To było przyjemne – widzieć, że jest szczęśliwy, czuć, że mnie docenia i podziwia. Kiedy więc Grace ukończyła dwa lata i Graham zaczął nalegać, żebyśmy znowu postarali się o własne dziecko, nie odmówiłam.

Przez następny rok Grace była małym, słodkim aniołkiem. Zrywała kwiatki, skakała po krawężnikach, chodziła ze mną na zajęcia jogi dla dzieci, robiła piruety w sukieneczkach, które dla niej wybierałam. Chodziłyśmy razem na zakupy, na obiad, zaprzyjaźniłyśmy się z sąsiadami. Grace częściej uśmiechała się, niż płakała, a zupełnie obcy ludzie zachwycali się, że mam tak grzeczne dziecko.

Życie było cudowne.

A potem pojawiła się Rose. Została poczęta za pierwszym podejściem. Graham nigdy nie powracał do mojej wcześniejszej „niepłodności”, ale nalegał, żebym jak najprędzej umówiła się na wizytę do lekarza, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

W dniu, w którym urodziłam Rose, znowu ujrzałam w oczach Grace tamtą ciemność. Skończyły się uśmiechy. Powróciły fochy i napady złości. Lekarze tłumaczyli, że Grace jest zazdrosna o nowe dziecko i że to minie. Ale ja, jako matka, znałam swoją córkę i przeczuwałam, że sprawa jest znacznie poważniejsza.

Jak się okazało, miałam rację, ponieważ w ciągu siedmiu lat nic się nie zmieniło. Przeciwnie – Grace stała się jeszcze gorsza.

W ten poniedziałkowy poranek w moim domu panuje cisza. Zawsze tak jest, gdy zbliża się koniec roku szkolnego. Dzieciaki wiedzą, że lada chwila zaczną się wakacje i rano nie mają ochoty już wstawać z łóżek, nawet mała Rose.

Graham dziś rano wyszedł przed świtem, mówiąc, że jest umówiony na rozmowę konferencyjną z kimś w Londynie.

Wciąż nie wie, że dowiedziałam się o tajemniczej blondynce i nie mam pojęcia, kiedy się do tego przyznam. Poza tym najpierw chcę

się jeszcze upewnić, poznać fakty. Wyobrażam sobie, jak wybuchnąłby śmiechem, gdybym mu opowiedziała, że o jego romansie poinformowała mnie jakaś babcia klozetowa. Zanim zapadłaby noc, zdołałby mnie przekonać, że tamta kobieta jedynie bredziła, a potem zadzwoniłby do restauracji, żeby wywalili ją z pracy.

Tamtej nocy, leżąc w ciemności w naszym pokoju hotelowym, z jednej strony czułam się zraniona, że Graham nie miał ochoty kochać się ze mną, a z drugiej – odetchnęłam z ulgą. Większość soboty spędziliśmy oddzielnie: ja poszłam do spa, a on oglądał mecz Royalsów w swoim ulubionym barze sportowym na Manhattanie.

Wieczorem wybraliśmy się na spektakl na Broadwayu, w czasie antraktu odbyliśmy niezręczną, wymuszoną rozmowę, a w trakcie drugiego aktu pozwoliłam mu trzymać się za rękę, gdy po nią sięgnął. Przez cały wieczór ziewał i zerkał na telefon, ale ani razu nie narzekał.

A potem, w pokoju hotelowym, nagle wziął mnie w ramiona i powiedział, że mnie kocha. Leżeliśmy w łóżku, opromienieni blaskiem telewizora. Przepraszał, że tak dużo pracuje, i obiecał, że to się zmieni, jak tylko załatwi ten interes, nad którym teraz siedzi. Przyniósł, że będzie częściej w domu, bo jego dzieci dorastają, a on nie chce przegapić tylu chwil z ich życia.

Zamknęłam oczy i słuchałam jego łagodnego, miękkiego głosu, który rozbrzmiewał w ciemności. Wdychałam jego zapach, wtulona w jego pierś, i starałam się panować nad sobą. Nigdy wcześniej mój mąż nie wydawał się tak fizycznie bliski, lecz emocjonalnie odległy, a ta świadomość przeszywała mnie ostrym bólem.

To życie – to piękne życie – które wspólnie stworzyliśmy, nic nie znaczy, jeśli on nie jest jego częścią. Nie mogę być samotną matką. Trudno jest mi nawet być zamężną matką. Nie poradzę sobie bez niego. Nie dam rady, jeśli zostanę sama.

Nie chcę jednak zostać, żeby być traktowana jak wycieraczka pod drzwiami, podczas gdy on zabiera tamtą kurewkę do naszej restauracji, wraca późno do domu, i wciska mi milion różnych

tanich wymówek, jakbym była zbyt głupia, żeby o coś go podejrzewać.

Prawdę mówiąc, jestem w szoku, że jakoś się trzymam, nie rozpadam na kawałki. Tak naprawdę prawie nic nie czuję.

Włączył mi się instynkt przetrwania.

Gdyby dzieci poszły dzisiaj do szkoły, miałabym czas, żeby to wszystko przemyśleć. Muszę podjąć jakąś decyzję. Doskonale wiem, że muszę znaleźć wyjście z tej sytuacji. Nie mogę już zawsze egzystować w tej szarej strefie, zawieszona pomiędzy dwoma osobnymi życiami.

Od rana wypiałam dwie filiżanki kawy, ale z bólu pulsuje mi w skroniach. Słyszę, jak na górze ktoś stuka dwa razy, skrzypie podłoga i otwierają się drzwi.

Grace wreszcie się obudziła.

Czekam, aż zejdzie na dół, nalewając sobie kolejną kawę. Po paru minutach podchodzę do schodów, żeby sprawdzić, co się dzieje. Wołam do Grace ściszonego głosem.

Nic.

Jak najciszej zaczynam wchodzić na górę. Na końcu korytarza widzę uchylone drzwi do jej pokoju, a potem przenoszę wzrok na otwarte na oścież podwójne drzwi do mojej sypialni.

Rano na pewno je zamykałam.

Stąpając na palcach, wchodzę do środka, ale nie widzę Grace, więc zaglądam do łazienki. Zamieram w bezruchu i biorę głęboki wdech. Grace siedzi przy umywalce. W jednej dłoni trzyma tubkę pasty do zębów, a drugą smaruje nią lustro i kran.

– Grace McMullen – syczę przez zaciśnięte zęby. – Dlaczego to robisz?

– Maluję sobie! – mówi, marszcząc brwi, jakbym nie miała prawa się na nią gniewać.

Podchodzę, biorę ją pod pachy i ściągam na ziemię. Ona się śmieje, choć jej oczy są jakby martwe, bez życia. Wyciąga ubrudzone ręce, jakby chciała wetrzeć mi pastę we włosy i twarz. Zaciągam ją do wanny, odkręcam wodę i zaczynam ją rozbierać.

– Przestań! Nie dotykaj mnie! – krzyczy, szarpiąc się ze mną.

A potem uderza mnie w twarz.

Znowu próbuję ściągnąć jej ubranie. Jej pulchna buzia jest cała czerwona, wykrzywiona. Patrzy na mnie z nienawiścią. Jakbym była najgorszą matką na świecie.

Łapie mnie za kosmyk włosów i ciągnie do siebie. Tracę równowagę i wpadam do wanny, do wody, zastanawiając się, jak mogłam wątpić w jej siłę, a potem patrzę, jak ucieka z łazienki.

– Zostaw mnie! – wrzeszczy jak oszalała, płacząc. Znowu jest w jednym ze swoich paskudnych nastrojów, a ja nie mam zielonego pojęcia, jak na to poradzić, bo nic z tego nie rozumiem. Sebastian i Rose nigdy się tak nie zachowują, a wychowałam całą trójkę w ten sam sposób. – Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nienawidzę!

– Grace! Wracaj tutaj. – Gramolę się z wanny, pizamę mam całą mokrą, a potem ruszam w pościg za nią, biegnę po korytarzu, ślizgając się na drewnianej podłodze. Ona już zbiega po schodach, tupocząc głośno, a potem zeskakuje na sam dół.

Znika za rogiem, a ja stoję na górze, przemoczona, zmarznięta, z włosami wysmarowanymi białą pastą do zębów. Pokonana.

Tak dalej być nie może.

Coś się musi zmienić.

Rozdział szesnasty

Autumn

Wielki żółty autobus okrąży Magnolia Drive. Jest poniedziałkowy poranek, za kwadrans ósma. Zaciskam dłoń na smyczy Ginger i przyspieszamy kroku. Grupka dzieci gromadzi się na rogu, podskakując i chichocząc.

Stojąc po drugiej stronie ulicy, obserwuję dzieci, wypatrując w tłumie ciemnych włosków Grace i jej anielskiego uśmiechu. Moje serce trzepocze, gdy odnajduję ją wzrokiem, ale od razu poprawiam okulary przeciwsłoneczne i nasuwam głębiej czapkę. Włosy upchnęłam pod baseballówką, mam na sobie jedną z workowatych bluz Bena oraz brzydkie spodnie do joggingu. Za każdym razem, kiedy wychodzę z Ginger, staram się ubierać trochę inaczej. Zwykle noszę szare i niebieskie ciuchy. Lubię się stapiać z otoczeniem. Chcę być jedną z tych anonimowych sąsiadek, które wyprowadzają psy na poranny spacer.

Kimś prawie niewidzialnym.

Autobus hamuje z piskiem, drzwi skrzypią przy otwieraniu. Z miejsca, gdzie stoję, wygląda to tak, jakby autobus połykał dzieci jedno po drugim. Po paru sekundach już odjeżdżają do szkoły. Jakiś mały chłopiec z prawie białą czupryną pokazuje palcem na Ginger i macha do mnie.

Próbuję sobie wyobrazić jego rodziców. Jakimi są ludźmi? Pewnie dobrymi. Uczą go dobrych manier i samodzielności. Założę się, że jest jedynakiem, przyjaznym i inteligentnym.

Ale w którymś momencie jego rodzice popełnili błąd, bo powinien

wiedzieć, że lepiej nie zadawać się z nieznajomymi.

Obcy znaczy groźny.

– Sebastian, wracaj tutaj.

Na ulicę wtacza się piłka, za którą biegnie jakieś dziecko. Dopiero po paru sekundach dociera do mnie, że to Sebastian McMullen. Kieruje się w moją stronę, a jego matka, wyraźnie zdenerwowana, biegnie za nim, nawet nie rozglądając się na boki.

Daphne rozmawia przez komórkę, którą przyciska do ucha, a drugą rękę wyciąga przed siebie, krzycząc histerycznie, żeby jej syn się zatrzymał.

Piłka toczy się po jezdni, uderza w krawężnik i wreszcie przestaje się turlać jakieś dziesięć stóp ode mnie. Daphne, nie zważając na nic innego, biegnie za synkiem. Nie zauważa nawet niebieskiego auta, które prawie ją przejechało, gdy wyskoczyła pomiędzy dwóch zaparkowanych samochodów.

Oto prawdziwa, wspaniała matka – ryzykująca swoje życie, ślepa na wszystko dookoła, skupiona wyłącznie na bezpieczeństwie własnego dziecka.

Serce dudni mi w uszach, gdy obserwuję, jak łapie Sebastiana za nadgarstek i zaciąga z powrotem na podjazd, gdzie stoi ich SUV. Z prawej strony drzwi są uchylone, tak jak zostawiła je Daphne.

– Nie wiem – mówi i wzdycha do telefonu, unosząc Sebastiana i przyciskając go sobie do biodra. Nawet z daleka widzę, że jest zdenerwowana, ale ktokolwiek z nią rozmawia, pewnie nie ma pojęcia, że ona i mały Sebastian McMullen prawie zginęli pod kołami samochodu, i coś mi mówi, że Daphne nie ma zamiaru rozmówcy o tym powiedzieć. Nie dziwię się. Też nie chciałabym opowiadać nikomu o takich strasznych chwilach. – Graham wspominał, że powinniśmy wziąć kogoś do pomocy, ale coś czuję, że w tej chwili wszystkie wakacyjne opiekunki są już zajęte. Naprawdę musimy kogoś znaleźć. Niech on się tym zajmie. Ja nie mam czasu.

Idę prosto przed siebie, ale nie spuszczam ich z oczu. Obserwuję, jak Daphne sadza Sebastiana na foteliku w aucie i zapina mu pasy,

zamyka drzwi, a potem obchodzi samochód. Parę sekund później zapalają się światła stopu, a samochód wycofuje się z podjazdu.

– Chodź, Ginger. Idziemy do domu – mówię do psa, gdy skręcamy za róg, mijając dom McMullenów.

Muszę przyznać, że jestem zdezorientowana... Daphne nigdy wcześniej nie wspominała o niani do dzieci. Czy to jest jakiś nowy pomysł? A może od zawsze wynajmowała opiekunkę na lato, ale to ukrywała? Faktycznie, zawsze się dziwiłam, jakim cudem tak idealnie dba o swój dom, gdzie wszystko lśni czystością, codziennie przygotowuje wykwintne posiłki, wychowuje trójkę szczęśliwych dzieci, a mimo to nigdy nie ma podkrążonych oczu.

Przecież to oczywiste, że bogaci ludzie zawsze zatrudniają kogoś do pomocy!

Nie wierzę, jaka byłam naiwna, żyjąc w przekonaniu, że McMullenowie ze wszystkim sami sobie radzili.

Ginger zatrzymuje się na siusiu przy krzaczku morwy, ale gdy tylko wracamy do domu, szybko włączam laptop i wchodzę na stronę każdej agencji opiekunek w okolicy, aż wreszcie znajduję ich ogłoszenie. Wystarczy, że stanę się osobą, jakiej potrzebują, i dostanę tę pracę. A potem będę mogła olać Instaface i wyczekiwanie na kolejne zdjęcie Daphne wrzucone do sieci.

Będę miała bezpośredni dostęp do ich życia.

Moją głowę wypełniają obrazy, jak pomagam Daphne w kuchni, zaplatam włosy Grace, gawędzę z Grahamem o akcjach giełdowych i robię sprawunki, korzystając z jednego z ich luksusowych SUV-ów.

To będzie dziecinnie proste. Będę czymś najlepszym, co kiedykolwiek im się przytrafiło.

Zakochają się we mnie... po uszy.

Rozdział siedemnasty

Daphne

Cała się trzęsę.

Zrobiłam coś, co nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło, i nie mam pojęcia, czy przez to jestem człowiekiem, czy potworem – a może czymś pomiędzy.

Graham przysłał mi wcześniej wiadomość, informując, że dzisiaj wróci dopiero po dziewiątej. Podałam każdemu dziecku tabletkę melatoniny do żucia i położyłam je do łóżka o szóstej, żebym mogła trochę odetchnąć.

Gdy po porannym incydencie z pastą do zębów obudziła się Rose i Sebastian, zrobiłam im zimną owsiankę na śniadanie, a resztę ranka spędziłam na szorowaniu łazienki i próbach zmycia pasty z włosów, zanim dzieci wyjdą do szkoły.

Gdy wróciły do domu, dałam Grace szlaban na wszystko, co uwielbia – książki, odtwarzacz kompaktów, lalki, tabletki zapchane edukacyjnymi gierkami. Zakazałam jej wszystkiego, co przyszło mi do głowy. Wyniosłam wszystko z jej pokoju i zamknęłam ją tam na całe popołudnie, jak więźnia w celi. Kazałam jej nawet zjeść obiad w samotności w pokoju, chociaż akurat z tego pewnie się ucieszyła.

Przez cały dzień czułam się jak okrutny potwór, aż w końcu o szóstej wyszła bez pozwolenia z pokoju, stanęła przy schodach i płacząc, wydarła się na całe gardło. Groziła, że pójdzie na policję, bo to jest znęcanie się nad dzieckiem. Gdy wmaszerowałam na górę, żeby się nią zająć, zauważyłam, że jej ramię jest pokryte siniakami i śladami po ugryzieniach. Sama tak się okaleczyła.

Nie dam rady. Nie wytrzymam całych wakacji. Tak nie może wyglądać moje życie przez następnych dziewięćdziesiąt dni.

Zawsze myślałam, że gdy dzieci dorastają, bycie matką staje się łatwiejsze, ale okazuje się, że jest coraz trudniej. Każde moje dziecko znajduje się na innym etapie rozwoju, i każde wymaga innego rodzaju opieki. Mam wrażenie, że jestem rozrywana na wszystkie strony.

Siedzę w pokoju, otulona mrokiem późnego popołudnia, sącząc podwójną wódkę z lodem. Chłonę ciszę i czuję, jak powoli odzyskuję zmysły. Od rana moje myśli krążą wokół „skręta na czarną godzinę”, którego dostałam od Mitcha, ale nie chcę go tykać, bo mam przeczucie, że najgorsze dopiero przede mną.

Dopijam drinka, robię sobie kolejnego, a potem po cichu idę na górę, żeby przygotować najgorętszą kąpiel z bąbelkami, jaką zdoła wytrzymać moje ciało.

Wcześniej, tuż przed tym, jak w południe odebrałam Sebastiana z przedszkola, przeszłam obok biura Grahama. Jego samochodu nie było na parkingu. Na pewno, bo trzykrotnie okrążyłam cały parking. Zadzwoiłam do jego asystentki, żeby mnie z nim połączyła, ale ona zaczęła się jąkać i powiedziała, że jest na spotkaniu.

Ścisnęłam telefon tak mocno, że prawie mi pękł w dłoni. A potem podziękowałam asystentce i poprosiłam, żeby skontaktował się ze mną, gdy tylko będzie mógł. Minęła godzina. Zadzwoił i powiedział, że późno dzisiaj wróci.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że jest gdzieś na mieście – z tamtą kobietą.

Oddałabym wszystko, żeby się dowiedzieć, co on takiego w niej widzi. Co ona ma, czego mnie brakuje. Co mu daje, czego ja mu nie daję. Czy dzięki niej Graham częściej się uśmiecha? Głośniej się śmieje? Lepiej mu staje?

Dzwoni telefon.

Codziennie, w okolicach czwartej po południu, ktoś dzwoni do mnie z numeru, który nie wyświetla się na ekranie.

Podaję, że to ona. Może chce usłyszeć mój głos. Może tak samo jest zaciekawiona mną jak ja nią. A może chce mnie nękać, doprowadzić do obłądu, żebym stała się jeszcze mniej atrakcyjna dla Grahama.

Tak czy inaczej, nie odbieram.

Na górze, z tyłu mojej szafy, znajduje się mała szkatułka z drewna cedrowego, wysoka na pięć cali, szeroka na osiem. W środku przechowuję tuziny złożonych „liścików miłosnych”, które Graham pisał do mnie przez wiele lat. Każdy jest pełny obietnic, wyznań i zapewnień o jego niesłabnącym uczuciu. Pierwsze dostałam, gdy byliśmy jeszcze bardzo młodzi, a ostatnie – zaledwie parę miesięcy temu.

Jestem takim szczęściarzem, że ciebie mam, Daphne...

To ty jesteś najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła...

Jakim cudem miałem takie szczęście?

Daphne, jesteś dla mnie idealna...

Nigdy nie pokocham żadnej innej. Obiecuję...

Graham i Daphne na zawsze razem.

Spędzę z tobą resztę swojego życia...

Ciekawe, czy mój mąż zawsze był takim doskonałym kłamcą i oszustem, czy może jego potrzeby i pragnienia zmieniły się w dniu, w którym spotkał tamtą kobietę.

Dzisiaj wysypałam te liściki ze szkatuлки i podarłam je na kawałki.

Wlewam do gardła resztkę wódki i czekam, aż zacznie krążyć w żyłach. Następnie przygotowuję sobie kolejnego drinka, bo nie mogę przestać myśleć o tym, co oni teraz robią, a chciałabym myśleć o wszystkim, tylko nie o tych rzeczach.

Czy ona wie, że kradnie czyjeś szczęście? Niszczy czyjeś życie? Zastanawiam się, czy to wszystko ma dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Może ma to gdzieś?

Pokój zaczyna się kołysać, wirować. Czuję, jak strach ściska mnie za żołądek. Ciągłe obsesyjnie rozmyślałam o ocaleniu naszego małżeństwa, ale ani razu nie wzięłam pod uwagę faktu, że Graham może planować mnie zostawić, więc moja walka jest skazana na porażkę.

Muszę podjąć decyzję.

Rozdział osiemnasty

Autumn

– Dzisiaj jesteś w lepszym humorze.

Ben rzuca swoją torbę przy drzwiach frontowych i zdejmuje buty. Wrócił z pracy później niż zwykle, czuć od niego piwem i wyziewami pubu O’Toole’a. Gdybym nie była taka zmęczona, mogłabym poczuć się obrażona, że mnie tam nie zaprosił, chociaż i tak nie chciałabym pójść.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby był w szoku, że zamiast ujrzeć mnie w czarnej żałobnej sukni, widzi mnie w dżinsach, ślicznym T-shircie, z włosami związanymi w kucyk i delikatnym makijażem dodającym skórze zdrowego blasku.

– Uśmiechasz się. Miałaś udany dzień?

Powinien już wiedzieć, że odpowiedź brzmi „tak”. Dzisiaj miałam dobry dzień. Odrodziła się we mnie nadzieja, a moje niepokoje ucichły. Gdy tylko znalazłam ogłoszenie McMullenów, od razu zabrałam się do tworzenia idealnego CV. Do południa otrzymałam potwierdzenie, że mój list do nich dotarł i zostanie rozpatrzony.

Na pewno zaraz się ze mną skontaktują, zaproszą na rozmowę, a ja zrobię na nich takie wrażenie, że szczęki im opadną.

Przez resztę popołudnia ćwiczyłam to, co im powiem, próbując wymyślać pytania, które mogliby zadać. W ich ogłoszeniu było wyraźnie napisane: *Rodzina z Monarch Falls poszukuje wakacyjnej niani dla trójki dzieci w wieku 10, 7 i 4 lata. Musisz kochać dzieci, być dojrzałą i odpowiedzialną osobą z nieskazitelną historią prowadzenia pojazdów oraz certyfikatem udzielania pierwszej*

pomocy. Dostępność od poniedziałku do piątku w godzinach 9–16. Punktualność i miła prezencja. W naszym domu nie pali się tytoniu. Mieszka z nami jedno nieliniejące zwierzę. Musisz czuć się komfortowo w towarzystwie psa. Wymagane doświadczenie w opiece nad dziećmi oraz weryfikacja danych osobowych. Proszę przesyłać CV na adres: admin@mcmullenandhenrycorp.com.

Bułka z masłem.

Jakby napisali to ogłoszenie specjalnie dla mnie.

– Jak ci minął dzień? – pyta Ben, siadając przy mnie na sofie. Jestem zaskoczona, że nie wspomniał ani słowem o zapachu duszonej wołowiny ulatującym z piekarnika. Całe mieszkanie jest przesiąknięte odorem sosu cebulowego. Nie cierpię duszonej wołowiny. Zawsze jej nie znosiłam. Ale zrobiłam ją dla Bena, bo to jego ulubione danie, a chcę zapomnieć o tym, co było wczoraj. Chcę zapomnieć o swoim kryzysie. Chcę, żeby wszystko wróciło do normy.

Ben i jego wymarzona dziewczyna.

Dwie nudne osoby i ich niesamowicie idealne życie.

– Super – odpowiadam, nachylając się do niego. Nawet po całym dniu spędzonym w biurze ciągle pachnie wodą kolońską Dylana Abernathy’ego. Nie mogę się doczekać, aż zużyje cały flakonik. Może któregoś dnia przypadkowo strącę go z półki i roztłukę. – Cały dzień rozsyłałam swoje CV. Mam dobre przecucia.

Ben obejmuje mnie ramieniem i przyciąga.

– Wystarczyło dać ci odrobinę motywacji.

– Tak – kłamię, wtulając się w niego. – Jestem taką szczęściarą, że mam ciebie. Dziękuję za to, że zawsze wiesz, czego dokładnie potrzebuję.

Uśmiecha się jak nastolatek, któremu trener przybił piątkę po rzuceniu kosza za trzy punkty na cztery sekundy przed końcem meczu. Robi mi się niedobrze.

Ben gwałtownie wstaje, przerywając nasz krótki moment bliskości, i człapie do kuchni. Znika za rogiem, a potem woła:

– O, ja cię kręcę. Duszona wołowina. Dzięki, kotku!

On jest takim prostym facetem.

Słyszę brzęk sztućców i talerzy, a potem wraca do pokoju, opada na sofę obok mnie, z ustami wypchanymi marchewką i ziemniakami, i klepie mnie w kolano.

– Umówiłem cię na wizytę – oświadcza.

Czuję gwałtowny skurcz w żołądku.

– Jaką wizytę?

– Pomyślałem, że powinnaś z kimś porozmawiać. – Wbija widelec w kawałek mięsa.

– Ale... o czym? – Uśmiecham się i trzepoczę rzęsami, jakby nic złego się nie stało. Bo przecież wszystko jest w porządku.

– Ostatnio byłaś taka zdołowana. Doszedłem do wniosku, że dobrze by było, gdybyś z kimś pogadała – wyjaśnia. – Nie masz w sumie żadnych przyjaciół, więc...

Wstaję z sofy.

Nie chcę prowadzić tej rozmowy.

Wiem, że nie mam przyjaciół. Jestem tego w pełni świadoma. Mam powód, żeby z nikim się nie przyjaźnić.

Nie potrzebuję, żeby mi to wytykał.

– Przepraszam. – Opuszcza ramiona, patrzy gdzieś w dal i wzdycha głośno, jakbym nie miała prawa przerywać tej rozmowy.

– Nie wiedziałem, że dla ciebie to taki drażliwy temat.

Zakładam ręce na piersi i spoglądam przez oszklone drzwi w kierunku domu McMullenów. Podchodzę bliżej. Ich patio jest przyozdobione światełkami. W półmroku dostrzegam Daphne nakrywającą do stołu.

– Dzisiaj zjem na zewnątrz. – Ruszam w stronę kuchni i robię sobie miskę zimnej owsianki. Wolę zjeść przesłodzone, przetworzone płatki niż duszoną wołowinę przyrządzoną według „słynnego” przepisu pani Gotlieb.

Ben zabiera swój obiad do salonu. Ginger podąża w ślad za nim, wskakuje na kanapę i zaczyna prosić o resztki. Ben z uśmiechem zaczyna ją karmić, chociaż ciągle mu powtarzam, żeby tego nie robił. Ona jest rasowym psem, cavalierem, i ma wrażliwy żołądek.

Ale jemu to zwisa. Uważa, że to słodkie, kiedy Ginger staje na tylnych łapach i trąca go w ramię przednią łapą. Kiedy dostrzegają, że za chwilę wyjdę z domu, przerywają wspólną zabawę i gapią się na mnie, jakby czekali na zaproszenie.

– Na dworze jest przyjemnie. Chcecie zjeść na zewnątrz? – pytam ich, trzymając kciuki, żeby zostawili mnie w spokoju.

Po chwili wahania Ben wstaje, żeby do mnie dołączyć, a ja ruszam na zewnątrz, bo widzę, jak dzieci McMullenów wychodzą przez tylne drzwi do ogrodu i siadają na swoich miejscach przy stole.

– Zawiozłaś w końcu Marnie tamten prezent urodzinowy? – pyta Ben, siadając obok mnie. Ginger ciągle jest w domu i drapie w szybę z taką miną, jakby chciała kogoś zagryźć.

Cholera. Zapomniałam o prezencie.

– Zupełnie wypadło mi z głowy – mówię przeproszającym tonem, ale skupiam wzrok na drugiej stronie ogrodzenia, na tym obrazku idealnej rodziny, który widzę w oddali. Od czasu do czasu jedzą na patio. Żałuję, że nie mogę przynieść lornetki, bo nakrycia stołu Daphne są istnym dziełem sztuki. Jakby pobierała korepetycje u samej Marthy Stewart. – Przepraszam. Zawiozę jej w tym tygodniu.

– Dobra. Wracając do poprzedniego tematu... Ten doktor nazywa się Barringer. Umówiłem cię jutro na dwunastą. Dzisiaj rano przysłałem ci mailem jego adres, więc sprawdź pocztę. Jego recepcjonistka miała ci podesłać jakieś formularze.

– Ben, daj spokój. – Śmieję się, uderzając go lekko dłonią. – Poważnie, nie muszę z nikim gadać. Czuję się już lepiej. Zresztą sam tak mówiłeś.

– Dzisiaj czujesz się dobrze, ale co będzie, jeśli jutro coś się stanie? Albo pojutrze. Musisz z kimś porozmawiać, kotku. Nie otwierasz się przede mną, ale może przed doktorem się otworzysz. Wszystko z siebie wyrzucisz. To dobrze ci zrobi.

Myśl o tym, że miałabym siedzieć w gabinecie jakiegoś psychoanalityka, obnażać przed nim swoją duszę, wyjawiać

tajemnice, jest tak samo pociągająca jak zapłacenie komuś, żeby bez znieczulenia wyciągnął mi z brzucha wszystkie flaki.

– O, popatrz na to – mówi Ben, spoglądając w tym samym kierunku co ja. – Jakie to słodkie.

– Co? – udaję głupią.

Pokazuje palcem.

Palcem!

Gdyby teraz popatrzyli w naszą stronę i zobaczyli, jak Ben pokazuje ich palcem, chyba umarłabym na zawał.

Powoli podnoszę rękę i ciągnę w bok jego ramię.

– Nie rób tak, kotku – mówię łagodnym głosem. – Mogą nas zobaczyć. Wystarczy, że spojrzą w naszą stronę.

Ben wpycha do ust widelec pełen kawałków mięsa i śmieje się pod nosem.

– Wybacz – mówi, przetykając wołowinę. – Fajnie jest widzieć, jak rodziniki jedzą wspólnie, prawda? Część moich kumpli z pracy, tych dzieciatych, mówi, że już nikt tak nie robi.

– Pewnie mają rację – odpowiadam. – Ludzie ciągle są teraz zabiegani. Nikt już nie siada do stołu, żeby zjeść dobry, domowej roboty posiłek w starym stylu.

Z wyjątkiem McMullenów.

Jestem pewna, że oni są tak idealni, jak to tylko możliwe.

To tak, jakby ktoś wyciął ich z wydawanego w latach pięćdziesiątych magazynu o domach i ogrodach, a potem tchnął w nich życie. Spoglądając przez ogrodzenie, widzę, jak Graham i Daphne siedzą naprzeciwko siebie przy stole, a dzieci grzecznie skupiają się na swoim jedzeniu. Daphne nalewa sobie kieliszek czerwonego wina, a jej mąż nachyla się do Sebastiana i mierzwi mu włosy.

– Może kiedyś to będziemy my? – Ben ociera się barkiem o moje ramię, a potem całuje mnie w czoło.

– Tak, może kiedyś. – Marszczę nos jak króliczek. Nie mówię mu, że nie marzę o czymś takim z nim. Nie chcę się ustatkować u jego boku i przez resztę życia być jego zwyczajną, normalną żoną.

Już mnie nudzi ta szopka. To jest jak choroba, która wyniszcza ciało, ale też zżera od środka. Nie jestem taką osobą. I nie chcę być taką osobą.

Jestem nią tylko w tej chwili, z konieczności.

Ale nie chcę być nią na zawsze.

Rozdział dziewiętnasty

Daphne

Leżę w łóżku, otulona czarną ciemnością, gdy nagle słyszę, jak drzwi ocierają się o miękki dywan. Rozpoznaję miarowe kroki Grahama i dalej zaciskam powieki. W tym tygodniu opuścił większość naszych kolacji, a dzisiaj wyszedł tuż po jedzeniu, żeby „załatwić parę spraw”, choć nie mam pojęcia, jakie sprawy można załatwiać o ósmej wieczorem.

Nie mam mu nic do powiedzenia.

Jedyne, o czym myślę – o czym marzę – odkąd ułożyłam dzisiaj dzieci do snu, to zrobić sobie parę dni przerwy.

Zasługuję na kogoś lepszego niż Graham. Moje dzieci również. Żyjemy życiem, które dla nas stworzył, które wspólnie zbudowaliśmy, ale teraz chce zajmować się tylko sobą, jakby to wszystko już nic nie znaczyło.

Jestem zakładniczką tego życia – z zewnątrz pięknego, w środku brzydkiego.

Dzisiaj przez wiele godzin zadręczałam się w milczeniu obsesyjnymi myślami o romansie Grahama – jeszcze bardziej niż do tej pory – zadając sobie pytania, na które pewnie nigdy nie znajdę odpowiedzi.

Jedną część mnie pragnie wreszcie odbyć z nim brutalną rozmowę, urządzić awanturę, w pełni odsłonić przed nim moje cierpienie, żeby zobaczył, jak wyglądają paskudne skutki uboczne jego zdrady. Drugą część mnie przypomina sobie, że nie mam własnych pieniędzy, a przynajmniej żadnych większych. Nie mam

pracy. Nie miałabym jak utrzymać trójki dzieci. Nie mogę więc w tej chwili jeszcze odejść. Nie miałabym dokąd pójść. Moją jedyną rodziną jest matka, a ona mieszka w kawalerce w Boca Raton ze swoim nowym facetem, który chyba jest zboczeńcem. Mam powody, żeby tak uważać...

– Daphne, śpisz już? – Graham wślizguje się pod kołdrę, zajmując swoją połowę ogromnego łóżka, które ugina się pod jego ciężarem, gdy przysuwa się, oplata mnie rękami w pasie i przytula. – Już wróciłem. Musiałem kupić kartkę swojej asystentce. Jutro ma urodziny. – Śmieje się pod nosem. – Z reguły to ona lata, załatwiając mi różne rzeczy, ale pomyślałem, że byłoby nieładnie, gdybym kazał jej samej kupić sobie kartkę urodzinową.

Ciągle nie otwieram oczu. Liczę na to, że zostawi mnie w spokoju, jeśli będę udawała, że śpię.

– Jak ci minął wieczór? – pyta. Wie, że nie śpię. Pewnie zdradził mnie nierówny oddech. – Dzieciaki były grzeczne? Poszły do łóżka bez problemu?

Moje usta są wąską, prostą kreską. Wtulam policzek w poduszkę, odwracając się od niego. On znowu mnie przyciąga i wciska nos w moją szyję. Ten nagły przyływ uczucia jest dezorientujący i denerwujący.

– Nie chcę już tego – oświadczam szeptem, który ucisza Grahama, ale nie sprawia, że przestaje mnie dotykać.

– Daphne. – Wzdycha głośno i obraca mnie na plecy. Otwieram oczy i patrzę mu w twarz. Pierwszy raz od nie wiem ilu lat Graham wygląda na autentycznie zranionego. – Co masz na myśli? Czego nie chcesz?

Nie wiem, od czego zacząć, i jestem wykończona, więc odpycham go i wracam na swoją połówkę łóżka.

– Co w ciebie wstąpiło? – Jego zraniony ton zmienił się w irytację. Nie jest przyzwyczajony do tego, żeby jego idealna małżoneczka okazywała pełne spektrum emocji, ale doszłam do punktu, w którym już się tym nie przejmuję. Zanim się położyłam, zmyłam nawet z twarzy cały makijaż, co było dla mnie aktem

buntu, ale tu jest tak ciemno, że on i tak tego nie zauważy.

– Miałaś kiepski dzień? – pyta.

Nie odpowiadam, i to nie dlatego, że chcę go zmrozić milczeniem albo bawić się w głupie zgadywanki.

Po prostu brakuje mi energii.

A on nie jest wart mojego wysiłku.

Wszelkie siły, jakie we mnie jeszcze zostały, muszę zachować na jutrzejszy poranek, bo Grace nie przestanie być Grace, a ja muszę dopilnować, by Rose i Sebastian nie ucierpieli z tego powodu.

– Mam dobre wieści – odzywa się Graham już lżejszym tonem, przytykając wargi do mojego ucha. Ciepło jego ciała ogrzewa mi plecy. – Moja asystentka parę dni temu wysłała nasze ogłoszenie w sprawie opiekunki. Wyjaśniłem jej, że to już ostatni tydzień szkoły, więc to jest sprawa priorytetowa.

Graham, jako staromodny mężczyzna, nigdy wcześniej na poważnie nie wspomniał, że powinniśmy zatrudnić kogoś do pomocy, ale jeśli dzięki temu będę miała więcej czasu, żeby się zastanawiać, co mam zrobić, to niech tak będzie. Trochę dłużej będę odgrywała swoją rolę.

– Zgłosiły się jakieś dobre kandydatki? – pytam z westchnieniem, nie chcąc robić sobie nadziei.

Graham śmieje się pod nosem.

– Nie wyglądasz, jakbyś się cieszyła.

– Oczywiście, że się cieszę. Jestem po prostu zbyt zmęczona, żeby to okazać. – Naciągam kołdrę pod szyję i przesuwam się o parę kolejnych centymetrów na mojej połówce łóżka. – Dzieciaki mnie dzisiaj wykończyły.

Zasypiam, czując odrobinę więcej nadziei i odrobinę mniej rozpacz, marząc o tym, co będę robiła z całym tym wolnym czasem, który nagle zyskam.

Może wrócę na Instafacie. Zacznę biegać. Będę chodziła na masaże i zakupy. Sama, a nie z wózkiem albo niespokojnym przedszkolakiem.

A kiedy nie będę zajęta dogadzaniami sobie za forszę Grahama,

odkryję, kogo dokładnie pieprzył mój mąż za moimi plecami.

Pomiędzy tym wszystkim wymyślę, co dokładnie zrobić z resztkami naszego małżeństwa.

– Asystentka będzie dzwoniła do kandydatek i umawiała je na rozmowę – mówi, odsuwając się. – Wszystkim się zajmę.

Zamykam oczy i wspominam czasy, kiedy Graham chwalił mnie za ciężką pracę w najmniej spodziewanych momentach i okazywał mi współczucie. Zawsze chłonełam z rozkoszą każdą jego pochwałę.

Ale teraz jest już oczywiste, że to była tylko taktyka manipulatorska, na którą się zawsze nabierałam. Za. Każdym. Razem.

Rozdział dwudziesty

Autumn

W drodze do apteki mijam Cotton Street. Gdybym skręciła w lewo, znalazłabym się przy budynku, w którym mieszka Marnie. Jej prezent urodzinowy leży obok mnie na siedzeniu, opakowanie jest trochę pogniecione przez to, że tyle razy podarunek był przenoszony.

Z powodu nalegania Bena poszłam dziś rano na spotkanie z doktorem Barringerem, który zadał mi serię pytań i zdiagnozował u mnie nerwicę. Wyszłam z gabinetu z receptą na Ativan, czując się dokładnie tak samo jak przed wizytą.

Nie sędzę, żeby diagnoza była trafna.

Dziś rano, kiedy Ben brał prysznic, przeczytałam jego esemesy i odkryłam, że Barringer jest jego znajomym – grają ze sobą w internetowy symulator baseballu – a Ben mu się skarży, że ostatnio rzadko chcę z nim sypiać. Barringer odpowiedział, że widocznie cierpię na stres związany z utratą pracy i istnieją proszki, które pomogą mi się odprężyć.

No proszę. A jednak Ben skrywa brudny sekrecik: chce tylko seksu.

Światła zmieniają się na czerwone. Czekam w aucie na środkowym pasie. Moja ręka sięga do dźwigni kierunkowskazu, choć wątpię, że o tej porze ktoś zechce mnie przepuścić.

Powinnam zrobić to, co należy.

Podrzucić Marnie ten prezent.

Z koperty wsadzonej do mojej torebki wystaje niebieski róg

recepty i nagle czuję bolesne ukłucie. Zostałam zdradzona.

Ben... facet całujący ziemię, po której stąsam... wymyślił intrygę, żeby przekonać znajomego doktora do przepisania mi prochów, żebym znowu się zamieniła w idealną, uległą, wymarzoną dziewczynę.

I jeszcze ta pieprzona Marnie, z jej sztuczną opalenizną, tlenionymi włosami i zadartym świńskim nosem, zawsze patrząca na wszystkich z pogardą.

Jakieś auto za mną zaczyna trąbić. Podnoszę wzrok i widzę, że samochód, który stał przede mną, zdążył już daleko odjechać. Wciskam pedał gazu, wyrywam do przodu, mijając uliczkę, przy której mieszka Marnie.

Zaciskam spocone, lepkie palce na kierownicy, serce tłucze mi się gwałtownie w piersi. Opuszczam szybę i zachłannie wciągam wilgotne czerwcowe powietrze, ale to sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.

Dzisiaj rzeczywistość ma wyjątkowo gorzki smak.

Przez cały czas wykorzystywałam Bena... i sama byłam przez niego wykorzystywana.

Nie obchodzę go. Pewnie nigdy nie obchodziłam.

Może to nie fair, że mam podwójne standardy, ale gdyby tylko Ben wiedział, jak bardzo się dla niego poświęciłam – poświęciłam wszystko, żeby być wszystkim, czego mógł chcieć od kobiety...

Co za niewdzięczny bydlak.

Przedemną Kingman Avenue. W ułamek sekundy podejmuję decyzję, wjeżdżam pomiędzy minivana a zardzewiałego oldsmobile'a i skręcam w prawo. Teraz widzę przed sobą Brinkman Academy, gdzie uczą się Grace i Rose.

Parę dni temu prawie tam zadzwoniłam, żeby umówić się na zwiedzanie szkoły, ale jeszcze raz zerknęłam na ich stronę internetową i zobaczyłam, że wszyscy rodzice, którzy chcą zapisać tam dziecko, muszą najpierw wypełnić formularz i przesłać dwa pisemne skierowania.

Trudno wytrzasnąć coś takiego, kiedy twoje dziecko jest

wymyślone.

Zegar na desce rozdzielczej pokazuje kwadrans po pierwszej. Z daleka widzę grupkę dzieci biegających po odgrodzonym placu zabaw. Pewnie mają teraz przerwę.

Parkuję w cieniu drzewa po drugiej stronie ulicy.

Przesuwam wzrokiem od zjeżdżalni do drabinek i huśtawek, gdzie jakaś mała dziewczynka cierpliwie czeka na swoją kolej.

Szybko odnajduję wzrokiem Grace, na czwartej huśtawce po lewej stronie. Huśta się wyżej od innych, z szerokim uśmiechem i ciemnymi włosami powiewającymi w powietrzu.

Ja też się uśmiecham i zaciskam dłonie przy sercu.

Moja córeczka.

Moja słodka, wesoła Grace.

A potem...

To dzieje się tak szybko.

Jakiś chłopiec staje naprzeciwko huśtawki, prowokując Grace, żeby go kopnęła, ale ona zamiast tego raptownie hamuje, szurając butami po kamienistej ziemi. Nie słyszę, co mówią, ale Grace wygląda na rozgniewaną. On sięga po jej rękę i odrywa je od łańcuchów, a potem pojawia się znikąd drugi mały chłopiec, z rękami założonymi na piersi, jakby rządził całym placem zabaw.

Serce bije mi jak szalone.

Gdzie są nauczyciele?

Dlaczego pozwalają, żeby działo się coś takiego?

Ten drugi chłopiec zachodzi Grace od tyłu i spycha ją z huśtawki. Grace łąduje na rękach i kolanach. Podnosi się, strzepuje żwir z kolan, jej czerwone policzki są wilgotne, i spuszcza głowę.

Przybiega jakaś nauczycielka z gwizdkiem.

Trochę za późno, do jasnej cholery.

Moja klatka piersiowa gwałtownie się unosi i opada. Nie miałam pojęcia, że tak szybko oddycham. Ale uszy mam ciągle ciepłe i czuję, jak gniew pojawia się na mojej twarzy.

Moja córeczka oplata ramionami nauczycielkę, wtula buzię w jej bluzkę i płacze. Kobieta klepie ją po plecach i przywołuje gestem

inną nauczycielkę, żeby zajęła się tamtymi dwoma smarkaczami.

Oni skrzywdzili Grace.

Nigdy wcześniej nie poczułam czegoś takiego, ale każda komórka mego ciała chce ich za to zabić.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Daphne

Graham kładzie mi dłoń na plecach i wyrywa mnie z zamyślenia, kiedy rano smaruję masłem tosty dla dzieci.

– Co to za jedna? – nachyla się i szepcze mi do ducha.

Zerkam przez ramię, w stronę salonu, gdzie Addison, córka mojej koleżanki, Elizabeth, siedzi na dywanie i bawi się z dziećmi.

– Ma na imię Addison – mówię. – Pilnuje dzieci.

– Powiedziałem, że wszystkim się zajmę.

– Tak, ale to było ponad tydzień temu. Dzieci od pięciu dni nie chodzą do szkoły, a ja potrzebuję pomocy.

– Moja asystentka zaplanowała na dzisiaj rozmowy z kandydatkami – odpowiada z lekką irytacją.

Zerkam na Addison, żeby sprawdzić, czy nie słyszy naszej rozmowy. Ona jest tylko tymczasowym rozwiązaniem, aż znajdziemy kogoś z lepszymi kwalifikacjami, chociaż Addison siedzi u nas dopiero od godziny, a dzieci chyba już zdążyły ją polubić.

Graham kładzie rękę na biodrze i idzie za mną do kuchni. Wycieram dłonie w ściereczkę do naczyń i odwracam się do niego.

– Sprawdź swoje kandydatki, a jeśli znajdziemy kogoś lepszego, wtedy podejmiemy decyzję. Na razie mamy Addison.

Nie raczę mu wspomnieć, że Addison jest nie tylko tymczasową opiekunką, ale też planem awaryjnym. Chciałam mieć kogoś, na wypadek gdyby Grahamowi nie udało się nikogo znaleźć, a tym samym – dotrzymać obietnicy.

– Addison! – wołam do niej. Wstaje z dywanu. Pomiedzy szortami a obcisłym topem wystaje jej szczupły brzuch. Nie jestem pewna, ale chyba tak się teraz ubierają nastolatki. Będę musiała jej powiedzieć, żeby nieco stonowała swój styl, ale poczekam, aż dłużej u nas posiedzi. Nie chcę, żeby czuła się niekomfortowo. Albo żeby pobiegła do Elizabeth, narzekając, jaka jestem okropna. W tym mieście reputacja kobiety jest na wagę złota.

– Możesz przyprowadzić dzieci? Czas na śniadanie.

Klaszcze w dłonie, uśmiecha się szeroko i zaczyna mówić do moich dzieci, jakby były małymi pieskami, ale im to pasuje i idą za nią gęsiego. To niesamowite, jak grzeczne są moje dzieci przy innych ludziach – tylko nie przy mnie.

– Addison, to jest mój mąż – mówię do niej.

– Miło mi pana poznać. – Addison wyciąga szczupłą, opaloną rękę w stronę Grahama, i coś we mnie umiera, gdy dostrzegam błysk w jego oku.

Chyba zaraz zwymiotuję.

– Dobra, ja wychodzę – mówię. – Cały ranek będę załatwiała różne sprawy. Dzwon do mnie na komórkę, jakbyś czegoś potrzebowała.

– Dobrze, psze pani. – Addison staje na czubkach swoich sportowych butów, wciska dłonie w tylne kieszenie i wypina jędrne piersi. Jest pod każdym względem stereotypową, atrakcyjną nastolatką, ale to nie jej wina. Jest córką swojej matki, a Elizabeth jest tak stereotypowa, jak to tylko możliwe... biały domek w kolonialnym stylu, dwójka dzieci, mąż lekarz, na kolację jagnięcina z parmezanem, a w garażu volvo.

* * *

– Ciekawe, kim ona jest. – Zaciągam się świeżo skręconym jointem i zmrużonymi oczami spoglądam na Mitcha. Nawet w ciemności czuję na sobie jego intensywne spojrzenie.

Tęsknił za mną.

Powiedział mi o tym sekundę po otwarciu drzwi.

– Jakie to ma znaczenie? – pyta.

Wypuszczam dym, który unosi się nad moją głową niczym aureola, a potem znowu zatapiam się w fotelu.

– Nie wiem – mówię. – Ale czuję, że jakieś ma.

Mitch zakłada ręce za głowę i prostuje nogi. Jego płaski brzuch robi się wklęsły. Ma na sobie batikową bluzkę, pewnie o rozmiar za dużą, ale jest miękka, wypłowiała i wygodna, i właśnie tak ja się czuję, kiedy z nim jestem.

– Chyba nie ma – mówi.

– Chcę tylko wiedzieć, co w niej widzi.

– Nigdy się tego nie dowiesz. Jedyne sposoby to pójść prosto do źródła, ale czy wtedy powiedziałaby ci prawdę?

To, co mówi Mitch, ma sens. Wzdycham głośno i znowu się zaciągam.

– Nie cierpię, kiedy masz rację.

– Ale tu nie chodzi o żadną rację, Uptown. Tu chodzi o to, żeby mieć to w dupie. W momencie gdy przestaniesz się tym przejmować, uwolnisz się od tego gówna. – Sięga po skręta, zaciąga się zachłannie, a potem znowu mi go oddaje.

– To brzmi super i w ogóle – mówię z nutą sarkazmu – ale nie sprawia, że jestem mniej ciekawa.

– Wiesz, co przysłowia mówią o ciekawości.

– Pierwszy stopień do piekła?

– Ciekawość może być równie niebezpieczna jak lot motyla nad ogniem. – Znowu sięga po skręta, ale tym razem gasi go w kryształowej popielniczce stojącej na zabałaganionym stoliku.

– Czemu to zrobiłeś? Jeszcze nie skończyłam.

Oplata palcami moją talię i łagodnie przenosi mnie na kanapę. Chropowaty głos Boba Marleya rozbrzmiewa z głośników za nami, powtarzając, że wszystko będzie dobrze.

Chcę mu wierzyć.

– Co robisz? – pytam, gdy Mitch sadza mnie na swoich kolanach. Śmieję się, jakby to była najzabawniejsza rzecz na świecie. I choć wiem, że tak działa na mnie trawka, nie byłabym w stanie

przestać.

Skupiam się na ciepłe jego dłoni przywierających do moich bioder i rozbawienie zaczyna mijać. Oczy Mitcha, miodowobrazowe i równie głębokie jak jego filozoficzne rozkminy, wpatrują się we mnie, a ja mam wrażenie, że mija cała wieczność, i pierwszy raz od wielu tygodni jestem w bezruchu.

– Jesteś piękną kobietą – mówi. – Ludzie oddaliby wszystko, żeby wyglądać tak jak ty, wiesz o tym? Wydają kupę kasy na taki wygląd.

Unoszę rękę do swojego rozpalonego policzka, ale on ją odciąga.

– Ale chodzi o to, że jesteś popieprzona w środku. – Jego słowa mnie boją, ale w głębi duszy wiem, że mówi prawdę. – Chyba dlatego tak trudno cię rozgryźć. W środku jesteś zupełnie inna niż z wierzchu. To do siebie nie pasuje.

Opuszczam głowę, śmieję się nerwowo i na chwilę uciekam wzrokiem gdzieś w bok.

– Dobra, rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale nie mam pojęcia, dlaczego wzięłaś mnie na kolana. To chyba lekka przesada, nie sądz...

Nie daje mi skończyć zdania. Ucisza mnie smakującymi dymem ustami. Jego język, ciepły, nieznany, pomimo tego, co robiliśmy wcześniej, przyprawia mnie o przyjemne dreszcze, które docierają aż do palców u rąk i stóp.

Tulę się do Mitcha. Chcę być blisko niego. Chcę być blisko kogoś. Pragnę intymności, której do tej pory doświadczyłam tylko z jednym mężczyzną.

Chwytam materiał jego koszulki i zaczynam ją unosić, ale on mnie powstrzymuje.

– Nie przelecę cię – mówi szeptem, z ustami przy moich ustach.

Jego słowa mnie ranią. Moje ego jest poturbowane. Nie może sadzać mnie sobie na kolanach, zamykać mi ust gwałtownym pocałunkiem, wszędzie mnie dotykać, a potem zachowywać się tak, jakbym to ja chciała pójść na całość!

Zsuwam się z jego kolan, poprawiam bluzkę i zaczynam szukać

wzrokiem swoich rzeczy. Jestem ciągle na totalnym haju, nie mogę prowadzić, ale gdybym przez pół godziny posiedziała w samochodzie, trawka przestałaby działać i pojechałabym do domu, jakby nic się nie wydarzyło.

– Niepotrzebnie tu przyszłam. To był błąd – mówię.

– Cholera. Zaczekaj – mówi mało przekonująco.

Łapię torebkę, która leży na końcu kanapy, i zarzucam ją sobie na ramię.

– Nie wychodź – prosi.

Idzie za mną. Staję w kuchni. Patrzą na piętrzące się w zlewie brudne naczynia i starą torbę po jakimś śmieciowym żarciu. Od tego widoku robi mi się niedobrze. Drzwi do sutereny są otwarte. Czuję woń stęchlizny i żwirku dla kota. Mieszka ze współlokatorem? Ciekawe, ile jeszcze nie wiem o Mitchu. A przede wszystkim – co, do diabła, w nim w ogóle widziałam.

Jest abnegatem, żyjącym w brudnym, cuchnącym trawką domu, i na dodatek nawet moja teściowa nie jest tak przemądrzała jak on.

Ruszam w stronę drzwi. Idzie tuż za mną. Kładzie rękę na zasuwie.

– Nie chodzi o to, że nie chcę tego zrobić – mówi, wzdychając. – Boże, jesteś taka zajebicie seksowna. Chciałbym się z tobą pieprzyć jak dzikie zwierzę.

Odwracam się do niego, zakładając ręce na piersi.

– Boże. – Zakrywa twarz dłońmi i pociera nimi oczy. – Nawet nie wiem, jak ci o tym powiedzieć.

Moje serce zapada się na dno żołądka ściśniętego nagłym strachem.

– Kiedy jestem z tobą – mówi – nie czuję się jak Mitch, ten pieprzony diler handlujący trawką.

Przewracam oczami.

– Kiedy jestem z tobą, czuję się jak człowiek, którym myślisz, że jestem, gdy na mnie patrzysz – mówi. – Wiem, że to bez sensu. Ale pozwól mi wyjaśnić.

Marszczę czoło.

– Dobra.

– Patrzysz na mnie z taką nadzieją czy coś w tym rodzaju. Jakbyś chciała, żebym znalazł wszystkie odpowiedzi na twoje pytania, jakbym miał być wszystkim, czego potrzebujesz, a prawda jest taka, że jestem tylko kolesiem, który z trudem przebrnął przez liceum, a potem nawiązał odpowiednie kontakty, żeby handlować towarem. – Opuszcza ręce wzdłuż ciała. – Nie jestem wyjątkowy. Nie ma we mnie, do cholery, ani jednej wyjątkowej rzeczy. Ale ty na mnie inaczej patrzysz. I chcę być tą osobą, którą widzisz. Chcę nią być. Ale nie jestem.

– To dlatego nie pozwoliłeś, żebym zdjęła ci koszulkę? Aha. To ma głęboki sens.

– Tak, między innymi – mówi, zagryzając dolną wargę. Opuszcza głowę i przestaje patrzeć mi w oczy. Przeczesuje dłonią tłuste włosy i głośno wzdycha. – Mam dziewczynę.

– Ty sukinsynu. – Od razu sobie uświadamiam, jak ironicznie to brzmi w moich ustach. Ale już nie mogę tego cofnąć.

– Wiem, wiem. – Znowu patrzy mi w oczy. – Posłuchaj, ja kocham swoją dziewczynę. Od dawna jesteśmy razem. Prawie od dziecka. Ona zrobiłaby dla mnie wszystko. Zawsze będzie mnie wspierała. Jest totalnie lojalna. Ale jestem tylko facetem. Czasami się nudzę. Chcę uciec. Być kimś innym. Odkryłem to przy tobie.

Zapada cisza. Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, czy być przyjemnie połechtana, wściekła, czy odczuwać wybuchową mieszanekę obu tych rzeczy.

Zaciskam palce na klamce i próbuję ją obrócić, ale Mitch blokuje ręką drzwi.

– Zaczekaj – mówi.

Patrzę w bok. Nie chcę go widzieć.

– Twój mąż... – zaczyna. – On na pewno bardzo cię kocha. Jesteś dla niego najważniejsza. A ta inna panienska? Musi mu dawać coś, czego ty mu nie dajesz, i pewnie jest to coś, czego nigdy nie zdołasz mu dać, ponieważ to, co masz w sobie, jest takie głębokie

i poważne. Mówię z doświadczenia, więc mam nadzieję, że mnie słuchasz.

Kiwam głową.

– Moja dziewczyna zasługuje na kogoś lepszego ode mnie – mówi Mitch. – Ale ja wiem, że nigdy nie znajdę nikogo lepszego od niej, więc nie pozwolę jej odejść. Będę z nią na zawsze... jeśli tego zechce. Twój mąż, jeśli ma choć trochę oleju w głowie, pewnie czuje to samo do ciebie.

– Mogę już wyjść? – Podwijam rękaw i rzucam okiem na zegarek. – Próbujesz sprawić, żebym poczuła się lepiej po tym, co zrobiłeś... i co robiłeś przez parę ostatnich tygodni... ale ja chcę po prostu wyjść. Mogę?

– Uptown Girl. – Pochyliła głowę i uśmiecha się pod nosem. Uważa, że to urocze, kiedy się złościsz. Zbliżyła rękę do mojego ramienia, ale odpycham ją gwałtownie. – Przepraszam. Naprawdę. Ja...

– Pozwoliłeś mi, żeby zrobiła ci loda – wyrzucam z siebie.

Mitch się śmieje.

– Jezu, wiem. Jestem pieprzonym złamasem, prawda?

Przekręcam klamkę i otwieram drzwi. Mruży oczy i zakrywa je dłonią, oślepiiony światłem dnia.

– Będę z tobą szczerą – mówię, wyglądając na zewnątrz. Mój haj szybko mija. – Powiedziałam ci o wszystkim. Zwierzałam się. Ufałam ci. Myślałam, że jesteś inny. Myślałam, że jesteś najbardziej autentycznym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Więc kiedy zaczęłam na ciebie inaczej patrzeć, Mitch, to dlatego, że uważałam cię za jedyną osobę, która mogłaby mi udowodnić, że nie wszyscy jesteście egoistycznymi dupkami.

– Przepraszam. Naprawdę. – Wychodzi ze mną na zewnątrz, pod daszek. – Chciałbym ci to wynagrodzić.

Śmieję się, idąc przed popękany, zachwaszczony podjazd.

– Nie, dziękuję.

– Mówię serio – odpowiada. – Chcesz wiedzieć, jak nazywa się tamta panienka? Mam ludzi, którzy mogą się tym zająć.

Przewracając oczami, pytam:

– Czemu miałabym ci uwierzyć?

– Powiedz, gdzie chodzi, czym jeździ, jak wygląda. Zlecę tę robotę jednemu z moich ludzi. W niecały tydzień będziesz wiedziała, kim ona jest.

Odrzucam w tył głowę, wzdycham i znowu patrzę mu w twarz.

– Zwykle nie mam w zwyczaju robić interesów z zakłamanymi dupkami. Ale w tym wypadku to chyba jedyna rzecz, którą mógłbyś dla mnie zrobić po tym, co się stało.

– Prześlij mi szczegóły – mówi. – Załatwię resztę.

Odchodzę, czując się jako kobieta jeszcze gorzej niż niecałą godzinę temu, kiedy tu przychodziłam. Nie wiedziałam, że to będzie możliwe.

Czuję się krucha i nieistotna jak gałązka, która za chwilę się złamie od podmuchu wiatru.

Rozdział dwudziesty drugi

Autumn

Liczę pigułki, które zostały w fiolce, zapominając o swoich obietnicach, chowając swoje ego.

Minął już tydzień, odkąd wysłałam swoje idealne CV do agencji opiekunek w odpowiedzi na ogłoszenie McMullenów. I minęło wiele tygodni, odkąd ostatni raz miałam przyjemność oglądać ich na Instaface.

Mam objawy głodu narkotykowego.

I jestem znerwicowana jak cholera.

Biorę jedną z małych żółtych pigułek doktora Josha, popijam ją białym winem, wbrew instrukcjom na jaskrawozielonej etykietce: NIE PIĆ ALKOHOLU W TRAKCIE ZAŻYWANIA LEKU.

Alkohol potęguje działanie pigułek, dlatego popijam je nim. Poza tym zbadałam sprawę. Znam dokładnie proporcje, które mogłyby mnie zabić, a nie jestem taka głupia.

Nie chcę umrzeć.

Po prostu nie chcę teraz niczego czuć.

To tak, jakby moje życie zamieniło się w czarną dziurę wypełnioną pustką.

Jeśli nie ma McMullenów, to nie ma sensu żyć, i taka jest smutna, żałosna prawda.

Zegar nad telewizorem cichutko mnie informuje, że Ben wróci mniej więcej za piętnaście minut. Dziś wieczorem będzie chciał uprawiać seks. Nie umie wytrzymać tygodnia bez ulżenia sobie, a ja nie wiem, jak długo jeszcze będzie kupował historyjkę o tym,

że te nowe pigułki obniżają moje libido.

Boże, uwielbiam, kiedy do kogoś wraca zła karma.

Popijam winem pigułkę, a potem siadam na sofie obok Ginger. Może uda mi się złapać końcówkę programu Ellen na DVR, zanim wróci Ben i przejmie kontrolę nad pilotem.

Leżąc na boku, opieram policzek na poduszce i czekam, aż alkohol i leki zaczną działać. Cała się odprężam, z sekundy na sekundę coraz silniej, a potem jestem już w takim stanie, że nic mnie nie obchodzi.

Gapię się w ekran. Ellen się śmieje, ale jestem zbyt otępiała, żeby wiedzieć z czego. Kątem oka widzę, jak Ginger podnosi głowę i patrzy na mnie, a potem słyszę cichy dzwonek mojego telefonu, który zostawiłam w kuchni.

Zsuwam się o ciężale z sofy i idę po telefon. Na ekranie wyświetla się jakiś nieznany numer.

Odchrząkuję i próbuję tchnąć w swój głos całą trzeźwość, jaką mogę w sobie wykrzesać:

– Słucham?

– Czy rozmawiam z Autumn Carpenter? – pyta jakaś kobieta.

– Tak. We własnej osobie. – Nie cierpię, kiedy ludzie tak mówią. To nie jest naturalne. Nikt tak nie mówi w prawdziwym życiu.

– Z tej strony Harriet, asystentka pana Grahama McMullena – przedstawia się, a ja prawie upuszczam telefon.

Kuchnia się kołysze. Rozglądam się dookoła i siadam na najbliższym krześle.

– Tak? – odzywam się, w duchu ją błagając, żeby mówiła dalej.

– Pan McMullen prosił mnie, żebym umówiła się z panią na rozmowę o pracę, o którą pani się starała – wyjaśnia. – To znaczy, jeśli ciągle jest pani zainteresowana.

Mam sucho w ustach i ledwo potrafię zapanować nad ekscytacją.

– Tak, oczywiście – odpowiadam natychmiast. – Na kiedy?

– W poniedziałek będzie przeprowadzał rozmowy.

Moje serce zamiera. Powiedziała „rozmowy”. Czyli nie będę jedyna.

Po co w ogóle biorą pod uwagę jakąś inną osobę? Przecież spełniam każdy warunek, który wymienili w ogłoszeniu. Nie istnieje lepsza osoba do opiekowania się ich dziećmi.

– O której godzinie? – pytam nieco łamiącym się głosem. Szybko sobie przypominam, że ciągle mam szansę. Wystarczy, że tam pójde, oczaruję go i pokażę, że musi mnie zatrudnić.

– Czy dziewiąta rano pani pasuje? – pyta mnie asystentka. – Będzie pani pierwsza, jeśli to pani nie przeszkadza.

– Doskonale – mówię.

– Świetnie. Zapiszę panią – mówi Harriet. W jej głosie słychać słodką, łagodną nutę. Nie sprawia wrażenia kobiety, która nienawidzi swojej roboty. Pewnie uwielbia pracować dla Grahama. Założę się, że jest dobry dla swoich podwładnych. Docenia ich. – Rozmowa odbędzie się w budynku McMullen–Henry w centrum Monarch Falls. Czy orientuje się pani, gdzie to jest?

– Tak, kojarzę – mówię. Trudno przegapić tę budowlę z niebieskiego szkła w kształcie czegoś, co wygląda jak z filmu science fiction.

– Świetnie. Proszę wjechać na ósme piętro i podejść do mojego biurka.

– Przyjdę na pewno – mówię, a potem kończymy rozmowę.

Za nic w świecie nie przegapiłabym takiej okazji.

Rozdział dwudziesty trzeci

Daphne

Wysyłam wiadomość do Mitcha – numer tablicy rejestracyjnej XHW 771 – i podaję model jej samochodu, alfa romeo C4, a potem siadam wygodniej w fotelu i wpatruję się w drzwi wyjściowe budynku Grahama opromienionego popołudniowym światłem. Oni nawet się z tym nie kryją. Przeciwnie, obnoszą się ze swoim romanssem. Cały świat może ich zobaczyć, kiedy są razem.

Moje ciało płonie ze wstydu, kiedy sobie przypominam, ile razy zaglądałam do biura Grahama i ucinałam sobie pogawędkę z jego pracownikami. Przecież oni przez cały ten czas o wszystkim wiedzieli. Pewnie patrzyli na mnie z litością, gdy tylko się odwracałam.

Jakie to upokarzające.

Czekam, aż ona odjedzie i jej auto zniknie za wzgórzem, a potem wysiadam z samochodu i wchodzę do budynku, niosąc w pudełku czekoladową babeczkę z ulubionej piekarni Grahama. Kiedyś, w lepszych czasach, często to robiłam. Pojawiałam się u niego w biurze pomiędzy załatwianiem sprawunków, żeby podrzucić mu coś słodkiego i pokazać, że o nim myślę.

Z tą różnicą, że kiedyś zawsze najpierw do niego dzwoniłam. Uprzedzałam go o wizycie. Dzisiaj jednak wejść tam bez zapowiedzi. Wyminę jego asystentkę, maszerując w stronę wielkich podwójnych drzwi z mahoni, które dwa lata temu kazał zamontować, żeby – jak tłumaczył – robiły wrażenie na potencjalnych klientach.

Przechodzę przez parking, potem przez hol, a na końcu wchodzę do windy. Dojeżdżam na jego piętro, macham do asystentki, ignorując jej próby zatrzymania mnie, a potem otwieram ogromne drzwi na końcu korytarza.

Graham rozmawia przez telefon. Z początku mnie nie zauważa. Śmieje się. Słyszę, jak opowiada o swoim kiju golfowym i nowym polu, które przyszlą wiosną otworzą w sąsiednim mieście. W jego tonie słyhać jakąś odprężoną, zadowoloną nutę. Pierwszy raz w życiu nienawidzę jego dobrego humoru.

Chcę mu go popsuć, zniszczyć. Chcę sprawić, żeby poczuł się marną kopią człowieka, którym był kiedyś. Nie zasługuje na to, żeby być tak zrelaksowany, pewny siebie i spokojny.

– Daphne. – Przenosi na mnie spojrzenie. Nawet mu powieka nie drży. Nie wygląda jak ktoś, kto ma coś na sumieniu. Na jego czole nie lśni ani jedna kropelka potu. – Kochanie, co ty tu robisz? Wszystko w porządku?

Jestem pełna podziwu, że ten facet może pieprzyć na biurku kochankę, a dziesięć minut później powitać swoją żonę, jakby nic się nie stało.

Mówi do słuchawki, że zadzwoni później, a potem wstaje, obchodzi biurko i idzie w moją stronę. Poprawia windsorski węzeł krawatu i odchrząkuje.

– Chciałam ci tylko to podzucić. – Stawiam tekturowe pudełeczko z logo piekarni na brzegu biurka i odwracam się, żeby wyjść.

Graham śmieje się pod nosem.

– To wszystko? Boże, przestraszyłaś mnie. Przez chwilę pomyślałem, że...

Jak może stać z tą wyniosłą miną, z tym pretensjonalnym uśmiezkiem, z tą niewzruszoną aurą – to przekracza moje pojęcie.

– Do zobaczenia wieczorem – mówię i ruszam ku wyjściu.

To nie jest normalna scena, i on dobrze o tym wie. Nigdy bym nie wpadła tutaj bez zapowiedzi i nie odeszła w pośpiechu, ale nie mogę tu zostać.

Nie mogę dalej tak żyć.

– Daphne. – W jego głosie rozbrzmiewa jakaś mroczniejsza nuta. Coś, co sugeruje, że może jednak dostrzega, jak na jego oczach wali się jego królestwo.

Powinien to dostrzegać.

Bo gdy już skończę to, co zaczęłam, po jego idealnym życiu nie zostanie już nic prócz popiołu i dymu.

Rozdział dwudziesty czwarty

Autumn

Nie byłabym człowiekiem, gdybym w tej chwili się nie denerwowała. Noga mi podskakuje, gdy czekam przed gabinetem Grahama McMullena. Jego asystentka zadzwoniła do niego, gdy tylko się zjawiłam. Słyszałam, jak powiedziała: „Tak, szefie. Przyszła trochę wcześniej”. Musiałam przygryźć dolną wargę. Jak na razie wszystko szło dobrze.

Już pokazałam, że cechuje mnie punktualność, o której wspominali w ogłoszeniu.

Podnoszę jakiś magazyn z małego stolika i zaczynam go przeglądać. Przelatuję wzrokiem po zdjęciach i zdaniach, ale moja świadomość ich nie rejestruje. W tej chwili nie jestem w stanie przeczytać artykułu o indywidualnych kontaktach emerytalnych.

Przez dwa dni się przygotowywałam.

Każdej minuty każdego dnia. Tuż pod nosem Bena. Trzymałam tablet pod takim kątem, żeby nie widział ekranu, i wyszukiwałam dziesiątki, a nawet setki artykułów na temat sztuki odbywania rozmów o pracę. Zanurzyłam się w języku rodzin, które korzystają z pomocy opiekunek i nianie. Poznałam ich oczekiwania, ich kod zachowania.

Celowo unikałam różnych strasznych historii, jakby one nie mogły mnie dotyczyć.

W przypadku rodziny takiej jak McMullenowie nie spodziewam się niczego, co mogłoby mnie do nich zniechęcić. To nie w ich stylu. W ciągu tych paru lat przekonałam się, że wszystko, czego tyka się

Daphne McMullen, jest wspaniałe i doskonałe.

– Autumn Carpenter? – Cichą poczekalnię wypełnia męski głos. Podnoszę wzrok, spodziewając się widoku jakiegoś praktykanta w zbyt dużym garniturze po ojcu, ale dostrzegam wyrzeźbione rysy twarzy i czekoladowe włosy mężczyzny, którego już tyle razy widziałam.

Podnoszę się, maskuję wszelkie objawy strachu i niepewności i przywołuję na usta ciepły uśmiech. W lewej dłoni trzymam portfolio obite czarną skórą, a drugą rękę unoszę w jego stronę, żeby się przywitać.

Nasze dłonie stykają się w ciepłym, mocnym uścisku. To właśnie te dłonie po dniu pełnym pracy pieszczą policzki Daphne oraz przytulają Grace, Rose i Sebastiana. Tymi dłońmi trzyma kierownicę, gdy wiezie rodzinę nad jezioro albo weekendowe wypad, tymi dłońmi uczy dzieci wędkowania i gry w baseball.

– Jestem Graham. – Głos wydobywa się z szerokiej piersi, a pełne usta układają w przyjazny uśmieszek. Nie uśmiech. Uśmieszki są zarezerwowane dla przygodnych nieznanym. Uśmieszki dla ludzi, z którymi łączy cię niewypowiedziana nić porozumienia. Już czuję z nim więź. Zastanawiam się, czy on też to wyczuwa. – Straszna tu leci muzyka, prawda?

Nie odpowiadam od razu. Powiedzieć „tak” byłoby nieuprzejme, ale nie powinnam się nie zgodzić już przy pierwszym pytaniu, które mi zadał. Poza tym nie chcę wydać mu się zbyt niepewna siebie ani przesadnie uległa, ponieważ to są jedne z najgorszych cech opiekunki do dziecka. Dzieci wyczuwają słabości dorosłych. Mają szósty zmysł.

– Mój wspólnik upiera się, żeby puszczać tę stację – mówi Graham McMullen. – Działa na mnie usypiająco. Tak czy inaczej, chodźmy do gabinetu. Napijesz się czegoś? Wody, kawy?

– Nie, dziękuję. – Wchodzę za nim do środka, cichutko stukając obcasami o wypolerowane płytki marmuru.

Przytrzymuje dla mnie drzwi, gdy dochodzimy do gabinetu, i puszcza mnie przodem. Fotel obity starą skórą już jest wysunięty.

Poprawiając krawat w szmaragdowym odcieniu, Graham wskazuje ręką fotel i każe mi się rozgościć.

Opieram swoje portfolio o bok fotela i gdy siadam, przesuwam palcami po wewnętrznej stronie ud, żeby wygładzić spódnicę.

Obserwuję, jak łagodnie pociera dłonią brodę, przeglądając moje CV, które leży na samej górze małego stosu na środku biurka. Unosi brew, jakby odkrył tam coś nowego, a ja się zastanawiam, czy sam dokonał selekcji kandydatek, czy może zlecił to zadanie komuś innemu. Mężczyzna taki jak Graham McMullen, codziennie zarządzający milionami dolarów w aktywach, kierujący własną wielką firmą, na pewno jest bez przerwy strasznie zapracowany, więc nie widzę nic złego w tym, że sam się tym nie zajął, a jednak czuję się odrobinę rozczarowana, że tym razem dzieci nie były dla niego priorytetem.

– Mieszkasz przy Willow Street – mówi, wpatrując się we mnie niebieskimi oczami. Moje serce się zatrzymuje. Unosi się kącik jego ust. – My mieszkamy przy Linden Street. W takim razie musimy być sąsiadami.

Powoli wypuszczam powietrze, jakby jego odkrycie nie było dla mnie oczywistością.

– Mieszkacie państwo przy Linden Street? Naprawdę?

Robię zdumioną minę.

– Jaki ten świat mały – mówi.

– Tak. – Powstrzymuję się przed zwróceniem uwagi na oczywistą kwestię, czyli to, że powinien mnie zatrudnić, bo dosłownie mieszkam rzut beretem od nich. Nigdy bym się nie spóźniała, bo chodziłabym do pracy piechotą. Nie chcę jednak mówić takich rzeczy. Przecież dopiero się poznaliśmy.

– Tu jest napisane, że do marca pracowałaś jako asystentka medyczna w klinice dziecięcej? – pyta.

Prostuję plecy i kiwam głową.

– Zgadza się. Uwielbiałam tę pracę. Uwielbiam pracować z dziećmi. Prawdę mówiąc, pełniłam funkcję głównej asystentki medycznej na oddziale. Przełożona ciągle nazywała mnie

„mamušką”. Uważała, że jestem zbyt dojrzała i odpowiedzialna jak na swój wiek, więc przydzieliła mi to stanowisko.

Śmieję się pod nosem. On też.

Musi uwielbiać dzieci.

To cała ja.

Musi być dojrzała.

To ja.

Musi być odpowiedzialna.

To też ja.

– Jestem pod wrażeniem – mówi takim tonem, że naprawdę mu wierzę. – Zakładam, że masz ukończony kurs udzielania pierwszej pomocy i tak dalej?

– Tak – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Co jest twoją ulubioną rzeczą, jeśli chodzi o pracę z dziećmi? Pewnie często zdarzały się stresujące chwile? Chore, wrzeszczące dzieci i tym podobne?

Chichoczę uprzejmie.

– Mieliśmy też zdrowych pacjentów, którzy przychodzili tylko na badania kontrolne. Zresztą dzieci były właśnie ulubioną częścią tej pracy. Wszyscy zawsze powtarzali, że mam wrodzony dar do zajmowania się nimi. Czasami przydzielano mi najtrudniejszych pacjentów, ponieważ potrafiłam sprawić, żeby dzieci się uspokoiły i odprężyły.

Patrzy mi w oczy i przez chwilę wydaje się pogrążony w myślach.

– A co robiłaś wcześniej, Autumn? – pyta. – To jedyna praca, którą wpisałaś do CV. Byłaś opiekunką do dzieci? Wyprowadzałaś psy?

– Po liceum poszłam na studia. Praca w klinice dziecięcej była moją pierwszą pracą – oświadczam z dumą. – Pracowałam tam parę lat, dopóki nie zostali wykupieni przez grupę lekarzy, którzy sprowadzili swoje pielęgniarki i asystentki.

– Rozumiem. – Zagryza dolną wargę. – Nie myślałaś o tym, żeby przenieść się do innej kliniki? Mam wrażenie, że przy każdej ulicy znajduje się tego rodzaju placówka.

Nie rozumiem, dlaczego zadaje to pytanie. Przecież nie siedzimy tutaj po to, żeby dyskutować, dlaczego nie poszłam pracować w innym miejscu. Mieliśmy rozmawiać o pracy opiekunki. O tej, do której się zgłosiłam.

– Można powiedzieć, że w tej chwili jestem tak jakby... pomiędzy pracami – odpowiadam. – Chciałam tej jesieni wrócić na uczelnię, żeby zostać pielęgniarką, ale jestem jeszcze niezdecydowana. Tymczasem chcę dalej pracować, a kiedy znalazłam państwa ogłoszenie, znowu poczułam ekscytację na myśl o tym, że mogłabym pracować z dziećmi. Poczułam, jakby los podsunął mi tę szansę.

McMullen siada wygodniej w fotelu, ogromnym, obitym brązowym tweedem, z doszytymi skórzanymi guzikami. Wygląda jak mebel dla arystokracji. Mąż Daphne wzdycha i znowu zagląda do mojego CV.

Coś mnie ściska w piersi.

On chyba mnie nie lubi.

Chyba nie zrobiłam na nim dobrego wrażenia.

Zerkam na swój strój. Biała bluzka zapinana na guziczki. Szara obcisła spódnica. Czarne czółenka na niskim obcasie. Stonowany makijaż.

Miła prezencja.

To ja.

A może powinnam zjawić się w ubraniach bardziej nadających się do biegania po ogrodzie? Lepienia plasteliny? Malowania farbami?

Mój umysł pracuje gorączkowo na najwyższych obrotach. Cały weekend przygotowywałam się do tej rozmowy. Spodziewałam się, że przyjdę tutaj, powiem wszystko, co należy, w jego oczach pojawi się błysk, na ustach rozkwitnie uśmiech, a potem od niego usłyszę, że właśnie na kogoś takiego czekał.

Dzwoni telefon na biurku, wyrrywając nas z zamyślenia. Graham znowu na mnie spogląda.

– Przepraszam, muszę odebrać – mówi, podnosząc słuchawkę i przyciskając ją ramieniem do ucha. – Tak, pamiętam. Już to

zaplanowałem. Będę tam. W porządku. Dziękuję.

Odkłada słuchawkę, odsuwa od siebie moje CV i zatapia się w fotelu. Opiera dłonie na płaskim brzuchu i posyła mi swobodny uśmiech. Widać po nim, że nie lubi rozmów o pracę. Wygląda na kogoś, kto lubi być sobą, a w czasie takich rozmów trzeba udawać, przynajmniej trochę.

– To była moja uroczą małżonka – mówi, śmiejąc się pod nosem.
– Chciała mi przypomnieć, żebym po drodze do domu odebrał psa.

– Jakiego psa państwo macie?

Wzdycha bezradnie, spoglądając gdzieś w bok.

– Nie wiem. To jeden z tych wielkich, wyrosniętych psów, które podobno nie powodują uczulenia i nie gubią sierści, ale z tego, co widzę, to jednak linieją. Dzieciaki nazwały ją Cocoa.

– Uwielbiam psy – mówię z maksymalnym entuzjazmem. To zresztą prawda. Kocham psy. Ale w tej chwili siedzę tutaj ze złamanym sercem, skręconym żołądkiem i pewnością siebie, która się ulatnia jak powietrze z przebitej opony. – Mam własnego. Cavalier king charles spaniela.

Graham błyska swoim idealnym, oślepiającym uśmiechem.

– Nie mam pojęcia, co to za rasa.

– Chwileczkę. – Podnoszę torebkę z podłogi i wyciągam telefon. – Proszę spojrzeć. Ona jest piękna. Nazywa się Ginger i jest... jest dla mnie najdroższa na świecie.

Włączam jedno ze zdjęć i podaję mu komórkę. Bierze ją ostrożnie, muskając moje palce swoimi.

Musi czuć się komfortowo w towarzystwie psa.

Kolejny punkt dla mnie.

Dostrzegam na jego biurku jakieś zdjęcie.

– To pana rodzina?

Obraca się w fotelu i bierze do rąk tę fotografię. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Daphne nie wrzucała jej na Instaface. Czuję, że zaraz eksploduje mi serce, jeśli za chwilę nie poda mi tego zdjęcia. Ostatnio jestem na totalnym głodzie, jeśli chodzi o wszystko, co ma związek z ich życiem.

– Zostało pstryknięte ubiegłego lata – wyjaśnia. – Wybraliśmy się na wycieczkę do Black Hills. Moja żona nie była wniebowzięta. Często źle się czuje, kiedy podróżuje samochodem, ale chciałem, żeby dzieciaki miały fajne wakacje w starym stylu. Żadnych samolotów. Tylko nasza piątka ściśnięta w wynajętym minivanie.

To dziwne. Daphne ani słowem nie wspominała o tym na Instafacie. Zapamiętałabym, gdyby miała na tydzień przesiąść się z mercedesa do dodge'a caravana bez skórzanych foteli i otwieranego dachu.

– Dzieci chyba dobrze się bawiły – mówię, z trudem się powstrzymując przed pogładzeniem palcem anielskiej buzi Grace. Uśmiecha się na zdjęciu tak szeroko, że jej policzki są zaróżowione. Ramieniem oplata Rose, tak mocno, że prawie ją przewraca.

– Tak, miały ogromną frajdę – potwierdza Graham, śmiejąc się pod nosem, jakby odtworzył sobie w myślach tamto wspomnienie. Wszystko bym dała, żeby być tam z nimi. – Mam nadzieję, że niedługo znowu je tam zabiorę.

Słyszałam, że niektóre rodziny wyjeżdżają ze swoją nianią.

Ciekawe, czy McMullenowie zabraliby mnie ze sobą, gdyby tego lata wyjechali gdzieś na wakacje?

Na samą myśl o tym moje serce trzepocze z radości.

Telefon na biurku wydaje z siebie sygnał, a po chwili rozbrzmiewa głos jego asystentki. Informuje go, że przyszła już kolejna kandydatka. Czuję, jak dobry humor błyskawicznie mnie opuszcza.

To nie fair.

Ledwie się zaczęło, a już się skończyło.

Nie zdążył mi zadać prawie żadnych pytań!

Jak zdoła poprawnie ocenić, czy potrafię zatroszczyć się o jego dzieci, skoro prawie niczego się nie dowiedział?!

Graham podnosi się z fotela i rzuca lakonicznie:

– Przepraszam. Wygląda na to, że nasz czas się skończył.

– Och? – Udaję, że się tym nie przejmuję. Chichoczę, jakby bawiła mnie ta sytuacja. – Cóż, jeśli będzie chciał pan dłużej ze

mną porozmawiać, wie pan, gdzie mieszkam.

Śmiejemy się oboje, jakbym powiedziała coś niesamowicie zabawnego, i czuję, jak wzbiera we mnie nadzieja. Może dzisiaj przeprowadzić rozmowy z tuzinem opiekunek do dzieci, ale jestem pewna, że żadna z nich tak go nie rozbawi. I żadna z nich nie mieszka przy Willow Street. Co wieczór w drodze z pracy do domu mija tę ulicę i będzie o mnie myślał i podświadomie wiedział, że jestem idealną kandydatką.

Zbieram swoje rzeczy i pozwalam odprowadzić się Grahamowi do drzwi. Gdy kładzie dłoń na moich plecach, przechodzi mnie elektryzujący dreszcz.

Nawiązaliśmy więź.

Czuję to.

– Dziękuję, że przyszłaś – mówi. – Chcemy podjąć decyzję jak najszybciej. Na pewno się skontaktujemy.

Wyciąga do mnie rękę. Ściskam ją energicznie, z pewnością siebie, patrząc mu w oczy.

– Było mi bardzo przyjemnie, panie McMullen.

Mówię prawdę.

Musiałby być przeklętym głupcem, żeby nie dać mi tej pracy.

Nie istnieje nikt, dosłownie żadna osoba na świecie, która bardziej się nadaje do opieki nad ich dziećmi.

Nikt inny nie będzie ich kochał jak własną rodzinę.

Tylko ja.

Rozdział dwudziesty piąty

Daphne

Gdy po południu wracam do domu, wita mnie ryk telewizora w salonie. Stawiam obie siatki z zakupami na blacie w kuchni i zaglądam do pokoju. Sebastian skacze po sofie, a Addison siedzi na podłodze pomiędzy dziewczynkami. Na całym dywanie leżą porozrzucane książki i kredki. Czuję, jak podnosi mi się ciśnienie.

– Cześć. Bawimy się kredkami przy stole w kuchni, dobrze?

Addison obraca się gwałtownie z rozdziawionymi ustami i chowa komórkę pod lewe udo. Widziałam, jak chwilę wcześniej pisała do kogoś wiadomość.

– Tak, oczywiście – mówi, gorączkowo zbierając z ziemi kolorowanki.

– Dziękuję. – Odwracam się, ale nagle dostrzegam na stoliku kawowym otwartą paczkę krakersów, a obok M&M'sy, które Addison pewnie przyniosła z domu. Zaciskam mocno usta, żeby nic nie powiedzieć, i wracam do kuchni szykować kolację.

Przypominam sobie, że ta sytuacja jest kompromisem. Lepiej mieć Addison do opieki nad dziećmi, niż nie mieć nikogo. Minęły już dwa tygodnie, odkąd Graham oświadczył, że jego priorytetem jest znalezienie niani na lato, ale do tej pory nie wspomniał o ani jednej kandydatce.

Jestem pewna, że to była jego kolejna zagrywka.

Pewnie chce, żeby Addison została, i nic go nie obchodzi, że ona się do tego nie nadaje, ponieważ zakłada, że skoro ją wybrałam, to wszystko jest w porządku, bo przecież ciągle zajmuję się dziećmi

i domem tak, żeby nie było problemów.

Typowy Graham.

Nawet nie wiem, jak mogłam uwierzyć, że coś się w nim zmieniło.

Włączam piekarnik, żeby się nagrzał, i idę na górę przebrać się w coś wygodnego. Wcześniej zawsze się stroiłam przed powrotem Grahama z pracy. Malowałam usta, wciskałam się w obcisłe dzinsy, poprawiałam fryzurę, oczekując z ekscytacją jego przybycia, bo zawsze lubiłam widzieć jego minę, jego spojrzenie, gdy wchodził do domu.

Ale pieprzyć to.

Wkładałam spodnie do jogi i zwyczajną koszulkę i spoglądałam przez okno w sypialni. To zawsze był mój ulubiony widok na naszą ulicę. Wierzby płaczące, ogromne dęby i ładne domki ustawione po obu stronach ulicy sprawiały, że w mieszkaniu tutaj było coś bajkowego.

Ale teraz już wiem, że to było tylko życie w bąbelku dającym fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Dziesięć lat temu przeprowadziliśmy się tutaj z sąsiedniego miasta, gdy Graham postanowił założyć własną firmę zajmującą się doradztwem finansowym, a mieliśmy już Grace. Ten dom nie był jeszcze wystawiony na sprzedaż, ale nasza agentka nieruchomości dostała cynk, że wkrótce będzie, więc pozwoliła nam go obejrzeć.

Już sekundę po przekroczeniu progu wiedziałam, że ten dom będzie nasz. Był ciemny i przytulny tam, gdzie powinien, a jasny i przestronny tam, gdzie to najważniejsze. Ogromny hol i wielkie schody robiły niesamowite wrażenie, a basen w ogrodzie był idealny na wilgotne, upalne lata panujące w Nowej Anglii. Po roku mieszkania tutaj Graham pozwolił mi zająć się przebudową kuchni. Zgodził się, gdy zaproponowałam sprzęt i meble z firmy Viking oraz podwójną lodówkę, duży blat kuchenny na środku, a wszystko wykończone lśniącym marmurem.

Kiedyś kochałam ten dom.

Byłam na sto procent przekonana, że będę mieszkała tutaj zawsze, że zaczerpnę swój ostatni oddech w tym łóżku, a wcześniej moje wnuki będą tu zaglądały w każde Boże Narodzenie, wypełniając dom śmiechem i ciasteczkami imbirowymi.

Byłam pewna, że oboje się w nim zestarzejemy.

Biorę głęboki wdech i wyciągam rękę, żeby przesunąć zasłonę. Zamieram jednak w bezruchu, widząc za oknem samochód. Nigdy wcześniej nie widziałam go na naszej ulicy, a na pewno bym go zapamiętała. Czarny, w uwodzicielsko opływowym kształcie i z okrągłymi tylnymi światłami. Wiem, czyje to auto. To alfa romeo tamtej kobiety.

Nie widzę jej przez przyciemnianą szybę, ale samochód zwalnia przy naszym domu, prawie się zatrzymuje na parę chwil, a potem nagle szybko odjeżdża i znika.

Stoję z dudniącym sercem, całkowicie zdezorientowana.

Dlaczego, do diabła, ona jeździ nam pod oknem?

Rozdział dwudziesty szósty

Autumn

Wracam ze sklepu spożywczego i widzę samochód Marnie na naszym podjeździe.

Musiała przyjechać właśnie dzisiaj? Wybrała najgorszy dzień z możliwych.

Dziś rano minęły dwa tygodnie od mojej rozmowy z Grahamem.

Dwa tygodnie całkowitej ciszy z jego strony.

Jakaś grupka chłopców przemyka na rowerach po chodniku, uśmiechając się w stylu „koniec szkoły, mamy wakacje!” i hałasując kartami wetkniętymi w szprychy.

Dzisiaj koło południa nie wytrzymałam i zadzwoniłam do biura Grahama. Ku mojemu zdziwieniu przełączono mnie do niego, a on od razu zaczął mnie przeproszać.

– Miałem do ciebie zadzwonić, Autumn – tłumaczył. – Ostatnio mieliśmy gorączkową sytuację w pracy. Proszę wybaczyć. Już podjęliśmy decyzję, ale jeśli z tą osobą coś nie wypali, jesteś następna na liście.

Podziękowałam mu, zastanawiając się, czy słyszał drżenie w moim głosie, a kiedy się rozłączyłam, padłam na sofę i przez trzy godziny leżałam jak kłoda.

Wrzucam wsteczny bieg i parkuję na podjeździe, tarasując drogę sportowej bryce Marnie, tej, którą kupiła sobie dzięki jednemu z jej bogatych sponsorów. Przez okno widzę, jak siedzi z Benem w salonie, opromieniona blaskiem migoczącego telewizora. Oboje się śmieją, pochłonięci rozmową.

Ben wcześniej wrócił do domu.

Nie cierpię, kiedy to robi. Kiedy zjawia się przed czasem, bez ostrzegawczego telefonu czy esemesa. Uważa, że sprawia mi przyjemną niespodziankę.

Jezu. Błagam.

Wyciągam kluczyki ze stacyjki, głośno trzaskam drzwiami, i na dokładkę bagażnikiem. Jeśli trochę pohałasuję, może Ben wyjdzie, żeby mi pomóc, tak jak zwykle to robi. Jednak dzisiaj bym na to nie liczyła. Przecież jest z nią. Swoją ukochaną siostrzyczką.

Jestem objuczona dziewięcioma siatkami z zakupami. Bola mnie ręce, ale udaje mi się dojść do domu, wsadzić klucz w zamek i otworzyć drzwi kopniakiem. Zostaję powitana zdziwionymi spojrzeniami. Żadne z rodzeństwa nie proponuje, że mi pomoże.

– Autumn – odzywa się Ben. – Zastanawiałem się, gdzie jesteś.

Jeśli to prawda, to mógł zapytać mnie w esemesie.

Marnie nawet nie patrzy w moją stronę. Wzdycha zgarbiona. Przerwałam im siostrzano-braterską rozmowę i z tego powodu jestem największą suką na świecie.

– Cześć, Marn – rzucam do niej zdrobniale, wesołym tonem, jakbyśmy były psiapsiółkami.

Wyciąga komórkę z torebki, wciąż unikając mojego spojrzenia, i niechętnie mruczy pod nosem „cześć”.

– Co robicie? – Udaję, że jestem w świetnym nastroju, ponieważ pewna mądra kobieta wrzuciła kiedyś na Instafacie swoją seksowną fotkę z napisem, że najlepszą formą zemsty jest szczęście. Poza tym udawanie, że jestem w dobrym stanie, to jedyna metoda, żeby nie rozpaść się na oczach tych dwojga, bo są to ostatni ludzie na ziemi, przy których chciałabym to zrobić.

– Nic takiego – mówi Ben, zatapia się w obłożonej poduszkami sofie i zaplata ręce na karku. – Masz ochotę wyskoczyć na piwko i skrzydełka?

Widzę, jak Marnie spogląda na niego niezadowolona, że to powiedział. Choć bardzo chciałabym popsuć im zabawę, dzisiaj wolałabym zostać sama w domu i pławić się w swoim nieszczęściu,

zanurzać w nim jak w wannie pełnej wrzątku. Bo w takim jestem nastroju.

Poza tym muszę przemyśleć następny ruch, a nie mogę tego zrobić, gdy Ben cały wieczór coś do mnie mówi, gada o statystykach sportowych i pyta, co chcę dostać w prezencie na Boże Narodzenie, które będzie dopiero za pół roku.

– Oj, dzięki za zaproszenie – mówię do nich. – Ale dzisiaj wolałabym odpocząć w domu. Nie obrazicie się?

Ben krzywi się pod nosem, a potem wreszcie podchodzi, żeby wziąć ode mnie zakupy. Idzie za mną do kuchni, wkłada mleko do lodówki, a potem staje i tylko patrzy, jak wypakowuję resztę. Zawsze był taki leniwy? Może dopiero teraz to zauważyłam?

– Chcę, żebyś z nami poszła, kotku – odzywa się.

Podnoszę wzrok i zgriatam w dłoniach plastikową siatkę.

– Boli mnie głowa. Chyba się położę i pooglądam telewizję.

– Od dwóch tygodni prawie codziennie masz ból głowy – mówi Ben. – Jakby te pigułki wcale nie pomagały.

Ostatnie zdanie wypowiada pod nosem, jakby nie chciał, żeby jego siostra się dowiedziała, że jestem na jakichś lekach. Nic dziwnego. Z pewnością ciągle od niej słyszy, że jestem wariatką. Prawdę mówiąc, wiem o tym. Podśluchałam kiedyś, jak o tym wspominała. Nie pojmuję jednak, dlaczego tak uważa. Odkąd się poznałyśmy, zawsze byłam dla niej miła i uprzejma, a ona dla mnie oziębła.

Nigdy nie powiedziałam złego słowa o tej suce, nawet gdy miałam na to wielką ochotę. Ale nigdy tego nie zrobiłam. Przynajmniej nie w obecności Bena. U ludzi takich jak Gotliebowie rodzina jest najważniejsza, a ja wiem, na co mogę sobie pozwolić. Ja krytykująca Marnie to co innego niż Marnie krytykująca mnie. Tak po prostu jest.

– Oj, proszę cię. – Unoszę brwi i wsuwam się w jego ramiona. – Pozwolisz mi dzisiaj zostać w domu?

Boże, jak żałośnie to zabrzmiało. Jakbym była jego cholerną niewolnicą. Mam ochotę uciec z dala od Bena, od jego jędzowatej

siostry, od tego domu na Willow Street.

Ale zostaję.

Zawsze tu zostaję.

Z powodu McMullenów.

A teraz nawet ich nie mam.

Niczego nie mam.

Jestem niczym.

– Ostatnio jesteś taka zdołowana – przypomina mi, jakbym sama o tym nie wiedziała. – Nie sądzisz, że piwo poprawiłoby ci nastrój?

Śmieję się. Jeśli on naprawdę uważa, że piwo by mnie rozweseliło, musiałam wygrać główną nagrodę w loterii „Twój chłopak jest idiotą”.

– Ben, ona nie chce iść. Nie zmuszaj jej – wtrąca się Marnie z pokoju. Dobrze wiedzieć, że ma taki dobry słuch.

– Dzięki, Marn! – wołam do niej.

– Nie ma za co – odpowiada.

Wydaje mi się, że może nas zbliżać do siebie jedynie nienawiść, jaką wzajemnie się darzymy, oraz wspólna irytacja tym, że Ben nigdy nie rozumie, kiedy się mówi „nie”.

Wypuszcza mnie z ramion, a ja wracam do rozpakowywania siatek. Gdy odkładałam ostatnią puszkę, Marnie zjawia się w progu.

– Umieram z głodu – jęczy, kładąc dłoń na zapadniętym brzuchu. Wierzę jej. Wygląda na okropnie głodną. Pewnie od wielu tygodni nie zjadła porządnego posiłku. Pewnie facet, z którym spotyka się w tym tygodniu, lubi kościste panienki. – Hej, Autumn. Ben wspominał, że byłeś na rozmowie w sprawie pracy opiekunki do dzieci.

Spoglądam w jej stronę. Jestem pewna na dziewięćdziesiąt procent, że zaraz rzuci jakąś niemiłą uwagę na temat tego, że w okolicy jest setki miejsc dla asystentki medycznej, i o tym, jak marnuję swoje wykształcenie. Jakby miała prawo się wtrącać.

Na pewno jej się nie podoba, że mieszkam razem z jej bratem, ale to on opłaca wszystkie rachunki. Gdyby jednak wiedziała, że on właśnie tego chce, nie robiłaby ze mnie czarnego charakteru.

Ale to właśnie cała ona. Zawsze pochopnie wyciąga wnioski. Zawsze uważa, że wszystko wie najlepiej. Ona się żywi dramataми i konfliktami.

Pewnie dlatego jest taka chuda: plotki mają zero kalorii.

– Tak – odpowiadam. – Czemu pytasz?

– Chodzi o McMullenów, prawda?

– Skąd wiesz? – Kładę dłoń na biodrze, jakby Marnie nie miała prawa wiedzieć o istnieniu Daphne i jej rodziny.

– Ben mi powiedział – wyjaśnia, przenosząc wzrok na brata. – Znam ich.

Coś ściska mnie za gardło. Muszę przełknąć ślinę, żeby to uczucie ustąpiło. Nie mam pojęcia, jak zareagować na to, co usłyszałam.

– Znasz ich... osobiście? – Potrzebuję więcej informacji. I to w tej chwili.

Marnie przewraca oczami, uśmiechając się pod nosem.

– Na drugim roku college’u robiłam staż u McMullena i Henry’ego. Pracowałam z Grahamem.

Co?!

I jeszcze są ze sobą na „ty”?

Muszę usiąść. Albo się napić. Albo połknąć swoją żółtą pigułkę. Zamiast tego dalej stoję, chłonąc chyba najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałam od tej jędzy ze sztucznymi rzęsami.

– Nie wybrali mnie. – Odwracam się, żeby ustawić przyprawy na lodówce, bo nie chcę na nią patrzeć. Ciągle jednak czuję na sobie jej spojrzenie.

– Naprawdę? – pyta jakby zaszokowana. Pewnie jednak udaje. Nie powinnam nawet przez sekundę się łudzić, że Marnie Gotlieb naprawdę czymś się przejęła.

– Chcesz do niego zadzwonić? Polecieć mnie? – pytam z przyjaznym sarkazmem. Pierwszy raz w życiu mam wrażenie, że rozmawiamy w tym samym języku. – Powiedzieć im, że popełnili największy błąd w życiu?

Marnie chichocze.

– Nie mam na nich takiego wpływu. Jestem tylko stażystką,

która dawno temu przewinęła się przez jego firmę. Nie sądzę, żeby Graham w ogóle mnie jeszcze pamiętał.

Zatyka kosmyk jasnych włosów za ucho i podchodzi do mnie, jakby naprawdę chciała ze mną poważnie porozmawiać, co jest zupełnie nie w jej stylu.

– Daphne jest naprawdę dziwna. – Marnie mówi w taki sposób, jakby знаła ją osobiście, a mnie coraz bardziej zżera ciekawość. Wsłuchuję się w każde jej słowo. – Nigdy jej oficjalnie nie poznałam, ale takie wyczuwam od niej fluidy. Zawsze mówiła Grahamowi, co ma robić, gdzie ma pójść. Siedząc w domu, może zaglądać do jego kalendarzyka. Bez przerwy chce wiedzieć, gdzie on się znajduje. Ma totalną obsesję na punkcie kontroli.

– Daphne? – pytam z uniesioną brwią, całkowicie zaskoczona. Nie chcę uwierzyć w to, co usłyszałam.

– To są rzeczy, które usłyszałam od ludzi, więc nie wiadomo, jak jest naprawdę – zaczyna się wycofywać. – Ale ty ją znasz, tak? Mówię o Daphne.

Cholera.

Cholera. Cholera. Cholera.

Macham ręką.

– To bez znaczenia, skoro i tak mnie nie wybrali, więc...

– No, kiepska sprawa. – Marnie spogląda przez suwane szklane drzwi w stronę domu McMullenów. Czyżby od początku wiedziała, że oni tam mieszkają?

Może gdyby nie pochłaniała nas obydwie wzajemna nienawiść, zdołałybyśmy parę lat temu się zaprzyjaźnić. I może wyciągnęłabym z niej różne informacje albo nawet zdobyła dostęp do McMullenów? Może dzięki temu wszystko wyglądałoby teraz inaczej?

Boże, na tym świecie jest za dużo nienawiści.

A ja przyznaję bez bicia, że czasami bywam swoim najgorszym wrogiem.

– Marn, jesteś gotowa? – pyta Ben, odrywając wzrok od ekranu komórki. Jest wyraźnie znudzony naszą rozmową. Nawet nie

wiem, czy słuchał, o czym mówiliśmy, bo nie powiedział, jak mu przykro, że nie dostałam tej pracy.

Marnie przestaje patrzeć w stronę domu McMullenów, podchodzi do blatu kuchennego i zaczyna przestawiać solniczkę i pieprzniczkę.

– Sól jest po prawej, Autumn – instruuje mnie. – A pieprz po lewej. Powinnaś to wiedzieć. Wszyscy to wiedzą.

Czyli jednak nic się nie zmieniło.

Rozdział dwudziesty siódmy

Daphne

– Czy możesz uprzejmie poprosić swoją kochankę, żeby w ciągu dnia nie kręciła się koło naszego domu?

Dziś wieczorem wpełzam pod kołdrę i zachowuję bezpieczną odległość od mojego męża.

Zapada grobowa cisza. Graham się nie rusza.

– Co? – pyta po chwili.

– Słyszałeś. – Wyciągam rękę, żeby wyłączyć lampkę. Przewracam się na bok, plecami do niego.

To był ciężki dzień.

Addison wyszła wcześniej, bo miała trening cheerleaderek w college’u. Nawet nie wiedziałam, że takie rzeczy odbywają się w wakacje. Jestem raczej pewna, że skłamała, żeby wcześniej od nas wyjść. Dzieci były napchane słodyczami i fast foodami, więc nie chciały siedzieć grzecznie przy stole ani tym bardziej zjeść obiadu. Zanim poszły do łóżek, jęczały wszystkie, że są głodne, ale wyjaśniłam, że kuchnia jest już zamknięta i wysłałam je do łazienki. Grace i Rose walczyły o to, która pierwsza ma sobie nałożyć brokatową, księżniczkową pastę, z kolei Sebastian skakał po łóżku, zrzucając kołdrę i poduszki, i nie chciał przestać.

A Graham znowu „pracował do późna”.

– Możesz przestać? – wypluwam z siebie, wciskając policzek w poduszkę. Ciepło jego dłoni na moim ramieniu przyprawia mnie o dreszcz.

– Daphne... – Przygotowuję się psychicznie na lawinę wyjaśnień,

wymówek i fałszywych zeznań, które układał sobie od miesięcy, szykując się na tę chwilę. – Od jak dawna wiesz?

Zrzucam z siebie kołdrę i wyskakuję z łóżka. Nie mogę leżeć obok niego.

– Od jakiegoś czasu – odpowiadam, stając przy oknie.

Odwrócona do niego plecami słyszę, jak stąpa bosą po dywanie, a potem czuję, jak do mnie podchodzi. Człowiek, który zniszczył ten piękny, wspólnie przez nas stworzony świat.

Milczy, co oznacza, że głęboko nad czymś rozmyśla. Nagle sobie uświadamiam, że może źle to wszystko odczytałam. Może specjalnie nie krył się ze swoim romansem, żebym go przyłapała. Może sobie wymyślił, że jeśli to ja wszystko zakończę, on nie będzie tym złym w całej tej sytuacji.

Cholera.

– Daphne...

– Daruj sobie. – Łapię za jedwabny szlafrok przewieszony przez fotel ustawiony w kącie i zrzucam go sobie na ramiona. Chcę zejść na dół, zrobić sobie drinka i posiedzieć w ciemności.

Słyszę głośny hałas, jakby coś upadło na ziemię. Odwracam się i widzę, jak Graham kuli się na podłodze. Opiera łokcie na kolanach i zakrywa twarz dłońmi.

Znam tego człowieka prawie dwadzieścia lat, ale nigdy wcześniej nie widziałam, żeby tak się zachowywał. Nigdy.

– Co robisz? – Nie podchodzę do niego. Nie współczuję mu. – Wstań z podłogi.

– Daphne, tak mi przykro. – Płacze jak wyrośnięte dziecko. Jego ramiona unoszą się i opadają pomiędzy kolejnym cichym szlochem.

– Wybacz mi.

– Serio?

Podnosi wzrok. Jego niebieskie oczy są podkrążone i przekrwione. A potem wstaje i wyciąga do mnie ręce. Robię krok do tyłu.

– Wszystko zniszczone – mówię. – Nie wiem, czy kiedykolwiek uda się nam z tego wygrzebać.

– Można to naprawić – odpowiada, nie wycierając łzy, która

spływa mu po lewym policzku. Przez wszystkie te wspólnie spędzone lata nie miałam pojęcia, że mój mąż potrafi odegrać taką teatralną scenkę.

Nie odzywam się.

– Nie kocham jej – dodaje.

Ciągle milczę.

– To był błąd. Zwykły... romans. Ona jest dla mnie nikim – wyjaśnia. – A ty... ty jesteś całym moim światem. Moim wszystkim. Jediną kobietą, którą kiedykolwiek kochałem. Potrzebuję cię.

Jego słowa są właśnie tym, czym są – słowami. Nic nie oznaczają.

– Dzisiaj się z nią spotkałeś. – To nie jest pytanie, a on nie odpowiada. – Jak możesz więc chcieć, żebym uwierzyła, że mnie kochasz i załujesz, skoro parę godzin temu byłeś z nią.

Jego twarz jest czerwona od płaczu. Odgarnia z czoła kosmyki ciemnych włosów. Mam wrażenie, że widzę go pierwszy raz w życiu – ale tym razem nie czuję do niego żadnego pociągu. Patrzę na swojego męża, a serce nie zaczyna mi bić szybciej. Nie czuję się lekka jak powietrze. Nic we mnie nie promienieje. Jest tak, jakby cały jego urok, powab i magia uleciały i zniknęły. Została tylko ta tragicznie niedoskonała wersja człowieka, który mnie zdradził.

– Pojechałem do niej dzisiaj – mówi niskim głosem – żeby z nią zerwać.

– Wygodna wymówka.

– Nie spodziewam się, że mi uwierzysz, ale to prawda. Od jakiegoś czasu chciałem to zakończyć. Ale za każdym razem słyszałem od niej groźby. Mówiła, że zrobi sobie krzywdę. Albo powie tobie o wszystkim.

Śmieję się.

– A więc dajesz się manipulować dwudziestodwuletniej panience?

Nie wiem, ile ona ma lat. Tylko zgaduję.

– Z nią jest coś nie tak – mówi. – Ma jakieś problemy psychiczne. Nigdy nie powinienem zaczynać tej znajomości, Daphne. Do końca

życia będę tego żałował bardziej niż czegokolwiek innego. Nienawidzę siebie za to, że cię skrzywdziłem. Nie zasłużyłaś na to. Zawsze byłaś idealna i cudowna.

Nawet nie zauważyłam, kiedy do mnie podszedł. Stoi tak blisko, że czuję jego wodę kolońską. Wyciąga ręce w stronę moich bioder.

– Kocham cię – mówi. – Bardzo.

Nie odwzajemniam wyznania.

– Jak mogę to naprawić? Chcę to zrobić. Muszę to naprawić. – Nie do twarzy mu z desperacją. – Nie możemy stracić tego, co mamy, z powodu głupiego błędu.

– Widuję się z kimś – mówię.

Nie dodaję, że to diler. Nie podaję żadnych szczegółów. Niczego nie wyjaśniam. Chcę, żeby wyobraził sobie najgorszy scenariusz. Chcę wbić mu ten nóż, a potem przekręcić ostrze.

Jego twarz zastyga. Jestem pewna, że zafundowałam mu największy szok w życiu. Wreszcie mruga i przetyka śnię. Emanuje aurą bólu i cierpienia, a mnie korci, żeby zapytać, jak smakuje mu trucizna, którą sam mnie poczęstował.

Wsuwa rękę w moją dłoń i prowadzi mnie w stronę łóżka. Oboje siadamy na brzegu.

– Czyli jesteście kwita. – Pociąga nosem, zagryzając dolną wargę i wpatrując się w dywan.

Wrywam mu rękę.

– Nie. Nie jesteście kwita. Nic z tych rzeczy.

– Kto to jest?

– Ale masz tupet. – Wstaję, obchodzę łóżko i zabieram swoją poduszkę. – Będę spała w pokoju gościnnym. Jestem wyczerpana i nie mam siły wysłuchiwać twoich przeprosin i wyznań. Gdybyś naprawdę mnie kochał, Graham, nigdy byś mnie nie zdradził.

– Powiesz dzieciom? – pyta mnie.

Rozdziawiam usta. Oczywiście, że nie powiem. Nie chcę narażać ich na traumę tylko z powodu chęci zemsty na Grahamie. Nie jestem aż tak zła.

– Innego dnia wszystko ustalimy – odpowiadam, ziewając.

– Co masz na myśli?
– Separacja, rozwód, podział majątku – wyliczam. – Wszystko.
– Nie, nie, nie. – Przechodzi przez pokój z uniesioną ręką. – Nie rozstajemy się.
– Ach, więc chcesz sam podjąć decyzję w tej sprawie?
– Oczywiście, że nie – zaprzecza. – Ale nie możemy spróbować tego uratować? Popracować nad naszym związkiem? Pójść na terapię małżeńską? Pomyśl o dzieciach, Daphne.
Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Co za manipulator.
– Ja myślę o dzieciach – odpowiadam. – Myślę o nich w każdej sekundzie każdego cholernego dnia. W przeciwieństwie do ciebie. Więc nawet nie waż się ich wykorzystywać, żeby dostać to, czego chcesz, ty żaloszny sukinsynu.
Gapi się na mnie z rozdziawionymi ustami. Nigdy wcześniej tak o nim nie powiedziałam. Nie tak jak teraz – patrząc mu prosto w oczy, zaciskając pięści i zaciskając zęby.
– Dobrze. – Wciąga i wypuszcza powietrze. – Potrzebujesz trochę czasu, żeby się uspokoić. Rozumiem. Pozwolę ci odetchnąć. A jutro zaczniemy wszystko od nowa. Będzie lepiej. Wynagrodzę ci to. Będę ci to wynagradzał do końca życia. I udowodnię, że każde słowo, które dzisiaj powiedziałem, jest prawdą.

Rozdział dwudziesty ósmy

Autumn

On musi to wiedzieć.

Ja chciałabym wiedzieć... gdyby to były moje dzieci.

Wszystko, co widzę, zamienia się w plamę. A potem mrużę oczy i znowu łapię na niego ostrość. Drapie się po twarzy, oglądając kwiaty za szybą chłodziarki, aż wreszcie decyduje się na bukiet żonkili. To tak, jakby ostatnie dwie godziny się nie wydarzyły. Nie pamiętam, kiedy zaparkowałam przed siedzibą firmy McMullen and Henry Corporation. Nie pamiętam, jak obserwowałam pracowników wychodzących z budynku, wsiadających do samochodów, aż wreszcie na parkingu zostało tylko jedno auto, znajomy czarny sedan z tablicami Uniwersytetu Pensylwanii. Nie pamiętam, jak obserwowałam, gdy Graham McMullen wsiada do samochodu, i zdecydowanie nie pamiętam, jak śledziłam go tutaj, do sklepu spożywczego Hiland Grocery and Deli na Pepper Street.

Wiem, że to wszystko się wydarzyło.

Ale nic z tego nie pamiętam.

A teraz jestem tutaj.

Patrzę z daleka, jak Graham wybiera bukiet dla swojej żony po długim dniu pracy. Może to jakaś specjalna okazja? Może są dzisiaj umówieni na małżeńską randkę? Dziś jest piątek, więc to miałoby sens.

– Proszę pani. – Ktoś klepie mnie w ramię, a ja prawie dostaję zawału serca. – Stoi pani w kolejce po kwiaty?

Chcę odpowiedzieć, ale Graham nagle obraca się na pięcie

w swoich eleganckich, wypolerowanych butach i natychmiast mnie zauważa.

Stoję w bezruchu, jak zamrożona, szukając w jego spojrzeniu znaku, że mnie zapamiętał, choć od naszej rozmowy minęło już parę tygodni.

– Dzień dobry – mówię, zaciskając mocno palce na uchwycie plastikowego koszyka, do którego wrzuciłam wcześniej parę mandarynek, gumę do żucia i rumowe ciasto z rodzynkami.

Zrobiłam to jedynie po to, żeby nie wyglądać podejrzanie.

– Autumn? Autumn, prawda? – Jego twarz się rozpromienia, a cały mój świat zaczyna wirować. Na chwilę zapominam, jak okropnie czułam się zraniona, kiedy mnie nie wybrał. Zapominam o tamtej nieudanej rozmowie, niesprawiedliwie przzerwanej przez przybycie kolejnej kandydatki z listy.

– Tak! – Uśmiecham się, a potem śmieję, lekko uderzając się w nogę, jakbym nagle sobie przypomniała, kim on jest. Stajemy z boku, żeby inni klienci mogli podejść do kwiatów. – Jak ci leci, sąsiadko?

Śmieje się pod nosem i wpatruje we mnie. Zastanawiam się, czy na każdą osobę patrzy w taki sposób – jakby była jedyną osobą na ziemi.

Daphne ma takie szczęście, że jest jego żoną i nosi jego nazwisko. Że wychowuje jego dzieci i każdej nocy śpi w jego ramionach.

Wyobrażam sobie romantyczne rzeczy, które mężczyzna taki jak Graham robi dla swojej ukochanej. Bez okazji kupuje kwiaty, żeby sprawić jej niespodziankę. W ostatniej chwili daje bilety na jej ulubiony musical. Zabiera na weekendy w jakieś malownicze miejsca.

– Jak się sprawuje niania? – przechodzę od raz do rzeczy.

– Dobrze. – Kiwa głową i ciągle na mnie patrzy. – Wszystko naprawdę dobrze się układa. Ma na imię Addison. Jest córką koleżanki mojej żony. Dzieci chyba ją lubią.

Nepotyzm.

Fajnie.

Czy w ogóle miałam szansę dostać tę pracę? – pytam go w myślach.

Któregoś dnia podglądałam tę dziewczynę zza ogrodzenia. Dzieci pływały w basenie przy domu, a ona, ubrana w strój kąpielowy, siedziała na leżaku, smarowała się olejkami do opalania i pisała esemesy.

Czuję, że muszę mu to powiedzieć.

Powinien to wiedzieć.

Otwieram usta. Moje serce bije jak szalone. Mój plan może się udać. Ale mogę też wszystko schrzanić.

– Ta wasza niania – zaczynam niskim głosem, nachylając się w jego stronę. – Jest blondynką? Taką drobną?

Przygląda mi się uważnie.

Boże, już mnie przejrzał.

Chyba.

– Chodzi o to, że widziałam ją któregoś dnia. Wyszłam na spacer z Ginger, a ona siedziała przed domem z dziećmi. – Rozglądam się dookoła, żeby przeciągnąć milczenie i rozbudzić jego ciekawość, bo wtedy potraktuje moje słowa poważnie. Przynajmniej powinien. Jego dzieci znajdują się w niebezpieczeństwie, jeśli ta dziewczyna ma się nimi zajmować przez całe lato.

– I co się stało? – pyta spięty, marszcząc czoło, jakby naprawdę się zaniepokoił. – Zobaczyłaś coś złego?

Unoszę palec do ust, jakbym się wahała, a potem mówię:

– Tak. Ale... nie chcę, żeby ktoś miał przeze mnie kłopoty.

– Co takiego zobaczyłaś, Autumn? – ponagla mnie zniecierpliwiony. Ojcowski niepokój malujący się na jego twarzy sprawia, że wydaje się jeszcze przystojniejszy niż zwykle.

Chciałabym uśmiechnąć się z satysfakcją, ale zamiast tego marszczę brwi i robię zafrasowaną minę.

– Dzieciaki pluskały się w basenie, a ja chyba się zdziwiłam, że wasza opiekunka ich nie pilnuje, tylko się opala.

Uśmiecha się pod nosem.

I wszystko się zmienia.

– Jestem pewny, że to tylko tak wyglądało. Pewnie chciała chwilę odpocząć. Te dzieciaki potrafią każdego wykończyć. – Zaciska palce na kwiatach i zerka w stronę kolejek do kas.

– Ale ona siedziała z komórką – dodaje.

Odwraca się z powrotem do mnie.

– I chyba pisała esemesy. Widziałam też, jak gdzieś dzwoni – mówię. – Dzieci pływały i bawiły się w wodzie. Nawet wasz synek. A ona siedziała na leżaku, smarowała się olejkiem do opalania i bardziej obchodził ją telefon niż wasze dzieci.

Graham milczy.

– Tak czy inaczej, wcale nie chciałam mówić...

Paskudna kłamczucha.

– Tylko że gdyby to były moje dzieci, wolałabym wiedzieć o czymś takim – wyjaśniam. – A skoro wpadliśmy na siebie, to... Poczułam, że muszę o tym powiedzieć.

Uśmiecham się przepraszająco i odwracam, żeby odejść.

– Nie, nie. – Łagodnie łapie mnie za nadgarstek. – Cieszę się, że mi o tym wspomniałaś. Coś takiego powinienem wiedzieć, dziękuję.

– Nie ma za co. – Uśmiecham się, biorę głęboki wdech, wypuszczam powietrze i biorę koszyk w drugą rękę. – Fajnie było pana zobaczyć. Jeśli będzie pan kiedyś potrzebował szklanki cukru, wie pan, gdzie mieszkam.

Graham uśmiecha się, a ja czuję na sobie jego spojrzenie, gdy odchodzę. Być może myśli o tym, co ode mnie usłyszał. Zastanawia się, jak powiedzieć o tym żonie. Pewnie przedyskutują tę sprawę dzisiaj po kolacji, gdy dzieci już będą spały.

Dla McMullenów dzieci są absolutnie wszystkim. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Pozbędą się Addison. Czuję, że tak zrobią. Widziałam to na twarzy Grahama. W jego zafrasowanej minie, którą zrobił, gdy przekazałam mu te informacje.

A potem zastąpią ją mną.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Daphne

– Jak nazywa się tamta dziewczyna? Ta, która podobno coś widziała? – Płuczę brokuły pod strumieniem wody, a Graham opiera się o blat za moimi plecami. Stoi ze skrzyżowanymi ramionami i dumną miną.

– Autumn.

– Skąd ją wytrzasnąłeś? – Przenoszę brokuły na drewnianą deskę do krojenia i biorę nóż z wysokiej szafki, gdzie trzymam wszystkie ostre przedmioty poza zasięgiem Grace.

– Była jedną z kandydatek na opiekunkę – wyjaśnia. – Pracowała jako asystentka medyczna w klinice dziecięcej. Czyli mniej więcej jako pielęgniarzka.

– To nie to samo, ale mów dalej. – Z satysfakcją odcinam nożem każdy kawałek brokułu.

– Nie uwierzysz, ale ona mieszka na sąsiedniej ulicy. Wspominałem o tym? W każdym razie wpadłem na nią dzisiaj w sklepie, kiedy kupowałem kwiaty – mówi, wręczając mi bukiet żonkili owiniętych w brązowy papier. – Zaczęliśmy rozmawiać i wtedy o tym powiedziała.

Wiedziałam, że Addison nie nadaje się do tej pracy, ale fakt, że sąsiedzi nas podglądają, widzą różne rzeczy, a potem o nich rozpowiadają, jest dla mnie sygnałem, że trzeba wreszcie z tym skończyć. Niania, którą zatrudnia rodzina, jest ich wizytówką, a ja nie mogę pozwolić, żeby jakaś dziewiętnastolatka niepotrafiąca się rozstać na parę godzin z komórką zrujnowała nam reputację.

– Ona wciąż poszukuje pracy i mogłaby zacząć już od jutra – mówi Graham. – Dobrze wypadła na rozmowie i była jedną z najlepszych kandydatek. Jeśli chcesz, zadzwonię do niej. Zdaje sobie sprawę, że to tymczasowa praca, i to jej nie przeszkadza. Uwielbia dzieci. Ma ukończony kurs pierwszej pomocy. Ma lepsze kwalifikacje, niż są nam potrzebne.

– Ile ma lat?

Graham marszczy czoło.

– Nie jestem pewny. Dwadzieścia parę? Jest bardzo dojrzała i profesjonalna jak na swój wiek. Tego jestem pewny.

Wzdycham, bo nie mam wyboru i muszę zaufać jego ocenie. Przykrywam parujące brokuły i wracam do zlewu, żeby opłukać deskę do krojenia.

– Staram się jakoś pomóc – staje za mną i mówi cichym głosem, żeby dzieci go nie usłyszały. – Odnoszę wrażenie, że wszystko, co ostatnio robię, tobie nie wystarcza. Zachowujesz się tak, jakbyś nienawidziła życia, a ja próbuję jakoś ci pomóc. Próbuję coś naprawić. Mogłabyś mnie w tym trochę wesprzeć?

– Czy musimy o tym rozmawiać w tej chwili?

Do kuchni wchodzi Rose. Wybrała idealną chwilę.

– Mamo, kiedy będzie kolacja?

– Wkrótce, kochanie. – Przeczesuję palcami jej błyszczące włosy, a potem się nachylam, żeby pocałować ją w czubek główki. – Idź się bawić. Zawołam cię, jak już będzie gotowa.

Rose wraca do salonu, a ja zaczynam wyciągać naczynia i sztućce.

– Graham, bądź taki miły i nakryj do stołu, dobrze? – Nigdy nie prosiłam go o takie rzeczy, a spojrzenie, które mi rzuca, każe mi się zastanawiać, czy zrozumiał moje słowa. – Naprawdę przydałaby mi się pomoc.

Ten facet każdego wieczoru wyprowadza psa na spacer i zachowuje się tak, jakby należał mu się za to złoty medal. Raz zdarzyło mu się załadować brudne naczynia do zmywarki i to było wszystko, co dał z siebie przez cały tydzień.

– Wiesz, zdecydowałam się na reaktywację mojego konta na Instafacie – oświadczam.

– Nawet nie wiedziałem, że je zawiesiłaś – mówi i głośno sapie, podnosząc stertę talerzy i rozstawiając je na stole. Nie obchodzi go, co robię w Internecie. Zawsze było mu to całkowicie obojętne.

– Naprawdę? Musiało mi to wypaść z głowy – mówię. – A nie zauważyłeś, że rzadziej siedzę z komórką? Zawsze powtarzałeś, że nie mogę się od niej odkleić.

Graham milczy.

– W każdym razie mam nadzieję, że odzyskam część sponsorów – mówię do niego, choć równie dobrze mogłabym rozmawiać sama ze sobą.

Kiedy kończy nakrywać do stołu, wychodzi do pokoju bez słowa i siedzi tam ze szklaneczką szkockiej aż do momentu, gdy kolacja jest gotowa.

Nasza piątka je prawie w całkowitym milczeniu. Dopilnowałam, żeby dzieci dziś pływały w basenie z Addison. Są głodne i zmęczone, a to oznacza, że wcześniej pójną spać.

Po kolacji proszę Grahama, żeby wykąpał dzieci, a on reaguje takim samym zaszokowanym spojrzeniem jak wcześniej.

– Zajmij się albo kąpielą, albo zmywaniem naczyń – wyjaśniam, ściskając w dłoni ścierkę. Mam ochotę rzucić nią w niego. – Decyzja należy do ciebie.

Jeśli chce coś naprawić, niech zacznie od pomagania mi w takich sprawach.

Z zaciśniętymi szczękami wstaje od stołu i idzie w moją stronę. Nasze dłonie się stykają. Wyrывa mi ścierkę i staje przy zlewie.

– Co się stało tatusiowi? – pyta Grace, dalej siedząc przy stole.

– Nic, kochanie – odpowiadam, zerkając na Grahama. – Robi tylko to, co powinien robić każdy dobry tatuś.

– Ale dlaczego jest wściekły? – pyta Grace, ziewając. To dobry znak. Jest zmęczona i nie będzie walczyła ze snem. – Tupał nogą. A mówiłaś, że nie wolno tego robić w naszym domu.

– Wcale nie tupał – kłamię, bo właśnie to robił. – Uciekaj na górę

i rozbierz się. Za minutę napuszczę ci wodę do wanny.

Zajmuję się młodszymi dziećmi, a potem chcę posprzątać ze stołu, ale nagle się rozmyślam. Graham może to zrobić. Przecież nie ma połamanych rąk.

– Dobrze, biegnijcie na górę – mówię do nich, a potem odwracam się do męża. – Poradzisz sobie?

– Oczywiście – mówi przytłumionym głosem, odwrócony do mnie plecami. Nagle jego niezadowolenie sprawia mi przyjemność. Gdyby teraz się odwrócił, ujrzałby niedorzeczny, szeroki uśmiech na mojej twarzy. Pierwszy raz od wielu lat.

Dzisiaj dzieci kładą się spać bez problemów.

Mój mąż zmywa naczynia, a jutro pozwolę mu przekazać informację Addison, że już nie potrzebujemy jej usług.

Łapię komórkę i robię zdjęcie Grahamowi, a potem wrzucam je na Instafacie, dodając hasztagi: #NajlepszyMążNaŚwiecie, #NieBądźcieZazdrosne i #JegoŻonaTakaSzczęściara.

To są oczywiście sarkastyczne teksty, ale nikt nie musi o tym wiedzieć.

W ciągu kilku sekund dostaję aż osiemdziesiąt siedem lajków. Moje zdjęcia Grahama zawsze budziły największe zainteresowanie ze wszystkiego, co publikuję. Jakby wszystkie te kobiety śledziły mnie tylko po to, żeby ślinić się na jego widok.

Moje palce unoszą się nad klawiaturą i mam ochotę dodać: „Drogie panie, jeśli go chcecie, możecie go mieć. #BierzcieGoSobie”.

Rozdział trzydziesty

Autumn

Cały dzień trzymam telefon obok siebie.

Czekam.

Zerkam na niego.

A gdy o drugiej czterdzieści pięć zaczyna dzwonić, prawie przewracam Ginger, gdy rzucam się, żeby odebrać.

– Halo? – Mój głos jest słodki i niewinny. Udaję, że niczego nie podejrzewam.

– Autumn? – To głos mężczyzny. Ale nie byle jakiego.

To człowiek, który wkrótce będzie moim szefem.

Zagryzam dolną wargę.

Wiem, co za chwilę usłyszę.

– Tak – odpowiadam.

– Tu Graham McMullen. Jak się masz?

– Dobrze, dziękuję – odpowiadam pełnym opanowania głosem. Gdyby mój telefon miał kabelek, oplatałabym go sobie teraz wokół palca, ćwierkając słodko do słuchawki. – Wszystko w porządku?

– Po prostu chciałem ci podziękować za wczoraj – wyjaśnia. – Za to, że powiedziałaś o tym, co widziałaś.

– Nie ma za co – rzucam cichym, poważnym głosem.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Daphne i podjęliśmy decyzję, żeby zwolnić Addison.

Moje serce bije jak szalone. Kręci mi się w głowie.

Równie dobrze w powietrzu wokół mnie mogłoby wirować konfetti. Potrzebuję kieliszka szampana i przystojnego

dżentelmena, którego mogłabym pocałować, ale wolałabym, żeby nie czuć było od niego piwem i kurczakiem ani wodą kolońską Dylana Abernathy'ego.

– Jeśli jesteś jeszcze dostępna – mówi Graham – i nadal zainteresowana, chcielibyśmy, żebyś pracowała dla nas w czasie wakacji.

Nie odzywam się.

Nie krzyczę „hurra!”.

Nie chcę sprawiać wrażenia zbyt podjaranej.

To byłoby podejrzane.

Nie chcę, żeby Graham pomyślał, że cały dzień siedziałam i czekałam na jego telefon.

Takie zachowanie byłoby żałosne, a ja muszę mieć idealną reputację.

– Och, proszę pana – udaję, że jestem w szoku.

– Tak naprawdę byłaś moją faworytką – dodaje.

Jak mogłabym teraz powiedzieć „nie”?

Uśmiecham się tak szeroko, że boli mnie twarz.

– Jestem pewna, że dam radę – mówię. – Porozmawiam dziś wieczorem z Benem, jak wróci do domu. Czy mogę zadzwonić do pana jutro rano?

– Oczywiście. – Graham odchrząkuje. – Mieliśmy nadzieję, że mogłabyś zacząć od poniedziałku.

– Jasne. To nie powinien być problem. Dam znać jak najszybciej.

– Dzięki, Autumn.

– Nie, to ja dziękuję. Wkrótce się odezwę – kończę rozmowę słodkim tonem i rzucam telefonem, który odbija się od poduszki na kanapie i budzi Ginger z drzemki.

Całe moje ciało wibruje. Jest zupełnie odmienione, przestrojone na jakieś cudowne fale. Nie pamiętam, kiedy ostatnio w moim życiu wszystko się tak układało. Ludziom takim jak ja nie zawsze wszystko się udaje... Takim, którym nie sprzyja szczęście. Nieuprzywilejowanym. Zapomnianym przez społeczeństwo. Niewidzialnym.

Takim, którzy dla nikogo nic nie znaczą.

Zanim się orientuję, co robię, jestem już u szczytu schodów, a potem na końcu korytarza. Wchodzę do pokoju gościnnego, padam na łóżko i sięgam po moje sekretne pamiątki związane z McMullenami. Ale nie po małą szkatułkę. Obiema rękami ciągnę po dywanie wielkie pudło i biorę nożyczki z szafki, żeby przeciąć taśmę. Za każdym razem, gdy zaglądam do środka, z powrotem je zaklejам, żeby nie można było łatwo go otworzyć. Tak na wszelki wypadek, gdyby Ben zaczął tu myszkować.

Siadam po turecku na podłodze i wyciągam parę rzeczy z samego dna.

Para dzinsów marki J Brand, dokładnie takich, w jakich Daphne pozowała rok temu na zdjęciu na Instafacie, inkrustowane kryształkami buty od Louboutina z nietkniętymi czerwonymi podeszwami oraz czarna jedwabna bluzka, będąca repliką vintage'owej bluzki od Chanel, którą Daphne upolowała w jakimś butiku z używaną odzieżą. Nie zdołałam znaleźć takiego samego egzemplarza, ponieważ oryginał pochodzi z lat siedemdziesiątych, ale znalazłam coś bardzo podobnego w sklepie Etsy, u jakiegoś sprzedawcy z Canton w Ohio, który specjalizuje się w odtwarzaniu starych ubrań na podstawie fotografii.

W ciągu kilku sekund rozbieram się i wkładam ciuchy Daphne.

Omijając leżące na ziemi pudło, zbliżam się do mojej starej szafy, wpatrując się w lustro.

Nie poznaję siebie. Pomijając piaskowe włosy, wyglądam jak Daphne.

Na koniec nakładam perłowe kolczyki i pasujący do nich naszyjnik oraz zwiążuję włosy z tyłu w niski koczek, a potem maluję usta warstewką różowej pomadki. Moja metamorfoza jest już oficjalnie ukończona.

W najbliższych dniach będę miała okazję wkroczyć do ich świata.

Zobaczę to, co oni widzą, poczuję to, co oni czują, dotknę tego, czego oni dotykają, i usłyszę to, co oni słyszą.

A przede wszystkim będę z moją córką.

Z moją Grace...

Znowu się z nią spotkam.

Może połączy nas miłość do miętowych lodów z czekoladą i lalek Barbie z brązowymi włosami, a gdy nie będzie na mnie patrzyła, policzę piegi na jej ramionach – tylko dlatego, że będę mogła to zrobić. Będę mogła oddychać słodkim zapachem jej delikatnej skóry, słuchać jej śmiechu, co będzie milion razy lepsze niż trzydziestosekundowy filmik na Instafacie, a ona będzie miała okazję mnie poznać – nawet jeśli nie będzie wiedziała, kim naprawdę jestem.

Przestaję o tym wszystkim rozmyślać, gdy słyszę na dole szczenie Ginger. Jest już za późno na wizytę listonosza, a zbyt wcześnie na powrót Bena z pracy – chyba że znowu zrobił mi „niespodziankę”.

Wychodzę na korytarz, ostrożnie stawiając kroki, podchodzę do schodów i spoglądam przez balustradę w stronę salonu, gdzie Ginger ujada, siedząc na fotelu Bena. Jest zwrócona w kierunku drzwi frontowych. Słyszę, jak ktoś trzaska drzwiami samochodu. Moje serce zamiera.

Biegnę z powrotem na górę, do pokoju, który dzielę z Benem, i wyglądam przez okno. Widzę czarne auto Marnie na podjeździe.

Super.

Jeśli jej nie otworzę i udam, że mnie nie ma, po chwili odejdzie. Siadam na środku naszego wielkiego łóżka i czekam, robiąc głupie miny do swojego odbicia w lustrze. Unoszę lekko brwi i szczypię się w policzki, aby trochę się zaróżowiły. Zastanawiam się, czy dałoby się moją twarz upodobnić do twarzy Daphne McMullen.

Patrzę na siebie w lustrze i przez ułamek sekundy widzę ją.

Mrugam.

Ona znika.

To jednak tylko ja.

Muszę być potwornie zmęczona, skoro tak mnie to bawi, że zaczynam głośno się śmiać.

Przestaję, gdy słyszę pobrzękiwanie obroży Ginger dobiegające

z korytarza. Parę chwil później wskakuje na łóżko i liże mnie po twarzy.

– Czemu nie otworzyłaś drzwi? Dzwoniłam chyba z dziesięć razy.
– Głos Marnie sprawia, że prawie podskakuję ze strachu.

Kładę dłoń na sercu i odwracam się w jej stronę. Ginger wyrywa mi się z rąk. Widocznie zbyt mocno ją trzymałam.

– Co ty tutaj, do diabła, robisz? – pytam piskliwie. – Jak tu weszłaś?

– Nie otwierałaś. Zadzwoiłam do Bena. Powiedział, gdzie są schowane klucze – wyjaśnia, opierając dłoń na biodrze. – Przyszłam po mój prezent urodzinowy. Podobno miałaś mi go podrzucić już dawno temu, ale, cóż za niespodzianka, nie udało ci się. Byłam akurat w okolicy, więc pomyślałam, że wpadnę, żebyś nie musiała się fatygować. Wiem, że jesteś strasznie zajęta... właściwie czym? Siedzeniem w domu na koszt mojego brata?

Z nieludzkim trudem powstrzymuję się przed tym, żeby nie splunąć jej w tę wyniosłą twarz albo nie wyrwać jej z łba tych dopinanych platynowych kudłów.

– Nie możesz ot tak, tu wchodzić – mówię. – To nie jest tylko dom twojego brata. Ja też tutaj mieszkam.

Marnie z jakiegoś niepojętego powodu włącza światło, żeby przyjrzeć się mojemu ubraniu.

Naprawdę nienawidzę tej dziwki.

– Jezu, co to jest? – Ma czelność pokazywać mnie palcem, krzywiąc się pod nosem. – Co ty masz na sobie? Czy to są... louboutiny? Ben wie, że je masz? Zapłaciłaś za nie jego kartą?

– Wynocha! – Rzucam się na nią. Zatacza się do tyłu, a ten cholerny uśmieszek znika z jej gęby. Traci równowagę i uderza plecami o ścianę w korytarzu. Nic nie mówi, tylko gromi mnie wzrokiem, mrużąc oczy.

– Rozpracuję cię – warczy przez zaciśnięte zęby.

– Rozpracujesz? – przedrzeźniam ją, śmiejąc się wyniośle.

– Z tobą jest coś nie tak. – Celuje we mnie palcem, który drży lekko wraz z każdym jej szybkim oddechem. Znowu przebiega

wzrokiem po moim stroju. W tej chwili już obydwie oddychamy głośno, nabuzowane adrenaliną, jak dwa uliczne koty szykujące się do pojedynku o terytorium.

– Dlaczego? Bo czasami lubię się wystroić? Błagam, Marnie. Puknij się w głowę. Myślę, że to z tobą jest coś nie halo. Masz na moim punkcie obsesję. Ewidentnie musisz czymś innym zająć swój mały mózdzek.

– Pytałam o ciebie różne osoby – mówi ściszym, prawie przestraszonym głosem. – Nikt wcześniej o tobie nie słyszał. Nie w tej okolicy. Gdzie chodziłaś do liceum, bo zapomniałam?

Zaciskam zęby.

– Ty coś kręcisz. Kłamiesz – mówi, prostując się. – A gdy tylko odkryję, o co dokładnie chodzi, powiem o tym Benowi. Opowiem mu o wszystkim!

– Powodzenia. – Zaciskam dłoń na jej łokciu i uświadamiam sobie, że pierwszy raz w życiu jej dotknęłam. Jest jeszcze bardziej koścista, niż myślałam. Niestety, też ładnie pachnie. Jak drogie kwiaty. I balsam z witaminą E z Body Shopu.

To jedynie potęguję moją nienawiść.

– Nie zasługujesz na mojego brata i dobrze o tym wiesz – wypluwa z siebie, gdy zbliżamy się do drzwi.

– I tu się mylisz. Zasługuję na niego, bo go uszczęśliwiam. Jestem wszystkim, czego mógłby kiedykolwiek pragnąć. Kochamy się, Marnie. Wiem, że to ci nie pasuje, bo jesteś w jakiś chory sposób zadurzona w swoim bracie, chociaż jeszcze nie rozgryzłam, o co ci dokładnie chodzi. Ale on jest mój. I nie zmieni tego nic, co powiesz czy zrobisz. Więc przestań się wpieprzać.

Gapi się z rozdziawionymi ustami, a ja łapię za klamkę i szarpie tak mocno, że drzwi uderzają o ścianę.

– Następnym razem zadzwon, zanim się tu władasz. Taka miła, porządna dziewczyna jak ty powinna wiedzieć, że tego wymaga zwykła przyzwoitość – wyjaśniam, parodiując jej słynny, protekcyjny ton.

– A co z moim prezentem urodzinowym? – Kładzie kościstą dłoń

na kościstym biodrze i unosi cieniutkie brwi.

Jęcząc pod nosem, maszeruję do kuchni, biorę jej poplamioną kartę podarunkową i pogniecioną torebkę z prezentami, a potem wracam i jej to wręczam.

– Wszystkiego najlepszego, Marnie – mówię z uśmiechem, ale piorunuję ją wzrokiem.

Jestem już taka znudzona tym wszystkim. I mam zbyt dobry nastrój, żeby pozwolić tej suce, Marnie Gotlieb, zniszczyć moje szczęście.

Poza tym nie mogłaby się niczego dogrzebać w mojej przeszłości, nawet gdyby spróbowała to zrobić.

Moja przeszłość jest martwa, tak samo jak dziewczyna, którą kiedyś byłam.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Daphne

Znowu kwiaty? Nie chcę, żeby ktoś sobie pomyślał, że jestem rozczarowana, ale te kwiaty, które codziennie dostaję po pracy, już mi się trochę znudziły. Nie może wymyślić czegoś innego? Może biżuteria? Czekolada? Jeśli wpada tylko na banalne pomysły, to mógłby trochę urozmaicić te niespodzianki.

Muszę jednak przyznać, że Graham się stara. Z początku nie było łatwo, ale teraz już więcej mi pomaga, a mniej wzdycha i stęka. Nie miałabym nic przeciwko, żeby to stało się normą.

Dzisiaj przyniósł mi niebieskie hortensje, owinięte w folię i udekorowane wstążką. Są piękne i pachną jak milion dolarów.

– Dziękuję – mówię i pozwalam pocałować się w policzek.

Tak, stara się. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, co niewiele oznacza, bo nigdy nie musiał się starać, ale jednak to miłe. I nie jestem na to ślepa.

– Może pójdziesz na górę się przebrać? – mówi, kładąc mi rękę na plecach.

Zerkam na swoje spodnie do jogi i koszulkę. Mam ochotę spoliczkować go za to, że skrytykował mój strój.

– Mam dla ciebie niespodziankę – mówi.

Chcę coś powiedzieć, ale gryzę się w język. Obracam się do niego.

– Opiekunka przyjdzie za godzinę. Porywam cię na ten wieczór.

– Gdzie? – Walczę z uśmiechem, który z jakiegoś powodu pojawił się na mojej twarzy.

Aha. Już rozumiem. Jestem idiotką. I dlatego się uśmiecham.

– Włóż tamtą czarną sukienkę, którą miałaś rok temu w naszą rocznicę – mówi, nachylając się do mnie. Jego popołudniowy zarost mnie drapie. Całuje mnie mocno w szyję, a potem rzuca mi spojrzenie – dokładnie takie, jak kiedyś. A później idzie do salonu, żeby posiedzieć z dziećmi.

Wchodzę po schodach, ciągle z tym głupim uśmiechem i motylami w brzuchu. Może to nadzieja? I choć wydaje się to zupełnie pokręcone, istnieje duża część mnie, która wciąż kocha tego kretyna i chce się z nim zestarzeć. Istnieje duża część mnie, która ciągle pragnie odzyskać wszystko, co straciliśmy, zanim to zniknie na zawsze.

Poza tym nie mogę sama wychowywać dzieci.

Nie dam rady bez niego.

Skręcam w korytarz i wchodzę do naszej sypialni. Zamykam podwójne drzwi i ruszam prosto do szafy, żeby wygrzebać z jej czeluści jego ulubioną sukienkę.

Dam mu szansę.

Jedną.

Rozdział trzydziesty drugi

Autumn

Dzisiaj jest chyba najlepszy dzień w moim życiu.

I wcale nie żartuję.

Mówię poważnie – każdą cząstką mojego serca i duszy.

W uszach mi dzwoni, moje palce drżą, gdy uderzam kołatką o drewniane frontowe drzwi McMullenów. To mój pierwszy raz. Nigdy wcześniej tutaj nie byłam, a jednak mam wrażenie, jakbym przyszła do swojego domu.

Wokół ich podjazdu rosną drzewa, a o tej porze wszystko jest skąpane w łagodnych promieniach słońca, które przenika przez kołyszące się gałęzie pokryte liśćmi.

Moją pierś wypełnia ciepło. Czuję, że zaraz się ono ze mnie wyleje.

Drzwi otwiera Daphne. Jest ubrana w obcisłe dzinsy i gładką białą bluzkę. Długie jasne włosy lśnią w blasku późnego poranka. Rozpromienia się na mój widok.

– Zapraszam! Autumn, prawda? – Otwiera drzwi na oścież, a ja na miękkich nogach wchodzę do środka.

Jeśli to jest sen, to nie chcę się obudzić.

Moje spojrzenie najpierw pada na marmurowy stolik w holu. Od razu go poznaję, bo widziałam go na zdjęciach Daphne. Następnie omiatam wzrokiem sizalowy dywan, na którym stoję. Ten, który na wiosnę zamówiła z jakiegoś ekskluzywnego katalogu, ale przysłali jej zły rozmiar, więc dostała go za darmo. W mlecznobiałej wazie na szafce znajduje się mały bukiet

jasnoróżowych róż. To nie jest jej ulubiona odmiana, ale wyglądają przepięknie w tym naturalnym świetle i zabytkowej wazie z bakaratowego szkła, którą Daphne dwa lata temu kupiła w butik na Manhattanie.

Znam każdy cal kwadratowy tego domu.

Nawet nie muszę go zwiedzać.

– Miło mi panią poznać. – Wyciągam rękę i patrzę jej w oczy, szukając w nich jakiegoś błysku, że mnie poznaje. Od tamtego incydentu w supermarkecie minęło już parę tygodni, ale przecież wyglądam jak duża wersja Grace. Przyjście tutaj to ryzykowna zagrywka, ale jestem gotowa podjąć to ryzyko, ponieważ skończyły mi się wszystkie inne możliwości, a nie umiem żyć bez tej rodziny. Stali się częścią mojej rzeczywistości. Częścią mojej codziennej egzystencji.

Częścią mnie.

Nie mogę żyć ze świadomością, że stracę kolejny moment słodkiego życia mojej pięknej Grace.

Daphne wita się ze mną mocnym uściskiem dłoni, a potem woła dzieci. Zbiegają hałaśliwie ze schodów, wszystkie ubrane i gotowe na dzień, a potem patrzą na mnie szeroko otwartymi, ciekawskimi oczami.

Ogromna, kudłata suka przechodzi przez hol. Jej pazury stukają o podłogę, gdy podchodzi do mojego boku. Pozwalam jej powąchać rękę, a potem buty.

– Pewnie czuje mojego psa – odzywam się.

– Cocoa, idź się położyć. – Daphne klaszcze w dłonie, a pies znika w sąsiednim pokoju. – Dzieci, oto wasza nowa niania. Ma na imię Autumn. Będzie pilnowała was w ciągu dnia przez resztę wakacji. Od teraz Autumn tu rządzi. Chcę, żebyście się jej słuchali, okazywali jej szacunek, a jeśli usłyszę, że któreś z was było nieposłuszne, wyciągnę konsekwencje. Zrozumieliście?

Dzieci przytakują, nie odrywając ode mnie wzroku.

Daphne obraca się na pięcie, otwiera drzwi szafy i wyciąga beżowe balerinki od Chanel. Wkłada je i odgarnia lśniące włosy

z twarzy.

– Szybko oprowadzę cię po domu, a potem muszę wyjść. – Rusza do pokoju pewnym siebie krokiem, jak modelka z niemożliwie długimi nogami, i daje mi znak ręką, żebym szła za nią. Uśmiecha się, jakby cieszyła się, że mnie oprowadzi. Ton jej głosu jest ciepły i przyjazny.

Naprawdę czuję się tak, jakby tu było moje miejsce. Jakby to wszystko miało się wydarzyć. Jakiegoś rodzaju boska interwencja.

Idziemy z dwupoziomowego holu do salonu z wysoko sklepionym sufitem. Ogromne okna wychodzą na basen w ogrodzie. Oraz mój dom. Z lewej strony znajduje się otwarta kuchnia, w której stoją foteliki dziecięce, a na środku stołu dostrzegam efektowną kompozycję kwiatową.

Nie pokazuje mi salonu gościnnego, gabinetu Grahama ani jadalni, chociaż sama znalazłabym do nich drogę.

Chodzę za nią po luksusowej kuchni. Daphne mówi coś o ekologicznym makaronie i serze. Śmieje się z czegoś, ale nie usłyszałam żartu, bo całkowicie pochłania mnie samo przebywanie w tym domu.

To dwie zupełnie różne rzeczy – zobaczyć coś na zdjęciu, a potem w realu. Ciągłe jestem oszołomiona. Chłonę wszystko całą sobą. Moje zmysły są przeładowane.

Zapach świeżo upieczonego chleba wypełnia moje płuca. Wyobrażam sobie, jak Daphne wstała dzisiaj przed wschodem słońca, zeszła na palcach do kuchni i upiekła bochenek pełnoziarnistego domowego chleba specjalnie dla dzieci na śniadanie.

One są tak kochane – i mam nadzieję, że zawsze będą o tym wiedziały.

Kiwam głową i staram się zwracać uwagę na wszystko, co mówi. Wchodzę za nią po schodach, a potem pokazuje mi pokoje każdego z dzieci. Pokój Sebastiana urządzony jest jak drewniana kajuta ozdobiona morskimi motywami – kotwicami i wielorybami. Pokój Rose jest bladoróżowy, na jej łóżku leżą wypchane lalki baleriny,

a w kącie stoi domek dla lalek. Pokój Grace jest niebieski i ciemny i zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam. I to jest jedyny pokój w całym domu, który nie jest ładnie urządzone.

Nic dziwnego, że Daphne nie pokazywała go nigdy w Internecie.

Staram się nie siedzieć u nich zbyt długo. Przecież będę spędzała w tym domu mnóstwo czasu w ciągu najbliższych miesięcy. Później wszystko dokładniej obejrzę. Daphne znowu prowadzi mnie korytarzem. Opowiada mi, jak z reguły wygląda dzień jej dzieci. Mówi, że na stoliku w holu zostawiła dla mnie instrukcje. Co jej dzieci zwykle robią, co lubią, a czego nie, oraz szczegółowe wskazówki wychowawcze dotyczące każdego dziecka z osobna.

Podwójne drzwi do sypialni Grahama i Daphne są szczelnie zamknięte. Nie wpuszcza mnie tam, i choć całkowicie ją rozumiem, przez chwilę jestem rozczarowana.

– To chyba wszystko – mówi, gdy stoimy u szczytu schodów. Dzieci stoją za nią, ale ciągle wpatrują się we mnie. – Czy masz strój kąpielowy? Powinnaś go przynieść. Ta gromadka lubi pluskać się prawie codziennie. Rzecz jasna, gdy pogoda na to pozwala.

– Oczywiście. – Zaszło mi w ustach. Nie wiem, co powiedzieć. Jestem oszołomiona tym wszystkim.

Chciałabym na chwilę stopić się z tapetą. Spokojnie przetrwać to, co zobaczyłam i co widzę. Ogarnąć to wszystko umysłem.

Wszystko w domu McMullenów jest idealne. Na drewnianej podłodze nie widać ani jednego pyłku kurzu, a dywan, po którym stąkam, jest miękki jak chmurka. Każdy obrazek na ścianie jest idealnie prosto zawieszony, i choć budynek ma kilkadziesiąt lat, ciągle unosi się w nim zapach „nowego domu”.

– Mój numer wisi z boku na lodówce – mówi Daphne. – Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń do mnie albo napisz esemesa. Numer Grahama też tam jest, ale kontaktuj się z nim tylko wtedy, gdy nie będziesz w stanie dodzwonić się do mnie. Albo w razie jakiejś nagłej sprawy.

– Kiedy wrócisz, mamusiu? – odzywa się Rose anielskim, nieśmiałym głosikiem.

Daphne się waha, spoglądając na dzieci, a potem na mnie.

– Nie wiem dokładnie. Cały dzień będę biegała po mieście. Może nie wrócę przed kolacją.

– Znowu nas zostawiasz? – pyta Grace. – Tak jak nas zostawiałaś z Addison?

Daphne śmieje się pod nosem.

– Pewnie, że nie. Przecież będzie z wami Autumn. Grace, już to wszystko wyjaśniałam.

Sprawia wrażenie, jakby brakowało jej cierpliwości do Grace, ale maskuje to uśmiechem.

– To jest ich pierwsze lato z nianią – wyjaśnia przeproszającym tonem. – Nie są przyzwyczajone do tego, że nie jestem pod ręką przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To dla nas wszystkich nowa sytuacja.

Wzdycha, a ja dostrzegam w jej oczach iskierkę wolności, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego nie chce spędzać całych dni ze swoimi dziećmi. Gdyby były moje, nigdy nie zostawiłabym ich z nikim innym. Nigdy, przenigdy.

– W każdym razie tak jak mówiłam – zaczyna Daphne, schodząc po schodach i uśmiechając się oczami, a ja dochodzę do wniosku, że na żywo jest milion razy bardziej niesamowita, niż się spodziewałam. – Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

W ciągu paru sekund Daphne odchodzi, zamyka drzwi, a potem słyszę, jak uruchamia silnik auta w garażu. Nie ma w niej niczego, co sugerowały osobę z obsesją na punkcie kontroli, tak jak gadała Marnie. Zupełnie w niej tego nie wyczuwam. Owszem, lubi mieć wszystko pod kontrolą, ale nie obsesyjnie.

Ale przecież Marnie cały czas kłamie. Na przykład o mnie.

– No, dobra. – Kładę ręce na biodrach i odwracam się do dzieci. – Co lubicie robić?

Rose i Grace zaczynają się przekrzykiwać, a Sebastian stoi z tyłu, chowając się za starszą siostrą. Stoi ze spuszczoną głową i trzyma palec w ustach. Kucam, wyciągam ręce i przyciągam go.

– Cześć, kolego – mówię.

Nie odpowiada. Patrzy tylko na mnie tymi błękitnymi oczami, takimi samymi, jakie ma Graham.

– On jest nieśmiały – mówi Grace. – Ale ja nie jestem.

Śmieję się.

– Właśnie widzę.

– Fajne masz włosy – dodaje Grace, nawijając własny kosmyk na palec. – Trochę jak moje.

– To prawda. Jesteś bardzo spostrzegawcza.

– Chcę być fryzjerką, jak dorosnę. W tamtym tygodniu obciąłam włosy Rose, ale mamie się to nie spodobało.

Przenoszę wzrok na Rose, która ma krótką fryzurę na boba. Na ostatnim zdjęciu, jakie Daphne wrzuciła do Internetu, Rose miała włosy aż do połowy pleców. Lśniące, jasne, puszyste.

– Fryzurami powinni się zajmować zawsze dorośli – mówię łagodnie. – Dzieci nie powinny obcinać włosów innym dzieciom.

– Mogę ci pokazać mój domek dla lalek? – pyta Rose.

– Oczywiście, Rose – odpowiadam.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do dużego pokoju z lewej strony schodów. Jej pokój jest o wiele ładniejszy niż pokój Grace, oświetlony kryształowym żyrandolem i z wygodnym miejscem do siedzenia w oknie.

Rose siada na podłodze przed różowym domkiem dla lalek i zaczyna wyciągać lalki, pokazując mi je z szerokim uśmiechem i bez żadnego komentarza. Mówię jej, co podoba mi się w każdej z nich. Widać, że sprawia jej to przyjemność.

– Mogę pokazać ci swój pokój, Autumn? – pyta Grace.

Obracam się do mojej córeczki, mojej słodkiej Grace, i podnoszę się.

– Jak najbardziej, skarbie.

Grace zaciska pulchne paluszki na moim łokciu i ciągnie mnie w stronę drzwi prowadzących do łączonej łazienki. Z drugiej strony znajduje się wejście do jej pokoju. Od razu widać, że nie jest tam tak jasno i wesoło. Ściany są pomalowane na jakiś szary odcień niebieskiego, a meble zrobione z drewna w odcieniu ciemnej kawy.

Jak w pokoju chłopca, a nie dziewczynki.

Albo jak w lochu.

Daphne przez lata wrzucała tyle zdjęć do Internetu, ale nigdy nie pokazała pokoju Grace. Teraz już wiem dlaczego. Nie pasuje do reszty tego dużego, przestronnego, widnego domu. W porównaniu z innymi pomieszczeniami jest ciemny, a nawet tandetny.

Gryzie się z resztą domu, więc Daphne traktuje go tak, jakby nie istniał.

– Sama urządziłaś swój pokój, Grace? – pytam.

Kiwa głową z dumnym uśmiechem i wyprostowanymi plecami.

– Mamusia pozwoliła mi wybrać kolory. Chciała różowy, ale ja go nie cierpię. Jest ohydny. Chciałam niebieski.

Nie wiem, co powiedzieć. Kolor jest brzydki – to na pewno. Ale czemu Daphne ukrywa go przed światem? Jakby to był jakiś wstydlivy sekret? Przecież resztę domu ciągle fotografuje i nie ma z tym żadnego problemu.

– Tatuś kazał mamusi pomalować go na niebiesko – oświadcza. Wyczuwam w jej tonie satysfakcję. Zastanawiam się, czy czasami bywa źródłem konfliktów pomiędzy Daphne a Grahamem. – Niebieski to mój ulubiony kolor. Jak go widzę, to jestem taka szczęśliwa!

– W takim razie tylko to się liczy, dziecinko. – Mierzwię jej włosy, ale ona odskakuje i spogląda na mnie z grymasem. – Przepraszam.

– Nie możesz dotykać moich włosów. – Robi łagodniejszą minę. – Ale możesz do mnie mówić „dziecinko”. – Pada brzuchem na łóżko, a potem opiera brodę o dłonie. – Tęsknię za byciem dzieckiem.

Śmieję się pod nosem.

– A w ogóle pamiętasz, jak wtedy było? To było tak dawno temu.

– No, trochę. – Marszczy czoło i patrzy przed siebie. – Pamiętam tylko, że mamusia kochała mnie bardziej, jak byłam mała.

Jej duże brązowe oczy zachodzą łzami, a ja czuję, jak pęka mi serce. Chcę ją przytulić, pocieszyć, ale nagle słyszę jakiś hałas na korytarzu. Przypominam sobie, że zostawiłam Sebastiana bez

opieki w jego pokoju. Nawet nie wiem, ile minęło już czasu.

Cholera, cholera, cholera.

Wybiegam na korytarz i wpadam do jego pokoju. Sebastian siedzi wśród sterty wielkich plastikowych klocków. Jest ich chyba tysiąc, wszystkie porozrzucane po ślicznym pokoju, w którym panuje idealny porządek.

– Hej, kolego, teraz raczej nie będziemy się bawili klockami – mówię. – Pozbierajmy je i zejdźmy na dół.

Sebastian zaplata ramiona na piersi.

– Ale ja chcę się bawić klockami.

– Pomyślałam, że moglibyśmy pójść wszyscy na dół i trochę sobie porysować. Namaluję ci potwora. Chciałbyś? – pytam. Muszę się nauczyć ich języka. Dam radę. Potrzebuję tylko więcej czasu. Pamiętam, że gdy pracowałam w klinice dziecięcej, chłopcy wyjątkowo lubili różne głupie potwory.

Sebastian kiwa głową, a potem na czworakach zaczyna zagarniać nieporadnie klocki i wrzuca je do wielkiego pojemnika w marynarskie paski. Rose stoi za moimi plecami w korytarzu i przygląda się wszystkiemu z wahaniem, ale wreszcie wchodzi i bez słowa zaczyna pomagać w sprzątanii.

– Dziękuję, Rose – mówię do niej. – To bardzo ładnie z twojej strony, że pomagasz. Gdzie jest Grace?

Rose patrzy na mnie swoimi ślicznymi niebieskimi oczami i pokazuje palcem korytarz.

– Jest w pokoju mamusi i tatusia. A nie powinna tam wchodzić.

Cholera.

Przeciskam się obok Rose, wybiegam z pokoju i spoglądam na drzwi na końcu korytarza. Są otwarte na oścież.

– Grace?! – wołam i zaglądam do środka.

Omiatam spojrzeniem wnętrze. Chyba wszystko jest nietknięte. Łóżko zasłane jest z idealną precyzją. Puszyste białe poduszki, kremowa kołdra i tak dalej. Na kredensie znajdują się starannie ustawione dekoracyjne książki, buteleczki z perfumami i zdjęcia uśmiechniętych dzieci oprawione w srebrne ramki. Na nocnych

stolikach srebrne lampki z kremowymi abażurami stoją równiutko na środku, zasłony w oknie są rozsunięte i wpuszczają naturalne światło.

A dalej otwarte jest dwoje drzwi: jedno do łazienki, a drugie do garderoby.

– Grace, jesteś tam?! – wołam znowu.

Stąpając ostrożnie, jakbym była włamywaczem, zbliżam się do garderoby i zaglądam tam. W środku jest zupełnie ciemno, więc przechodzę do łazienki.

Najpierw nie widzę niczego dziwnego. A potem dostrzegam czubek jej ciemnej głowy wystający z wolno stojącej wanny.

– Hej, dziewczynko, twoja siostra powiedziała, że nie można tutaj przebywać. – Kucam obok niej. – Co powiesz na to, żebyśmy zeszły na dół... O Boże!

Jest cała umalowana.

Czerwona szminka. Czarny tusz do rzęs. Wielkie kółka rózu na pyzatyach policzkach. Biorę wdech, żeby się uspokoić, a potem nie reaguję gniewem, tylko śmiechem. Grace jest zadowolona.

– Wyglądasz ślicznie, Grace – mówię. – Ale usuńmy to z twojej buzi, dobrze? Sądzę, że twój tatuś nie chce, żebyś zaczęła przyciągać chłopaków. Jesteś na to jeszcze za młoda.

– Wyglądam tak ładnie jak mama? – Trzepocze rzęsami, które niestety są krótkie i rzadkie. Przeklęte geny Carpenterów, które zawsze będą nas prześladować.

– Nawet ładniej. Nigdy nie widziałam kogoś tak ładnego. – Wyciągam ręce i pomagam jej wyjść z wanny. – Wiesz, gdzie twoja mama trzyma waciki?

Grace wzrusza ramionami. Obydwie przesuwamy wzrokiem po marmurowej toalecie Daphne: drogie kremy, pędzelki do makijażu, organiczne produkty do włosów oraz mnóstwo kosmetyków z luksusowych drogerii.

– Może gdzieś tutaj. – Grace pokazuje tę misterną kolekcję.

– No dobrze. – Biorę głęboki wdech i zaczynam myszkować w rzeczach Daphne. Siadam na jej stołeczku i przebiegam

wzrokiem po nieskończonej ilości buteleczek, szukając czegoś do usuwania makijażu. Zmywacz. Woda micelarna. Cokolwiek. Makijażu Daphne McMullen nie da się zmyć mydłem i wodą. Jej kosmetyki są lepszej jakości. Mają więcej pigmentu. Potrzebujemy naprawdę czegoś mocnego.

Unoszę małą tackę z akrylu, odstawiam na bok i biorę kolejną. Modłę się w duchu, żebym zapamiętała, gdzie co dokładnie stało.

– Poczekaj chwilkę – mówię do Grace, rozsuwając małą kosmetyczkę z monogramem Daphne. W środku widzę piękny diamentowy naszyjnik w kształcie kwiatu lotosu. Wyciągam go i oglądam, a potem zaczynam ostrożnie szperać w zawartości kosmetyczki: obcinacze do paznokci, pęsety, kredka do oczu, maskara...

...i skręt.

Mrugam zaszokowana. Nie mogę uwierzyć w to, co widzę.

Ale to nie może być nic innego.

Cieniutki, starannie skręcony, ze szpiczastymi końcówkami... Nie mam wątpliwości, że Daphne ukrywa papierosa z marihuaną między swoimi drogimi kosmetykami.

– Już znalazłaś? – pyta Grace niecierpliwym tonem, z dłońmi na biodrach i przekrzywioną głową. Rose i Sebastian pewnie już posprzątały klocki. Muszę zaprowadzić dzieci na dół. Szybko kończę szukać czegoś do zmycia makijażu i ostrożnie odkładam wszystko na miejsce. Z wyjątkiem naszyjnika, który zaplątał się między moimi palcami. – Gdzie idziemy?

– Umyję cię na dole – odpowiadam bez namysłu, a potem wpycham naszyjnik do kieszeni dzinsów, gdy Grace się odwraca. W najgorszym razie zmyję jej makijaż płynem do naczyń. Skoro usuwa brud i tłuszczyk, to poradzi sobie też z kosmetykami od Chanel.

* * *

Gdy Daphne wraca do domu, ja razem z dziećmi grzecznie sobie rysujemy przy kuchennym stole. Jest piętnaście po czwartej. Nie

było jej prawie siedem godzin. Ani razu nawet nie zadzwoniła, żeby sprawdzić, co się u nas dzieje.

– Cześć, cześć. – Wchodzi do środka z zakupami. Jej falujące włosy odbijają się od ramion. Paznokcie ma pomalowane fiołkowym lakierem, którego rano nie miała. Nie mogę się powstrzymać i wyobrażam sobie, jak pomiędzy palcami delikatnie trzyma skręta.

To jest szokujący obraz. Zupełnie do niej nie pasuje. Coś tandetnego, taniego. Bez klasy. Ucieleśnienie wszystkiego, czego Daphne McMullen sobą nie reprezentuje.

Od razu przypomina mi się moja matka, jej brudne paznokcie, smród dymu ze skrętów, który ciągle wokół niej się unosił, a którym ja przesiąkałam. Nigdy nie udawało mi się go zupełnie zmyć.

Daphne stawia torby na ziemi, zdejmuje ogromne okulary i podchodzi do stołu.

– Co robicie? – pyta, kładąc dłoń na ramieniu Rose.

– Pokolorowałam dla ciebie obrazek, mamó. – Rose wręcza jej stronę wyrwaną z kolorowanki o księżniczkach. Każda część obrazka jest dokładnie pomalowana, jakby bardzo się starała nie wychodzić poza linie.

– Ja też, ja też – mówi Grace. Podnosi swój obrazek tak gwałtownie, że uderza Rose w buzię.

– Uważaj, Grace – gani ją Daphne i odchodzi, nie spoglądając na jej rysunek. Zamiast tego podchodzi do Sebastiana, mierzwi mu ciemne włosy i ściska policzki, a chłopiec się uśmiecha. Dzisiaj nie powiedział do mnie nawet dwudziestu słów, ale od godziny zaczął się wyraźnie lepiej czuć w moim towarzystwie. – Autumn, czy mogłabyś zająć się dziećmi jeszcze przez piętnaście minut, a ja zabiorę się do robienia kolacji?

– Oczywiście – mówię.

– Wielkie dzięki. – Daphne podnosi brązową torbę z podłogi i stawia ją na ladzie, a potem zaczyna rozpakowywać zakupy. – Dzisiaj chcę wypróbować nowy przepis, a fajnie jest nie musieć się

martwić o dzieci, wiesz?

Jeszcze nawet nie zapytała, jak minął im dzień.

– Mam około dwunastu tysięcy fanów na Instaface, którzy czekają w napięciu, aż napiszę, jak to wszystko się udało. – Krząta się po kuchni wyraźnie podekscytowana, a ja nie jestem pewna, czy mówi do mnie, czy do siebie.

– Dwanaście tysięcy fanów? Wow – udaję, że jestem w szoku. – Jesteś blogerką?

– Coś w tym stylu. – Obraca się, trzymając w dłoni dwie puszki duszonych organicznych pomidorów, i mruga do mnie. – Nie prowadzę takiego prawdziwego bloga, ale wrzucam posty o charakterze lifestyle’owym. Wystrój wnętrz, przepisy, życie rodzinne. Wszyscy moi followersi są w stu procentach organiczni. Tak jak większość moich przepisów.

Śmieje się, wyciągając z torby gęstą śmietaną w kartonie.

– Jak się nazywasz na Instaface? – udaję głupią.

– Mój profil to *MeetTheMcMullens* – wyjaśnia. – Jeden wyraz. Powinnaś sobie tam zajrzeć. A ty jesteś na Instaface?

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć. Gdy ostatnio sprawdzałam jej profil, ciągle nic tam nie było.

Czyżbym zwariowała? A może to wszystko sobie wymyśliłam?

– Nie, nie mam konta – kłamię.

– Och, naprawdę? – pyta zdziwiona. – Szkoda. Dużo tracisz. Powinnaś się zapisać. Tam jest lepiej niż na innych portalach. Żadnych fałszywych kont i zero spamerów. Wszystko elegancko zrobione.

– Wiem, słyszałam.

– Musisz mnie tam znaleźć! Uwielbiam zdobywać nowych fanów.

Za jej zgodą wyciągam komórkę i wpisuję nazwę konta Daphne.

Jej profil nie jest prywatny, ukryty przed wyszukiwarką ani zawieszony. Normalnie się wyświetla. Jestem zupełnie zdezorientowana i zdumiona. Czuję, jak wzbiera we mnie ekscytacja. Uśmiecham się lekko do Daphne, a potem odwracam do dzieci.

– Grace, dobrze ci wychodzi rysowanie kredkami?

Podnosi główkę i trzepocze krótkimi rzęsami.

– Tak, Autumn.

Od rana zachowuje się jak aniołek. Obie sobie przyrzekłyśmy, że nie powiemy Daphne o tamtej historii z makijażem. To nasz mały sekret. Grace obiecała, że już nigdy nie będzie beze mnie szwendała się po domu.

Czuję, że znam tę dziewczynkę jak samą siebie. Może to dzięki temu, że przez tyle lat oglądałam w Internecie, jak dorasta, a może dlatego, że jest po prostu częścią mnie.

Rozumiem ją.

Mówię jej językiem.

Jest idealną małą dziewczynką, nigdy takiej nie widziałam. Te letnie dni, które spędzę z Grace, będą moim największym skarbem do końca życia.

– No dobrze. – Daphne przeskakuje wzrokiem po składnikach, które wyłożyła na marmurowej ladzie. – Chyba już sobie dam radę, jeśli chcesz już wyjść, Autumn. Na pewno jesteś wykończona.

Śmieję się pod nosem.

– Wspaniale się dzisiaj bawiłam. Do zobaczenia jutro, dzieci.

– Pa pa, Autumn! – woła Rose.

Sebastian milczy. Typowe.

Grace zeskakuje z krzesła i biegnie do mnie, a potem oplata mnie rączkami w pasie. Stoję odwrócona plecami do Daphne. Mam ochotę przeczesać palcami włoski Grace i mocno ją uściskać.

Moje oczy zachodzą mgiełką, ale udaje mi się nie rozplakać.

– Do zobaczenia jutro rano, słodki skarbie.

Trochę łatwiej jest mi się z nią rozstać, wiedząc, że dziś wieczorem będę miała do oglądania zdjęcia Daphne z ostatnich dwóch tygodni.

Rozdział trzydziesty trzeci

Daphne

– Hej, Uptown Girl. – Mitch uśmiecha się ironicznie, gdy pojawiając się pod jego drzwiami w środku dnia. – Nie spodziewałem się, że dzisiaj cię zobaczę.

Kiedy obudziłam się rano, nie planowałam tej wizyty. Ale też nie planowałam, że przypadkowo włamię się na konto e-mailowe mojego męża i przeczytam wszystkie jego wiadomości do hotpinklips.

Ostatnią wiadomość wysłał wczoraj.

Zwykle: „Tęsknię. Chcę znowu się z tobą spotkać”.

A przecież w ciągu ostatnich dni udawał kochającego męża, który obsypuje mnie prezentami, komplementami i wyznaniem, zabiera na randki niespodzianki i wspomina o starych, dobrych czasach.

– Jesteś sam? – pytam, połykając ostatnią miętówkę. Moja klatka piersiowa unosi się i opada, a całe ciało wibruje ekscytacją.

Mitch zatyka za ucho kosmyk falujących blond włosów.

– Oczywiście.

Otwiera szerzej drzwi i wpuszcza mnie do środka. Jego mieszkanie robi wrażenie czystsze niż zwykle. Zasłony w dużym pokoju są rozsunięte. To miejsce wygląda zupełnie inaczej w naturalnym świetle. Jest mniej ciemne, mniej straszne, a bardziej... rzeczywiste.

– Zostawiła mnie – mówi. – Moja dziewczyna. Poznała w pracy jakiegoś pieprzonego, żalostnego sprzedawcę samochodów. Chodzi do roboty w gajerku i wyrabia miesięczną normę. Nie mam szans

z takim kolesiem.

– Mój mąż ciągle się z nią pieprzy – mówię.

To się dzieje tak szybko... Jego ręce lądują na mojej talii i zaczynają ciągnąć spódnice. Jego usta przywierają do moich, język wdzierają się pomiędzy moje rozchylone wargi. Jego pachnący słodkim dymem oddech łączy się z moim miętowym oddechem.

– To nic nie oznacza – szepczę pomiędzy pocałunkami. Jego dłonie wędrują na mój tyłek i mocno go ściskają. – Ciągle myślę, że jesteś dupkiem.

– A ja ciągle myślę, że jesteś popieprzona. – Nie przestając mnie całować, przypiera mnie do ściany, chwytając moje uda i lekko mnie unosi.

– Jestem – zgadzam się.

To wszystko jest czymś złym.

Ale też dobrym.

Brudnym.

Słodkim.

Nigdy wcześniej nie czułam się tak ożywiona.

– Nie masz pojęcia, od jak dawna chciałem to zrobić – mówi z ustami przy moich ustach.

– Przestań gadać. – Uciszam go kolejnym pocałunkiem. Sięgam dłońmi do jego spodni, wyciągam prezerwatywę ze stanika, rozdieram zębami opakowanie i podaję mu ją. Może nie powinnam tu być i nie powinnam tego robić, ale nie jestem lekkomyślna. – To nie czas na twoje filozoficzne bzdury. Po prostu mnie przeleć.

– Tutaj? Pod ścianą? – pyta. Słyszę podniecenie w jego głosie. Przypominam sobie, że jest siedem czy osiem lat młodszy ode mnie, co trochę hamuje moje libido. Odpędzam się jednak od tych myśli, oplatom ramionami jego kark i czuję, jak napiera na mnie biodrami.

Jego palce unoszą powoli moją sukienkę. Wiem, że już nie ma odwrotu.

Mitch bierze mnie w kuchni, przy pokrytej tapetą w kwiatowe wzory ścianie, tuż przy półce z przyprawami i żółtym telefonie

z tarczą, który wygląda, jakby wisiał tutaj od dziesięcioleci. Założę się, że kiedyś to było mieszkanie jego babci.

Jego styl jest prosty. Pozbawiony wszelkich wyrafinowanych trików. Prymitywny, bez ozdobników. Pieprzy mnie tak, jak osiemnastoletnie chłopaki pieprzą swoje licealne dziewczyny. Zero kontaktu wzrokowego, gardłowe pomruki, które słyszeć w chwilach ciszy, ale to wystarcza, żebym była podniecona.

Zresztą nie przyszłam tutaj na seksualne fajerwerki.

Przyszłam protestować przeciwko swojemu małżeństwu.

Przyszłam się buntować.

To odpowiedź na to, co się działo w moim życiu przez ostatnie dwanaście lat.

Gdy jest już po wszystkim, oboje oddychamy głośno, oblani potem. Mitch ostrożnie ze mnie wychodzi.

– Jezu, Uptown Girl. O co tu chodziło? – dyszy mi do ucha, z nosem wetkniętym w moje włosy.

Uśmiecham się do dziewczyny, którą kiedyś byłam.

Bo to... to było dla niej. Ale też dla kobiety, w którą się zmieniała. Idealnej żony i gospodyni. Oraz dla dziewczyny, którą nigdy się nie stała. Dziewczyny, którą pochłonął rodzinny błogostan, chociaż tak naprawdę chciała zjechać cały świat z chłopakiem, który twierdził, że ją kocha. Ale nigdy nie kochał. Nie tak naprawdę.

Pierwszy raz, odkąd poznałam Grahama McMullena, czuję się wolna.

Okazuje się, że nigdy nie bałam się go stracić.

Bałam się samotności. Tego, że nikt mnie nigdy nie zechce.

A to jest ogromna różnica. Myliłam się.

– Już się nie boję – odpowiadam Mitchowi. – Właśnie o to chodziło. Nie boję się być osobą, którą zawsze pragnęłam być.

– Jezu, jesteś taka porąbana. Wiesz o tym? – Śmieje się. Czuję jego ciepły oddech na szyi. – Chcesz zapalić?

– Co to w ogóle za pytanie?

Rozdział trzydziesty czwarty

Autumn

– Myślę, że to trochę potrwa, zanim Sebastian przywyknie do mnie – mówię Benowi wieczorem przy kolacji. Jesteśmy w jego ulubionej knajpie w ramach świętowania tego, że zdobyłam tę pracę. Tak się składa, że na ekranie telewizora leci mecz Red Soxów, a dzisiaj jest promocja na skrzydełka z kurczaka. Ben poczuł również potrzebę, żeby zaprosić swoich trzech kumpli.

A także Marnie.

Oczywiście wszyscy się spóźniają, więc nie czekając na nich, zamawiamy kurczaka i piwo.

– Słyszałeś, co mówiłam? – pytam słodkim głosem, ścierając sos barbecue ze skrzydełka.

Ben odrywa wzrok od telewizora zawieszzonego nad moją głową i patrzy na mnie.

– Co mówiłaś, kotku?

– Opowiadałam ci o synku McMullenów – wyjaśniam. – On jest nieśmiały. Nie wie, co o mnie myśleć.

– Niedługo się przyzwyczai – odpowiada Bez z uśmiechem.

Tak. Właśnie to przed chwilą powiedziałam.

– Uwielbiam Grace – mówię ostrożnie, uważając, żeby nie wyrazić swoich prawdziwych uczuć. – A Rose jest naprawdę kochana. To są dobre dzieciaki.

– Nie sprawiały dzisiaj kłopotów?

– Żadnych. – Zachowuję dla siebie historyjkę o tym, jak Grace umalowała się kosmetykami Daphne. Moim zdaniem dzieci są

zdolne do znacznie gorszych rzeczy, a każdemu człowiekowi trzeba wybaczać jego błędy, szczególnie jeśli chodzi o niewinne dzieci, które nie do końca wiedzą, co robią.

– Jesteś rozpromieniona. – Ben uśmiecha się, wpatrując się we mnie i przeżuując jedzenie.

Nie cierpię, kiedy się na mnie gapi.

– Uwielbiam tę pracę. – Spoglądam w dół na talerz, żeby nie czuć presji jego spojrzenia.

– Świetnie dajesz sobie radę z dziećmi, Autumn. – Sięga przez stół po moją dłoń i ściska ją mocno. – Pewnego dnia będziesz wspaniałą mamą.

Podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy. Przecież nikt nie wspominał o macierzyństwie.

– Jestem jeszcze za młoda, żeby myśleć o dzieciach – śmieję się.

– Masz dwadzieścia pięć lat – przypomina mi. – Ja się urodziłem, jak rodzice mieli dwadzieścia dwa.

– Tak, ale to było prawie trzydzieści lat temu. Czasy się zmieniły.

– Wbijam widelec w skrzydełko leżące na talerzu pomiędzy nami i przenoszę je na swój. – Upłynie jeszcze dużo wody, zanim...

Podnoszę wzrok i widzę jego ponurą minę.

– Zresztą nigdy nie wiadomo – zmieniam śpiewkę, specjalnie dla niego. Muszę być zgodną Autumn, taką, która na każdy temat ma takie samo zdanie jak jej kochający chłopak. – Ben, nie lubię rozmawiać o przyszłości. Wiesz o tym. Jestem jedną z tych dziewczyn, które żyją chwilą.

Mrugam do niego, zabieram rękę i sięgam do diamentowego naszyjnika w kształcie kwiatu lotosu, który wzięłam z kosmetyczki Daphne. Jest ukryty pod moją koszulką, więc Ben go nie widzi. Zresztą pewnie i tak by nie zapytał. W ciągu tych dwóch lat ani razu nie skomentował żadnej nowej lub dziwnej rzeczy, którą miałam na sobie.

Mój ślepy i głuchy Ben.

– O, już są. – Ben wstaje od naszego stolika w kącie, podczas gdy jego kumple z czasów liceum wchodzą po kolei do O'Toole'a. Ben to

jeden z tych facetów, którzy nawet z trzydziestką na karku dalej się kumplują ze swoimi starymi kolegami ze szkoły. Z tego, co rozumiem, chodzili też razem do college'u, byli oczywiście współlokatorami, a potem wszyscy osiedlili się tutaj, w Monarch Falls.

W liceum byli w gronie popularnych chłopaków. Wysportowani. Atrakcyjni. Inteligentni. Tacy, których zawsze unikałam i z których zawsze się śmiałam, bo przez nich moje życie stawało się jeszcze trudniejsze.

To zabawne, jak czasami wszystko się kończy.

– Hej, Autumn. Co u ciebie? – Przyjaciel Bena, Matt, zajmuje miejsce obok mnie. Lubię go. Zawsze wypytuje, jak mi leci, co u mnie nowego. Kiedy jestem pomijana lub ignorowana w rozmowach w większym gronie (a tak często się dzieje), Matt zawsze kieruje rozmowę na moją osobę.

Ben mógłby nauczyć się czegoś od Matta.

– Cześć, Matt! – Przesuwam się, żeby zrobić dla niego miejsce. Kawał z niego chłopca. Zaczyna jużłysieć na czubku głowy, ale ciągle jest przystojnym ciemnym blondynem z lśniącymi zielonymi oczami. Jakiś czas temu widziałam jego zdjęcie szkolne w księdze pamiątkowej rocznika Bena. Był królem balu absolwentów i rozgrywającym w drużynie futbolowej. Matt ożenił się z cheerleaderką, z którą się spotykał (później się rozwiedli), ponieważ większość mieszkańców Monarch Falls to żywe, banalne stereotypy. Jego obecna dziewczyna jest totalną jędzą i dziwię się, że nie ma jej tu z nami, bo zwykle wszędzie chodzi za Mattem. Podobno ostatni facet ją zdradzał, więc teraz ma na tym punkcie obsesję, ale Matt nie ma nic przeciwko, ponieważ jego ekszona też go zdradzała i rozumie takie zachowanie.

Jezu.

Matt powinien wyhodować sobie jaja.

Byłby idealnym partnerem dla kogoś, kto naprawdę by go doceniał – pod warunkiem że przestałby ciągle być tak cholernie miły.

– Hej, ludzie! – Marnie robi swoje wielkie wejście. Ma na sobie kusą bluzkę w odcieniu gumy do żucia i jaskraworóżowy błyszczki na ustach. Przysięgam, że ona specjalnie ubiera się bardziej młodzieżowo, kiedy jest w towarzystwie tych facetów, jakby czuła, że powinna urządzić całą tę szopkę pod tytułem „jestem młodszą siostrzyczką Bena”, i gołym okiem widać, że kiedyś miała słabość do Matta i to się nie zmieniło.

Jego dziewczyna nie cierpi Marnie, a jest suką – tyle że bystrą suką.

Nie trawi jej. Tak jak ja.

– Tak sobie myślę, czy nie zapisać się na jeden z tych rejsów dla singli – oświadcza Marnie parę minut później, zupełnie w oderwaniu od tematu rozmowy. Jakby oczekiwała, że każdy z obecnych mężczyzn spróbuje wyperswadować jej ten pomysł. Nic z tego. – Pewnie byłoby super.

Byłoby też super, gdyby ktoś „przypadkowo” wyrzucił ją za burtę.

Sięga po skrzydełko ociekające kalifornijskim sosem barbecue, kładzie je na swój talerz, oblizuje palce, ale potem go nie tyka.

– Znalazłam taki jeden – kontynuuje. Faceci siedzą ze wzrokiem wlepionym w ekrany telewizorów, które otaczają nas ze wszystkich stron. Żaden z nich nie zwraca uwagi na rozmowę przy stoliku. – Najpierw lecisz do Sanford na Florydzie i odpływasz z Cocoa Beach, a potem płyniesz do Saint Thomas na Jamajce i na parę innych wysepek. Rejs trwa dziesięć dni.

Ben zaciska dłoń w pięść i warczy, a cała reszta wydaje z siebie głośny jęk. Coś musiało się wydarzyć w meczu. Nie mam pojęcia co dokładnie, bo go nie oglądam.

Marnie wyjmuje... telefon. Ach, co za niespodzianka! Wysła wiadomość. Chwilę później podświetla się na zielono ekran jej komórki. Wpatruje się w nią i próbuje walczyć z uśmiechem, który pojawia się na jej twarzy.

A potem nagle coś dostrzegam.

Coś zwisającego z jej szyi.

Diamentowy naszyjnik w kształcie kwiatu lotosu. Dokładnie taki,

jaki ja mam na sobie.

– Podoba mi się twój wisiołek – mówię do niej.

Spogląda na mnie, jakbym mówiła sarkastycznie, i milczy.

– Skąd go masz? – pytam.

Marnie znowu rzuca mi takie spojrzenie, jakbym jej przeszkadzała. Jej długie paznokcie stukają w ekran telefonu.

Czekam na odpowiedź, ciągle ją obserwując.

Po chwili wzdycha.

– To prezent. Nie wiem, gdzie kupiony.

– Dostałaś od rodziców? – pytam, autentycznie zaintrygowana.

Spogląda na mnie swoimi wielkimi błękitnymi oczami i marszczy nos.

– Czemu tak się dopytujesz? To tylko naszyjnik. Serio, daj sobie spokój. Przestań być taka dziwna.

– Podoba mi się. To wszystko. – Wbijam widelec w swojego kurczaka i rozglądam się dookoła. Faceci dalej gapią się na mecz. Zerkam okiem na ekran nad głową Bena. Soksi są na zapole, a Jankesi mają trzech zawodników na bazach. – Kto ci go dał?

Marnie odkłada telefon i głośno warczy.

– Nie wiem, jakiś facet. Dawno temu.

Macha ręką, żeby ją przepuścić, bo chce wstać od stolika. Podchodzi kelnerka i uśmiecha się szeroko na widok Bena i jego kumpli, bo wie, że flirtowaniem może wywalczyć lepszy napiwek.

Jest bystra. Przebiegła. Widzę to w jej oczach.

Nie mam jej tego za złe. Flirtowanie plus mężczyźni równa się pieniądze.

Ma dużo zdrowego rozsądku.

A ja szanuję zdrowy rozsądek.

Na tym świecie jest jego niedobór.

Każdy jest zbyt pochłonięty sobą, napędzany przez własne ego. I leniwy. Boże, jesteśmy leniwym społeczeństwem. To jest naprawdę obrzydliwe. Karmią nas informacjami, których nie kwestionujemy, i pozwalamy, żeby kształtowały nasze myśli, pragnienia, marzenia... i decyzje życiowe.

A potem się zastanawiamy, dlaczego jesteśmy cały czas tacy, kurwa, zdołowani.

Kelnerka się uśmiecha.

Ona nie jest raczej zdołowana.

Marnie znika w łazience, jakby uciekała od wszystkich pytań, którymi ją bombardowałam.

Ona nie jest zbyt mądra. Wystarczyło przecież skłamać. Gdyby powiedziała, że kupiła go w jakimś butik, dałabym sobie spokój z tą sprawą. A zamiast tego rozbudziła moją ciekawość. Teraz muszę się dowiedzieć, skąd go wzięła. Dowiem się. I niech się lepiej modli, żeby to był jedynie przypadek.

Rozdział trzydziesty piąty

Autumn

Poniedziałek jest upalny, ma zapach chloru i kremu do opalania. Dzieci McMullenów prawie całe popołudnie spędzają przy basenie. Zjedliśmy wcześniej obiad (kawałki organicznego indyka i domowej roboty niesłodzony mus jabłkowy na chlebie razowym, a do tego młoda marchewka i mleko migdałowe), chwilę odpoczęliśmy, a potem przebraliśmy w stroje kąpielowe i złapaliśmy ręczniki.

Sebastian wtula się w moje plecy, ma na chudych ramionach pompowane rękawki, i płynie na mnie, gdy ja ścigam dziewczynki po płytkiej części basenu. Chcą udawać, że ja jestem krokodylem, a one są kaczątkami. Za każdym razem, kiedy uda mi się dotknąć ich stóp, chichoczą, śmieją się i musimy zaczynać od nowa.

Od dawna tak się nie bawiłam.

Ciągle sprawdzam godzinę, żeby mieć pewność, że warstwa kremu z filtrem przeciwsłonecznym, którym posmarowane są dzieci, jeszcze działa. Nie pozwolę, żeby się poparzyły, kiedy ich pilnuję. Poza tym Grace ma jasną cerę i jest wyjątkowo narażona na takie rzeczy.

– Chcecie chwilkę odpocząć? – pytam.

Grace krzywi się pod nosem. Nie cierpię, kiedy jest smutna.

– Dobrze, macie jeszcze pięć minut – mówię.

Uśmiecha się i płynie na drugi kraniec basenu, żeby wziąć swoją rurkę do nurkowania i płetwy. Rose płynie za nią, a Sebastian jeszcze mocniej się mnie łapie. Lubi pluskać się w wodzie, ale zauważyłam, że strasznie się boi przebywać w niej sam.

Ruszam w stronę drabinki, ale nagle widzę, że szklane drzwi na patio zaczynają się rozsuwać. Sekundę później pojawia się Graham. Zegarek pokazuje kwadrans po trzeciej.

– O, cześć – witam się z przyjaznym uśmiechem.

– Tatuś! – Sebastian macha do niego. – Bawimy się z Autumn w krokodyla. Też chcesz się pobawić?

– Wybacz, kolego – mówi, kucając przy basenie. Mimo że powietrze jest przesiąknięte zapachem chloru i kremu do opalania, i tak czuję jego wodę kolońską. Pachnie świeżo i seksownie. Graham spogląda mi w oczy. – Wszystko w porządku? Dzieci są grzeczne?

– Oczywiście. To małe aniołki. – Nie mówię mu, że jestem zmęczona, a dziś w nocy będę pewnie spała jak kamień. Bo to mi nie przeszkadza. Naprawdę to kocham. To zmęczenie jest przyjemne, deliryczne. Ale moje nogi, płuca, ramiona i plecy potrzebują chwili odpoczynku. Unoszę Sebastiana, żeby wspiał się po drabince. Chłopiec potem biegnie do leżaka i owija się ręcznikiem w paski. Następnie ja wychodzę po drabince z basenu, ociekająca wodą i dziwnie ociężała, jakby zupełnie zawiadnęła mną grawitacja. Na ułamek sekundy prawie tracę równowagę, ale Graham chwyta mnie za łokieć i nie pozwala upaść.

Czuję się zażenowana.

Ale jestem też zahipnotyzowana jego spokojnym spojrzeniem w odcieniu oceanu.

– Wszystko w porządku? – pyta, patrząc na mnie ze zmartwioną miną.

– Tak – odpowiadam. – Cały dzień spędziliśmy w basenie. Pewnie jestem trochę odwodniona.

Idę po butelkę z wodą, która stoi na drewnianym stoliku pomiędzy dwoma leżakami. Piję tak długo, aż mam pełny żołądek, ale ani na chwilę nie spuszczam z oczu Rose i Grace.

Jestem dobrą nianią.

Znowu odwracam się do Grahama. Przyłapuję go na spojrzeniu, które pada tam, gdzie nie powinno... To trwa tylko ułamek

sekundy. Zastanawiam się nawet, czy to mi się przywidziało. Uśmiecha się i mówi, że chyba zanosi się na deszcz, a potem odwraca się do dzieci.

Gładzę dłonią swój skromny, czarny, jednoczęściowy kostium kąpielowy. Wybrałam coś zachowawczego, ponieważ niania nie powinna robić z siebie gwiazdy. Błyszczące złote bikini mogłaby włożyć raczej Marnie Gotlieb, a nie ja.

Mój strój zostawia wiele dla wyobraźni. A Graham stał, patrzył na mnie i... coś sobie wyobrażał.

Nie chcę w to uwierzyć.

Nie chcę nawet myśleć, że jest w stanie spojrzeć na jakąkolwiek inną kobietę prócz Daphne.

Ona jest dobrą żoną i wspaniałą matką. Jest dla niego wszystkim. A on jest dla niej całym światem. Ich małżeństwo jest czymś trwałym, a ich piękna rodzina tego dowodzi.

– Dobra, wracam do biura – oświadcza Graham. – Autumn, jak zobaczysz się z moją żoną, czy mogłabyś jej przypomnieć, że dzisiaj nie wrócę na kolację? O siódmej mam wideokonferencję z Chinami.

– Oczywiście.

Rozdział trzydziesty szósty

Daphne

W domu jest ciemno i cicho. W lewej dłoni trzymam szklaneczkę z burbonem i potrząsam nią, a drugą sprawdzam swój profil na Instaface.

Graham dzisiaj „pracuje do późna”.

Cóż, nie potrafił długo wytrzymać.

Zamykam oczy i zatapiam się w fotelu. Wyobrażam sobie, jak jest z nią. Wspólnie się umawiają, jak doprowadzić mnie do szaleństwa. Czasami mam wrażenie, że ich plan działa.

Telefon wibruje. Na ekranie wyświetla się wiadomość.

Od Mitcha.

Moje serce zaczyna bić szybko. To, co zrobiliśmy... było tylko jednorazowym incydentem. Ale od tamtej pory prawie codziennie do mnie pisze. Opowiada, jaka byłam ciasna i wilgotna. Opisuje, jakie rzeczy chciałby ze mną zrobić.

Zapewne uważa, że jest świetnym kochankiem, nie chcę być tą, która go wyprowadzi z błędu.

Przesuwam kciukiem po ekranie, zamykam Instaface i wchodzę w wiadomości.

WRESZCIE WIEM, JAK SIĘ NAZYWA – pisze. CIĄGLE TEGO CHCESZ? ZDOBYŁEM TEŻ JEJ ADRES.

Rozdział trzydziesty siódmy

Autumn

Ben stęka i jęczy, wchodząc we mnie. Dygocze i trzęsie się tuż przed swoim wielkim finałem. Nie pyta, czy też dochodzę. Nigdy tego nie robi. I pewnie nigdy nie zacznie. Kiedyś myślałam, że po prostu o tym nie myśli. Teraz wiem, że zwyczajnie ma to gdzieś. Dlaczego miałoby go to obchodzić? Nasz związek od pierwszego dnia kręcił się tylko wokół niego. Od momentu, kiedy się poznaliśmy.

Kończy, a potem wciska twarz w moją szyję, bo w czasie seksu nigdy nie lubi patrzeć mi w oczy.

Ja leżę i udaję, że jestem wycieńczona, bo to było takie super. On uśmiecha się z dumą, a potem idzie pod prysznic.

Co trzy miesiące wyjeżdża w delegację do Tulsy w Oklahomie. Z tej okazji uprawiamy pożegnalny seks, podczas którego szepczę mu do ucha, jak bardzo będę za nim tęskniła. Dzięki temu czuje się kochany i wyjątkowy.

Gdy tylko udaje mi się zebrać siły, dołączam do niego pod prysznicem, z powodów czysto praktycznych, a on wykorzystuje tę sytuację, żeby jeszcze trochę się ze mną zabawić.

– Cieszę się, że znowu jesteś sobą – mówi, trzymając rękę na mojej lewej piersi. Do tej pory jeszcze nie skomentował faktu, że ostatnio moje ciało jest wyjątkowo opalone. Ciekawe, czy w ogóle to zauważył. Od dwóch tygodni opiekuję się dziećmi McMullenów, a ostatnio każde popołudnie spędzamy przy basenie.

– Uwielbiam swoją nową pracę. – To prawda. Naprawdę ją

uwielbiam.

– A co zrobisz, jak skończą się wakacje? – pyta.

Czuję, jak uśmiech znika z mojej twarzy.

Tak daleko nie wybiegałam myślami.

Liczę na to, że mogłabym zostać pewnego rodzaju „awaryjną opiekunką”. Może potrzebowaliby mnie do zajmowania się dziećmi po szkole? Może Graham i Daphne będą częściej wyjeżdżali, a co za tym idzie – potrzebowali kogoś do pilnowania dzieci? A może, skoro jesteśmy sąsiadami, zostaniemy też... przyjaciółmi?

Możliwości jest mnóstwo.

– Później się o tym pomyśli – odpowiadam.

– Nie chcę tylko, żebyś znowu była taka jak wcześniej. – Wyciska szampon na dłoń i wciera go za mocno we włosy. Zastanawiam się, czy ktoś mu kiedyś pokazał, jak należy prawidłowo brać prysznic, czy już zawsze będzie to robił jak pijany orangutan.

– Taka jak wcześniej?

– Humorzysta. Smutna. Zamknięta. Bez przerwy rozdrażniona. – Śmieje się, jakby mój kryzys był czymś zabawnym. – To było tak, jakbyś przez cały miesiąc miała okres.

Ha, ha, ha! Ach, te kobiety i ich hormony! Czysta komedia!

– Przepraszam, że musiałeś to wytrzymywać. – W ciągu tych dwóch lat nauczyłam się, że czasami najlepiej jest mówić Benowi coś będącego dokładnym przeciwieństwem tego, co naprawdę czuję.

– Nie ma sprawy, kotku. – Odwraca się i całuje mnie w usta. – Ciągle cię kocham. Zawsze będę.

– Ja ciebie też.

Ben bierze prysznic, a potem wychodzi z kabiny, ale nie zakręca wody, żebym mogła się umyć. Gdy zaczyna nucić pod nosem *Sweet Caroline*, muszę zatkać uszy. Nie dlatego, że nie lubię tej piosenki. Piosenka jest w porządku. Problem w tym, że Ben nie potrafiłby zaśpiewać bez fałszowania, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

I pomyśleć, że kiedyś uważałam to za coś uroczonego.

W naszym związku wcześniej był pewien okres, kiedy naprawdę

lubiłam Bena. I czułam się prawdziwą szczęściarą, że z nim jestem. Uwielbiałam jego prostolinijność. Było w tym coś odświeżającego. Innego. Bezpiecznego. Ale teraz już niczego nie czuję. Z wyjątkiem tego, że jestem uwięziona.

Wspólnie kończymy się szykować, rozmawiając o byle czym, stukając się barkami w naszej małej łazience. Gdy wkładam dzinsy, on już ciągnie walizkę po korytarzu. Za dwie godziny ma samolot, a na lotnisko jedzie się trzydzieści minut. Nie cierpię tego, że zawsze tak późno wychodzi. Gdyby utknął w korku, nie zdążyłby tam dotrzeć, a ja naprawdę się cieszę, że w tym tygodniu zostanę sama. Dzięki tym delegacjom odpoczywam od Bena.

Spotykam się z nim przy drzwiach, kiedy jestem już ubrana i gotowa do wyjścia. Całuje mnie w usta, z języczkiem, bo przecież nie ma to jak poniedziałkowy, poranny seks na rozpoczęcie tygodnia.

– Będę tęsknił – mówi z ustami przy moich wargach. Próbuje być słodki. I przyznaję, że to jest słodkie. Przyciska czoło do mojego czoła i uśmiecha się głupkowato w swoim stylu. – Kocham cię, kotku.

Zawsze, gdy gdzieś wyjeżdża, tak się zachowuje. Jakbyśmy już nigdy mieli się nie zobaczyć. Jakby się bał, że gdy wróci, nie ujrzy naszego szczęśliwego domu, tylko jakieś toksyczne pustkowie.

Jak na beztróskiego faceta, którym podobno jest, Ben za bardzo się martwi.

– Też cię kocham – mówię, kładąc dłoń na jego szerokim barku. – Musisz już iść. Spóźnisz się na samolot.

Otwiera drzwi, rzuca mi powłóczyście spojrzenie, a potem znika. A ja się uśmiecham. I czuję się z tym paskudnie. Tak, Ben okropnie mnie denerwuje, ale nie jestem bezduszna. Nie jestem potworem.

Jestem tylko człowiekiem.

* * *

Daphne otwiera drzwi i daje mi znak ręką, żebym szybko weszła, a potem prawie trzaska drzwiami. Słyszę czyjś płacz.

Grace.

Daphne zerka na zegarek i unosi brwi.

– Spóźnię się.

Przebiega mnie zimny dreszcz.

– Coś przegapiłam? – pytam. – Miałam przyjść dzisiaj przed dziewiątą?

– Nie, nie. – Kładzie mi rękę na ramieniu. Jej oczy są łagodne i wyrozumiałe. – Specjalistka od akupunktury pomyliła godzinę mojej wizyty. Byłam umówiona na dziewiątą trzydzieści, ale zapisali mnie na dziewiątą, a tam się jedzie dziesięć minut, więc jestem po prostu trochę wkurzona. To jeden z tych kiepskich poranków.

Wiem coś o tym, Daphne.

Zastanawiam się, czy McMullenowie kochają się czasami o poranku. I jak to u nich wygląda. Graham pyta, czy Daphne już dochodzi? Czy patrzy jej w oczy? Czy ona się uśmiecha, gdy on ją całuje? Czy boli ją serce, gdy on idzie do pracy?

– Nie będzie mnie przez większość ranka – mówi, zakładając torebkę na ramię. – Muszę załatwić parę spraw, a potem spotykam się z koleżanką w centrum.

Grace ciągle płacze.

Gdy tylko Daphne wyjdzie, pójdę do niej, przytulę ją i powiem, że może mi mówić o wszystkim. Wysłucham jej. Daphne dziś rano jest zbyt zajęta, żeby to zrobić.

– U dzieci wszystko dobrze? – pytam.

Jej uśmiech znika, jakbym za bardzo się wtrącała w jej sprawy.

– Och. – Śmieje się i przewraca oczami. – Chodzi ci o płacz? Cóż, chyba Grace wstała dzisiaj lewą nogą. Poniedziałkowe ranki są zawsze ciężkie, prawda?

Gryzę się w język. Na sekundę wzbiera we mnie gniew. Daphne nie chce zapytać Grace, co się stało? Uważa, że jej córka ma zły humor, bo jest poniedziałkowy poranek?

Jakaś cząstka mojego serca rozbija się na kawałki, podczas gdy tak stoimy tutaj w zalanym słońcem holu.

Wiem, jakie to uczucie być zaniebany dzieckiem. Mieć matkę zbyt zajęta wszystkim innym, żeby się tobą zajęła, kiedy płaczesz.

– No dobrze – odzywa się Daphne. – Potrzebujesz czegoś, zanim wyjdę?

Zaciskam usta i wbijam wzrok w sufit, a potem kręcę głową.

– Chyba nie, pani McMullen.

Daphne do tej pory nie pozwoliła mi mówić do siebie po imieniu, przeciwnie niż Graham, a ja o to nie poprosiłam. Muszę na to uważać, kiedy z nią rozmawiam. Zastanawiam się jednak, jak mogliby uznać mnie za członka swojej rodziny, skoro ciągle istnieje między nami taka formalna bariera?

Daphne wychodzi z domu, a ja podążam za odgłosami płaczu Grace do salonu. Rose przycupnęła cicho na krawędzi sofy i czyta książkę o Amelii Bedelii, a po drugiej stronie siedzi Sebastian i gra w jakąś grę edukacyjną na tablecie. Grace przestaje płakać na mój widok. Jej pyzate policzki poznaczone są łzami. Zanim zdążę zapytać, co się stało, przybiega do mnie i rzuca mi się w ramiona. Jej małe rączki zaplatają się za moimi plecami i wtula buzię w mój T-shirt.

Przeczesałem palcami jej włosy i pytam matczynym tonem:

– Co się dzieje, kochanie? Dlaczego płaczesz?

– Mamusia i tatuś kłócili się dziś rano.

Spoglądam na jej rodzeństwo. Obydwoje wyglądają na zupełnie nieświadomych tego, co się dzieje, w czym przypominają mi trochę Bena. Może są zbyt mali, by zauważać takie rzeczy? A może tylko Grace coś usłyszała, bo jej pokój znajduje się najbliżej sypialni rodziców?

– Czasami dorośli się kłócą – tłumaczę łagodnym szeptem. – To nie jest powód do płaczu.

– Ale mamusia i tatuś nigdy tego nie robią – mówi, pociągając nosem. – Moja koleżanka Alexis mówi, że jak rodzice się kłócili, to wzięli rozwód. Nie chcę, żeby moi brali rozwód.

Prowadzę ją na sofę, siadam obok niej i ściskam jej dłoń.

– Twoi rodzice nie zrobią tego... – Nie chcę używać słowa

„rozwód”. Sebastian i Rose mogliby je usłyszeć i potem powtarzać.

– Skąd wiesz?

– A wspominali o tym?

– Nie. – Drapie się po nosie, a ja zakładam brązowy kosmyk za jej ucho.

– W takim razie nie masz się czym przejmować – pocieszam córkę. Nie chcę, żeby się martwiła. Nie mogę patrzeć, jak jest smutna i jak pęka jej serduszko.

Oddałam ją do adopcji, żeby miała lepsze życie.

Ta piękna, niewinna dziewczynka zasługuje na szczęście.

Nie zrobiła nic złego.

Patrzemy sobie w oczy. Tak bardzo przypomina mnie, kiedy byłam w jej wieku. Młodziutka, beztroska, błogo nieświadoma rzeczywistości, która rysuje się na horyzoncie. Ujmuję jej buzię w obie dłonie i uśmiecham się do niej.

Właśnie coś takiego powinna wcześniej zrobić Daphne.

Czy tak trudno poświęcić dwie sekundy poranka, żeby usiąść z zapłakaną córką i spróbować ją uspokoić?

Czy Daphne naprawdę jest taką egoistką?

Mam nadzieję, że ma po prostu kiepski dzień, bo nikt nie powinien w taki sposób traktować mojej córki. Zwłaszcza jej własna „matka”.

Rozdział trzydziesty ósmy

Daphne

Marnie Gotlieb.

Już wiem, jak nazywa się osoba, która rozbiła moją rodzinę.

Spodziewałam się chyba czegoś... ładniejszego. Jakiegoś bardziej młodzieżowego imienia. Britney albo Caitlyn albo jednego z tych, jakie noszą dziewczyny występujące w okropnych reality show o licealistkach w ciąży.

Jej twarz nie pasuje do tego imienia. Słyszac „Marnie”, wyobrażam sobie jakąś intelektualistkę, może absolwentkę Harvardu. Albo nauczycielkę, która ma słabość do żonatych facetów.

Ale ona jest zupełnie inna.

Cały dzień ją obserwowałam. Sprawdzałam, gdzie chodzi, co robi, z kim się spotyka. To niesamowite, ile można się dowiedzieć o ludziach, kiedy ich śledzisz. Marnie zaczęła dzień od wizyty na siłowni. Jest jedną z tych dziewczyn, które ćwiczą w pełnym makijażu oraz kusym różowym staniku sportowym i obcisłych szortach. Następnie wróciła do domu i wyszła dwie godziny później, ciągle umalowana, i pojechała do Starbucksa. Wypiła tam kawę, a potem ruszyła do centrum handlowego w zachodniej części miasta. Wyszła z niego po dwóch godzinach, obładowana zakupami, z komórką przy uchu. Nie wiem, z kim rozmawiała, ale miała zarumienioną twarz. Niedbale wrzuciła torby na fotel pasażera, a potem wsiadła do samochodu.

Pojechałam za nią do domu. Zniknęła w nim na całe popołudnie,

co było najmniej interesującą częścią tego dnia, ale wykorzystałam ten czas, żeby przeprowadzić małe śledztwo w Internecie.

Dowiedziałam się, że właścicielami domu, w którym mieszka, są jej rodzice. Na portalu LinkedIn sprawdziłam, że trzy lata temu ukończyła college, a wcześniej odbyła półroczny staż w firmie McMullen and Henry Corp.

Graham lubi wygodę.

Jej CV jest skromne. Chyba nigdy nie miała prawdziwej pracy. Głównie zaliczała staże i wolontariaty. Nie widzę też, żeby zdobyła jakąś nagrodę czy stypendium, a wśród znajomych na LinkedIn ma tylko garstkę osób.

Jej profil na Instaface jest dostępny dla każdego. Występuje tam zresztą pod prawdziwym nazwiskiem, @marniegotlieb, więc znalezienie jej było dziecinnie proste. Przejrzałam ponad pół tysiąca zdjęć, które wrzuciła do Internetu – dziewięćdziesiąt trzy procent z nich to selfie albo zwykłe zdjęcia zakupów, markowych okularów przeciwsłonecznych czy drogiej szminki.

Mało oryginalne.

Oddycham z ulgą, gdy docieram do ostatniego zdjęcia. Na żadnym z nich nie było Grahama. Przynajmniej to jakieś pocieszenie.

Odkładam komórkę na kilka godzin. Marnie dalej siedzi w środku. Sprawdzam godzinę. Muszę wkrótce wrócić do domu, żeby odciążyć Autumn.

Ta dziewczyna jest naprawdę aniołem. Nie moglibyśmy wybrać lepszej opiekunki do dzieci. Jestem w szoku, że Graham trafił w dziesiątkę. Dzieci ją uwielbiają. Czasami mam wrażenie, że lubią ją bardziej niż mnie. Jest świetna w tym, co robi. Czujna, spostrzegawcza, kulturalna. Dzięki niej dzieci dobrze się zachowują, nigdy nie karmi ich śmieciowym jedzeniem ani nie pozwala całymi dniami oglądać telewizji.

Słuchają się jej, a ona słucha ich. Między nimi jest jakiś wzajemny szacunek, a nie podejrzewałam, że moje dzieci są zdolne do czegoś takiego.

Uruchamiam silnik. Dzisiaj znalazłam odpowiedzi na wiele pytań, ale nie dowiedziałam się wszystkiego. Mitch ma rację: nigdy się nie dowiem, co Graham widzi w tej Marnie. Mogłabym ją obserwować całymi dniami, ale i tak nie doznałabym oświecenia. To strata czasu, a mój czas jest cenny. Przynajmniej znam już jej imię i nazwisko oraz wiem, że nie ma w niej nic wyjątkowego. To tylko młoda dziewczyna, dzięki której Graham próbuje się zmagać z przedwczesnym kryzysem wieku średniego.

Cóż.

Niech sobie bierze mojego męża.

Powoli ruszam, rozglądam się w obie strony i nagle zatrzymuję, gdy jakaś czerwona corvetta wjeżdża na moje miejsce i prawie uderza w przód mojego wozu.

To byłaby katastrofa.

Z samochodu wysiada jakiś facet w szarych spodniach i białej koszuli, a potem szybkim krokiem idzie po chodniku, rozglądając się na boki. Chwilę później puka do drzwi Marnie. A ta otwiera z szerokim uśmiechem. Mężczyzna kładzie ręce na jej biodrach, a ona wciąga go do środka. Drzwi się zamykają, a ja siedzę w samochodzie i zastanawiam się nad tym, co przed chwilą widziałam.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Autumn

– Wcześniej wróciłeś. – Twarz Daphne rozjaśnia się, gdy następnego dnia widzi Grahama. Tak jakby wczorajszy dzień wcale się nie wydarzył. Krzątała się po mieszkaniu, paplając wesoło o nowym przepisie na suflet, który chce wypróbować, oraz rodzinnych wakacjach, które już zaczęła planować.

Jestem zdezorientowana, ale może właśnie tak bogaci ludzie radzą sobie z problemami? Jednego dnia użalają się nad sobą, popijając drogie wino, a następnego wszystko wraca do normy?

– Idę na golfa. Zapomniałaś? – pyta, zbliżając się do niej. Kładzie rękę na jej biodrze i całuje ją w czoło, ale ciągle zachowuje ostrożny dystans. Jego pocałunek jest zimny. Ona spuszcza wzrok. Jest rozczarowana.

Czuję, jak pęka mi serce. Z powodu Daphne. Grace. Rose i Sebastiana.

Dzieci są zbyt małe, żeby wiedzieć, co się dzieje. Żeby widzieć, na co się zanoszą.

Właśnie tak dwoje dorosłych ludzi przestaje się kochać. Patrzenie, jak to się dzieje – tu i teraz – jest dla mnie zbyt trudne, zbyt bolesne. Oczy mnie pieką, odwracam głowę, wyciągam kredkę z pudełka leżącego obok Sebastiana i skupiam uwagę na kolorowance, którą porzuciła Rose, bo wolała się bawić naklejkami z Barbie.

Cała złość i niechęć, którą tamtego dnia czułam do Daphne, zupełnie ze mnie wyparowała.

Ona jest załamana, a nie egocentryczna.

To kobieta, która tak mocno się stara, tak mocno walczy... o mężczyznę, który tego wszystkiego nawet nie docenia.

Tamtego dnia przy basenie naprawdę gapił się na mój tyłek. Wcale mi się nie wydawało.

Graham nie jest takim mężem i ojcem, za jakiego go brałam.

Nie mam jeszcze żadnych dowodów.

Ale mam przecucie.

Dręczące podejrzenie, które wczoraj wieczorem kazało mi przez trzy godziny krążyć po Monarch Falls i szukać tego mężczyzny. Dręczące podejrzenie, które nie pozwalało mi spać, podsuwając w wyobraźni najgorsze scenariusze. Dręczące podejrzenie, które budzi we mnie ochotę, by przerwać idealnie spokojny popołudniowy posiłek dzieci i wykrzyknąć mu prosto w twarz pytanie: „Dlaczego, do diabła, chcesz zniszczyć to piękne życie?”.

Kimkolwiek jest tamta kobieta – ona nie jest tego warta.

Wzdycham głośno, zgadzając się ze swoimi myślami. Daphne rzuca mi pytające spojrzenie.

– Przepraszam. Dzisiaj męczy mnie alergia – kłamię.

Graham jest już ubrany w strój golfowy. Czapka, polo, pasek, szorty, buty – wszystko do siebie dopasowane, z tym samym logo. Jeśli kłamię, że idzie grać, to naprawdę bardzo się stara, żeby Daphne uwierzyła.

Ale jestem pewna, że ona potrafi przejrzeć go na wylot.

To oczywiste.

Faceci myślą penisem. A nas, kobiety, cechuje nie tylko inteligencja, ale też intuicja. To jest nasza supermoc.

– Nie za późno na golfa? – pyta Daphne. Słysząc, że jest zawiedziona.

– Jest lato, kochanie – mówi Graham. – Ciemno robi się dopiero koło dziewiątej. A my chcemy tylko zaliczyć dziewięć dołków. Wrócę na kolację.

Daphne posyła mu słaby uśmiech, który wyraźnie dużo ją kosztuje, i życzy mu dobrej zabawy. Nie wiem, czy mówi to

szczerze, czy nie.

– Bądźcie dzisiaj dobre dla waszej matki. – Graham macha do dzieci, stojąc przy wejściu do garażu, i po chwili znika za drzwiami. Dzieci nie wydają się ani odrobinę zdzwione, jakby przywykły, że ich ojciec ciągle gdzieś wychodzi. Pojawia się i znika. Zauważyłam w ciągu tych paru tygodni, że to jest pewnego rodzaju reguła. Graham wpada do domu. Wita się. Przytula dzieci, kiedy nie jest wystrojony i wyszykowany do wyjścia, i to wszystko. Często nie przychodzi na kolację. Nie widziałam ani razu, żeby przynosił swojej żonie kwiaty, co jest dziwne, bo kiedyś w każdym tygodniu pstrykała dla fanów na Instaface zdjęcia pięknych bukietów.

Może sama je kupowała?

– Autumn – Daphne wypowiada moje imię głośnym, ostrym tonem.

Przerywam swoje rozmyślenia i patrzę w jej stronę.

– Tak?

Daphne się śmieje.

– Powiedziałam, że możesz wyjść wcześniej. Wyglądasz na zmęczoną. Powinnaś chyba trochę odpocząć.

Czuję, jak się rumienię.

– Och... tak. Dziękuję.

Ściskam dzieci na pożegnanie. Sebastian oplata moją nogę, Grace nie chce mnie puścić, a Rose cmoka mnie w policzek. Nie chcę dzisiaj wychodzić wcześniej. Chcę zostać tu dłużej, aż do przyjścia Grahama. Chcę, żeby przyniósł Daphne kwiaty i czekoladki, powiedział jej, że ostatnio często go nie było, ponieważ planował wyjazd niespodziankę do Francji z okazji ich rocznicy. A potem żeby spytał mnie, czy mogę zaopiekować się dziećmi przez dziesięć dni. Wyobrażam sobie, jak piszczymy z radości, śmiejemy się, podskakujemy, przytulamy. Jesteśmy szczęśliwi.

I wszystko jest tak, jak powinno być.

Ale to jedynie piękna fantazja. Wiem o tym.

Zakładam torebkę na ramię i mierzwię czuprynę Sebastiana.

– Nie chcę, żebyś wychodziła, Autumn – protestuje Grace, idąc za

mną do drzwi.

– Autumn musi iść do domu – odzywa się Daphne. – Zobacysz się z nią rano.

Grace znowu mnie ściska.

Łączy nas odwzajemnione uczucie.

– Dobranoc, skarbie. Słuchaj się mamy, dobrze? – Łagodnie odrywam jej dłonie od swoich bioder i kiwam głową Daphne. Jej oczy są zmęczone, makijaż jest trochę rozmazany, co do niej niepodobne, a skóra bledsza niż zwykle.

Odprowadza mnie do drzwi.

Nic nie mówi.

Ja też.

Coś mnie ściska w piersi i w żołądku, gdy stoję już za drzwiami. Wszystko wydaje się wywrócone do góry nogami. Nie potrafię tego zrozumieć. To, co myślałam, że wiem... i co myślę, że wiem... to wszystko kompletnie nie ma sensu.

Grace wygląda przez okienko przy drzwiach wejściowych. Macha do mnie, patrząc smutnym wzrokiem. Ma dziesięć lat, więc jest na tyle duża, by wiedzieć, że coś jest nie tak. Widzę to w jej oczach... widzę, że chce być ze mną.

Chce pójść ze mną do domu.

Grace chce uciec przed zbliżającą się burzą, która wstrząśnie jej życiem. Jej nadgarstek oplata dłoń Daphne, która odciąga ją od okienka. Patrzę na nią, dopóki nie znika.

Gdybym mogła, zabrałabym ją ze sobą. Bez chwili namysłu.

Rozdział czterdziesty

Daphne

Graham wtula twarz w zagłębienie mojej szyi. W tle miga telewizor. Jego dłoń porusza się ostrożnie pod brzegiem mojej góry od pizamy.

Od tamtego momentu nie uprawialiśmy seksu. Prawdę mówiąc, na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Ona ma na imię Marnie, prawda? – zadaję pytanie, na które znam odpowiedź.

Jego ręka zamiera.

– Dlaczego to robisz? Po co do tego wracać? Przecież wszystko jest coraz lepiej.

– Czyżby? – pytam. – Bo mam wrażenie, że ciągle za nią tęsknisz. Ciągle chcesz się z nią widywać.

Gwałtownie się odsuwa i kładzie na plecach. Czuję, jak wręcz promieniuje frustracją.

– Widzę, że włamałaś się na moje konto mailowe. – Głośno wypuszcza powietrze. – To skomplikowane, Daphne. Naprawdę.

Gładzę dłonią swoje udo i odsuwam się od niego.

– Nie wątpię, Graham.

– Co to miało znaczyć?

– Nic. – Wzdycham. – Cała ta sprawa jest skomplikowana. Prawdę mówiąc, próbuję zrozumieć, dlaczego zacząłeś się w taki sposób zachowywać, mówić te wszystkie cudowne rzeczy i zapewniać mnie o swoim oddaniu, gdy tymczasem dalej spotykasz się z nią po kryjomu i piszesz, że za nią tęsknisz. Wiesz, że teraz

twoje słowa już nic nie znaczą, prawda? Dociera to do ciebie?

Nie płacze. Nie załamuje się. Nie okazuje żadnych uczuć.

– Ciągle staram się to skończyć – mówi niskim głosem. – Myślałem, że udało mi się poprzednim razem, ale kiepsko to zniosła i musiałem znowu się z nią spotkać, i wszystko jakoś się...

– Daruj sobie. Błagam. – Odchrząkuję i napinam ramiona, szykując się do wyrzucenia z siebie tego, co miałam na końcu języka, odkąd dzisiaj wrócił do domu. – Widziałam ją dzisiaj. Była z jakimś mężczyzną.

Graham się śmieje. Nie wierzy mi. A może raczej nie chce wierzyć.

– Przyjechał czerwoną corvetta – dodaję. – Szpakowaty. Dobrze ubrany.

Milczy. Leżę i patrzę przed siebie, zastanawiając się, dlaczego Graham nie próbuje w jakiś sposób przerwać tej rozmowy.

Biorę głęboki wdech, odwracam się w jego stronę i dostrzegam, jak lekko mu drży dolna warga.

I wtedy to do mnie dociera.

On ją kocha.

Kochał ją wcześniej. I kocha ją teraz.

– Daj sobie z nią spokój, Graham – mówię. Pierwszy raz w życiu mam ochotę zrobić mu fizyczną krzywdę. Żałuję, że nie mogę uderzyć go w twarz i powiedzieć, żeby się opamiętał. – Jeśli tego nie zrobisz, zabiorę ci wszystko, co do tej pory było dla ciebie ważne.

Nie mruga. Nie rusza się. I w tej chwili zdaję sobie sprawę, że tylko ona jest dla niego ważna. Przepraszał mnie jedynie dlatego, że się bał. Żadne jego słowo nic nie znaczyło. Nigdy nie zamierzał od niej odejść. Nie chce spędzić reszty życia ze mną. Nie zależy mu na dzieciach.

On chce tylko Marnie Gotlieb.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Autumn

– Możesz zrobić coś dla mnie, kotku? – słyszę głos Bena w słuchawce, gdy przyciskam telefon ramieniem do ucha.

Jestem rozkojarzona, nie potrafię przestać myśleć o tym, co stało się wcześniej – o Grahamie i Daphne, o ich kłótni, krępujących rozmowach, braku uczucia. Widać, że on już nie jest zaangażowany w ich związek, a Daphne nie ma siły walczyć o mężczyznę, któremu najwyraźniej znudziło się małżeństwo.

– Jak tam w Tulsie? – pytam, szykując sobie parującą kąpiel. Muszę się zanurzyć w wodzie, przetrawić to wszystko oraz, co najważniejsze, pomyśleć, jaki to będzie miało wpływ na Grace.

– Słyszałaś, co mówiłem? – pyta Ben. – Potrzebuję przysługi. Pilna sprawa.

– Przepraszam – odpowiadam, zdejmując ubrania. – Zamyśliłam się. Czego ode mnie potrzebujesz?

– Możesz sprawdzić, co u Marnie?

Patrzę w wannę, w rosnące bąbelki i parę unoszącą się w powietrzu.

– Biorę teraz kąpiel – mówię. – Zadzwoń do niej, jak skończę...

– Nie – przerywa mi. – Musisz do niej pojechać. Jak najszybciej.

Śmieję się, bo to Ben zachowuje się nedorzecznie. Jego siostra to dwudziestoczteroletnia kobieta. Nie potrzebuje niańki. Zresztą jestem pewna, że siedzi w jakimś eleganckim hotelu w Nowym Jorku ze swoim najnowszym żonatym kochankiem. Jechać przez całe miasto, żeby tylko pocałować klamkę, byłoby kompletną stratą

czasu i energii.

– Mówię poważnie – słyszę w słuchawce. – Moi rodzice są w Seattle u cioci Grety, więc nie mogą tego zrobić. Mama mówi, że Marnie miała zabrać dziś rano babcię Paterson do lekarza, ale w ogóle się nie zjawiała. Nikt nie rozmawiał z nią od paru dni. Coś się stało.

– Może wybrała się na ten rejs – sugeruję, zanurzając duży palec w wodzie. Siadam na brzegu wanny i czekam, aż ta rozmowa się skończy.

– Proszę cię, Autumn. – W jego głosie słyszę drzenie i ostrą nutę, której nigdy wcześniej tam nie było. – Po prostu zapukaj do jej drzwi i sprawdź, czy jest w domu. Tylko tego od ciebie chcę.

Zakręcam wodę i wzdycham.

– Dobra – zgadzam się. – Pojadę do niej.

– Teraz? – pyta niecierpliwym tonem.

– Tak.

– Dziękuję. Zadzwoń do mnie, gdy tylko tam dotrzesz.

– Zrobi się.

* * *

Parking przy budynku, w którym mieszka Marnie, jest zapełniony, ale udaje mi się wcisnąć pomiędzy chryslerem a lexusem, całkiem niedaleko drzwi do jej mieszkania. Biorę kluczyki i torebkę, sprawdzam komórkę i wysiadam z auta.

W pobliżu przez chwilę wyje czyjś alarm samochodowy, a kiedy spoglądam w stronę zielonych drzwi Marnie, widzę, że są lekko uchylone.

Pomiędzy drzwiami a futryną dostrzegam jedynie czarną szczelinę. Zatrzymuję się. Patrzę i czekam. Już zapada zmierzch.

Po chwili z mieszkania wychodzi jakiś mężczyzna. Nakłada czapkę i zamyka drzwi. Chwilę później wyłania się Marnie. Ma na sobie czarną koronkową koszulkę nocną, która ledwie zakrywa jej szczupłe ciało. Lewe ramię zwisa z jej barku. Krzyczy coś do mężczyzny. On wraca do niej szybkim krokiem, zakrywa jej usta

dłonią i wciąga do środka.

Zaczynają się szarpać.

Stoję i czekam. Jej kochanek znowu się wyłania, ale tym razem Marnie nie wybiega za nim. Mężczyzna maszeruje zamaszystym krokiem, z pochyloną głową i spuszczonego wzrokiem. Dopiero gdy zaczyna biec truchtem w stronę czarnej tesli, mam okazję nieco lepiej przyjrzeć się jego twarzy.

To Graham.

Moje serce zamiera.

Chcę biec za nim. Chcę walić pięściami w jego tors i krzyżeć mu prosto w twarz: „Dlaczego?”. Dlaczego robi to swojej rodzinie? Dlaczego robi to Daphne? Dlaczego wybrał Marnie?

Uruchamia cichy silnik swojego auta. Czekam, aż opuści parking, i dopiero wtedy idę w stronę domu Marnie.

To mała kurewka.

Chwilę później walę pięścią w drzwi tak długo, aż tracę czucie w dłoni. Marnie otwiera po bardzo długiej przerwie. Na jej twarzy maluje się szok. Nie spodziewała się mojej wizyty.

– Co ty tutaj, do diabła, robisz? – warczy pod nosem ze zdumionym i wrogim uśmieszkiem. Wokół niebieskich oczu ma rozmazany tusz do rzęs, a jej policzki są czerwone jak wiśnie. Widać, że płakała.

Przeciskam się obok niej do środka. W mieszkaniu unosi się zapach wina i perfum. W sypialni na górze huczy muzyka.

Mam gdzieś, że jestem intruzem. Muszę z nią pogadać. Natychmiast.

Marnie trzaska drzwiami i podchodzi do mnie wściekłym krokiem, trzymając dłonie na kościstych biodrach.

– Nie możesz tutaj ot tak przyłazić. To jest moje mieszkanie, a ty nie jesteś w nim mile widziana.

– Przysłał mnie twój brat.

Rozdziawia usta, a potem je mocno zaciska.

– Podobno cała twoja rodzina martwi się o ciebie. – Rozglądam się po wnętrzu. W ciągu paru lat byłam tu zaledwie kilka razy.

Zawsze z Benem. Zawsze tylko na chwilę. – Miałaś chyba zabrać babcię do lekarza czy coś w tym stylu? Może powinnaś odbierać telefon, kiedy dzwonią do ciebie rodzice.

Przewraca oczami, a potem rusza w moją stronę, prawie się zataczając. Z bliska czuję od niej alkohol, który paruje każdym jej porem.

– Mam teraz trochę kłopotów – tłumaczy, jakbym miała od razu jej współczuć z tego powodu.

Biedactwo.

– Zgadza się – mówię.

Marszczy czoło.

– Co to niby miało znaczyć?

– Widziałam cię z nim. – Słowa wydobywają się głęboko z mojego gardła. Sprawiają, że robi mi się niedobrze.

– Z kim? – udaje idiotkę i kiepsko jej to wychodzi.

– Z Grahamem – odpowiadam. – Pieprzysz się z Grahamem McMullenem.

– Ha! – śmieje się, odrzucając głowę do tyłu. – Ach, z nim. Przyłapałaś mnie.

Marnie klepie się w nadgarstek, a ja się zastanawiam, czy ona kiedykolwiek naprawdę musiała stawić czoło konsekwencjom swoich czynów.

Wątpię.

Wszystko nagle staje się czerwone... a potem czarne. Zanim zdaję sobie sprawę z tego, co robię, pcham ją z całej siły, a ona leci do tyłu. Łąduje na tyłku, zdumiona i bez tchu.

– To jest napaść! – mówi bez emocji. Jest w szoku. Nigdy w życiu jej nie dotknęłam – tak samo jak ona mnie. Nie spodziewała się tego ataku. Prawdę mówiąc, ja również nie.

Nie jestem agresywna.

– On jest żonaty – mówię z emfazą, choć wiem, że na darmo strzępię sobie język. – Ma trójkę dzieci. I piękną żonę. A ty nigdy nie będziesz na niego zasługiwała.

– Kochana, on chce zostawić dla mnie żonę – oświadcza z dumą,

jakby to było coś, czym można się przechwalać. – Dzisiaj mieliśmy małą kłótnię, bo się ociąga. Ale zrobi to. Niedługo. A potem będziemy wreszcie razem.

– Chcesz rozbić ich rodzinę? Ty mała dziwko! – wybucham nagle. Jestem tak samo przestraszona swoim krzykiem jak ona. Wciągam do płuc powietrze o zapachu gardenii i caberneta. Na kominku stoi migocząca świeczka. Zbiera mi się na wymioty na myśl o tym, że Marnie i Graham pieprzyli się niedawno na sofie w tym pokoju.

– On nie jest szczęśliwy, Autumn – mówi Marnie. – Pracujesz dla nich. Z pewnością zauważyłaś, że ich małżeństwo jest totalnym żartem. Daphne ma obsesję na punkcie kontroli, a Graham potrzebuje kogoś, kto będzie mu pozwalał być... Grahamem. Kogoś, kto będzie doceniał to, jaki jest, i nie próbował zarządzać każdą sekundą jego życia. To wszystko wina Daphne. To ona go odrzuciła. Wepchnęła prosto w ramiona innej kobiety. Jezu. Gdybyś choć w połowie знаła prawdę...

Wyobrażam sobie, że Marnie bez trudu wymyśliłaby usprawiedliwienie dla swojego postępowania, ponieważ jest zamożną, rozwydrzoną panią, którą rodzice traktują jak prawdziwą księżniczkę i nagradzają za urodę.

Nigdy w życiu nie musiała za nic zapłacić. Ani za rzeczy materialne, ani za błędy.

– Nie masz o niczym pojęcia. – Moja pierś unosi się i opada, a gdy patrzę na Marnie, muszę zacisnąć dłonie w pięści, bo tak strasznie pragnę rozerwać ją na strzępy, wydłubać jej niebieskie oczy i złamać na pół jej kościste ciało.

Marnie Gotlieb jest paskudną osobą, która nie zasługuje na to, żeby żyć.

Tylko marnuje powietrze i wodę.

Bez niej świat byłby lepszym miejscem – tego jestem na sto procent pewna.

Miałaby zostać macochą Grace? Po moim, kurwa, trupie!

– Zakończ to – rozkazuję. – Zakończ romans z Grahamem, a może nie powiem całej twojej rodzinie o tym, co robisz w wolnych

chwilach.

Unosi brew.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wiem, czym się zajmujesz. Wszyscy ci zonaci faceci. Wszystkie te hotele i drogie ciuchy. Twoja rodzina może jest ślepa, ale ja nie. Wszystkie rzeczy, które robisz, kiedy myślisz, że nikt cię nie widzi? Ja je widziałam. To by złamało serce twojemu ojcu, gdyby się dowiedział, że jego kochana mała księżniczka...

– Nie zasługujesz na mojego brata – przerywa mi. W ciągu wielu lat nauczyłam się, że właśnie to robią ludzie, kiedy nie mają racji i próbują się bronić: odwracają kota ogonem. Zmieniają temat. – Mój brat tylko myśli, że jest z tobą szczęśliwy. Nie wie, że to wszystko jest ściemą. Tak jak cała ty.

Nie wiedziałam, że mogę czuć do niej jeszcze większą nienawiść niż do tej pory, ale okazuje się, że to jednak możliwe. Nienawidzę jej każdą komórką swojego ciała, każdą cząstką swojej istoty.

– Spotkałam się z twoim bratem – mówi.

Moje serce nagle zamiera.

Coś ściska mnie za gardło. Odcina dopływ powietrza. Blokuje słowa, które chcę powiedzieć.

– Powiedział mi o tobie różne rzeczy – ciągnie ze złośliwym uśmiechem. Podnosi się z ziemi, zakłada ręce na piersi i idzie w moją stronę chwiejnym krokiem. – Różne, naprawdę chore, pokręcone rzeczy. Jak tylko Ben wróci, o wszystkim się dowie. Powiem mu całą prawdę. A on cię zostawi, bo jesteś popieprzoną wariatką, Autumn, a teraz w końcu mam na to dowód. Ty...

Słysząc jakiś hałas.

A potem Marnie przestaje gadać.

Kiedy otwieram oczy, wiszę nad nią, trzymam ją za włosy, a ona się nie rusza.

Jej głowa ześlizguje się po marmurowym blacie kawowego stolika na środku pokoju. Puszczam ją. Bezwładne ciało osuwa się na podłogę przy moich stopach.

Unoszę dłoń do ust i biorę gwałtowny wdech. Wpatruję się w jej

klatkę piersiową i czekam, aż zacznie się unosić i opadać. Ale Marnie leży zupełnie nieruchoma.

Wychodzę.

Rozdział czterdziesty drugi

Autumn

– Była u siebie? – pyta od razu Ben, nie bawiąc się w żadne powitania.

– Nie – odpowiadam. Drżą mi ręce. Jadę do domu.

Nie chciałam jej zabić.

To znaczy myślałam o tym sto razy, ale to była tylko fantazja, sen na jawie.

Nie jestem morderczynią.

Nie jestem agresywna, nie chcę zabijać.

Nie mam takich instynktów.

– Cholera. – Ben wzdycha. – Gdzie ona się podziewa?

– Jestem pewna, że się pojawi.

– Nie, to już trwa parę dni. Dzisiaj gadałem z jej znajomymi. Wszyscy mówią, że też nie mogą się z nią skontaktować. Musimy zadzwonić na policję i zgłosić jej zaginięcie.

Cholera.

Wiem, że miała ostatnio „trochę kłopotów” czy coś w tym stylu, ale dlaczego miałyby się odcinać od całego świata? Przecież ona ciągle zabiegała o uwagę, bawiła się w gwiazdę.

– Odniosłaś wrażenie, że była w domu? – pyta Ben podniesionym głosem, jakby podświadomie chciał zmusić mnie do powiedzenia tego, co chce usłyszeć.

– Wszędzie było ciemno – odpowiadam. – Wszystkie światła zgaszone.

Przypomina mi się zapalona świeczka na kominku. Cholera.

Jeśli będę miała szczęście, wypali się, zanim przyjedzie policja.

– Cóż, dzięki, że do niej pojechałaś, kotku – mówi Ben. W jego głosie ciągle słychać nadzieję. A ja czuję, jak pęka mi serce. – Przylecę następnym samolotem.

Rozłącza się. Nie mówi „kocham cię” na pożegnanie. Pewnie za chwilę zadzwoni do rodziców, żeby przekazać im to, czego się dowiedział. Gotliebowie umierają ze zdenerwowania, rezerwują miejsca w samolocie, nie mogą spać i płaczą.

To dobrzy ludzie. I współczuję im z powodu tego, co ich czeka. Naprawdę kochali Marnie i nie dziwię się im. Nigdy nie widzieli jej brzydkiej, ciemnej strony. Kochali ją bezwarunkowo i traktowali jak rozpieszczone dziecko. Uśmiechnięta twarz córki była dla nich zapłatą za wszystko, co jej podarowali.

Pomimo to miała kiepskie życie. Była żalosną i niewdzięczną osobą. I zasłużyła na to, co ją spotkało.

Kwadrans później wjeżdżam do garażu, a potem dalej siedzę w aucie, podczas gdy drzwi się zamykają, światło gaśnie i wszystko tonie w smolistej ciemności.

Zastanawiam się, gdzie jest teraz Marnie. Czy jest skąpana w świetle, czy spowija ją mrok? Ciekawe, czy widzi migawki ze swojego życia i odczuwa wyrzuty sumienia z powodu tego, jak traktowała ludzi.

Biorę wdech i wysiadam z samochodu. W ciemności znajduję klamkę.

Ginger wita mnie w drzwiach. Dom jest przytulny i przyjazny. Całe wnętrze podświetla jedynie lampka w okapie kuchennym. Dobrze jest wracać tutaj. Biorę Ginger na rękę, a potem idę po kolejną małą żółtą pigułkę. Chcę uspokoić umysł, żeby nie obudzić się o trzeciej nad ranem z koszmaru, w którym znowu widziałabym ostatnie chwile życia Marnie.

Przypominam sobie jej twarz, otwarte oczy, patrzące martwo przed siebie, jej potargane jasne włosy...

Pigułki już prawie się skończyły.

Po więcej musiałabym znowu pójść do doktora Barringera.

Połykam jedną, biorę tabletkę nasenną i popijam to mlekiem. Ciekawe, czy to wszystko jest normalne? Czy istnieje wiele osób, które zabiły kogoś gołymi rękami, a potem poszły sobie spać?

Dochodzę do wniosku, że to bez znaczenia.

A potem sobie uświadamiam, że tak naprawdę nie mam pewności, czy Marnie nie żyje.

Była pijana i uderzyła się w głowę. To wszystko. Pewnie straciła przytomność, a jutro się obudzi z koszmarnym bólem głowy i nie będzie pamiętała nic z tego, co stało się wczoraj.

Nie zabiłam jej.

Przewróciła się i uderzyła w głowę.

Jeśli nie żyje, autopsja to wykaże – stężenie alkoholu we krwi przekraczające wielokrotnie dopuszczalny poziom, zbadają miejsce zdarzenia i ustalą, że wpadła na stolik kawowy. Młode życie tragicznie przerwane przez nadużywanie alkoholu i serię niefortunnych zbiegów okoliczności.

Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy.

Rozdział czterdziesty trzeci

Autumn

Graham i Daphne od rana mają cichy dzień. On siedzi z nosem w komórcie, a ona nie odrywa wzroku od domowej roboty pełnoziarnistych naleśników leżących na płycie do smażenia. Dla McMullenów to dość późne śniadanie i zastanawiam się, czy siedzieli też do późna w nocy. Do tej pory odezwali się do mnie tylko paroma oficjalnymi zdaniem, a atmosfera między nimi jest tak gęsta, że można ją nożem kroić.

Obserwuję, jak Graham pisze kciukiem esemesa, przeskakując spojrzeniem pomiędzy ekranem telefonu a głową swojej żony, która stoi odwrócona plecami. Widocznie chce się upewnić, że nie zwraca na niego uwagi.

Daphne nie patrzy w jego kierunku.

To tak, jakby ich małżeństwo utknęło w impasie, którego nie próbują przerwać. Oboje są obojętni. Czekają w zawieszeniu, aż drugie wykona pierwszy krok.

Ben wrócił z Tulsy dziś rano, kilka dni przed planowym przylotem. Miał spotkać się z rodzicami na posterunku policji, kiedy tylko wylądują, aby zgłosić zaginięcie Marnie.

Wstaję od stołu, zostawiając Grace, i wyciągam z jednej z szuflad kuchennych śliniaczek dla Sebastiana. Mocno przywiązuję go wokół jego szyi, wpatrując się w swoje ręce: ręce morderczyni. Wyglądają dokładnie tak samo jak wczoraj. Nie ma na nich żadnych śladów, zadrapań lub siniaków. Żadnych dziwnych nacięć lub zagłębień. Są kremowe i gładkie jak u dziecka.

Dłonie potencjalnego mordercy dzisiaj będą zajmowały się dziećmi i pomimo tego, co się stało, będę całą sobą ich broniła. Zdaję sobie sprawę, jakie to ironiczne.

– Autumn, czy możesz ustawić stolik?! – woła do mnie Daphne, przekładając naleśniki na talerze.

– Oczywiście. – Zaczynam się krzątać, obserwując, jak Graham wysyła wiadomość z telefonu. Jego usta się zaciskają. Wypuszcza powietrze przez nozdrza.

– Dobra, wychodzę – mówi chwilę później. Nikt nie odpowiada. Daphne nie życzy mu miłego dnia, a dzieci są zbyt zajęte zbliżającym się śniadaniem, aby zauważyć, że ojciec już prawie wyszedł z domu.

Nie mija nawet minuta, gdy tesla Grahama wyjeżdża z podjazdu, a ja wracam do dzieci i mówię Daphne, że za sekundę zajmę się sprzątnięciem.

– Dzisiaj idę na wolontariat – mówi, choć nie precyzuje, o co dokładnie chodzi, a ja nie zadaję dodatkowych pytań. – Muszę wyjść za pół godziny.

Nie wiem, czy ona mówi do mnie, do dzieci czy do siebie. Jej ton jest wyprany z emocji i energii i zastanawiam się, czy dziś ma jeden z tych dni, kiedy będzie funkcjonowała jak na autopilocie.

Przewracają mi się flaki, gdy wyobrażam sobie, jak Graham dotykał ciała Marnie, jak ona go całowała w te wszystkie miejsca, które powinna znać tylko Daphne. Zastanawiam się, ile ona wie. Na pewno jest świadoma tego, co się działo. Mężczyzna nie ucieka ze swego małżeństwa bez powodu. Zawsze idzie do innej kobiety.

Daphne po cichu wchodzi na górę, dzieci opowiadają sobie dowcipy i chichoczą, jak każdego innego dnia, a ja nie jestem w stanie tutaj siedzieć i udawać, że wszystko w porządku.

Jakie mają szczęście, że żyją tylko chwilą obecną.

Rozbrzmiewa dzwonek u drzwi.

– Nie ruszajcie się – mówię do nich. – Zaraz wracam.

Jest za wcześnie na jakąś dostawę, ale czasem jedno z dzieci sąsiadów zagląda tutaj, bo chce się pobawić. Założę się, że to ten

mały rudzielec mieszkający przy naszej ulicy.

– Próbowałem dodzwonić się do ciebie cały ranek. – Ben stoi w progu domu McMullenów. Czoło ma zmarszczone i głośno łapie oddech. Dostrzegam na podjeździe jego samochód.

– Ben, ja pracuję – mówię z delikatnym chichotem. – Co tutaj robisz?

– Policja jedzie do Marnie. Jeśli nie otworzy, wyważą drzwi. Jadę tam. – Jego ramiona unoszą się i opadają.

– Dobra, informuj mnie na bieżąco. – Spoglądam przez ramię na korytarz, w stronę dzieci. Nadal jedzą przy stole w kuchni, chichocząc i zachowując się jak idealne małe aniołki. Słyszę kroki Daphne na górze. Zaraz tu zejdziesz.

– Chodź ze mną – rozkazuje Ben.

– Ben. – Przechyliłam głowę.

– Autumn, potrzebuję cię. – Wyciąga do mnie ramiona, a potem się zatrzymuje. – Nigdy nie prosiłem cię o cokolwiek...

To kłamstwo.

– Proszę – błaga, a tak strasznie nie do twarzy mu z żebraniem. Spoglądam w jego bladoniebieskie oczy i wiem, co mnie czeka. Wyobrażam sobie, jak widzi ciało siostry leżące na ziemi, martwe, zimne, w stroju pasującym do zwykłej prostytutki. Wyobrażam sobie, że stoi obok jej trumny, obejmując ramieniem matkę. Ben sprawdza zegarek, a potem spogląda na mnie, jego brwi unoszą się, gdy czeka na moją odpowiedź. Ciemne worki pod jego błękitnymi oczami zdradzają, że tej nocy prawie nie spał.

– W porządku. Dobrze – wzdycham. Nie chcę tego robić, ale wiem, że jestem mu to winna. – Pozwól mi pogadać z Daphne. Za chwilę wrócę.

Zamykam drzwi, obracam się na pięcie i zatrzymuję nagle, gdy widzę Daphne stojącą u szczytu schodów.

– Kto to był? – pyta.

– Mój chłopak – odpowiadam, splatając palce. – Jakaś pilna sytuacja rodzinna.

Daphne unosi brwi.

– Bardzo przepraszam. – Kładę rękę na sercu. – Muszę iść. Postaram się wrócić później.

Wiem, że nie dotrzymam słowa. Jeśli tam pojedę i okaże się, że Marnie nie żyje, nie wiem, kiedy wrócę. Będę u boku Bena w każdej chwili, każdego dnia, aż do jej pogrzebu.

– Czy wszystko w porządku? – Głupie pytanie inteligentnej kobiety.

– Boimy się, że jego siostra zaginęła – wyjaśniam. – Nikt nie mógł się z nią skontaktować przez wiele dni. Policja jedzie teraz do jej domu. My też.

Daphne dotyka swojego perłowego naszyjnika.

– Mój Boże. To okropne. Tak, idź z nim. I daj mi znać, jak coś będziesz wiedziała.

Nie jestem pewna, czy chce, żebym ją poinformowała o Marnie, czy o tym, kiedy wrócę, ale kiwam głową i kieruję się w stronę kuchni, aby powiedzieć dzieciom, że zobaczymy się później.

Grace zaczyna jęczeć, a Rosie pyta, gdzie się wybieram. Sebastianowi jest wszystko jedno.

Chwytam swoją torebkę i przepuszczam Daphne w holu. Rozmawia przez telefon, odwołuje jakieś spotkanie, i macha do mnie, gdy wychodzę.

Chwilę później siadam na fotelu pasażera w aucie Bena. Jego kostki są białe, gdy zaciska palce na kierownicy, wyjeżdżamy z długiego podjazdu i kierujemy się na wschód na ulicę Linden, przejeżdżając pod malowniczym baldachimem starych dębów.

Jest niezwykle cicho.

– Czy policja coś powiedziała? – pytam. – Twoi rodzice już wrócili?

Wzrusza ramionami.

– Dzwonili pod jej numer. Telefon jest u niej w domu. Więc albo go zostawiła, albo... – Jego głos cichnie, nie kończy zdania, a ja mu się nie dziwię.

– Może wybrała się na tamten rejs dla singli? – Nie mogę uwierzyć, że mówię takim lekkim tonem w tej sytuacji. Może to

mechanizm obronny? Odwracanie uwagi? Żołądek mi się ściska coraz mocniej przy każdym zakręcie, który bierzemy, zbliżając się do ulicy Marnie. – Wątpię, żeby mieli zasięg na Oceanie Atlantyckim...

– Autumn – ucisza mnie.

– Znajdziemy ją – mówię, wyciągając rękę. Próbuję oderwać jego dłoń od kierownicy, ale na to nie pozwala.

To nie jest on. To nie Ben. Nie znam tego człowieka. On jest chory z nerwów, strachu i wątpliwości, jego ciało jest napięte, jakby oczekiwał najgorszego scenariusza. I powinien. Cały jego świat się zmieni.

Co jest takiego w śmierci, że ludzie zawsze zapominają, jakim potwornym dupkiem ktoś był za życia? Człowiek umiera i pamięta się o nim tylko dobre rzeczy, nawet jeśli tak niewiele ich było.

Nie mam zbyt dużo przyjemnych wspomnień związanych z Marnie, ale w tej chwili mój umysł jest pusty. Nie jestem pewna, jak bardzo nienawidziłam jej i jak bardzo zasługuje na to, co ją spotkało. Nie myślę o tym, jaką była wstrętną dziwką, która rozbiła rodzinę, ani jaka była władczą wobec Grahama, albo jak całą winę zwała na Daphne.

Mój umysł jest opustoszały, nie ma w nim ani jednej myśli i jest tak, jakby rzeczywistość została tymczasowo zawieszona. Nie jestem pewna, ile minut minęło lub jakie piosenki lecą w radiu, ani czy w ogóle było włączone radio. Gdy dojeżdżamy pod adres Marnie i zatrzymujemy się na parkingu, widzimy dwa radiowozy z włączonymi kogutami, wóz straży pożarnej i karetkę.

Drzwi Marnie są otwarte na oścież.

Dwóch sanitariuszy wchodzi do środka z noszami.

Wszystko dzieje się tak szybko, a zanim zdołam zatrzymać Bena, on już wysiada z auta, biegnie w stronę drzwi i krzyczy. I na pewno wiem, że Marnie nie żyje.

A ja ją zabiłam.

Rozdział czterdziesty czwarty

Daphne

– O Boże. Jak myślisz, co się jej stało? – Wyłączam głos w telewizorze. Graham siedzi na brzegu łóżka, zgarbiony, z zaczerwienionymi oczami. Jest zdruzgotany śmiercią kochanki, a ja ciągle staram się objąć umysłem fakt, że była siostrą chłopaka naszej opiekunki do dzieci. – Wiedziałeś, że знаła Autumn?

– Próbowałem skończyć z nią wiele razy, ale za każdym razem groziła, że odbierze sobie życie. Tamtej nocy pojechałem tam i próbowałem ją uspokoić.

Nie wierzę w jego słowa.

– Kiedy wyszedłem... była cała i zdrowa. A potem zjawiała się Autumn.

– A więc to Autumn ostatnia widziała ją żywą?

– Nie wiem. Kurwa, nie wiem. – Jego oczy są przekrwione. Wpatruje się w telewizor, na którym w kółko pojawiają się te same nagrania.

– W jej budynku są kamery?

– A jakie to ma znaczenie?

– Jeśli sprawdzą nagrania i zobaczą, że twój samochód odjeżdżał spod budynku tamtej nocy, gdy umarła, i jeśli ktoś się dowie, że z nią spałeś, będziesz podejrzany. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? – Ani odrobiny mu nie współczuję.

Ukrywa twarz w dłoniach. Nie wiem, czy to oznaka żałoby po Marnie, czy po życiu, które zniknie w sekundzie, gdy zostanie oskarżony o morderstwo.

– A co z tamtym facetem, który przyjechał corvetta? – pytam. –
Myślisz, że on to zrobił?

– Myślę, że sama się zabiła. Zawsze powtarzała, że to zrobi.
Wreszcie się jej chyba udało.

– Tak czy inaczej, musisz wziąć się w garść – radzę mu. – Gdy
tylko policja dowie się o waszym romansie i o tym, że ona
spotykała się z innymi facetami, pojawi się motyw morderstwa.
A gdy przejrzą nagrania z kamer i zobaczą, że od niej wychodziłeś,
sprawa będzie praktycznie przesądzona.

– Nawet nie powiedzieli, jak umarła. Nic jeszcze nie wiadomo, ale
przysięgam, Daphne, że ja tego nie zrobiłem.

Milczę, składając ubrania na łóżku. Zwijam parę skarpetek
i wrzucam do górnej lewej szuflady wspólnej komody.

– Nie wierzysz mi, prawda? – W jego głosie pobrzmiwa nuta
czystej paniki.

Otwieram usta i bez problemu mówię prawdę:

– Ostatnio tak często łągałeś, Graham. Już nie wiem, w co mam
wierzyć.

Rozdział czterdziesty piąty

Autumn

Tego wieczoru wiktoriańska posiadłość Gotliebów jest wypełniona po brzegi ludźmi. Ktoś ustawił wielkie zdjęcie Marnie na stoliku w salonie. Uśmiecha się na nim, błyskając białymi zębami, jasnowłosa, z idealną jasną cerą, emanująca spokojem, młodością i beztroską.

Wyobrażam sobie, że jest teraz szczęśliwsza, niż była tutaj. Marnie wiodła smutne, egoistyczne życie. Może w jakiś popieprzony sposób oddałam jej przysługę.

Gdziekolwiek teraz się znajduje, musi być tam lepiej niż tutaj.

– Debra, chcesz trochę wody? – pytam matkę Bena. Siedzi na sofie, otoczona ramieniem siostry, z czerwonym od płaczu nosem, i spogląda na mnie przekrwionymi oczami.

– Tak, poproszę – udaje się jej odpowiedzieć.

Przeciskam się pomiędzy znajomymi i sąsiadami, mijam pastora z kościoła metodystów i rodzinnego lekarza Gotliebów, a potem lawiruję pomiędzy tłumem innych gości.

Wszyscy zjawili się w momencie, kiedy usłyszeli o śmierci Marnie. Wszyscy płaczą, mówiąc, jak nie mogą pogodzić się z tym, jakie to tragiczne. Jakże niesprawiedliwe było to, że jej życie tak krótko trwało. A ci, którzy nie płaczą, rozplývają się w poetyckich słowach o chwilach, jakie spędzili z drogą, słodką Marnie.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek była miła. Może kiedyś była ładną dziewczyną? Może życie przepełniło ją goryczą, złością i zmęczeniem?

Chyba nigdy nie poznam odpowiedzi na te pytania.

Nalewam wodę do szklanki dla Debry i przechodzę przez jadalnię do miejsca, gdzie Ben siedzi z ojcem, który cały dzień nie był w stanie na nikogo spojrzeć. Źle sobie radzi z emocjami – tak wyjaśniał Ben. A Ben, wierny syn i teraz jedyne dziecko Darrena i Debry, nie odstępuje go ani na chwilę.

– Coś wam przynieść? – Zatrzymuję się, aby zapytać, i zauważam stertę zmiętych chusteczek. Nie jestem pewna, czy to Bena, czy jego ojca, czy ich obydwu. Ben spogląda na mnie, oczy ma czerwone i wilgotne, i kręci głową, więc ruszam dalej, aby zanieść wodę jego matce.

– Dziękuję, kochanie. – Debra bierze ode mnie szklankę, a jej wdzięczność łamie mi serce. Nasze dłonie się stykają, w czym zauważam chorą ironię... Ręka, która dała życie Marnie, dotyka dłoni, która zabrała życie Marnie.

Od razu myślę o Grace. I jak bym się czuła, gdyby ktoś jej nienawidził. Gdyby ktoś ją skrzywdził. Gdyby ktoś ją zamordował. Moje wargi zaczynają dygotać, zamykam oczy i odwracam się plecami do Debry.

Wszystkie miejsca w salonie są zajęte, a ja potrzebuję świeżego powietrza, więc wychodzę na zewnątrz i siadam na werandzie. Sama. Nie mogę pozwolić sobie na poczucie winy – jeszcze nie teraz. W chwili gdy pozwolę na to, żeby poczucie winy mnie przytłoczyło, będę nią promieniowała i każdy się dowie, że to ja zrobiłam. I wszystko pójdzie na nic.

Wiem, że nie jestem potworem. Zrobiłam, co musiałam, aby chronić swoją córkę i jej rodzinę.

Na podjeździe zatrzymuje się białe bmw. Wysiada z niego młoda dziewczyna o prostych kasztanowych włosach. Sprawia wrażenie, jakby płakała. Ma opuchnięte oczy i twarz, ale jest ładna, wygląda jak ktoś, z kim mogłaby się przyjaźnić Marnie, choć nigdy się nie dowiedziałam, ilu miała przyjaciół. Wydawało się, że wielu z nich pojawia się i znika, gdy tylko zaczęli dostrzegać jej prawdziwe oblicze.

Bardzo trudno było ją lubić. Nie tylko ja miałam z tym problem.

– Witaj – mówię do nieznajomej, kiedy zaczyna wchodzić po schodkach. Trzyma ręce w tylnych kieszeniach, ma na sobie biały bawełniany top z napisem „Laguna Cabana”, co jest nazwą prywatnego klubu pływackiego, do którego należała Marnie. – Mogę w czymś pomóc?

Otwiera usta, wargi jej dygoczą. Próbuje coś powiedzieć, a następnie patrzy w dół. Bierze oddech i znowu próbuje.

– Jestem Megan – mówi. – Przyjaciółka Marnie.

Wygląda, jakby potrzebowała, żeby ktoś ją przytulił. Wydaje się miła. A ja nie jestem bezduszna. Więc wstaję i obejmuję ją. Ona mnie tuli, ściskając mocno i opierając głowę o moje ramię. Megan wydaje się słodka i nigdy nie dowiem się, czy Marnie wiedziała, jakie ma szczęście, że ta dziewczyna jest jej przyjaciółką w świecie, w którym większość ludzi to cholerni głupcy.

– Jestem Autumn, dziewczyna Bena – przedstawiam się.

Megan odsuwa się i przez chwilę myślę, że Marnie opowiadała o mnie różne niemiłe rzeczy. Ale ona nie patrzy na mnie wrogo. Nie brzydzi się mnie. I zdaję sobie sprawę, że istnieje szansa, że Marnie zachowywała dla siebie wszystkie te rodzinne dramaty, tak jak każda bogata biała dziewczyna z dobrego domu.

– Prawdopodobnie nie jest to dobry moment – mówi Megan, łapczywie wciągając powietrze, jakby rozpaczliwie go potrzebowała. – Ale mam pewne informacje i chciałam podzielić się nimi z rodzicami Marnie.

– A jakiego to rodzaju... informacje? – pytam ostrożnie, ignorując walenie serca. Robi mi się sucho w ustach. Nie mogę przełykać.

– Marnie spotykała się z pewnym facetem – mówi, patrząc w lewo. Krzywi się pod nosem i sama obejmuje się ramionami. Widać, że nie lubiła tego gościa. – Był zony. I tylko ją wykorzystywał, tak uważam, ale pieprzyli się od paru lat... odkąd w college’u zrobiła u niego staż. Raz nawet zaszła z nim w ciążę, ale poroniła. A przynajmniej tak twierdziła. W każdym razie nie cierpiałam go. Ale ona miała obsesję. Powiedziała, że się kochają,

ale nie wiem, jak można kochać kogoś, z kim na okrągło się kłócisz.

Megan wyciera z policzka łzę.

– Plotę od rzeczy – mówi ze smutnym śmiechem. – Przepraszam.

Gładzi się dłońmi po ramionach. Dygocze, jej ciałem zawładnęły emocje, które próbują ulecieć z jakiejś najgłębszej części jej istoty. Widać, że bardzo przeżywa się tym, co opowiada.

– Nienawidziłam go – dodaje, zaciskając zęby. – Był samolubny i arogancki, i cały czas kłamał.

Nie może mieć na myśli Grahama. To znaczy wiedziałam, że jest kłamcą, ale to nie brzmi jak opis jego osoby. Krzyżuję palce, mając nadzieję, że mówi o kimś innym, o jakimś innym żonatym facecie, z którym Marnie się zabawiała.

– W każdym razie widziałam Marnie w poprzedni weekend – mówi Megan. – Była jakaś inna. Wydawała się smutna i wycofana. Miałyśmy spędzić parę dni w Delitz Palmetto, ale ona się rozmyśliła. Nie powiedziała dlaczego, a ja nie pytałam. Ale przez ostatnie parę tygodni wspominała, że ten facet wkrótce opuści swoją żonę, od miesięcy jej to obiecywał. Myślę, że to wszystko musiało się źle skończyć. Wiesz, w ubiegłym roku groziła mu samobójstwem, jeśli nie przyjdzie i jej nie powstrzyma. I on to zrobił. Spędził z nią kilka dni. Myślę, że powiedział swojej żonie, że jest poza miastem czy coś w tym rodzaju. To zawsze była ich przykrywka. Mieli dziwne relacje, Marnie i Graham. To było jak ciągła walka o władzę. Przypuszczam, że to z tego powodu tak dużo się kłócili. W każdym razie jej rodzice nie wiedzą. Oni nic nie wiedzą. – Patrzy w dół, wciskając czubek converse'a w betonową nawierzchnię.

– Graham? Tak miał na imię? – Przyglądam się jej twarzy i czekam na odpowiedź, mając nadzieję, że się przesłyszałam. Nie wiem, dlaczego jestem taka zdziwiona. Widziałam go tam na własne oczy.

– Podałam jego nazwisko policji – dodaje, jakby to było coś mało istotnego. – Po prostu chcę, żeby mu się przyjrzeni, na wszelki

wypadek. I chciałam tu przyjść, żeby wspomnieć o tym jej rodzicom. Nie sędzę, żeby wiedzieli o chłopaku Marnie.

Chłopak.

Graham McMullen był chłopakiem Marnie. Nie jej zonatym kochankiem. Jej chłopakiem.

Jeśli policja zajmie się tą informacją...

A jeśli zostanie oskarżony o morderstwo...

Dzieci będą dorastały bez ojca...

I Daphne będzie samotną matką trójki dzieci, starającą się związać koniec z końcem...

A Grace będzie miała takie samo dzieciństwo jak ja.

Daphne będzie walczyć o przetrwanie, a Grace tylko na tym ucierpi. Wszystko pójdzie na marne.

Ciężar tego, co zrobiłam, uderza mnie z całą siłą. Czuję, jakbym tonęła. Muszę usiąść, ale jestem jak zamarznięta. Nie mogę się ruszyć.

– Są w środku? – pyta Megan, spoglądając na frontowe drzwi.

– Tak, ale Megan... – Biorę głęboki oddech. – To nie jest dobry moment, aby im o tym mówić.

– Ale może to da im jakąś nadzieję? – Megan unosi brwi, a ja zdaję sobie sprawę, że to nie tyle słodka dziewczyna, ile zwykła idiotka, i może właśnie dlatego udawało się jej przyjaźnić z Marnie.

– Jeśli się dowiedzą, że jest szansa znaleźć zabójcę Marnie, pewnie im to pomoże.

– Pomoże? – Zaplatam ręce na piersiach. – Marnie nie żyje. Nic tego nie zmieni. Jeśli wejdiesz tam i powiesz, że ich córka – zniżam głos do szeptu – pieprzyła się z zonatym facetem, to nie sprawisz, że łatwiej im będzie się z tym wszystkim pogodzić.

Megan odwraca wzrok, niezadowolona z mojej odpowiedzi, ale musi przyznać, że w moich słowach jest dużo sensu. A poza tym jeśli Ben zda sobie sprawę, że istniało jakieś powiązanie pomiędzy Marnie a McMullenami, będę musiała rzucić pracę. A to nie wchodzi w rachubę. Jeszcze nie teraz. Nie jestem na to gotowa. A Grace mnie potrzebuje.

– Megan, może wejdiesz do środka i złożysz im kondolencje – proponuję. – Ale proszę cię, nie mów im tego, co od ciebie usłyszałam. Pozwól im małymi kroczkami dochodzić do siebie. A jeśli w twojej teorii jest trochę prawdy... cóż, z pewnością policja ich o tym powiadomi.

Megan bierze wdech, opuszcza ramiona, a potem kiwa głową, jakby mi zaufała. Wstaję i przytrzymuję jej drzwi, a później siadam na huśtawce na werandzie i łapię się za głowę, bo w końcu dociera do mnie brutalna prawda. Już rozumiem, w jakiej sytuacji się znajduję.

Kurwa mać.

Rozdział czterdziesty szósty

Autumn

Następnego dnia rano, gdy tylko wychodzę spod prysznic, dzwoni mój telefon. Wcześniej powiedziałem Benowi, że idę dzisiaj do pracy, a on nie protestował. Mruknął tylko, leżąc w łóżku, i przekręcił się na bok. Biedak od paru dni prawie w ogóle nie sypia. Pogrzeb Marnie odbędzie się w sobotę, a na dziś jest zaplanowana wizyta w domu pogrzebowym.

Wszystko dzieje się tak szybko. Autopsję już przeprowadzono. Teraz czekają na wyniki toksykologii. Jak dotąd nie ustalono przyczyny śmierci.

Odbieram telefon po wytarciu rąk. Cała jestem mokra, woda spływa ze mnie na matę, i dygoczę.

– Halo?

– Witaj, Autumn – odzywa się Daphne. – Dzwonię, żeby cię poinformować, że zdecydowaliśmy się wysłać dzieci na tydzień do teściowej. Pomyśleliśmy, że z uwagi na wszystko, co się ostatnio wydarzyło u twoich bliskich, powinnaś trochę odpocząć. Zresztą co roku o tej porze dzieci tam wyjeżdżają.

– Jasne – mówię, ukrywając rozczarowanie. Tęsknię za tymi dziećmi. Tęsknię za Grace. Chcę ją przytulać, wdychać jej delikatny zapach, słyszeć chochlikowaty chichot. – Dziękuję.

– Dzieci będą tam do weekendu – informuje mnie lakonicznie. W jej tonie słyhać zniecierpliwienie. – Wtedy się z tobą skontaktuję.

Ona wie o śmierci Marnie. Prawdę mówiąc, powiadomiłam ją

tamtego dnia, gdy znaleziono ciało. Daphne następnego ranka przysłała bukiet żółtych róż. To było miłe z jej strony, choć nie rozumiem, dlaczego w tej chwili jest w stosunku do mnie taka oficjalna.

A może już wie o romansie Grahama i Marnie, więc sam fakt, że znałam Marnie, sprawia, że też jestem winna?

– Dobrze – odpowiadam, zerkając na swoje nagie odbicie w lustrze. Nadal mam opaloną skórę dzięki temu, że całe lato pływałam w basenie, ale kiedy patrzę sobie w twarz, doznaję szoku. Wyglądam na zmęczoną, zwiędłą. Tak jakby moje ciało reagowało na rzeczy, które mózg postanawia ignorować. Jakbym obnosiła się z uczuciami, które próbuję ukryć.

Kończę rozmowę, wycieram się, ubieram w coś wygodnego, a potem kładę się do łóżka obok Bena. Obraca się, gdy czuje, jak materac zapada się po mojej stronie, i mnie obejmuje. Ostatnio jest wyjątkowo czuły. Wylewny. Jest cichy, ale bardziej potrzebujący, w każdym znaczeniu tego słowa.

Próbuję mu współczuć, naprawdę.

Staram się zaspokajać jego potrzeby.

Ale mój umysł jest zaniepokojony nadciągającą burzą i próbuję przewidzieć, w jakim kierunku ona pójdzie. Brak mi energii, aby być posłuszną dziewczyną.

Telefon Bena wibruje na nocnej szafce, a on budzi się i przeciera oczy. Przez chwilę wygląda na zdezorientowanego, a potem podąża za dźwiękiem, wyciąga rękę i usiłuje wziąć telefon z szafki. Strąca go na dywan, ale jeszcze wcześniej komórka odbija się od krawędzi materaca. Nigdy nie znałam nikogo, kto zdołałby narobić tyle hałasu, usiłując przeprowadzić cholerną rozmowę telefoniczną.

– Halo? – mówi słabym głosem. Przewraca się na plecy. – Tak, to ja.

Siadam, próbując usłyszeć, kto mówi z drugiej strony, ale nic z tego.

Ben wylazi z łóżka, przemierza pokój w swoich bokserkach i pomarszczonej koszulce, pocierając oczy kciukiem i palcem

wskazującym.

– Mm, mmmm, naprawdę? – mówi.

Patrzę, jak zaciska palce na telefonie, wzdycha i pyta:

– Jak długo zajmie dowiedzenie się czegoś? – A potem dorzuca: – Dobrze. Idealnie. Dziękuję.

O Boże.

– Dziękuję – powtarza i kończy rozmowę. – Wstępny raport z autopsji będzie gotowy już dzisiaj.

Odwraca się do mnie, a ja nigdy nie widziałam, jak dorosły człowiek płacze, a Ben wygląda, jakby miał się zaraz rozbeczeć. Przypuszczalnie ta rozmowa telefoniczna sprawiła, że wreszcie sobie uświadomił, iż to wszystko dzieje się naprawdę. Może nie wystarczył mu widok rodziców w rozsypce ani identyfikacja zwłok siostry w kostnicy.

W ciągu ostatnich kilku dni dusił to w sobie, ale w tym momencie jest zbyt wyczerpany, aby być silnym. Otwieram ramiona i przytulam go, a on zaczyna ryczeć jak dziecko. Cały dygocze i trzęsie się wraz z każdym szlochem. Sądzę, że nie wie, jak należy przy kimś płakać. Nie kontroluje się. Wszystko z siebie wyrzuca. Przepraszam go bezgłośnie, całuję w policzek, głaszczę po głowie i pozwalam mu to wszystko z siebie wyrzucić.

Gdy wreszcie kończy płakać, odkleja się ode mnie i człapie do łazienki. Wyciera nos, myje ręce i twarz, a gdy wraca, siada na brzegu łóżka. Ma podpuchnięte oczy, mówi, że tęskni za siostrą.

– Tak mi przykro, Ben – szepczę mu do ucha i przeczesuję palcami jego miękkie włosy w odcieniu czekolady.

Gwałtownie się odsuwa i marszczy brwi.

– Czyżby, Autumn? Naprawdę ci przykro?

– J-jak to? – Odchylam się do tyłu, widząc jego szalone spojrzenie.

– Marnie nie żyje. I sądzą, że masz to w dupie – rzuca oskarżycielskim tonem.

Jego słowa mnie bolą.

– Cierpisz, Ben. Proszę, nie mów do mnie tak w tej chwili...

– Wszyscy wiedzą, że jej nienawidziłaś. – Wstaje, zaplata ręce na piersi i zaczyna maszerować po pokoju jak wariat. – Prawdopodobnie jesteś zadowolona, że umarła.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz?

– Ja jestem załamany, Autumn. Kompletnie załamany. – Łapie się za włosy, ściska je w dłoniach, i spogląda na mnie. – A po tobie to wszystko spłynęło, jakby nic takiego się nie wydarzyło. Kurwa, dzisiaj nawet chciałaś iść do pracy.

Zdaję sobie sprawę, że wyszłam na pozbawioną uczuć.

– Przepraszam – mówię. – Nie radzę sobie ze śmiercią. Niewiele bliskich mi osób zmarło. Wszyscy inaczej reagujemy. Mówią, że dobrze jest wrócić do normalnego trybu życia po...

Moje wymówki nic nie dają. Ben znowu mnie oskarża:

– Nie pojmujesz znaczenia rodziny.

– O czym ty mówisz? Ben, daj spokój. Przestań.

Zaczynam tęsknić za czasami, kiedy byliśmy po prostu Benem „piwo i skrzydełka” Gotliebem oraz Autumn „dziewczyna z sąsiedztwa” Carpenter. Wtedy uważałam to za coś naturalnego, oczywistego, a teraz żałuję, że już tak nie jest.

– Jestem z tobą już dwa lata! – krzyczy, podnosząc dwa palce. – Dwa lata. A ty jeszcze nie przedstawiłaś mnie swojej rodzinie.

– Może nie warto ich poznawać – odpowiadam bez wahania.

– Nawet o nich nie wspominasz – ciągnie. – Nie mówisz, jak się nazywają, gdzie mieszkają, kim są. Tak jakby nie istnieli.

– Nie miałam pojęcia, że to ci przeszkadza. Powinieneś być coś powiedzieć. Myślałam, że jesteś pogodzony z faktem, że nie lubię mówić o swojej przeszłości. – Przyciągam kolana do piersi, żeby wyglądać na mniejszą, a potem zagryzam wargi, żeby zrobić wrażenie przestraszonej. Zresztą nie muszę aż tak udawać. W tej chwili boję się Bena. Nigdy wcześniej nie zachowywał się w taki sposób.

– Pewnie, że to mi przeszkadza – warczy. – Ale nigdy o tym nie mówiłem, bo gdy tylko wspomni się o twojej rodzinie, od razu zmieniasz temat i zamykasz się w sobie.

Uciekam spojrzeniem w bok. Nie wiedziałam, że on zauważa takie rzeczy.

– To jakaś głupota – mówi. – Kocham cię, Autumn. Kocham cię tak bardzo, że dwa miesiące temu oglądałem pierścionki zaręczynowe. Kocham tę osobę, którą teraz jesteś. Mam gdzieś twoją przeszłość i to, kim byłaś kiedyś. Ale nie sądzisz, że totalne unikanie tego tematu jest czymś trochę ekstremalnym? To nie jest normalne.

Przystawia palec do skroni i zaczyna nim powoli kręcić, dając mi do zrozumienia, że jestem wariatką.

– Nie mówię o przeszłości, bo to dla mnie coś nieprzyjemnego.

– Chcesz powiedzieć, że miałaś ciężkie dzieciństwo? Że przeżyłaś jakiś syf? Wybacz, jeśli to zabrzmii niedelikatnie, ale teraz wydajesz się raczej cholernie dobrze przystosowana do życia. Nie wyglądasz jak ktoś, kto przeżył jakąś traumę czy tragedię. A może to wszystko jedna wielka ściema?

Otwieram usta ze zdumienia. Ben nigdy wcześniej nie odzywał się do mnie w taki sposób. Zaciskam lewą rękę na prawej, próbując zapanować nad dygotaniem.

– Co ty wygadujesz? – pytam drżącym głosem. – Nie masz o niczym pojęcia!

– Marnie zawsze powtarzała, że w tobie jest coś dziwnego. – Wpatruje się w obraz na ścianie. Kupiliśmy go pewnego weekendu na wernisażu w Sag Harbor. Ben wybrał go, ponieważ skojarzył mu się z nami. Wszystko na nim było jasne, kwitnące, świeże i nowe, czyli, jak wyjaśnił, takie jak my. – Za każdym razem cię bronilem. Ale teraz mam wątpliwości. Obserwuję, jak ostatnio się zachowujesz, jakby wszystko było normalnie, chociaż ciało mojej siostry leży gdzieś w kostnicy... To jest obrzydliwe.

– Nie jestem beksą, Ben – wyjaśniam. – Kiedy widziałeś, żebym płakała?

– Nie musisz płakać, żeby wyglądać na smutną.

– Nie muszę wyglądać na smutną, żeby być smutną.

Milczy. A potem unosi palec do brody i pyta:

– A tobie jest smutno, Autumn?
– Oczywiście – odpowiadam natychmiast. Odruchowo drapię się w nos. Znowu moje ciało mnie zdradza.

– Wynoś się stąd. – Wskazuje ręką drzwi.

Przez chwilę myślę, że tylko żartuje. Takie teatralne, przesadne gesty nie są w jego stylu. Maszeruje wściekłym krokiem do drzwi, szarpie za nie tak mocno, że klamka uderza w ścianę i zostawia w niej ślad.

Nic z tego nie rozumiem.

Wychodzę.

Wynoszę się stąd.

Wrócę, kiedy się uspokoï.

Rozdział czterdziesty siódmy

Autumn

W sobotę wchodzę na palcach przez tylne drzwi i widzę Bena siedzącego na sofie, z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie spodziewałam się go tutaj. Podnosi na mnie wzrok. Całe moje ciało nagle się napina.

– Od wczoraj próbowałem cię znaleźć – mówi.

– Kazałeś mi się wynosić – przypominam mu. Nie pyta, gdzie się spodziewałam, więc mu nie mówię, że użyłam jego karty kredytowej, aby wynająć pokój w pięciogwiazdkowym hotelu w centrum Monarch Falls.

Ben wzdycha, wstaje i człapie w moją stronę.

– Przepraszam, Autumn. Wczoraj... Nigdy wcześniej nie byłem w takim stanie. Wyładowałem się na tobie, bo byłaś pod ręką. Nie miałem prawa tego robić. Jesteś miłością mojego życia.

Bierze mnie w ramiona. Dzisiejszy Ben i wczorajszy Ben to dwie zupełnie inne osoby, których nic nie łączy.

Odwzajemniam uścisk.

– W porządku. Wiem, że cierpisz.

– Nie, wcale nie w porządku. – Wtula twarz w zagłębienie mojej szyi i wciąga głośno powietrze. Pachnie nieświeżo, jakby od dwóch dni nie spał albo nie brał prysznica. – Już nigdy nie odezwę się do ciebie w taki sposób. Obiecuję. Tak bardzo cię kocham, Autumn. Jesteś dla mnie całym światem.

Wrócił Ben przylepa. Cóż, lepsze to niż Ben wariat.

– Zrobili już autopsję – mówi, ściskając mnie mocno. Nie dodaje

nic więcej. Milczy, a ja czuję, że zaraz dostanę zawału.

– I co?

– Uważają, że była pod wpływem substancji odurzających.

Oddycham z ulgą. Tamtego wieczoru faktycznie czuć było od niej wino.

– Narkotyki i alkohol – dodaje. – Zawartość alkoholu we krwi dwukrotnie przekraczała dopuszczalny poziom. Wykryto w jej organizmie również ślady heroiny...

– Heroiny?

– Uważają, że wpadła w ciąg i dlatego przez parę dni nie dawała znaku życia – kontynuuje. – Ich zdaniem upadła, uderzyła się w głowę i straciła przytomność, ale podejrzewają, że to heroina ją zabiła. Nie mogą mieć pewności co do przyczyny śmierci, dopóki nie dostaną drugiego raportu toksykologicznego, a to może potrwać miesiąc lub dwa.

– Och, Ben. – Unoszę palce do ust. Trzęsę się z różnych powodów, ale on tego nie zauważa. Odczuwam lekką ulgę. Ale jestem też zdezorientowana. – Marnie była narkomanką?

Nic o tym nie wiedziałam. Naprawdę nic. Zero.

Ben spogląda na mnie błękitnymi, wodnistymi oczami.

– Wciągnęła się mocno w heroinę jeszcze w college'u. Rodzice wysyłali ją parę razy gdzieś na odwyk do Malibu. Pewnie stąd się brała ta nasza nadopiekuńczość. Myśleliśmy, że jest czysta, ale...

Obejmuję go, a on wtula się we mnie tak mocno, jakbym w tej chwili była wszystkim, czego potrzebuje.

To zupełnie bez sensu. Tamtego wieczoru Marnie wydawała się pijana – ale nic więcej. Miała na sobie koronkową koszulkę nocną, ale nie dostrzegłam żadnych śladów po igłach na jej ramionach, a w powietrzu nie wyczułam podejrzanych zapachów. I nie wyobrażam sobie, żeby Graham zadawał się z ćpunką. To nie w jego stylu.

Z drugiej strony, co ja, do diabła, w ogóle wiem?

Najwyraźniej nic.

Absolutnie nic.

Rozdział czterdziesty ósmy

Daphne

– Kiedy przestaniesz pławić się w swoim nieszczęściu? – Chcę posłać łóżko, ale on ciągle w nim leży. – Ktoś umarł. A ty w jakiś tam sposób miałeś z tym coś wspólnego. Weź się w garść. Napraw to. I zapomnij.

– Napraw to? Jak? – pyta.

– Nie wiem. Idź na policję. Powiedz im, że widziałeś Autumn, gdy wyszedłeś. Opowiedz im o romansie i choć raz w życiu bądź uczciwy. Jeśli jej nie zabiłeś, nie musisz się niczym martwić.

W tym tygodniu nasz dom jest pusty, a ja mam więcej czasu dla siebie niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat. To jest wspaniałe. Wszystko dokładnie analizuję i wymyślam plan wybrnięcia z tej sytuacji.

Zamierzam jeszcze trochę poczekać, aż zostanie załatwionych parę spraw finansowych, a potem przejdę do ofensywy. Przedstawię mu papiery rozwodowe i zabiorę mu tyle, ile się da. Świadomość, że wkrótce od niego odejdę, daje mi nadzieję i sprawia, że trochę łatwiej jest mi wytrzymać wszelkie rozmowy o przedwczesnej śmierci jego kochanki.

– Wiesz, że ona już nie może u nas pracować – mówi Graham. – Może być morderczynią.

– Ona nie jest morderczynią, Graham. – Przewracam oczami i ścielę moją połowę łóżka, a potem układam na niej poduszki. Na tym świecie istnieją święci i grzesznicy, a Autumn Carpenter zdecydowanie należy do tej pierwszej kategorii.

– Ja też jej nie zabiłem. – Upuszcza pilota na ziemię. Teraz już będzie musiał wstać z łóżka. – I tak uważam, że powinniśmy ją zwolnić. Była tam tamtego wieczoru, gdy zmarła Marnie, więc to chyba kiepsko wygląda?

– Tak, kiepsko – zgadzam się. – Ale co z tego? Jeśli to nie ty zabiłeś Marnie, to nie powinienes się przejmować takimi rzeczami. Jestem pewna, że policja to wszystko rozgryzie.

Graham zaczyna obgryzać paznokiec kciuka. To stary, obrzydliwy nawyk, którego – jak myślałam – pozbył się wiele lat temu.

– Masz rację. Powinienem pójść na policję i powiedzieć im wszystko. W tym ostatnim artykule pisali, że nikt jej nie widział od wielu dni, jej znajomi i rodzina martwili się o nią, ale Autumn tam była tamtego wieczoru. Widziałem ją.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Autumn

Dziś rano obudziłam się, zanim zaczął dzwonić budzik. Już prawie od tygodnia nie widziałam się z dziećmi McMullenów, dopiero dzisiaj są z powrotem w domu. Mam się stawić w pracy o tej samej godzinie co zwykle, ale jestem podekscytowana jak w świąteczny poranek. Słońce jeszcze nie wstało, a ja już jestem ubrana i gotowa.

Włączam telewizor w salonie, ale ściszam głos. Ben ciągle śpi na górze. Wziął sobie urlop okolicznościowy z powodu śmierci bliskiej osoby. Nie wiadomo, kiedy wróci do pracy. Szef kazał mu odpocząć tyle, ile potrzebuje, i niczym się nie przejmować.

W ubiegłym tygodniu odbył się pogrzeb Marnie. Mówiąc delikatnie, to była totalna, piękna katastrofa. Wszędzie cudowne bukiety różowych róż. Debra wynajęła kwartet smyczkowy, który grał najbardziej depresyjne utwory muzyki klasycznej, jakie kiedykolwiek słyszałam. Chyba głównie Chopina. Wszystko wyglądało bardziej jak ponury ślub niż pogrzeb. I ciągnęło się w nieskończoność. Wszyscy po kolei snuli swoje opowieści o Marnie Gotlieb, przywoływali wspomnienia i rozplýwali się nad jej piękną duszą.

Gdy tylko nabożeństwo się skończyło i wszyscy udali się na stypę, wymknęłam się i wyciągnęłam papierosa od jednej z kuzynek Bena. Miała na imię Payton, była wysoka, szczupła i przesadzała z czarnym makijażem. Miała pewnie jakieś dziewiętnaście lat, jej fajki były cieniutkie, z czarnej bibułki, i miały truskawkowy smak,

ale zapalałam do niej sympatią, gdy powiedziała:

– Jezu, ale to była suka, prawda?

Śmiałyśmy się, a ona trochę płakała. A potem zapaliła kolejnego papierosa i spytała, czy chcę następnego. Podziękowałam i dalej paliłam pierwszego. Nie zaciągałam się. Palenie jest głupie. Chciałam tylko coś ze sobą zrobić. Chciałam uciec od wszystkiego, co działo się tam w środku.

Rozmawiałyśmy z Payton o tym, jak ładnie Marnie wyglądała w trumnie, cała na biało, jakby była aniołem. A potem Payton opowiedziała mi historyjki z ich dzieciństwa. Marnie często jej dokuczała, mówiła, że jest brzydka i musi sobie zrobić cycki i poprawić nos, a potem zaczęła rozpuszczać wśród rodziny plotki, że Payton wpadła w depresję i wciągnęła się w dragi. Jej rodzina znalazła u niej działkę grzybków halucynogennych, którą od wielu miesięcy trzymała w pokoju (bo ktoś dał jej na przechowanie), przez co Payton została wysłana na rok do szkoły wojskowej.

Pieprzona Marnie.

Opowieści Payton sprawiły, że lepiej się poczułam. W duchu podziękowałam jej za to, że jest najszczerzą osobą ze wszystkich, które zjawily się na pogrzebie. Kazałam jej nigdy się nie zmieniać, a ona popatrzyła na mnie kompletnie zdezorientowana. Ale rozumiem ją. Kiedy jesteś w jej wieku, właśnie tego pragniesz najbardziej – zmienić się w kogoś innego.

Pewnego dnia moje słowa nabiorą dla niej sensu, kiedy będzie już starsza i za nic w świecie nie będzie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywałam.

Wychodzę do McMullenów za piętnaście dziewiąta. Pada deszcz, więc biorę parasol i uważam na kałuże na chodniku. Dzisiaj nie będzie pływania w basenie, a szkoda, bo wiem, jak dzieciaki to uwielbiają.

Drzwi otwiera Daphne. Ma na sobie szlafrok w kwiaty. Jest cieniutki, przywiera do ciała. Daphne wydaje się szczuplejsza niż zwykle. Nie ma makijażu, a włosy splotła w niski koczek. Prawie jej nie poznaję.

Zaprasza mnie do środka kiwnięciem ręki i spogląda na deszcz padający na dworze. Odgłos liści na drzewach szeleszczących na wietrze i w deszczu jest jednym z moich ulubionych dźwięków. Gdy byłam mała, za każdym razem, kiedy była burza, wyglądałam przez okno i obserwowałam, jak deszcz sprawia, że wszystko jest znowu czyste.

– Czy dzieci dobrze się bawiły w... – Wiem, że jej matka mieszka w Albany, ale dowiedziałam się tego z Instagrama.

– W Albany – mówi Daphne, zawiązując szlafrok. – Tak. Wspaniale się tam bawiły.

Sprawia wrażenie, jakby nie chciała ze mną rozmawiać. Podchodzi do schodów, kładzie dłoń na balustradzie i odwraca się do mnie.

– Teraz jedzą śniadanie. – Wciąż na mnie patrzy. – Znałaś tamtą dziewczynę? Tę, co umarła?

– Marnie Gotlieb? – Kiwam głową.

– Tak.

– To siostra mojego chłopaka.

Przenosi wzrok na obraz wiszący na ścianie.

– To takie smutne. Czy już znają... przyczynę śmierci?

Kręcę głową.

– Mają jakieś podejrzenia, ale muszą poczekać na ostateczny raport toksykologiczny. Przy okazji, dziękuję za róże.

– Nie ma za co. – Daphne ściska poły szlafroka, kładzie dłoń na piersi, a potem bez słowa wchodzi na górę i znika za rogiem.

Idę poszukać dzieci. Okazuje się, że siedzą z ojcem. Jestem w szoku na widok Grahama, bo o tej porze zwykle jest w pracy. Siedzi w dresie pomiędzy Grace i Sebastianem. Ma potargane włosy i podkrążone oczy. Wygląda, jakby od dawna nie spał.

– Dzień dobry – mówię, siadając naprzeciwko niego.

Sięga po kubek, nalewa sobie czarnej kawy, i potem bierze mały łyżeczek.

– Dzień dobry, Autumn.

Nie patrzy na mnie. Jestem pewna, że już wie. Daphne musiała

mu powiedzieć, co mnie łączy z tamtą dziewczyną, która umarła i o której wciąż gada całe miasto.

– Tęskniliśmy za tobą, Autumn! – Grace przybiega do mnie i przytula się, Rosie pokazuje mi obrazek, który specjalnie dla mnie narysowała w ubiegłym tygodniu. A Sebastian posyła mi tylko uśmiech, nie ruszając się z miejsca.

– Ja też za wami tęskniłam – odpowiadam. Przesuwam wzrokiem po ich buziach, a na końcu moje spojrzenie ląduje na Grahamie, który wpatruje się przed siebie pustym wzrokiem bez jednego mrugnięcia. W milczeniu wstaje od stołu, człapie w stronę zlewu, wylewa resztki kawy, a potem wychodzi z kuchni, szurając kapciami. Grace patrzy na niego ze zmartwioną miną. Przytulam ją znowu i mierzwię jej włosy, aż w końcu się uśmiecha.

– Chciałam zostać tutaj z tobą, Autumn – mówi szeptem. – Ale mamusia nie pozwoliła. Mówiła, że musimy pojechać do babci.

– Dobrze jest spędzać czas z babcią.

Grace krzywi się i przewraca oczami.

– Ale one jest niemiła.

– Wątpię, żeby to była prawda.

– Ona nie lubi dzieci.

Śmieję się.

– Oczywiście, że lubi.

Podnoszę wzrok i widzę Daphne stojącą w progu. Jest już ubrana. Jej cera wydaje się teraz cieplejsza niż wcześniej. Ma pomalowane rzęsy, róż na policzkach i usta muśnięte pomadką w różowym odcieniu. Ubrana jest w drogi strój do jogi.

Grace wraca na swoje miejsce, łapie łyżkę i bez słowa zaczyna znowu jeść owsiankę.

– Ach, te dzieci i ich historyjki. – Daphne śmieje się pod nosem. Bierze kluczyki i portfel, a potem chowa je do nowej torebki, która stoi na stoliku w rogu kuchni. – Nie możesz wierzyć we wszystko, co mówią.

– Wiem o tym, pani McMullen – odpowiadam, śmiejąc się lekko. Nie mówię jej, że zawsze wierzę Grace. Nie tłumaczę, że Grace jest

bystra i spostrzegawcza, i że przypomina mnie, gdy byłam w jej wieku. Przed nią niczego się nie ukryje.

– Idę na jogę – informuje mnie Daphne, jakbym się tego nie domyśliła po jej drogich spodniach Lululemon. – A potem wstąpię na bazarek. Wrócę około południa.

– Dobrze. – Macham jej na pożegnanie i patrzę, jak znika w drzwiach do garażu.

– Autumn, pobawimy się Barbie? – pyta Rose.

– Najpierw zanieś swoje naczynia do zlewu, kochanie – odpowiadam. – Ale zgoda. Jak już wszyscy skończycie śniadanie, pobawimy się lalkami.

Kwadrans później kuchnia jest już posprządana, naczynia załadowane do zmywarki, a dzieci grzecznie oglądają w salonie *Ulicę Sezamkową*. Wyciągam pudełko z Barbie i rozkładam lalki na środku pokoju. Dziewczynki i Sebastian od razu rzucają się na nie jak na paczkę cukierków.

Siadam na sofie i patrzę, jak się bawią.

To wspaniale, że Grace ma młodszą siostrę. Mam nadzieję, że zawsze będą ze sobą tak blisko. Gdy byłam w jej wieku, marzyłam o siostrze, która byłaby moją najlepszą przyjaciółką i wierną towarzyszką. Zamiast tego miałam brata dupka, którego sensem istnienia było maksymalne uprzykrzenie mi życia.

– Jak mogłaś mi to zrobić?

Patrzę na Grace, która w lewej ręczce trzyma Kena, a w prawej Barbie. Barbie się trzęsie, więc domyślam się, że to ona w tej chwili „przemawia”.

– Tu zawsze chodzi o ciebie, prawda? – mówi Grace, potrząsając Kenem. Unosi jego ramię, żeby pokazywał palcem Barbie, która po chwili go policzkuje. – Kiedy przestałaś mnie kochać?

Czuję, jak moje serce zamiera. Jestem pochłonięta tą rozmową pomiędzy lalkami, bardziej pasującą do pary dorosłych ludzi. Tego typu zdania nigdy nie zrodziłyby się w umyśle dziesięcioletniego dziecka.

– Poświęciłam dla ciebie wszystko, a ty w ten sposób się

rewanżujesz? – Barbie znowu policzkuje Bena, a ja siedzę i patrzę na to w szoku.

Czy Daphne zdarzyło się uderzyć Grahama? Czy robi to na oczach dzieci? A może myślała, że nikt ich wtedy nie widzi? Czy to z powodu tej kłótni postanowili wysłać dzieci do babci na cały tydzień?

– Już wiele lat temu przestałaś mnie kochać – mówi Ken głosem Grace, a po chwili odpowiada w imieniu Barbie: – To nieprawda. Nigdy nie przestałam. I z jakiegoś szalonego powodu ciągle cię kocham.

– Grace? – przerywam jej zabawę. Odwraca się do mnie. Jej policzki oblewają się rumieńcem, gdy uświadamia sobie, że przez cały czas ją podglądałam. – Czy u twoich lalek wszystko w porządku? – pytam ze sztucznym uśmiechem.

Grace zwiesza głowę.

– Oni się kłóca.

– Widzę. – Unoszę brwi. – Widziałaś taką scenkę w telewizji? Oglądałaś u babci telenowełe?

Zagryza dolną wargę i nie odpowiada. A potem obraca się do mnie plecami i sięga po inną lalkę.

– Hej, ludzie, chcecie popływać w basenie? – pyta nowa Barbie. – Dobrze, chodźmy na basen! Pojedziemy moim samochodem. Zaparkowałam niedaleko stąd...

Widzę, że jest zawstydzona.

Nie powinnam podsłuchiwać.

Ale teraz już znam prawdę.

Kłopoty w rajach McMullenów to już oficjalnie tropikalna burza.

* * *

Tej nocy pod sufitem wiruje wentylator, podczas gdy Ben unosi się nade mną i wgniata mnie w łóżko. Stęka, jęczy i poci się, wchodzi we mnie i wysuwa się, a ja wbijam mu paznokcie w plecy, bo on to lubi. Ale mnie tutaj nie ma. I prawie nic nie czuję.

Gdy Daphne wróciła z miasta i podbiegła do niej Grace, żeby ją

przytulić, przewróciła oczami i powiedziała, że ma zajęte ręce, więc dziewczynka musi się wstrzymać. Grace w końcu cierpliwie doczekała się uścisku, ale trwał on zaledwie dwie sekundy, po czym Daphne zajęła się innymi sprawami.

Zanim wyszłam dzisiaj od McMullenów, Grace odciągnęła mnie na bok i przytuliła tak jak zwykle, a potem wyszeptała mi do ucha:

– Chciałabym, żebyś była moją mamusią.

Zalała mnie fala emocji. Z trudem powstrzymałam się od łez. Gdyby tylko o wszystkim wiedziała! O tym, co tak naprawdę nas łączy. O tym, że to ja ją urodziłam. O tym, jak bardzo chciałabym być jej mamą, gdyby istniała taka możliwość.

Oddałam ją do adopcji, ponieważ ją kochałam. I nie miałam innego wyjścia.

Ben wbija się we mnie coraz mocniej i szybciej. To znak, że skończy za 5... 4... 3... 2...

Finiszuje z głośnym jękiem, a potem zostaje we mnie tak długo, aż jego penis flaczeje. Przyciska wargi do mojej szyi i przykleja się do mnie. Wreszcie obraca się na bok, a potem znika w łazience. Całą noc leżę w łóżku i rozmyślam o tym, jak sprawić, żeby Grace znowu należała do mnie.

Potrzebowałybyśmy nowych tożsamości. I pewnie musiałybyśmy wyjechać za granicę. Może udałoby mi się ją przemycić do Meksyku. Albo na Kubę. Musiałabym wyjąć wszystkie środki, jakie zgromadziłam na funduszu emerytalnym, oraz resztki oszczędności, ale to powinno wystarczyć. Może zdołam namówić Daphne, żeby pozwoliła mi zabrać gdzieś Grace... do centrum handlowego albo na przekłuwanie uszu. A wtedy po prostu ją porwę. Wsiądziemy do samochodu, będziemy jechały i jechały, zmienimy kolor włosów, po drodze kupimy jakieś używane auto, żeby nikt nas nie wyśledził.

Wyobrażam sobie, jak Grace siedzi obok mnie w samochodzie, chichocze i bawi się radiem, a ja pozwalam jej słuchać wszystkiego, na co ma ochotę. I powiedziałabym jej prawdę. Powiedziałabym jej o wszystkim. O tym, że jestem jej prawdziwą matką i że nikt

nigdy nie będzie jej kochał choćby w połowie tak jak ja. Powiedziałabym jej, że Graham i Daphne nie byli zbyt dobrymi rodzicami i że teraz nadeszła pora, żebym ja się nią zaopiekowała.

Ona zrozumie.

I uśmiechnie się.

A potem poprosi o lody miętowe z czekoladą.

Będę uczyła ją hiszpańskiego w samochodzie.

A gdy dojedziemy do granicy, będziemy już inaczej się nazywały.

Może ja będę Maria, a ona Eva.

I będziemy miały całe życie przed sobą.

Pojedziemy do Panamy przez Kostarykę i Nikaraguę.

Nikt nas nie odnajdzie.

I będziemy szczęśliwe.

I kochane.

Ben kładzie się w łóżku obok mnie, pachnie mydłem i cynamonową pastą do zębów, a potem oplata moje biodro ramieniem i przyciska mnie do siebie. Od tygodnia – odkąd się wściekł i kazał mi się wynosić – zachowuje się tak, jakby chciał mi to wynagrodzić.

Ale czasami w nocy echo jego słów ciągle słyszę w głowie. Wszystko, co zawsze chciał mi powiedzieć, wyrzucił z siebie w czasie tamtego napadu gniewu. Myśli, że jestem inna. Uważa, że jestem zimna i nie wiem, jakie znaczenie ma rodzina.

Może nie miałam idealnego dzieciństwa. Nie miałam matki, która pamiętała zawsze o moich urodzinach i przychodziła na każdy mecz koszykówki, w którym grałam. Nie miałam ojca, który uczył mnie jeździć samochodem. I nie miałam grupki bliskich przyjaciół ani brata, który broniłby mnie przed innymi dziećmi.

Zawsze byłam sama.

A Ben mnie ocenia... niech spieprza.

Wciskam poduszkę pod ramię i myślę o Grace, która leży teraz w ciepłym łóżeczku. Wyobrażam sobie, że jestem obok niej, wdycham słodki zapach jej włosów oraz bawełnianej piżamki. Wyobrażam sobie, jak obejmuję ją ramionami. Grace szepcze do

mnie:

– Dobranoc, mamusiu.

A potem zasypia.

Rozdział pięćdziesiąty

Autumn

– Autumn, możesz przyjść tutaj na chwilę? – Daphne wzywa mnie następnego dnia, tuż przed zakończeniem mojej pracy.

– Oczywiście. – Upewniam się, że dzieci bawią się w pokoju rodzinnym, i spotykam się z Daphne w holu.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Coś ściska mnie w żołądku. Nie mogę oddychać. Chce mnie zwolnić. To ma jakiś związek z Marnie. Jestem tego pewna. Pieprzona Marnie zza grobu dalej niszczy mi życie.

O Boże.

– Graham i ja postanowiliśmy zapisać dzieci na wakacyjny program edukacyjny – mówi, zaciskając dłonie na talii i wykrzywiając usta w sztucznym wyrazie zmartwienia. – Uważamy, że dzieci potrzebują więcej dyscypliny i interakcji z innymi dziećmi. Nie chodzi o to, że robisz coś źle. Spokojnie. To była decyzja podjęta w ostatniej chwili. Mają taki program w Brinkman Academy i zostały im trzy wolne miejsca. Byliśmy wpisani na listę rezerwową, ale nie miałam pojęcia, że trafią się nam te miejsca.

Jej tłumaczenia nie sprawiają, że łatwiej mi przyjąć tę wiadomość.

Mam wrażenie, że wszystko się obraca i wiruje: marmurowa konsola Daphne, obrazy olejne i wazony z kwiatami. Wszystko zlewa się w jedną kremową plamę.

– Autumn. – Daphne kładzie mi rękę na ramieniu. Jej dłoń jest

chuda i chłodna. – Zapłacimy ci tak, jakbyś pracowała u nas do końca wakacji. Tu nie chodzi o pieniądze.

Nie, nie chodzi. Wcale nie chodzi o pieniądze.

Daphne podaje mi moją torbę i częstuje przepaszającym uśmiechem.

– Prawie zapomniałam. – Znika w kuchni i wraca z czekiem wypisanym na osiem tysięcy dolarów. To pieniądze, które bym zarobiła, gdybym pracowała do końca, oraz jakaś premia.

– Daphne. – Moje wargi drżą. Nie chcę płakać na jej oczach, ale to jest najgorsza rzecz, która mogłaby mnie dzisiaj spotkać.

– Możesz widywać dzieci, kiedy tylko zechcesz – pociesza mnie. – Wiem, że nawiązałaś z nimi silną więź. Wczoraj Grace powiedziała, że wolałaby, żebyś to ty była jej matką.

Daphne czeka, odwracając wzrok, a ja zastanawiam się, czy właśnie to jest główny powód tego wszystkiego.

Nigdy się tego nie dowiem.

– Czy istnieje możliwość, żeby państwo zmienili zdanie? – pytam, czując, jak moja klatka piersiowa gwałtownie wznosi się i opada. – Dzieci są już bardzo do mnie przywiązane, dobrze się rozumiemy...

– Dziękuję za wszystko. – Daphne podchodzi do drzwi, ignorując moją prośbę, a ja rozumiem, co to oznacza. – Byłaś niesamowita, naprawdę. Jeśli potrzebujesz referencji lub listu polecającego, chętnie pomogę.

– A może dzieci wzięłyby udział w tym programie tylko w połowie? – pytam. – Przez resztę czasu ja bym się nimi zajmowała. Martwię się o nie, szczególnie o Grace. Wygląda na to, że ona źle reaguje na wszelkie zmiany rytmu życia.

– Grace da sobie radę. Tak się składa, że personel szkolny bardzo dobrze ją zna. – Daphne otwiera drzwi frontowe, spogląda na chodnik, a potem znowu na mnie. Ona chce, żebym już sobie poszła i wyraźnie traci cierpliwość. – Raz jeszcze dziękuję, Autumn. Życzę ci miłej reszty lata.

Robię krok, odwrócona plecami do domu McMullenów, słyszę, jak z cichutkim kliknięciem zamykają się drzwi, a potem Daphne

przekręca zamek.

Jestem oszołomiona, brak mi słów, dłonie drżą mi razem z czekiem. Idę do domu w stanie odrętwienia, a gdy skręcam na rogu ulic Linden i Maple, łzy płyną mi po policzkach. Nie daję rady ich dłużej powstrzymać.

Moja córka.

Moja Grace.

Tak nagle... wszystko skończone.

Chodnik skręca w ulicę Willow, a nasz dom pojawia się przede mną. Ben jest w środku. Zauważy, że płaczę. I zechce się dowiedzieć, co się stało. A ja nawet mu tego nie wyjaśnię, bo nie mam pojęcia, co miałabym, do kurwy nędzy, powiedzieć.

Po chwili stoję przed drzwiami frontowymi, połykając gęste letnie powietrze i ocierając policzki wierzchem dłoni. Słyszę, jak w środku gra telewizor, widzę Bena na kanapie, z łokciami na kolanach, wpatzonego w ekran zmrużonymi oczami. Powinien nosić okulary, ale nawet nie chce o tym słyszeć.

Przekręcam klamkę, wchodzę do środka i szykuję się na miliony pytań i gigantyczny uścisk Bena.

– Autumn. – Wydaje się zaskoczony moim widokiem. Wróciłam do domu nieco wcześniej, niż się spodziewał. Ginger biegnie w moją stronę, a ja stawiam torebkę na stoliku przy drzwiach. Ben wstaje, a potem podnosi coś z kanapy.

Pudełko.

Nie jakieś zwyczajne pudełko.

To moje sekretne pudełko McMullenów.

To, które chowałam pod łóżkiem w pokoju gościnnym.

– Chcesz mi wyjaśnić, co to jest, do diabła? – pyta.

Na razie brak mi słów.

Nie mam żadnego wyjaśnienia – przynajmniej takiego, które by go zadowoliło.

– Te zdjęcia. Te rzeczy. Wszystkie należą do tej rodziny, prawda? – pyta, unosząc wieko pudełka. – Tutaj jest biżuteria. Adresy. Przepisy. Fragmenty listów. Małe zabawki. Kredki. Co jest,

kurwa, grane, Autumn? Skąd masz to wszystko? Okradasz ich?

Zamykam oczy. W tym momencie kradzież dla kradzieży wydaje się mniejszym złem. Może Ben coś z tego zrozumie, prawdy na pewno by nie pojął.

– Odetnij się od nich – rozkazuje. – Albo przestajesz dla nich pracować, albo koniec z nami. I wyrzucić te cholerne rzeczy.

Nie mówię mu, co się stało. Nie ma sensu.

Ben jest wszystkim, co w tej chwili mam.

– Dobrze – mówię drżącymi wargami.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Daphne

– Muszę zwrócić uwagę nauczycielce Sebastiana – informuję Grahama w czasie lunchu. – To drugie przekleństwo, jakie powiedział w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Myślałam, w szkole Brinkman mają wyższe standardy. Może teraz już zapisują każdego na te letnie programy edukacyjne. Nie mam pojęcia.

Graham kiwa głową, poruszając łyżką i gapiąc się w miskę parującej zupy.

– I codziennie wracają do domu brudne – dodaję. – Brudne paznokcie, poplamione ubrania.

– Porozmawiaj z dyrektorem – sugeruje Graham, a ja mam taki zamiar, ale na razie chcę się wyzalić. Tęsknię za Autumn, tęsknię za dniami, kiedy mogliśmy wyskakiwać z łóżka i nie musieliśmy wozić nigdzie dzieci i modlić się, żebyśmy zdążyli, ale wszystko tak pechowo się ułożyło.

Graham poszedł na policję. Powiedział im o romansie. I przyznał się, że był tam tamtego wieczoru, gdy Marnie zmarła. A potem opowiedział o Autumn. Jeśli zostanie podejrzana o morderstwo i dowie się, że to Graham podał jej nazwisko detektywowi, znajdzie chyba konflikt interesów, a wówczas nie powinna dalej zajmować się dziećmi.

– Brakuje mi opiekunki do dzieci – mówię, rozgrzebując sałatkę i wybierając tylko to, co mogę przełknąć.

– To dobrze, że zadają się z innymi dziećmi – odpowiada Graham. Wydaje się, że zachowuje się jak na autopilocie; jest odległy

i rozkojarzony. Nadal cierpi po śmierci Marnie. Ma złamane serce.

Wciąż mu ani trochę nie współczuję. Cała sytuacja jest tragiczna i żal mi jej rodziny, ale nie Grahama. Jeśli czuję cokolwiek, to frustrację, że zachowuje się jak żywy trup, jakby wraz z nią umarła jakaś część jego.

– W każdym razie pomyślałam, że możemy w najbliższy weekend gdzieś się wyrwać. – Staram się tchnąć ekscytację w swój ton, ale prawda jest taka, że zupełnie jej nie czuję.

Jedyne, co mogę teraz zrobić, to przekonać go, że wszystko odzyskamy i wreszcie sytuacja wróci do normy. Nadal nie ma pojęcia, że wkrótce od niego odejdę, a ja się boję, że najmniejsza sugestia wywoła w nim furię.

Kiedy zamierzasz rozpętać wojnę, absolutnie ci nie zależy, żeby przeciwnik przygotował się do walki.

Jeśli wiedziałby, że chcę się z nim rozwieść, zaczęłby kombinować coś z pieniędzmi, przelewać je, chować, i chciałby mnie oszukać.

Rozwód to strategia.

Cholera, miłość jest strategią.

Wyciągam telefon z torebki, pstrykam fotkę koszykowi z chlebem i uroczym kawałeczkom masła w kształcie rozgwiazd, a następnie wrzucam ją na Instaface, dodając hasztagi #lunchmężem #randka #kochammojegomeża.

Od razu leci czterdzieści lajków.

Moja aktywność w mediach społecznościowych ostatnio była niewielka, a winę za to zwałam na niego, bo on wpakował nas w to bagno.

Jeśli z jakiegoś zupełnie szalonego powodu Graham zostanie oskarżony o morderstwo Marnie, jej rodzina pozwie go za śmierć i zabierze nam wszystko, co mamy, a moje działania na nic się nie zdadzą.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Autumn

Ben od dwóch tygodni trzyma mnie na dystans – odkąd znalazł pudełko pod łóżkiem. Czasami patrzy na mnie w taki sposób, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. Czuję, jak mnie obserwuje, gdy myślę, że nie zwracam na niego uwagi, a w trakcie naszych wspólnych kolacji jest milczący i sztywny.

– Postawili już nagrobek Marnie – odzywa się nagle dziś wieczorem po posiłku.

– Och, naprawdę? – Spoglądam na niego. Siedzi w swoim fotelu, tym, który Marnie zawsze zajmowała, kiedy tutaj przychodziła. Wpatruje się pustym wzrokiem w migający ekran telewizora.

– Myślałem, że moglibyśmy wybrać się dziś na cmentarz – mówi monotonnym głosem.

– Oczywiście. – Wstaję od stołu i sprzątam po kolacji. Ben nie pyta, czy trzeba mi pomóc, ale to nic nowego. – Daj mi dziesięć minut, dobrze?

Staram się mówić pogodnym, lekkim tonem. Ostatnio muszę być wyjątkowo miła, żeby naprawić to, co się stało.

– Zaczekam w samochodzie. – Wkłada buty i znika w garażu. Po chwili słyszę, jak odpala silnik.

Wstawiam ostatnie naczynia do zmywarki, chwytam torebkę, wkładam pierwsze lepsze balerinki i idę do Bena.

W aucie panuje cisza, gdy jedziemy na cmentarz Crestwood Lawns. Ben zaciska dłonie na kierownicy tak mocno, że bieleją mu kostki. Ostatnio ciągle jest właśnie taki: spięty, nerwowy,

rozdrażniony. Po drodze zatrzymujemy się w kwiaciarni i kupujemy tuzin różowych róż, a potem jedziemy dalej. Po dotarciu na miejsce parkujemy pod wierzbą płaczącą. Rozglądamy się po cmentarzu, szukając grobu Marnie, starając się zorientować w terenie. Wszystko wygląda teraz inaczej, bez namiotu, krzesel i oślepiającego słońca, ale udaje się nam znaleźć świeży kopiec ziemi porośnięty rzadką trawą i błyszczący granitowy nagrobek, większy niż wszystkie dookoła.

Podążam parę kroków za Benem. Nie wiem, czy chce, żebym wzięła go za rękę, czy dała mu trochę wytchnienia, więc trzymam się z tyłu. Da mi znać, jeśli będzie mnie potrzebował. Gdy tylko docieramy na miejsce, nagle pada na kolana, kładzie dłoń na nagrobku i wodzi palcami po jej imieniu.

MARNIE ELIZABETH GOTLIEB – Ukochana córka, siostra i przyjaciółka.

Wyryta w kamieniu podobizna przywodzi bardziej na myśl Anne Nicole Smith niż Marnie. Obok znajdują się wygrawerowane kwiaty i krzyż.

Coś ściska mnie w piersi. Żal mi Bena. Ale tylko Bena. Nie jego siostry.

Lada dzień zostaniemy poinformowani o wynikach ostatniego raportu toksykologicznego. W dalszym ciągu nie mogę rozgryźć, w jaki sposób w jej organizmie znalazła się heroina.

Zbliżam się do nagrobka, kładę na nim bukiet róż, robię krok do tyłu i chowam ręce do kieszeni. Ben zasłania twarz, ukrywa ją przede mną, jakbym przez ostatnie tygodnie dziesiątki razy nie widziała, jak płacze. Odczytuję to jako sygnał, że znowu potrzebuje trochę samotności.

Rozglądam się po cmentarzu i dostrzegam w oddali mauzoleum. Wygląda jak budowla, która stoi tam od miliona lat, chroniona przez cień olbrzymiego dębu, z wejściem porośniętym pnączami winorośli.

Za wapienną fasadą przemyka czyjaś sylwetka. Zerkam ponownie w tamtym kierunku i widzę profil jakiegoś mężczyzny

stojącego przy budynku. Odsuwam się od grobu i idę w tamtą stronę, ponieważ mam wrażenie, że ten człowiek nas obserwuje. Ciekawe, czy to jeden z wielu byłych kochanków Marnie.

Mężczyzna znika za budynkiem, gdy zaczynam się do niego zbliżać, więc przyśpieszam kroku. Gałązki leżące w trawie pękają z trzaskiem pod moimi stopami.

– Hej! – wołam do niego ściszym głosem.

Docieram do mauzoleum. Pewnie już uciekł przede mną. Okazuje się jednak, że ciągle tam stoi, oparty o ścianę. Gdy krzyżują się nasze spojrzenia, wypowiada moje imię.

– Graham, co tu, do diabła, robisz? – pytam szeptem.

Jego oczy zachodzą łzami. Wbija wzrok w ziemię. W dłoni trzyma mały bukiet kwiatów, głównie stokrotki, i milczy jak zakłęty. Teraz już wiem. Rozumiem. On ją kochał. Z jakiegoś zupełnie szalonego powodu, którego nigdy nie pojmę, Graham naprawdę ją kochał.

– Wiem, że miałeś z nią romans – mówię.

Podnosi wzrok.

Nie przyznaję się, że widziałam go tamtego wieczoru, gdy Marnie zginęła, tak samo jak policja nie rozpowiada o wszystkich dowodach, które zebrała, gdy próbuje rozwiązać ważną sprawę.

– Skąd wiesz? – Wygląda, jakby naprawdę był w szoku. Patrzy mi w oczy, głęboko zamyślony.

– Od jej przyjaciółki – wyjaśniam.

– O Boże. – Trzęsie się, jest bledszy niż zwykle, jak widmo pewnego siebie człowieka, którym był kiedyś. Skóra pod jego oczami ma siny odcień. Widać, że cierpi na bezsenność.

– Czy wiesz, że Marnie brała narkotyki? – pytam.

Mruży oczy.

– Nie. Jakie?

– Heroinę.

Graham gwałtownie kręci głową.

– Nie miałem pojęcia. Nie... to niemożliwe. Marnie nie była taka.

– Jesteś pewny? Ponieważ tamtej nocy, gdy zginęła, w jej

organizmie znajdowała się śmiertelna dawka heroiny. – Nie mam co do tego pewności, ale próbuję go wy badać, sprowokować, taką samą metodą, jaką stosują gliniarze w trakcie przesłuchania. Kiedy podejrzany zaczyna myśleć, że policja zdobyła dużo informacji, często udaje się wyciągnąć od niego zaskakujące zeznania.

– Jestem na sto procent pewny – mówi ostrożnie – że Marnie nie ćpała. Zналиśmy się od lat. Kochałem tę kobietę. Znałem ją na wylot. Cholera, chciałem z nią... – Zawiesza głos.

Wiem, co zamierzał powiedzieć, ale on zdaje sobie sprawę, że lepiej nie kończyć tego zdania w mojej obecności.

– Nie mów nic Daphne. – Wpatruje się we mnie błagalnie. – Autumn, to bardzo ważne, żebyś nikomu nie powiedziała, że tam byłem.

Zakładam ramiona na piersi.

– Dlaczego, Graham?

– Bo...

– Nie – przerywam mu. – Czemu to wszystko zrobiłeś? Czemu zdradzałeś swoją piękną żonę? Czemu chciałeś porzucić swoje cudowne dzieci? Nie rozumiem. Nie masz pojęcia, jakim jesteś szczęściarzem, a ty zamierzałeś to wszystko odrzucić z powodu jakiejś głupiej dupy.

Gapi się na mnie z rozdziawionymi ustami. Kompletnie go zatkało. Nigdy wcześniej nie widział mnie w takim wcieleniu. To nie jest grzeczna, posłuszna, pomocna Autumn, która z łagodnym uśmiechem opiekowała się jego dziećmi. To gniewna Autumn, która została niesłusznie wyrzucona z pracy, ponieważ dzieci za bardzo się do niej przywiązywały, a poza tym McMullenowie bali się, że jakaś obca osoba – jak widz siedzący w pierwszym rzędzie w kinie – będzie oglądać rozpad ich idealnego małżeństwa. To jest załamana, zmęczona Autumn, która czuje się pokrzywdzona, ponieważ coś, co kochała mocniej niż wszystko inne na świecie, okazało się starannie wyreżyserowaną iluzją.

– Nie znasz mnie – odzywa się Graham pogardliwym tonem,

patrzając gdzieś w dal. – Nie masz pojęcia, jak wygląda moje życie.

– Zdziwiłbyś się. Wiem dużo, dużo więcej, niż ci się wydaje.

Śmieje się. Nie wierzy mi.

– Niech zgadnę. Obserwujesz moją żonę w Internecie. Boże, wyglądamy jak idealna rodzinka, prawda? Ładnie ubrani. Uśmiechnięci. Roześmiani. Szczęśliwie poślubieni. I te urocze hasztagi.

Czuję ostre ukłucie w klatce piersiowej.

– Zdjęcia kłamią, Autumn – mówi. – Szczególnie gdy osoba, która je pstryka, jest największą manipulatką ze wszystkich.

– O czym ty mówisz? – pytam, gromiąc go wzrokiem. Nie nabiorę się na jego sztuczki. On żyje urojeniami, jest pogrążony w żałobie i próbuje uwierzyć we własne kłamstwa. Chce sobie wmówić, że Marnie była tego wszystkiego warta.

Zaciska pięść.

– Szkoda, że nie znasz Daphne tak dobrze jak ja. Wtedy byś zrozumiała.

– Daphne jest cudowną osobą. Kocha wasze dzieci. I ciebie też. Ona tak bardzo się stara, żeby...

– Z całym szacunkiem, ale nie masz o niczym pojęcia. Wiesz tylko to, co pozwala ci zobaczyć.

– Autumn! – woła mnie z oddali Ben.

Cholera.

– Muszę iść – mówię.

Ben znowu do mnie krzyczy, tym razem głośniej. Rusza w naszą stronę. Nie mogę pozwolić, żeby zobaczył Grahama. Nie może się dowiedzieć, że z nim rozmawiałam.

Wybiegam przed mauzoleum, macham do niego i idę w jego stronę, żeby tutaj nie podchodził.

– Hej, przepraszam – mówię, lekko zdyszana.

– Gdzie byłaś? – Drapie się w głowę, a drugą rękę zaczepia o szlufkę dzinsów.

– Spacerowałam po okolicy... Myślałam, że masz ochotę na chwilę samotności.

Patrzy na mnie zmrużonymi oczami, a następnie ujmuje moją dłoń.

– Chciałem, żebyś była tutaj ze mną. Potrzebowałem cię.

– Przepraszam. – Wsuwam dłoń w jego rękę, nasze palce się splatają, a potem ruszamy do samochodu. – Ostatnio jesteś taki cichy. Przez większość czasu nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

Idziemy w stronę stawu pełnego kaczek i gęsi.

– Po prostu chcę, żebyś była sobą. – Ben zatrzymuje się i obraca do mnie. – Możesz to dla mnie zrobić?

Nie wiem.

– Po tym, co się stało... czuję, jakbyśmy znowu byli dla siebie obcy. – Jego głos jest niski i spokojny. Gdy dochodzimy do samochodu, otwiera mi drzwi, czego nigdy wcześniej nie robił. – Jakbym znowu musiał cię dopiero poznać, Autumn. Może zaczniemy od nowa?

– Zaczniemy od nowa?

– Tak. Może spróbujemy znowu się poznać?

– Ben, już mnie znasz. – Żartobliwie trącam go w ramię. – To nie ma sensu.

– Ale ja już nie czuję, jakbym znał cię naprawdę.

– O czym ty mówisz? – Śmieję się, chociaż jestem zdenerwowana i nie mam pojęcia, dlaczego Ben nagle zachowuje się tak dziwnie. – Miałaś ciężki dzień. Wracajmy do domu i odpocznijmy. Może obejrzymy tamten serial o superbohaterach, co?

Ben kiwa głową, wsiada do samochodu i zapina pasy. W drodze do domu prawie się nie odzywa. Pyta tylko, czy nie miałabym ochoty jutro wyjechać na parę godzin za miasto.

Mówię mu, że fajnie byłoby wyrwać się na chwilę z Monarch Falls.

Dotyka mojej dłoni, ale nie ściska jej i nie mówi, że mnie kocha. Nagle zdaję sobie sprawę, że prawie dwa tygodnie nie słyszałam od niego tych słów.

Oboje jesteśmy gotowi... Gotowi na to, żeby wszystko znowu było takie jak wcześniej. Może dla każdego z nas to oznacza różne

rzeczy, ale jedno jest pewne – nie możemy dalej tkwić w czymś takim. Musimy iść naprzód. I może myliłam się co do Bena. Może on jest najlepszym, co kiedykolwiek mnie spotka. Może nauczyłabym się kochać go tak naprawdę – tak jak on kocha mnie.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Autumn

W sobotę po południu, gdy wracamy do domu, czeka na nas wóz policyjny. Spędziliśmy cały dzień w sklepach i restauracjach w dzielnicy Harmony Springs, poszliśmy do kina, i wszystko było normalnie, więc taki widok mnie absolutnie zaskoczył.

Ben nic nie mówi, gdy parkuje na podjeździe, a dwóch funkcjonariuszy wysiada z radiowozu. Trzeci mężczyzna, ubrany po cywilnemu, wyłania się z nieoznakowanego forda.

– O co chodzi? – pytam Bena.

– Nie mam pojęcia. – Jego brwi poruszają się, gdy obserwuje ich w lusterku wstecznym, a potem wyłącza silnik i wysiada. Podchodzi do nich i podaje im rękę. – Panowie do nas?

– Szukamy Autumn Carpenter – mówi pierwszy policjant. Z krótkofalówki dobiegają jakieś trzaski. Poprawia głośność, spoglądając na mnie.

Przyciskam palec do piersi, czując ciężar ich spojrzeń.

– Jestem Autumn. Co się dzieje?

– Musimy zabrać panią na przesłuchanie – mówi, zaciskając ręce na pasie służbowym.

– Przesłuchanie? Czy mogę zapytać, o co chodzi?

– Badamy okoliczności śmierci Marnie Gotlieb – mówi, spoglądając na Bena.

– Czy są już wyniki toksykologii? – pyta Ben, zbliżając się do nich.

– Przyszły wczoraj.

– Dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił? Czy moi rodzice zostali wezwani? Dlaczego dopiero teraz mi to mówicie? – pyta Ben gorączkowo.

– Ostateczna przyczyna śmierci nie została jeszcze ustalona, ale podejrzewamy, że popełniliśmy błąd, więc przeprowadzamy trochę wstępnych badań – wyjaśnia.

– Czy Autumn ma z tym jakiś związek? – mówi Ben z autentycznym zdziwieniem, a ja go za to kocham.

– Była w domu Marnie, gdy wydarzył się tamten... wypadek. – Policjant przestępuje z nogi na nogę, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

– Oczywiście, że była – mówi Ben. – Poprosiłem ją, żeby sprawdziła, co się dzieje z moją siostrą. Od kilku dni nie dawała znaku życia, więc wysłaliśmy Autumn, aby pojechała do niej do domu.

– Ben, spokojnie. – Odwracam się do niego i kładę mu dłoń na torsie. Robi się nerwowy, a ja nie chcę, żeby był w takim stanie. – Porozmawiam z nimi. Prawdopodobnie potrzebują jakiegoś prostego oświadczenia w tej sprawie. – Odwracam się do policjanta. – Prawda?

– Tak, proszę pani – mówi.

– Widzisz? – Gładzę dłonią klatkę piersiową Bena, potem jego ramię, aż sięgam do palców i ściskam rękę. – Wrócę jak najszybciej, dobrze? Wszystko załatwimy.

Ben powoli zamyka oczy, opuszcza głowę, a potem nią kiwa.

– Pewnie. Tak. Mam z tobą pojechać?

– Nie, nie trzeba. Pojadę z panami. – Staję na palcach, obejmuję dłońmi jego twarz i całuję go w zaciśnięte usta, a potem dodaję: – Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Daphne

Dzieciaki pływają w basenie w ogrodzie, kiedy Graham wraca do domu. Policja dzwoniła dzisiaj do niego, żeby zadać mu jeszcze kilka pytań.

– Jak poszło? – rzucam.

– Powiedziałem im wszystko – mówi. – Znowu. Mam nadzieję, że tym razem zrobili lepsze notatki.

– Myślisz, że to Autumn?

Wzrusza ramionami.

– Boże, pomyśl, że całe lato opiekowała się naszymi dziećmi, a może być morderczynią.

– Wierzysz w to? Jakoś sobie tego nie wyobrażam.

– Była ostatnią osobą, która widziała Marnie żywą. Mówię tylko, że nigdy nic nie wiadomo. – Wzrusza ramionami, chowając dłonie do kieszeni. Dzieciaki pluskają się w wodzie i chichoczą. – Podobno Marnie miała we krwi narkotyki. Myślą, że to mogło być przedawkowanie.

– Wiedziałaś, że pieprzysz się z ćpunką?

– Nie miałem pojęcia. Nie wyglądała na taką...

– W każdym razie męczą mnie rozmowy o tym. O niej. Nie sądzisz, że już zafundowałeś mi wystarczająco dużo ciężkich przeżyć? Mam nadzieję, że następnym razem pomyślisz dwa razy, zanim wyciągniesz fiuta. – Wstaję. – Popilnuj dzieci, dobrze? Idę robić kolację.

Graham zatapia się w fotelu, z rękami założonymi na piersi,

wpatrując się w basen. Obserwowanie go w tak kiepskim stanie sprawia, że czuję przyjemną satysfakcję. Świadomość, że on już nigdy jej nie dotknie, nie pocałuje, przepelnia mnie zadowoleniem.

To jest karma.

To jest koniec i początek tego wszystkiego.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Autumn

Wsadzili mnie do pokoju z lustrem weneckim i chociaż zaproponowali mi kawę i wodę oraz pytali, czy nie jest mi za zimno lub za gorąco... mam przeczucie, że to się może skończyć tylko w jeden sposób.

Jeden z detektywów, Barnes, wysuwa krzesło i siada na nim ciężko. Czuć od niego tanią wodą kolońską. Jest przeciętnie atrakcyjny, ma gęste włosy w piaskowym odcieniu i oczy, które uśmiechają się nawet wtedy, gdy jego usta tego nie robią. Zwykła złota obrączka lśni na jego lewym palcu, facet sprawia wrażenie kogoś, kto po pracy gra z synami w baseball, każdej nocy całuje żonę na dobranoc i mówi, że jej lazanie była pyszna, nawet jeśli nie smakowała najlepiej.

– A więc, Autumn. – Wyciąga żółty formularz, przewraca na nową stronę i pstryka tanim długopisem.

– Tak? – Kładę dłonie na stole, czujna i skupiona.

– Co możesz mi powiedzieć o tamtym wieczorze, gdy zmarła Marnie Gotlieb?

Wciągam do płuc nieświeże powietrze i wypuszczam je powoli, grając na zwłokę. Nie chcę wydawać się zbyt skruszona lub zbyt arogancka.

– Ben wyjechał w delegację – mówię. – Zadzwoił i poprosił mnie o sprawdzenie, co u Marnie. Przejechałam przez całe miasto, zapukałam do jej drzwi, a ona nie otworzyła, więc odeszłam.

Detektyw milczy. Niczego nie zapisuje. Kiedy naciska palcami

nasadę nosa, wiem, że coś spieprzyłam.

– Autumn, proponuję, żebyśmy przestali się wygłupiać – mówi, mimowolnie napinając ramiona. Już nie wygląda jak miłutki facet. Wygląda jak facet, który miał długi dzień, siedzi w robocie w sobotę, a wolałby patrzeć, jak jego synowie grają w piłkę, więc nie ma czasu na bzdury. Zwłaszcza moje brednie. – Ktoś widział cię tamtego wieczoru u Marnie.

– Zgadza się. Byłam u niej. Tak jak powiedziałam...

– Nie – przerywa mi. – Widziano, jak wchodzisz do jej domu.

– Kto? – Śmieję się, chociaż chcę płakać. – Co niby widzieli?

– Nasz świadek widział, jak wchodzisz do domu pani Gotlieb. Podobno byłaś tam przez dziesięć, może piętnaście minut. A potem wybiegłaś na zewnątrz.

Spoglądam w dół, drapię się w rękę i wyjężam mózgownicę.

Jedyna osoba, która prawdopodobnie widziała mnie tamtej nocy, to Graham. Gdyby to był jeden z jej kochanków albo jakaś przyjaciółka, nie zostałabym rozpoznana. Nie mogliby podać mojego nazwiska policji, bo nikt go nie zna.

– Ten wasz świadek to Graham McMullen, prawda? – pytam.

Nie chcę mu robić problemów i wiem, jakie byłyby tego konsekwencje, ale w tej chwili to sytuacja z gatunku: on albo ja. Wybieram siebie.

– Skąd znasz Grahama McMullena? – Detektyw zatapia się w swoim fotelu i udaje głupiego.

– Latem pracowałam dla jego rodziny – wyjaśniam. – Widziałam go tamtego wieczoru, jak wychodził od Marnie.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie.

– Powiedziałaś komuś innemu, że go widziałaś?

– Nie.

– Zrobiłaś zdjęcie? Czy masz jakieś dowody?

– Czy potrzebuję dowodów? – pytam z ironią. – Przecież wam powiedział, że mnie widział, więc wiecie, że też tam był. Mam nadzieję, że lepiej wam idzie przesłuchiwanie jego niż

przesłuchiwanie mnie, bo właśnie na nim powinniście się skupić.

Barnes nie odpowiada. Zapisuje coś na kartce.

– Co wiesz o Marnie Gotlieb i Grahamie McMullenie?

– Hmm. – Spoglądałam na poplamiony sufit. – Od paru lat ze sobą kręcili, z tego, co słyszałam. Dużo się kłócili. On myślał o tym, żeby odejść od żony. To wszystko, co wiem. Czy Megan rozmawiała z wami? Ona jest osobą, z którą powinniście porozmawiać. Była jedną z przyjaciółek Marnie. Wie więcej o ich relacjach niż ja.

– Mmm. – Detektyw Barnes robi notatki, drapiąc się w policzek.

– Dobrze, wróćmy do tamtego wieczoru. To ciekawe, Autumn. Dlaczego powiedziałaś Benowi, że Marnie nie ma w domu? Jesteś ostatnią osobą, która widziała ją przy życiu. Rozumiesz, że ukrywanie informacji jest poważnym przestępstwem?

Przechylałam się, opierając łokcie na stole i patrząc mu prosto w oczy.

– Nie rozumiecie, jacy są Gotliebowie – zaczynam wyjaśniać. – Staralam się ich chronić. Weszłam do środka, żeby sprawdzić, co u niej się dzieje po odejściu Grahama. Była pijana i agresywna, a ja próbowałam ją uspokoić, zanim zrobiłaby sobie krzywdę. I powiedziała to. Powiedziała, że chce zrobić sobie krzywdę. To nie miało żadnego sensu. Nie wspomniałam o tym jej rodzinie, bo nie chciałam, żeby się dowiedzieli, że ich martwa córka sypiała z żonatym facetem, za dużo piła i groziła, że coś sobie zrobi.

– Rozumiem, że chciałaś oszczędzić cierpienia rodzinie, ale powinnaś przyjechać na policję – mówi. Nie podoba mi się jego ton, jakby mnie strofował, a ja nie jestem dzieckiem. – Rozumiesz, jak to wygląda, prawda?

Marszczę brwi.

– Jak?

– Ty i Marnie miałyście kiepskie relacje, prawda? Nigdy nie potrafiłyście się dogadać, zgadza się?

Ładnie to ujął.

– Czasami zdarzały się między nami jakieś spięcia – mówię. – Tak było od samego początku. Ale zbliżyłyśmy się do siebie. Nasze

relacje powoli się polepszały. Nie, nie byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Ale czy życzyłam jej śmierci? Absolutnie nie.

Im intensywniej Barnes się we mnie wpatruje, tym bardziej drży mój głos.

– Wiesz, kto chciałby ją skrzywdzić?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Więc teraz uważacie, że to zabójstwo?

Zakrywa usta i wzdycha.

– Tak, Autumn.

– Nie rozumiem. Coś się zmieniło?

– Toksykologia wykazała, że ktoś wstrzyknął jej śmiertelną dawkę heroiny tuż przed śmiercią, a patolog stwierdził, że wcześniej była zupełnie czysta.

Unoszę rękę do ust. Jestem w totalnym szoku.

A więc ktoś naprawdę zamordował Marnie.

Lecz to nie byłam ja.

I nie mam zamiaru iść za to do pudła.

– Z tego, co udało się nam ustalić, Marnie nie miała wielu wrogów – mówi. – Nie miała również wielu przyjaciół. W telefonie znaleźliśmy zapisane numery głównie... mężczyzn.

To dla mnie żadna nowość, panie władzo.

Kiwam głową.

– Nie jestem zaskoczona.

Ktoś puka do drzwi. Barnes wychodzi na chwilę. Gdy wraca, pytam, czy rozmawiał już z Benem i czy Ben wie, że jego siostra została zamordowana.

– Ktoś jest u niego w tej chwili – odpowiada policjant. – Mamy nakaz rewizji, bo jeśli ukrywacie jakieś dowody...

– Nakaz rewizji?

– Przeszukujemy wasz dom, Autumn – wyjaśnia z uniesionymi brwiami. – To nie powinno być dla ciebie problemem, skoro nie masz z tym wszystkim nic wspólnego, prawda?

– Oczywiście – odpowiadam z dłońią na sercu. To nie ja otrułam Marnie narkotykami. Tego jestem pewna na sto procent. – Ten

ktoś, kto widział mnie tamtego wieczoru, musiał zaczekać, aż wyjdę, a potem wszedł do środka i wstrzyknął Marnie heroinę. Z tego, co rozumiem, chciał mnie zrobić w morderstwo. Ale możecie przeszukać mój dom. Wszystkie moje rzeczy. Sprawdźcie moje rozmowy telefoniczne i wiadomości. Nigdy w życiu nie kupowałam narkotyków. Nawet nie wiem, skąd można je wziąć.

Barnes uderza długopisem o krawędź biurka.

– Niech pan powie: czy to Graham jest waszym świadkiem? – pytam. – Widziałam go wczoraj. Przy grobie Marnie. Prosił, żebym nikomu nie wspominała, że go tam spotkałam. Powinniście z nim porozmawiać. Jeśli ktoś ma coś do ukrycia, to właśnie on.

– Już rozmawialiśmy z panem McMullenem – mówi obojętnym tonem. – Do wszystkiego się przyznał. Do tego, że miał romans. Do problemów w tym związku.

– Więc przyznał się, że tam był – mówię, potrzebując potwierdzenia. – A potem powiedział, że mnie widział.

Barnes przez chwilę milczy.

– Mamy zdjęcie, na którym widać, jak wychodzisz z domu Marnie o ósmej siedem w dniu jej śmierci – mówi, kładąc obie dłonie na blacie biurka. – Pan McMullen dostarczył nam tę fotografię.

Opada mi szczęka.

Co za sukinsyn.

Nienawidzę go.

Naprawdę go, kurwa, nienawidzę.

– To nic nie znaczy – odpowiadam. – To, że tam byłam, nie oznacza, że coś zrobiłam. Czy jestem...? Czy potrzebuję...?

Nie potrafię dokończyć myśli. Coś ściska i skręca mnie w brzuchu, mam ochotę płakać, ale muszę się wziąć w garść. Gdyby mnie tu wprowadzili i powiedzieli: „Marnie zmarła od ciężkiego uderzenia w głowę i dowody DNA wskazują, że ty jesteś winna” – wtedy mieliby mnie w garści i byłoby po wszystkim.

Ale coś takiego? Nie, tego nie zrobiłam.

I za to nie beknię.

Graham chce mnie zrobić. Cały ten spektakl, który wczoraj

przede mną odegrał ze smutną miną, był tylko sztuczką. Chciał mnie podpuścić. Chce, żebym wzięła na siebie winę za jego zbrodnię, ale nie mam zamiaru tego zrobić.

Jego problem nie zniknie ot tak sobie.

Nie wrobi mnie w to.

I nie będzie ojcem Grace ani chwili dłużej.

Nie pozwolę na to.

– Skończyliśmy przesłuchanie czy aresztujecie mnie? – Wstaję z krzesła. Moje wargi są wysuszone, cały pokój wiruje.

– Nie jesteś aresztowana, Autumn. – Jego słowa zalewają mnie ulgą. Znowu jestem w stanie oddychać. – Możesz iść. Na razie. Ale nigdzie nie wyjeżdżaj, na wypadek gdybyśmy znowu musieli cię tu zaprosić, rozumiesz?

Łapię torebkę ze stolika, zakładam ją na ramię i przypominam sobie, że ktoś musi mnie podwieźć do domu.

– Chodź – mówi do mnie Barnes, pokazując drzwi.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Autumn

Nie odzywam się do Barnesa ani słowem w drodze do domu, a potem wyrażam swoją wdzięczność, trzaskając drzwiami, gdy zatrzymuje się na naszym podjeździe. Denerwuje mnie fakt, że on mi nie wierzy. Widzę to w jego oczach. Czeka, żeby komuś wcisnąć to morderstwo. Uważa, że jest już blisko. Sprawia wrażenie niepewnego siebie dupka, który karmi się pochwałami zwierzchników i poklepywaniem po plecach.

„Ale z ciebie dobry chłopiec, Barnes! Dobra robota, wyjaśniłeś zbrodnię! Oto twoja nagroda!”

Widzę, że przed domem ciągle stoi zaparkowany radiowóz, i przypominam sobie o nakazie rewizji. Grzebią we wszystkim. Nie jestem pewna, co znajdą, ale Ben z pewnością jest przerażony.

Wchodzę do środka, żeby go uspokoić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

On mnie potrzebuje.

I, cholera, ja też go potrzebuję.

– Ben. – Zatrzymuję się w drzwiach, gdy widzę oficera policji w rękawiczkach z lateksu, trzymającego w jednej dłoni drewniane pudełko, a w drugiej wieczko od niego.

– Myślałem, że to wyrzuciłaś. – Ben zaciska szczęki, wwiercając we mnie spojrzenie.

Obiecałam mu, że wyrzucę to pudełko, gdy kilka tygodni temu je znalazł i zażądał, abym natychmiast zerwała kontakt z McMullenami. Chciałam się pozbyć tych rzeczy, ale nie umiałam

się z nimi rozstać. Te przedmioty i związane z nimi wspomnienia są jedynymi pamiątkami. Nie mam żadnych albumów fotograficznych ani wspomnień z idyllicznego dzieciństwa. Moja przeszłość to szereg lat, które wolałabym wykasować z pamięci.

Nie mogłam rozstać się z tymi „skarbami”.

Próbowałam. I nie dałam rady. Ukryłam je w garażu, w pudełku z napisem „zimowe ubrania”, ponieważ Ben trzyma wszystkie swoje ubrania w jednej szafie, nigdy nie wymienia garderoby w zależności od pory roku, więc nie musiałby zaglądać do tak oznaczonego pudełka.

– Dlaczego ciągle to trzymasz? – pyta. – I czy wiedziałaś, że moja siostra miała romans z Grahamem McMullenem?

Cierpienie w jego oczach rani moją duszę. Waham się przez chwilę. A potem kiwam głową.

– Nie miałam pojęcia, jak ci powiedzieć. I dopiero od niedawna o tym wiedziałam.

– Jak mogłaś to przede mną ukrywać? Jak mogłaś dalej pracować dla tej rodziny, wiedząc coś takiego? – Zaciska wargi. Jest zde gustowany. Wiedziałałam, że nie zrozumie. I nie mogę mu o niczym powiedzieć. Nie mogę mu powiedzieć o Grace, ponieważ dziesięć lat temu, kiedy podpisałam te dokumenty, zgodziłam się trzymać od niej z daleka, a nie istnieje żadna osoba, która zna prawdę... Nikt nie wie o tym, że znalazłam ją siedem lat temu, a od tamtej pory ciągle ją obserwuję. Bez przerwy. I chcę być przy niej przez resztę życia. Nie mogę o tym wszystkim powiedzieć Benowi.

Policjant grzebie w moich pamiątkach związanych z McMullenami. W porządku. Tam nie ma niczego, co mogłoby mnie zrobić w zabójstwo Marnie. Te rzeczy komplikują moje relacje z Benem, ale dam sobie z tym radę, gdy tylko pójdą gliniarze.

Jasne, wyjdę na kogoś, kto ma obsesję, ale przynajmniej nie na morderczynię.

– Zabieraj swoje rzeczy i wypieprzaj – syczy Ben przez zaciśnięte

zęby.

– Co? – Śmieję się. – Nie zachowuj się tak.

Podchodzę do niego, kładę mu dłoń na ramieniu, ale ją strąca.

– Ben. – Przechyliam głowę i czuję, że policjant obserwuje nas z boku.

– Mówię poważnie. To koniec. Okłamałaś mnie wtedy, a potem dalej mnie oszukiwałaś. Nie znam cię. Nie mogę być z tobą.

– Przesadzasz. To tylko pudełko z głupimi rzeczami. Bez znaczenia.

– To jest dziwne, Autumn. Nienormalne. Wiesz o tym, prawda? Normalne osoby nie chowają w domu rzeczy należących do innych ludzi. – Przyznaję, że ma rację i na pierwszy rzut oka kiepsko to wygląda. – I pomyśleć, że dla nich pracowałaś. Opiekowałaś się ich dziećmi. Byłaś w ich domu każdego dnia. To jest... popieprzone.

– Ben, to nie jest takie straszne, jak się wydaje.

Wiem, że moje słowa są nieprawdą. Nie spodziewałam się, że Ben zareaguje w taki sposób, i nie jestem pewna, czy zdołam to naprawić.

– A gdybym to ja trzymał pudełko ze zdjęciami jakiejś rodziny i... różne kartki, recepty i biżuterię? – pyta. – To byłoby porąbane, prawda? Pomyślałabyś, że jestem świrem.

Nie kiwam głową, ale zgadzam się z nim w myślach. Gdyby ktoś inny zrobił coś takiego, uznałabym go za wariata. Ale ja nie jestem szalona. Nie wiem jednak, jak go do tego przekonać. Jestem zdesperowana. Samotna. Chora. Ale nie szalona.

– Weź walizkę, spakuj swoje rzeczy i wynoś się. – Odsuwa się ode mnie, ciężko oddychając.

Robię, jak każe. Chodzę po salonie i sypialni, którą kiedyś dzieliliśmy, wrzucając do walizki wszystko, co się w niej zmieści. Na szczęście za parę tygodni będę w Meksyku. Z Grace. A to, co się teraz dzieje, będzie jedynie mglistym wspomnieniem.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Autumn

– Jak się pani nazywa? – Kobieta w recepcji hotelu Bleu DuBois w centrum Monarch Falls spogląda na mnie przez okulary w drucianej oprawce. Jej wargi są pomalowane na różowo, a szminka wchodzi w drobne zmarszczki wokół ust.

– Hannah – rzucam od czapy. – Hannah Gable.

Nie muszę jej mówić, jak naprawdę się nazywam, skoro potrzebują ode mnie tylko ważnej karty kredytowej oraz podpisu na papierze. Postanowiłam, że dzisiaj będę udawała kogoś innego, na wypadek gdyby Ben zmienił zdanie i błagał mnie, żebym do niego wróciła. Jestem w stanie sobie wyobrazić, jak po wyjściu policjantów dosłownie pada na ziemię, przygnieciony uczuciem kompletnej samotności, z której nagle zdał sobie sprawę. Nie chcę, żeby mnie szukał i wydzwaniał po wszystkich hotelach w okolicy.

Mam plan, który zamierzam zrealizować. Żegnam się z tym życiem. Przestaną być tą osobą i zmienię się w kogoś innego. To będzie moja najważniejsza metamorfoza, ponieważ tym razem nie chodzi tutaj o mnie.

Nie mogę zostawić mojej córki z mordercą.

Nie mogę beczynnie siedzieć i patrzeć, jak rozpada się jej świat, bo Daphne będzie pracowała na dwa etaty, żeby związać koniec z końcem, gdy Graham wyląduje w więzieniu. Bajkowe życie mojego dziecka zniknie bez śladu.

– Proszę. – Recepcjonistka oddaje mi kartę kredytową i drukuje formularz, na którym się podpisuję, a potem wręcza mi plastikowy

klucz do drzwi. – Trzecie piętro, pokój trzysta czterdzieści pięć.

– Dziękuję.

Ciągnę przez hol walizkę na kółkach, idąc za znakami do windy. W powietrzu unosi się lekki zapach chloru, który przypomina mi letnie dni spędzone z dziećmi, pływanie w basenie, śmiech i cudownie beztroską zabawę...

Tęsknota sprawia, że do oczu napływają mi łzy. Uświadamiam sobie, że to były jedne z najwspanialszych tygodni w moim życiu.

Przesuwam kartą przez czytnik i czekam na zielone światło. Mój pokój tonie w ciemności, pachnie wybielaczem i mocnymi środkami czystości, ale zapalam światło, kładę walizkę na kanapie i padam na łóżko.

Każdą swoją komórką czuję, jak uwalniam się od wszystkiego.

Już nie jestem dziewczyną Bena.

Już nie jestem Autumn Carpenter.

Już dawno nie czułam się tak wolna.

Mogę być każdą osobą, jaką zechcę.

* * *

Jest piąta rano. Siadam prosto w łóżku, rozbudzona, ale zdezorientowana. W pokoju panują egipskie ciemności. Nie widzę nawet swojej ręki, którą macham przed oczami, ale udaje mi się wymacać włącznik lampki.

Moja piżama jest cała przemoczona, tak samo pościel. Musiałam mieć jakiś koszmar, ale w tej chwili mogę myśleć tylko o Daphne i o skreśle, który znalazłam w jej kosmetyczce.

Masując sobie skronie, kołyszę się w tył i w przód na krawędzi łóżka. Skoro Daphne miała dostęp do marihuany, to pewnie mogła też zdobyć twarde narkotyki.

Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam.

Zaczynam spacerować po pokoju, układając wszystkie elementy tej sprawy w jedną całość, a potem dzwonię na komisariat policji i pytam sekretarkę, kiedy zastanę detektywa Barnes'a.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Autumn

– A gdyby Daphne wiedziała o romansie i o Marnie, miałyby doskonały powód, żeby ją zabić – kończę przedstawiać Barnesowi swoją teorię. Dzisiaj siedzimy w jego gabinecie, a nie w pokoju przesłuchań. – Graham kochał Marnie. Widziałam to w jego oczach. Naprawdę pan uważa, że morderca przychodzi na grób swojej ofiary i płacze przy nim?

– Ale nie masz pewności, czy pani McMullen wiedziała o romansie – odpowiada, gryząc końcówkę długopisu.

– Proszę mi zaufać. Chodziłam do nich dzień w dzień przez wiele tygodni. Widziałam, jak się zachowywali, jak ona o dziwnych godzinach wychodziła z domu, a on robił wszystko, żeby nie przebywać w jej towarzystwie – tłumaczę. – No i jeszcze ich dzieci! Bez przerwy mówiły różne rzeczy. Grace opowiadała, że jej rodzice ciągle się kłócą, i myślała, że chcą wziąć rozwód. Proszę mi wierzyć, że wiedziała, co mówi.

– Skarbie, tak wyglądają małżeństwa. – Śmieje się ze mnie, jakbym była dzieckiem z kompleksem Nancy Drew. – Miałaś kiedyś męża?

– Myślę, że nie traktuje mnie pan poważnie, detektywie Barnes, a przecież to wszystko dotyczy mojej osoby. Chcę rozwiązać tę sprawę tak samo jak wy.

– Oczywiście, że chcesz.

Wstaję z krzesła, przewracając oczami.

– Jeśli tylko marnuję pana czas, to chętnie sobie pójdę.

– Nie, nie. – Gestem dłoni każe mi z powrotem usiąść, a potem rzuca okiem na zegar ścienny, gdy myśli, że nie patrzę. – Interesuje mnie ta twoja teoria.

– Naprawdę? – Przekrzywiam głowę. – To dlatego robi pan takie szczegółowe notatki?

Nasze spojrzenia spotykają się nad pustą kartką papieru, która leży przed nim na biurku. Może źle go oceniłam i nie obchodzą go żadne pochwały ani nagrody. Może jest jednym z tych leniwych dupków, którym świetnie wychodzi udawanie, że ciężko pracują, a tak naprawdę od niechcenia tylko odwalają rutynową robotę.

– Tak czy inaczej, powinniście przyjrzeć się alibi Daphne – sugeruję. – A potem pogrzebać trochę głębiej i odkryć, od kogo brała narkotyki.

Boże, mogłabym wykonywać jego pracę we śnie. Serio.

– Zrobi się. – Zaciska usta i gapi się na swoją wciąż pustą kartkę papieru. Mam nadzieję, że zatopił się w myślach, ale z tego, co wiem, równie dobrze może wspominać wczorajszy mecz baseballowy.

– No dobrze. – Wstaję z krzesła, podnoszę torebkę i zerkam w stronę drzwi. – Macie mój numer, jeśli pojawi się więcej pytań.

Ktoś puka do drzwi. Jakiś inny policjant przywołuje do siebie Barnes'a.

– Autumn, czy mogłabyś poczekać jeszcze chwilę?

Marszczę czoło. Nie, nie chcę tu czekać. Mam sporo rzeczy do załatwienia i zaplanowania. Jutro jest rozpoczęcie roku szkolnego, a Grace idzie do nowej szkoły trzy przecznice od Linden Street. Dokładnie pamiętam rozmowę, podczas której Daphne się zgodziła, żeby Grace od teraz sama chodziła do szkoły i wracała do domu, skoro to jest tak niedaleko.

To będzie moja szansa. Zatrzymam się przy niej, przywołam ją do auta, zapytam, czy ma ochotę na przejażdżkę, a ona mi zaufa, bo mnie uwielbia. Grace teraz już chce, żebym była jej matką. Sama tak powiedziała. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której na mój widok zaczęłaby uciekać z krzykiem.

Znam ją. Znam swoją córkę.

Barnes wraca po paru minutach. Przenoszę spojrzenie z zegara na jego zafrasowaną minę.

– Jakiś nagły zwrot w śledztwie? – pytam półżartem, zaplatając ręce na piersi.

– Tak – wzdycha. – Będziemy musieli się przyjrzeć, jaką rolę odegrała w tym wszystkim Daphne...

– Dzięki Bogu.

– Ale jest też coś innego – dodaje ostrożnie, powoli, a ja umieram z ciekawości, o co mu chodzi.

Po prostu wyduś to z siebie!

– Musisz pójść ze mną – mówi.

– Dokąd? – Ciągle stoję w miejscu.

Po chwili rusza w stronę drzwi, a ja zaczynam iść za nim, choć każda komórka w moim ciele krzyczy, żebym uciekała. Ale to byłoby dużym błędem. Gdybym próbowała uciec, skupiliby swoją uwagę na mnie, a nie na osobie, na której powinni, czyli Daphne.

Idę więc za nim, bo nie mam wyboru.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Daphne

Lato zbliża się do końca, a ta niedziela jest wyjątkowo chłodna. W kominku trzeszczy ogień, a w dłoniach trzymam kubek gorącej kawy. Dzieci bawią się w salonie. W telewizji lecą wiadomości.

Znowu gadają o Marnie.

Na ekranie pojawia się napis: „Nowe szczegóły w sprawie...”, więc sięgam po pilota i robię głośniej.

– Pojawiły się nowe poszlaki w sprawie tajemniczej śmierci mieszkanki Monarch Falls, Marnie Gotlieb. Policja wpadła na trop nowego podejrzanego. W ubiegłym miesiącu śmierć Gotlieb została uznana za morderstwo. Ofiara zmarła wskutek przedawkowania narkotyków, których sama nie zażyła. Policja przeanalizowała nagrania z kamer bezpieczeństwa zainstalowanych w budynku, w którym mieszkała Gotlieb, i potwierdziła, że ktoś wyszedł tylnymi drzwiami tuż po jedenastej wieczorem w dniu jej śmierci.

Słyszę ogłuszające bicie własnego serca.

Miał być ostrożny.

Powiedział, że na tyłach budynku nie ma żadnych kamer.

Drżącymi dłońmi łapię za komórkę i piszę esemesa do Mitcha. Wiadomość wyświetla się na czerwono. Dostaję raport, że nie została dostarczona.

Cała roztrzęsiona próbuję jeszcze raz.

Znowu to samo.

Przechodzę z telefonem do sąsiedniego pokoju i dzwonię do niego. Słyszę automatyczny komunikat, że nie ma takiego numeru.

– Sukinsyn.

Rozdział sześćdziesiąty

Autumn

– Witaj, Autumn. – Kobieta w średnim wieku z włosami białymi jak wata cukrowa i miłymi oczami o orzechowej barwie wyciąga do mnie rękę, gdy Barnes wprowadza mnie do małego pokoju na końcu korytarza. To chyba nie jest jej gabinet. Pomieszczenie jest kompletnie bezosobowe. Znajduje się w nim tylko laptop, jakieś segregatory, zwykły biały kubek pełny niebieskich długopisów, odrapane dębowe biurko i w zasadzie nic więcej. – Jestem doktor Whitmore. Miło mi cię poznać.

Odwracam się do Barnesesa z uniesioną brwią, jakbym chciała zapytać: „Co się, kurwa, dzieje?”.

– Będzie mnie tu pani potrzebowała? – pyta ją cicho, zupełnie mnie ignorując.

Nie mam pojęcia, czemu miałyby go potrzebować.

– Damy sobie radę, dziękuję. – Posyła mu ciepły uśmiech i żegna go ruchem ręki. Złoty zegarek obija się z brzękiem o jej srebrną bransoletkę z turkusami. Widać, że ta kobieta desperacko chce uchodzić za fajną, wyluzowaną babkę lubiącą eklektyczny, ekstrawagancki styl, ale to jej nie wychodzi. Przysuwa swoje krzesło bliżej mnie, zaciskając palce na szarej teczce leżącej pomiędzy nami, a potem spogląda na mnie takim wzrokiem, jakbym była najbardziej fascynującą istotą, z jaką się kiedykolwiek zetknęła.

– Przepraszam, ale nie wiem, o co chodzi – mówię, przyciskając torebkę do brzucha. Nawet jeszcze nie usiadłam.

– Wszystko w porządku – uspokaja mnie tak lekkim tonem, że prawie jej wierzę, ale nic z tego, co się dzieje, nie pozwala mi myśleć, że jest „w porządku”. Lekarka wskazuje krzesło ustawione naprzeciwko niej, po drugiej stronie biurka. – Usiądź, proszę. Wszystko wyjaśnię.

Barnes zamyka za sobą drzwi. Widzę przez boczne okienko, jak ustawia się na korytarzu tuż przy wejściu do tego pokoju.

– Chcę ci coś pokazać. – Ostrożnie otwiera teczkę. Skromny diamentowy pierścionek lśni w blasku jarzeniówki zawieszanej pod sufitem. Doktor Whitmore wyciąga z teczki jakiś kawałek papieru, przesuwa go po blacie, a potem przewraca na drugą stronę.

To zdjęcie dziewczyny, zrobione jakieś dziesięć lat temu.

Ma pucułowatą twarz obsypaną jasnymi piegami. Nie uśmiecha się. Pod fotografią widnieje napis PACJENTKA 00765, a na górze imię i nazwisko: SARAH THOMAS.

– Poznajesz ją? – pyta lekarka, a ja czuję, że to jest podchwytliwe pytanie.

Milczę.

Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Sarah – wypowiada imię, które wydaje mi się dziwnie znajome, ale dopiero po chwili uświadamiam sobie, że doktor Whitmore w ten sposób zwraca się do mnie. – Sarah.

– Dlaczego pani mnie tak nazywa?

Lekarka unosi palec i przyciska go do ust, jakby nie wiedziała, w jaki sposób ma wyrazić to, co musi mi wyjaśnić.

– Masz na imię Sarah – mówi. – Nazywasz się Sarah Thomas.

Kręcę głową. Czuję się jak we śnie. Jak w koszmarze. Chcę się z niego wybudzić.

– Dziesięć lat temu zostałam zamknięta na oddziale psychiatrycznym w szpitalu Saint Andrews w Stamford w stanie Connecticut – zaczyna tłumaczyć. – To jest kopia twoich akt, z którymi już się zapoznałam. Zadzwonili do mnie ludzie z wydziału policji w Monarch Falls i poprosili, żebym z tobą porozmawiała. Twój brat skontaktował się z nimi po tym, jak

zobaczył cię w telewizji.

Siedzę jak skamieniała. Nie mogę się poruszać ani mówić. Czuję, jak przygniata mnie każde słowo, które pada z ust tej kobiety.

– Co pani wygaduje? – Odwracam zdjęcie i gwałtownie odsuwam krzesło od biurka. Nie mogę patrzeć ani chwili dłużej na zdjęcie tej dziewczyny. Ona jest nieszczęśliwa. Dostrzegam to w jej oczach.

– Dziesięć lat temu zostałam hospitalizowana z powodu ciężkiej depresji. Przy okazji zdiagnozowano u ciebie również zaburzenie dysocjacyjne tożsamości. W szpitalu poznałam Autumn Carpenter. Autumn urodziła córeczkę, będąc już tamtejszą pacjentką. Bardzo się ze sobą zżyłyście. Zostałyście najlepszymi przyjaciółkami, takimi, które mówią sobie o wszystkim. Dawalyście sobie do czytania pamiętniki, żeby nie mieć żadnych tajemnic. Autumn oddała swoje dziecko do adopcji. To było dla niej trudne przeżycie. Pomogłaś jej przez to przebrnąć. Ciągle przy niej byłaś. Pomogłaś jej nawet wybrać odpowiednią rodzinę dla córeczki. Obydwie zostałyście wypisane ze szpitala mniej więcej w tym samym czasie. Wynajęłyście wspólnie mieszkanie, ale po miesiącu jej rodzina zgłosiła na policję, że Autumn zaginęła. Ty także zniknęłaś bez śladu.

Moja twarz zaczyna płonąć.

– Nie wiem, o czym pani mówi. To ja jestem Autumn.

Jej oczy przybierają łagodniejszy wyraz.

– Skarbie, między innymi na tym polega twoje zaburzenie. Nie masz jednej osobowości, tylko wiele. To jest mechanizm obronny. Przyczyną są zwykle traumy z dzieciństwa oraz bycie ofiarą przemocy. Ciebie dotknęły obie te rzeczy. Są szczegółowo opisane w twoich aktach.

Zwilża językiem opuszki palców i zaczyna kartkować dokumenty znajdujące się w teczce. Jest ich cały stos.

– Możesz je przeczytać, jeśli chcesz, a raczej jeśli czujesz, że musisz to zrobić – wyjaśnia. – Muszę cię jednak ostrzec, że ta lektura może w tobie obudzić przykre wspomnienia. Te, które przez bardzo długi czas pozostawały zablokowane. Rozumiem, że

już od paru lat funkcjonujesz jako Autumn Carpenter?

Kręcę głową. Nie chcę tego czytać. Nie chcę w to wszystko wierzyć.

– Tak czy inaczej, twój brat dotarł do Benjaminu Gotlieba, który jest twoim stałym chłopakiem, prawda? Powiedział, że zobaczył cię w wiadomościach telewizyjnych, jak stałaś obok rodziny Marnie. Rozpoznał cię, wczoraj wieczorem skontaktował się z Benem i wspólnie zaczęli układać wszystko w jedną całość. Ben zadzwonił do Barnes, a Barnes zadzwonił do mnie, i tak oto się tutaj znalazłaś. Bardzo się cieszę, że mogłaś tu dzisiaj się zjawić. Twoja rodzina bardzo za tobą tęskniła. Nie mogą się doczekać, aż znowu cię zobaczą, Sarah.

Przyciskam palce do biurka.

– Barnes musi zacząć podejrzewać Daphne McMullen o zamordowanie Marnie.

Jestem w szoku, słysząc własne słowa. W moich ustach brzmią inaczej niż w głowie.

– Tak, na pewno bierze to pod uwagę, kochanie. On jest bardzo dobry w tym, co robi. Wszystko dokładnie sprawdza. – Poprawia okulary na nosie. Pachnie ciasteczkami i płynem do zmiękczenia tkanin. Gardzę jej nudnym, wygodnym życiem i spokojnym stylem bycia.

– To bardzo ważne! – mówię podniesionym głosem do zupełnie obcej osoby, z czego nie jestem dumna. – Daphne McMullen miała dostęp do narkotyków. Widziałam to na własne oczy. Marnie Gotlieb została otruta heroiną. Mąż Daphne sypiał z Marnie. Rozumie pani, o czym mówię? To wszystko układa się w jedną całość!

Grace.

Nie mogę pozwolić, żeby moja córka mieszkała z człowiekiem, który zdradza swoją żonę... i jest mordercą.

Muszę się stąd wydostać. Natychmiast.

Niepotrzebnie tutaj przyszłam.

– Tak, rozumiem, co mówisz. To bardzo interesująca teoria,

Sarah. – Doktor Whitmore sięga po moją dłoń i kładzie na niej swoją rękę, jakby ten drobny gest był w stanie mnie uspokoić. – Ale skarbie, w tej chwili musimy skupić się na tobie. Rodzina szukała cię od wielu lat. Twój brat jest już w drodze, a rodzice zostali powiadomieni, że tu jesteś.

– Nie! – krzyczę, nie poznając własnego głosu.

A potem wszystko pochłania ciemność.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Autumn

Budzę się na cienkim materacu w pomieszczeniu ze ścianami z szarych pustaków. Mam na sobie zupełnie inne ubranie niż dzisiaj rano. Widzę ciężkie, metalowe drzwi z okratowanym okienkiem. Podbiegam do nich, szarpię za klamkę, ale one ani drgną. Dwa głosy po drugiej stronie – męski i kobiecy – zbliżają się do mnie.

Słyszę szcęk żelaznego zamka. Cofam się o krok i patrzę, jak otwierają się drzwi. W progu stoi doktor Whitmore. W rękach trzyma notatnik na podkładce.

– Dlaczego tu jestem? – pytam gardłowo. Unoszę rękę do włosów. Są rozczochrane i poplątane. Burczy mi w brzuchu. Niebo widoczne przez wąską szparę okna jest czarne.

– Obudziłaś się – mówi z pogodnym uśmiechem. – Wspaniale.

– Czemu mnie tu zamknęliście? Nic z tego nie rozumiem. – Staram się nie płakać, ale to jest prawie niemożliwe, kiedy jesteś traktowana jak zwierzę w klatce. Jak kryminalistka.

– Kochanie, straciłaś panowanie nad sobą w moim gabinecie – wyjaśnia łagodnym głosem doktor. – Krzyczałaś i tłukłaś głową w ścianę, aż straciłaś przytomność. Musieliśmy zadzwonić po pogotowie. Zostałaś tutaj zamknięta, ponieważ stanowiłaś zagrożenie dla samej siebie i innych. Takie mamy procedury. Mam nadzieję, że to zrozumiesz. Obiecuję, że nie zostaniesz tu na zawsze.

Wchodzi do pokoju, a potem staje z boku, żeby wpuścić jakiegoś

mężczyznę. Nasze spojrzenia się krzyżują, a moje serce zamiera. Powracają do mnie wspomnienia, które opanowują moje zmysły – czuję na języku smak płatków czerwonej papryki, zaczynam się dusić, próbując oddychać przez mokrą ścierkę. Tamten schowek, zamykany na klucz, z wypaloną żarówką. Płomień zapalniczki. Materac przesiąknięty moczem. Znowu to wszystko widzę, czuję... i robi mi się niedobrze.

Muszę usiąść.

– Sarah – odzywa się człowiek o znajomych brązowych oczach. Pamiętam go. To mój brat, Travis. – Boże, spójrz na siebie.

Rusza w moją stronę, a ja wzdrygam się i zaczynam zataczać do tyłu, w stronę łóżka.

– Spokojnie, Travis – mówi doktor Whitmore, unosząc rękę, w której trzyma długopis. Nie spuszcza ze mnie wzroku. – Ona dawno cię nie widziała. Nie zapominaj o tym.

– Sarah. – W jego ustach moje imię brzmi znajomo. Wygląda na starszego, niż go zapamiętałam: wokół oczu ma zmarszczki, a jego włosy są ciemniejsze i przerzedzone. Jest ubrany w wyblakłe, podarte dżinsy i brudną koszulkę z logo jakiegoś zakładu mechanicznego. Jego palce są czarne i poplamione olejem.

Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam brata, ale wiem, że lata temu. Moje wspomnienia są poszatkowane, pourywane, a kiedy patrzę na niego, drzę na całym ciele i chce mi się wymiotować.

On nie jest dobrym człowiekiem – to pamiętam na pewno.

– Sarah, tak bardzo za tobą tęskniliśmy. Rodzice strasznie się martwią o ciebie – mówi z lekkim uśmiechem. Gapi się na mnie, jakbym była duchem, jakbym była przezroczysta, a on ciągle był w szoku, że wreszcie mnie odnalazł. – Myśleliśmy, że jesteś...

Zamykam oczy i znowu czuję na sobie ciężar jego ciała. Czuję, jak zaciska palce na mojej szyi i dusi mnie, aż tracę przytomność. Pamiętam tamten schowek zamykany na klucz. Pamiętam wyzwiska, kary i upokorzenie, którego doznawałam na oczach wszystkich jego kolegów.

Ale to nie Travis robił mi krzywdę, tylko Adam, nasz starszy brat.

Zamykam oczy i przenoszę się w czasie.

Travis patrzy. Śmieje się. Pokazuje mnie palcem. To nie on się nade mną znęca, ale jest tak samo winny, ponieważ nigdy nie próbuje tego wszystkiego powstrzymać.

Placzę i błagam go o pomoc, kiedy Adam dla własnej rozrywki katuje mnie prawie na śmierć...

Ale Travis nic nie robi.

Kiedy już jest po wszystkim, jego oczy są martwe, a Adam zaczyna wygrażać nam obojgu.

I to się nigdy nie kończy.

Zawsze chciałam od tego uciec, nawet jeśli mogłam to zrobić tylko w swojej głowie.

Doktor Whitmore obserwuje, jak się trzęsę, a potem obraca się do Trávisa.

– Sądzę, że powinniśmy spróbować ponownie, gdy będzie się czuła bardziej... sobą. W tej chwili jest chyba zbyt oszołomiona.

Znowu skupia uwagę na mnie.

– Sarah, wkrótce zjawią się twoi rodzice – mówi. – A kiedy poczujesz się lepiej, oficer śledczy z wydziału policji w Stamford chciałby zadać ci kilka pytań na temat Autumn Carpenter. Nie pozwolę mu z tobą porozmawiać, dopóki nie będziesz gotowa. Chciałam cię tylko uprzedzić.

Powracają do mnie urywki wspomnień. Chyba już ją sobie przypominam. Była ładna; jasne włosy i niebieskie oczy. Zakompleksiona. Bogata. Przylepiła się do mnie. Byłam jej jedyną przyjaciółką.

I chyba odebrałam jej życie.

Tak...

Teraz już pamiętam.

Utopiłam ją. Spacerowałyśmy po plaży przy domku letniskowym jej rodziców w Hamptons. Było już po północy, na niebie nie świeciły gwiazdy, tylko skrawek księżyca. To się stało tak szybko.

Szła i narzekała na to, co zwykle, a ja nagle rzuciłam się na nią od tyłu, zacisnęłam dłonie na jej szyi i przygniotłam ją własnym ciałem. Byłam zdumiona, że prawie ze mną nie walczyła. Jakby chciała, żeby to się stało. Jakby na to czekała. Gdy wreszcie przestała się ruszać, odepchnęłam ją od brzegu, a ona unosiła się na wodzie tak spokojnie, kołysana łagodnymi falami.

I tak chciała umrzeć.

Setki razy pisała o tym w swoim pamiętniku.

Siedzę na łóżku, pokój zaczyna wirować, a ja czuję, jak moje ciało się kołysze w tył i w przód. Przyciągam kolana do piersi i zaciskam powieki.

– Zabierzcie go ode mnie – szepczę. Kiedy otwieram oczy, oni wciąż tam stoją i gapią się na mnie. – Szybko!

Echo mojego krzyku odbija się od ścian i wypełnia moją małą celę. Doktor Whitmore rusza wolnym krokiem w stronę drzwi, ciągnąc za sobą Trávisa. Na korytarzu stoi sanitariusz i nie spuszcza ze mnie wzroku, gdy lekarka szepcze coś do mojego brata, który po chwili staje z boku, by nie blokować wejścia.

– Chcę stąd wyjść! – wrzeszczę. Mam wrażenie, że głos wydobywa się spoza ciała.

Do pokoju wbiega sanitariusz ze strzykawką oraz jego kolega, którzy przytrzymują mnie za nogi i ręce. Travis, tak jak zwykle, tylko się przygląda z tym rozbawionym uśmieszkiem, którego nie jest w stanie powstrzymać. Trzeci sanitariusz przepycha się pomiędzy nim a lekarką, przygwaźdża moją drugą rękę, po chwili czuję ostry ból, a potem...

...pustka.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Daphne

– W czym mogę pomóc? – Wysiadam z samochodu i przechodzę po naszym podjeździe w stronę nieoznakowanego radiowozu, który blokuje mi wjazd do garażu.

Wysoki mężczyzna z gęstymi, jasnymi włosami stawia ciężkie kroki w moim kierunku. Trzyma dłonie na biodrach. Na szyi ma zawieszoną odznakę policyjną.

– Jeśli szukacie mojego męża, jest w tej chwili w biurze. Wróci po piątej, choć wolałabym, żeby nie było przy tym naszych dzieci.

– Daphne McMullen?

– Tak – potwierdzam i prostuję plecy.

– Ma pani minutkę?

Zerkam na bagażnik mojego SUV-a.

– Mam zakupy, które muszę wypakować, a za godzinę spotkanie w mieście.

Policjant zagryza dolną wargę, mruży oczy i marszczy czoło.

– Będzie musiała pani odwołać to spotkanie.

– Może mi pan wyjaśnić, o co chodzi?

– Zapewne orientuje się pani, że prowadzone jest śledztwo w sprawie zamordowania Marnie Gotlieb.

Kiwam głową.

– Ciągle o tym mówią w telewizji. Biedna dziewczyna.

– I zapewne wie pani o znajomości męża z denatką – mówi. – Przynajmniej tak powiedział, gdy z nim rozmawialiśmy.

Wzdycham i uciekam wzrokiem w bok.

– Nie mam pojęcia, co jej śmierć ma wspólnego ze mną. Graham i ja mieliśmy pewne trudności, które staramy się pokonać. Małżeństwo to trudna sprawa, wie pan?

– Aż za dobrze, proszę pani. Sam byłem parokrotnie żonaty. – Śmieje się pod nosem, jakbyśmy byli znajomymi, ale potem jego twarz znowu przybiera poważny wyraz. – Tak czy inaczej, musimy zadać pani kilka pytań.

Zerkam na zegarek i wzdycham.

– Jak dużo czasu to zajmie? Do trzeciej muszę odebrać dzieci ze szkoły.

– Troszkę zajmie – mówi. – Może zadzwoni pani do męża, żeby on to zrobił.

– Czy nie moglibyśmy załatwić tego jutro rano? Mam wtedy wolne, więc będę do pańskiej dyspozycji. – Uśmiecham się, podchodzę do bagażnika i zaczynam wyciągać zakupy.

– Przykro mi, ale musimy porozmawiać dzisiaj.

Nasza najbardziej wścibska sąsiadka, pani Keller, przechodzi ze swoim miniaturowym pudelkiem i gapi się z pełnym dezaprobaty marsem na twarzy, pewnie się zastanawiając, dlaczego jakiś obcy facet zaczepia mnie pod moim własnym domem.

Ale kompromitacja.

Po drugiej stronie ulicy zauważam jakiś cień za poruszającą się zasłoną.

Wszyscy mnie podglądają, chcą, żeby gliny zakłuły mnie w kajdanki i wepchnęły do radiowozu, bo w ten weekend taka historia zrobiłaby prawdziwą furorę w Bunco.

– Czy to jest rozkaz? – Śmieję się łagodnie. – Czy tak to zwykle wygląda?

– Proszę mnie posłuchać. Musi pani pójść ze mną. – Robi się niecierpliwy, oddycha przez nos i idzie w moją stronę. Sięga do tyłu i powoli wyciąga parę lśniących kajdanek. Porusza się powoli, jakby spodziewał się, że ucieknę od niego.

Śmieję się.

– To jest jakiś kawał, prawda? Pan żartuje. – W rękach trzymam

ciężkie siatki z zakupami i oddałabym wszystko, absolutnie wszystko, żeby wrócić do swojego idealnie nudnego życia z niewiernym mężem i dziećmi.

Policjant kręci głową.

– Proszę odłożyć zakupy.

– Niech pan tego nie robi. – W moim głosie pobrzmiwa jękliwa nuta, nad którą nie potrafię zapanować. Czuję, jak wszyscy mnie obserwują; wszyscy sąsiedzi, cała okolica. Jestem pewna, że pstrykają mi zdjęcia, wysyłają esemesy, dzwonią. A jutro moje dzieci będą dręczone w szkole, bo czyjaś matka widziała, jak ich matkę zabrał radiowóz.

– Nie chciałem robić tego w tym miejscu – mówi do mnie. Opuszczam siatki na chodnik. Moje usta dygoczą, kolana uginają się pode mną. – Ale skoro nie chce pani współpracować...

Nakłada mi kajdanki na nadgarstki. Są zimne i ciężkie. Zaciska je, aż metal wrzyna się w skórę.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Będę wszystkiemu zaprzeczała. Moje odpowiedzi będą się ograniczały do „nie wiem” albo „nie pamiętam”, a gdy tylko skontaktuję się z Grahamem, każę mu załatwić sobie najlepszego adwokata, jakiego można wynająć.

To nie ja zabiłam Marnie.

– Jest pani oskarżona o morderstwo – mówi takim tonem, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie albo pączkach. – Wynajęła pani Mitcha Illingwortha do świadomego spowodowania przedawkowania Marnie Gotlieb. Facet, którego on wynajął do tej roboty, został przytknięty dzisiaj po południu w związku z inną sprawą, przyznał się do winy i dostarczył wszelkie możliwe dowody.

Opada mi szczęka. Pierdolony Mitchell. Pierdoleni dilerzy.

Sprzedął mnie.

Jak mogłam tego nie przewidzieć?

Byłam przecież tylko jakąś bogatą suką z głębokimi kieszeniami, a ten dupek, którego wynajął, to tylko jakiś uliczny zbir, który

przestraszył się glin i wszystko wyśpiewał.

I tak będę zaprzeczała.

Nie zasługuję na to, żeby zgnić w pierdłu za coś takiego.

Byłam tylko kobietą usiłującą ocalić siebie w jedyny sposób, jaki wydawał się możliwy. Zrobiłam, co musiałam, bo tylko tak mogłam to wszystko skończyć: zniszczyłam jedyne źródło szczęścia Grahama, ponieważ on wcześniej zrobił dokładnie to samo z moim szczęściem.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Autumn

– Za co tu siedzisz? – Dziewczyna z długimi nogami, uśmiechem modelki oraz zielonymi, błyszczącymi oczami zajmuje miejsce obok mnie w sali telewizyjnej. Jest piątkowy wrześniowy poranek. Nigdy wcześniej jej nie widziałam, więc musi być tu nowa.

Nie odpowiadam. Uśmiecham się tylko i wracam do oglądania wiadomości. Jakiś facet w czarnym garniturze trajkocze o pogodzie. Mam nadzieję, że będę miała okazję wyjść stąd, zanim zaczną padać deszcz.

Od paru tygodni jestem poddawana intensywnej psychoterapii. Mówią mi, że mam jakąś odmianę zaburzeń dysocjacyjnych tożsamości. To rzadka przypadłość i trzeba ją dogłębnie zbadać. Mówią, że to nie jest podręcznikowy przypadek. Chcę mnie wysłać do Portland, żebym porozmawiała z jakimś znanym na całym świecie psychologiem. Gdy tylko mi się polepszy.

Nie wiem, kiedy to się stanie ani na czym ma polegać. Do tej pory każdego dnia budzę się jako Sarah, choć mówią mi, że mam alter ego o imieniu Autumn.

Nie znam żadnej Autumn. Nie wiem, jak to jest być nią, ale mówią mi, że żyłam jako ona co najmniej siedem ostatnich lat, więc chyba musiało być fajnie. Mówią, że chowam się za jej osobowością na zasadzie mechanizmu obronnego – jako sposób na zapomnienie traumy. Doktor Whitmore mówi, że muszę stawić czoło tej traumie. To jedyny sposób, aby sobie z nią poradzić.

Nie wiem, jak to wszystko będzie wyglądało ani jak długo zajmie

mi „stawianie czoła traumie”, ale wiem, że nienawidzę być Sarah. Ona jest nerwowa, nudna, niespokojna i całymi dniami błądzi gdzieś myślami. I jest nieszczęśliwa. Nie wie, kim jest ani czego chce. Wie jedynie, że nie chce być Sarah.

Dziewczyna, która obok mnie usiadła, zaczyna nadawać bez przerwy. Jest ładna i sprawia wrażenie miłej. W porównaniu z każdą osobą tutaj wydaje się stosunkowo „normalna”. Przydałaby mi się przyjaciółka. Doskwiera mi tutaj samotność.

– Jestem Kerrigan – przedstawia się, wyciągając do mnie rękę. – Jak ta łyżwiarka figurowa z lat dziewięćdziesiątych, Nancy Kerrigan. Kojarzysz?

Uśmiecham się uprzejmie. Nigdy nie słyszałam o takiej łyżwiarce.

Kerrigan uśmiecha się bardziej niż ktokolwiek inny, kogo spotkałam w swoim życiu. Wygląda na wesołą, nawet przesadnie, i nie mam pojęcia, dlaczego tu jest. Zgaduję, że to wariatka. Nie bierze leków. Musi się uspokoić, jej stan należy ustabilizować.

Ale lubię ją. A raczej – myślę, że mogłabym ją polubić.

Teraz opowiada o lakierze do paznokci. Pyta, czy później miałabym ochotę na malowanie: ona mi maluje, a ja jej. Podobno rozpaczliwie potrzebuje manikiuru, a fatalnie jej wychodzi malowanie lewą ręką. Mówi, że przydałaby się jej koleżanka. Jak dotąd nikt nie chce z nią gadać, a uważa, że wyglądam na miłą osobę.

– Chcesz się zaprzyjaźnić? – Śmieje się, ale jest poważna.

– Jasne – odpowiadam.

Kerrigan mówi, że ma dwadzieścia trzy lata i jest początkującą aktorką. Występowała jako statystka w paru produkcjach na Broadwayu oraz miała trzy linijki w *Kopciuszku* Rogersa i Hammersteina.

W wiadomościach mówią o kolejnej historii.

Jakaś kobieta została oskarżona o morderstwo po tym, jak wynajęła kogoś do zabicia kochanki swojego męża. Mają trójkę dzieci. Mąż, miejscowy biznesmen, podobno jest zdruzgotany.

Kobiecie grozi pobyt za kratkami do końca życia, bez szansy na zwolnienie warunkowe.

Pokazują ją w pomarańczowym stroju więziennym. Ma ręce skute za plecami i stoi przed sądem. Jest bardzo piękna, ale nie okazuje żadnych emocji. Potem na ekranie pojawiają się zdjęcia jej rodziny sprzed tragedii. Mają dwie dziewczynki i chłopca. Stoją przed ogromną choinką, uśmiechając się od ucha do ucha, na tle pięknie zapakowanych prezentów.

Jest mi ich żal. Odnoszę wrażenie, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w brzuch. Mam takie samo uczucie, gdy oglądam reklamy schronisk dla zwierząt. Ta rodzina wygląda zupełnie normalnie, można się z nimi utożsamić, tylko że oni są jakby idealną wersją.

Prezenter wiadomości przechodzi do kolejnej informacji – zburzenia i przeniesienia miejscowego przytułku dla nieletnich w inne miejsce. Kerrigan nie przestaje nadawać.

– Jak tylko stąd wyjdę, przeniosę się do Kalifornii. Do Los Angeles. Tam są najlepsze oferty pracy dla aktorek. Broadway jest dla dupków, którzy biorą siebie zbyt poważnie. Myślą, że mają klasyczne wykształcenie teatralne, ale to tylko banda kiepskich pozerów czekających na wielki przełom w karierze, który nigdy nie nastąpi.

Śmieję się pierwszy raz od wielu tygodni. Lubię jej sposób myślenia. I uwielbiam jej brutalną szczerłość.

– W Los Angeles super jest to, że każdy może tam się stać kimś nowym. Możesz wymyślić sobie nowe imię, nową tożsamość, i nikogo to nie obchodzi. Mają nawet trenerów osobowości. Niesamowite, co? Tak czy inaczej, wyjeżdżam z Nowego Jorku i jadę tam, gdzie rosną palmy i są cieplejsze zimy.

Od razu sobie wyobrażam, jak jestem w LA z Kerrigan, śmieję się, piję i zostawiam za sobą cały ten syf.

– Tam możesz być, kim zechcesz – mówi, podskakując z ekscytacją na krześle i okręcając na palcu kosmyki długich jasnych włosów.

– Mogę pojechać z tobą? – pytam.

- O Jezu, żartujesz? Byłoby genialnie! Ja i ty, współlokatorki!
- Dobra, już jesteśmy umówione. Kiedy tylko stąd wyjdziemy, jadę z tobą do Los Angeles.

Kerrigan obejmuje mnie ramionami i ściska z całych sił.

- Ale będziemy się tam genialnie bawiły.
- Tak, będziemy.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję moim beta-readerom – A, C, K i M. Ta książka była ogromnym projektem, a wy wspaniałomyślnie pomagaliście mi brutalną szczerością, udzielaliście wsparcia oraz dawaliście cenne komentarze. Ta książka nie byłaby tym, czym jest, gdyby nie wy.

Do Louisy, projektantki okładki – dziękuję, że ożywiłaś tę książkę tak niesamowitym arcydziełem. Ta okładka jest idealna^[2]. A ty jesteś najlepsza.

Wendy, dziękuję za twoje miłe słowa i sokoli wzrok. Nigdy nie zapomnę e-maila, który przysłałaś mi po pierwszej poprawce. Potrzebowałam usłyszeć to, co napisałaś.

Dziękuję mojemu mężowi – co prawda nie jesteś czytelnikiem, ale zawsze zachęcałaś mnie do tego, żebym opowiadała ci o moich pomysłach.

Last but not least, dziękuję Jennifer. Naprawdę. Twoje ciepłe słowa i wsparcie, jakiego udzielałaś mi przez ostatni rok, były dla mnie darem z nieba, i nie wiem, czy bez ciebie ta książka by w ogóle powstała. Jesteś niesamowicie utalentowana, twoje porady to prawdziwe skarby, a nasza przyjaźń jest niespodziewanym podarunkiem, który nagle otrzymałam. Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję – za wszystko!

^[2] Dotyczy okładki wydania oryginalnego.

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)
[Rozdział dwudziesty](#)
[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)
[Rozdział dwudziesty drugi](#)
[Rozdział dwudziesty trzeci](#)
[Rozdział dwudziesty czwarty](#)
[Rozdział dwudziesty piąty](#)
[Rozdział dwudziesty szósty](#)
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)
[Rozdział trzydziesty czwarty](#)
[Rozdział trzydziesty piąty](#)
[Rozdział trzydziesty szósty](#)
[Rozdział trzydziesty siódmy](#)
[Rozdział trzydziesty ósmy](#)
[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)
[Rozdział czterdziesty](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
[Rozdział czterdziesty drugi](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty](#)
[Rozdział czterdziesty piąty](#)
[Rozdział czterdziesty szósty](#)
[Rozdział czterdziesty siódmy](#)
[Rozdział czterdziesty ósmy](#)

[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty drugi](#)
[Rozdział pięćdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział pięćdziesiąty czwarty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty piąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty szósty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty siódmy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty ósmy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział sześćdziesiąty drugi](#)
[Rozdział sześćdziesiąty trzeci](#)
[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *The Memory Watcher*

Copyright © Minka Kent, 2017

Copyright © Wydawnictwo FILIA, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: Lyn Randle / Trevillion Images

Redakcja: Jacek Ring

Korekta: Dorota Wojciechowska

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-353-2

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk

MINKA KENT

THRILLER PSYCHOLOGICZNY DLA FANÓW „DZIEWCZYNY Z POCIĄGU”
ORAZ „ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI”



PIĘKNI LUDZIE SKRYWAJĄ NAJBRZYDSZE SEKRETY...

IDEALNE ŻYCIE

FILIA